

Richard Condon

Honor Prizzich

Przełożył Tomasz Mirkowicz

Data wydania oryginalnego: 1982

Data wydania polskiego: 1988

pamięci Benna Reyesa

“Lecz straszna przeznaczeń jest potęga,

Ni złoto, ni wojna przed nią chroni:

Na wieży warownej nas dosięga

I wody prującą łódź dogoni.”

Chór. Antyгона (przełożył Mieczysław Brożek)

Rozdział 1

Wnuczka Corrada Prizziego brała ślub przed barokowym ołtarzem kościoła Santa Grazia di Traghetto, kościoła przynoszącego szczęście rodzinie Prizzich. Wyglądała prześlicznie, wsłuchana w śpiewny głos biskupa i podniosłe tony odpowiadającego mu chóru. Panem młodym był jej kuzyn, Patsy Garrpne, członek ścisłego kręgu rodziny Prizzich, nieco niższy, lecz za to bardziej energiczny od swojej przyszej żony.

Pocięte zmysłowymi promieniami światła wewnątrz świątyni wypełniały miękkie, puszyste dźwięki kościelnej muzyki. Osiemdziesięcioletni Don Corrado Prizzi siedział w pierwszej ławce na prawo od nawy. Drzemał, lecz nawet w spoczynku jego twarz miała w sobie chłód i drapieżność potwornej korony z cierni, ogromnej rozgwiazdy *asterias acanthalis*. Co pewien czas jego małe oczka, wesole jak kostki lodu, otwierały się, przebiegały kilka wersów w książeczce do nabożeństwa i zamykały się znów.

Obok Don Corrada siedział jego najstarszy syn. Vincent, ojciec panny młodej, tęgi, brylasty mężczyzna, dla którego liczyły się wyłącznie pozory. Siedział z dłońmi zaciśniętymi na kolanach i marszcząc brwi, nucił pod nosem wojskowego marsza. Kolejne miejsca zajmowali brat Vincenta, Eduardo oraz jego trzecia nieślubna żona. Dziecina. Eduardo zwracał się tak do wszystkich swoich nieślubnych żon nie po to, żeby pokazać, jak bardzo jest nowoczesny, lecz - jak to kiedyś wyjaśnił matce - ponieważ Cristoforo Colombo, wyruszając na swoją pierwszą wyprawę, ochrzcił jedną z trzech karawel “Ni?a”, czyli właśnie “dziecina” po hiszpańsku. “Wszystkie są bardzo drobne. Dlaczego więc nie mówisz im Pinta?” - spytała matka. W rodzinie wiedziano natomiast dobrze, że żadna z nich nie zasługuje na to, by ją nazwać na cześć flagowego okrętu wielkiego odkrywcy - “Santa Maria”. Eduardo był jedynym elegantem w rodzinie: srebrzyste, falujące, tapirowane włosy, garnitury od Cifonello (Roma), buty i portfel firmy Gucci.

Bezpośrednio za Don Corradem siedział Angelo Partanna, jego najstarszy przyjaciel i doradca rodziny. Był to wysoki, żylasty, łysy jak kolano i wiecznie tryskający energią mężczyzna nieco po siedemdziesiątce.

Dalsze ławki po prawej stronie kościoła zajmowali - mieszając woń swojego potu z gęstniejącym zapachem setek płonących świec - rozsądzeni według starszeństwa pomniejsi Prizzi, jeszcze jeden Partanna, oraz całe zastępy Sesterów i Garronych, grubo okraszone krewnymi z większości głównych rodzin fratellanza w Stanach Zjednoczonych. Sal Prizzi ożenił się z Virgie Licamarito, siostrą Augiego Licamarita zwanego Kantem, głową rodziny z Detroit. Dwie córki Garronego wyszły za synów Gennara Fustina, głowy rodziny z Nowego Orleanu, która kontrolowała całe południowe wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Siostrzenica Don Corrada, Caterina, poślubiła syna Religia Caramazzy, głowy rodziny z Chicago, a sam Don Corrado spokrewniony był z Samem Beneficem, głową rodziny z Nowej Anglii, oraz Carlem Viggonem zwanym Kanistrem, szefem grupy z Cleveland.

Wszystkie przedsiębiorstwa kierowane przez fratellanza tworzyły razem luźny konglomerat, który sprawnie funkcjonował tylko dzięki temu, że potrafiono neutralizować siły policji oraz utrzymywać niezmiennie przyjazne stosunki z klientami-ofiarami. Interesy rodziny Prizzich w stu procentach zależały od dobrych kontaktów z niekryminalnym odłamem społeczeństwa, o jakie nie musi się troszczyć żadna normalna firma. Kontakty te obu stronom przynosiły zyski. Błędem byłoby sądzić, iż członkowie rodziny Prizzich różnią się zdecydowanie od ludzi zarabiających na życie w sposób legalny, z którymi łączą ich interesy obopólne korzyści i wysokie dochody sprawiają, że i jednym i drugim w równym stopniu zależało i zależy na współpracy. Nie można uważać Prizzich za czarne charaktery, a ich legalnie działających współników za kryształowe postacie. Jedni i drudzy wykluli się w ciągu tej samej długiej nocy z kultury oszalałej na punkcie pieniądza; pomagając sobie, wspólnie rośli w siłę, aż stali się wiodącą siłą polityczną i ekonomiczną w życiu społeczeństwa.

Dalsze rzędy na lewo od nawy zajmowali siedzący z kamiennymi minami prości gangsterzy podlegli Prizzim wraz ze swoimi capiregime - gwardia honorowa złożona z około siedmiuset ludzi, jedna trzecia wszystkich soldati. Bliższe ławki przeznaczone były dla łączników rodziny: policjantów z brygady naczelnego inspektora, z komendy miejskiej i ze wszystkich komisariatów dzielnicowych; przybyli ubrani po cywilnemu. Wśród nich siedział także dyrektor jednej z największych międzynarodowych spółek, nuncjusz papieski, przywódca związków zawodowych oraz gwiazdy filmu, opery, teatru, telewizji i sportu. Drużbą pana młodego był aktualny mistrz świata wagi półciężkiej w boksie. Druhną panny młodej była Miss America, poznana przez nią z tej okazji dziś rano. W pierwszych trzech ławkach senatorzy i kongresmani siedzieli ramię w ramię z wysokimi urzędnikami policji i znakomitościami telewizyjnymi, obok nich zaś najbłyskotliwsze i najtęższe umysły z prokuratury okręgowej i generalnej, a także spośród dziennikarzy i pracowników Białego Domu.

Na galeriach przeznaczonych dla chóru zainstalowali się kamerzyści sieci telewizyjnych oraz kamerzyści filmujący ślub na taśmach wideo dla rodziny Prizzich. Szum głosów stłoczonych tam reporterów radiowych zlewał się z podniosłym śpiewem

członków chóru, zawodzeniem biskupa, odpowiedziami ministrantów oraz trzaskami migawek aparatów fotograficznych. Wnuczka Corrada Prizziego wychodziła za męża.

Charley Partanna siedział w jedenastym rządzie po prawej stronie kościoła obok swojego kuzyna Pauliego Sestera, kierownika wytwórni filmowej. Był dużym, zwinnym, czterdziestodwuletnim mężczyzną przypominającym najbardziej Phara Łapa, jednego z najlepszych koni wyścigowych wszechczasów - duże, wyraźne rysy, wydatna szczęka, czoło jak odłam skalny, oczy barwy chromu. Podobnie jak jego ojciec, w wieku lat siedemnastu stał się "uznanym mężczyzną", członkiem szacownego stowarzyszenia.

Charley był synem Angela, sottocapo Vincenta i wykonawcą Prizzich. Pierwszą robotę wykonał kiedy miał trzynaście lat, na Gun Hill Road w Bronksie, gdzie tego dnia był po raz pierwszy w życiu. Jego ojciec nie widział innego sposobu, żeby sprzątnąć Małego Phila Terrone, największego handlarza proszku i trawy w północnej części dzielnicy, którego zawsze otaczał tłum ludzi. Charley był wówczas chłopaczkiem w krótkich spodenkach. Mnóstwo innych dzieciaków, chyba ze trzydzieścioro, kłębiło się wokół Terronego, walcząc o rzucane im przez niego drobne, gdy Charley wyszedł zza samochodu 'jednym strzałem rozwalil mu głowę. Następnie cisnął broń na ziemię i wmieszał się w tłum.

Charley był jak taran. Nic nie mogło go zawrócić z raz obranej drogi. Układał sobie plan, po czym wypełniał go dokładnie, nie zapominając o niczym. Kiedyś policja otoczyła pewne mieszkanie. Reflektory, megafony, snajperzy na dachach i w oknach, zupełnie jak na filmie; wszystko po to, żeby nie wymknął im się Tancredi zwany Dołeczki, gangster w służbie Prizzich, który rozwalil dwóch gliniarzy. Tancredi zdołał powiadomić Prizzich, że bardzo mu przykro, ale musi się jakoś dogadać z glinami, żeby zyskać na czasie i nie dać się im ukatrupić, więc zamierza wyjawic co wie o udziale Prizzich w handlu heroiną. Potrzebuje czasu, żeby jego prawnik mógł dogadać warunki, na jakich się podda, a pałające chęcią zemsty gliny nieco ochłonęły. Don Corrado nie wierzył własnym uszom. Ale kiedy poinformował o wszystkim Angela Partannę, ten błyskawicznie podjął decyzję.

- Nie ma sprawy! Poślę Charleya, podziurawi tego chuja na sito.

Charley miał dwadzieścia lat. Była to jego czwarta rozwałka.

Eduardo Prizzi umówił ich na spotkanie z szarżą policji brooklyńskiej i po wzajemnych zapewnieniach ustalono, że wszystkim chodzi wyłącznie o jedno: aby ten skurwiel, który zabił dwóch posterunkowych nakrył się nogami, i to najlepiej bez zbędnego narażania życia innych funkcjonariuszy, oraz żeby telewizja i prasa przypisały całą zasługę policji.

Charley tymczasowo otrzymał od policji nową tożsamość. Nazajutrz w gazetach figurował (bez zdjęć) jako George Fearson, detektyw pierwszej klasy uzbrojony w policyjny sztucer. Wjechał na górę służbową windą, podszedł do kuchennych drzwi mieszkania, w którym zabarykadował się Tancredi, i krzyknął do niego, że chce mu powiedzieć, co Prizzi mogą zdziałać w jego sprawie. Tancredi nie otworzył drzwi, ale się do nich zbliżył, żeby wysłuchać Charleya, a wtedy ten kropnął go przez drzwi. Potem zjechał służbową windą na dół, oddał broń glinom i wyjaśnił im, jak się sprawy mają. Czterech pojechało więc na górę, wkopali drzwi frontowe i kuchenne, po czym władowali jedenaście kul w umierającego gangstera.

- Charley, są tu nawet ludzie z Agrigento! - szepnął Paulie. Kiedy stał, był bardzo niskim mężczyzną, ale siedząc sprawiał wrażenie olbrzyma. - Widzisz tego gościa z głową jak łeb żółwia? Cztery rzędy przed nami? To Piętro Spina. Takiej uroczystości nie było jak świat światem!

- Mniejsza o niego. Powiedz mi lepiej, kim jest ta szalowa babka po drugiej stronie nawy, dwa rzędy przed nami? Spojrzeli na nią obaj.

- Szalowa? - zdziwił się Paulie. Nie była zła, ale góra siódemka.

- Jezu, Paulie, jest wspaniała!

Charlie nie mógł oderwać od niej wzroku. Paulie może i przyznałby mu rację, że babka, coś w sobie ma, ale dla Charleya jej uroda była czymś tak niezaprzeczalnym jak zwycięstwo Trumana nad Deweyem. Jego wybranka włosy miała ciemne i siedziała majestatycznie jak łabędzica.

- Nie wiem, co to za jedna, ale skoro ją zaproszono, albo należy do bliskich przyjaciół rodziny, albo jest ważną figurą w prasie lub telewizji - powiedział Paulie.

- Jeśli należy do przyjaciół, siedzi po złej stronie. Śpiew chóru opadł o kilka tonów i Charleya doleciał miarowy szum pracujących kamer. Aż cztery! - pomyślał z podziwem. Paulie wyjaśnił mu, że ze ślubu zostanie przygotowany godzinny film z muzyką, czołówką, efektami specjalnymi, i z Toni Muto, której trzy płyty znalazły się w pierwszej pięćdziesiątce, śpiewającą "To musiałaś być ty" w wybranym sycylijskim dialekcie. Film będzie nagrany na wideokasety, które wyśle się gościom, aby w przyszłości znów mogli przeżywać te radosne chwile.

- Słuchaj, Paulie, możesz coś mi załatwić?

- Co?

- Jak tylko skończy się msza, powiedz gościowi od kamer żeby sfilmował mi tę babkę, dobra?

- Nie ma sprawy. - Paulie wyjął z bocznej kieszeni wizytówkę i coś na niej skrobął.

- Trzymaj. Jak mu to dasz, zrobi co tylko zechcesz.

Amalia Sestero, siedząca w rzędzie przed nimi, obejrzała się i uśmiechnęła słodko.

- Hej, Paulie! - syknęła.

- Tak?

- Zamknij mordę i oglądaj ślub.

Kiedy tłum zaczął się wolno wysypywać z kościoła, Charley ruszył szybko do przodu i złapał za łokieć głównego kamerzystę. Pewien, że podziękowała to lepiej niż wizytówka Pauliego, wsunął mu w dłoń studolarowy banknot.

- Zależy mi na tym, żeby film dobrze wypadł - oznajmił. - Widzi pan tamtą babkę? Tę piękność w zielono-żółtej sukni?

Kamerzysta spojrzał we wskazanym kierunku.

- Piękność?

- Tę w krótkich białych rękawiczkach, co właśnie wychodzi z ławki!

- A, tę. Widzę.

- Kiedy przyjedziemy do hotelu, filmujcie ją ile się da, dobra? Wszystko co nakręcicie, dacie mnie, jasne?

Charley miał szorstki, metaliczny głos przypominający chrobot trybów w skrzyni biegów, do której ktoś sypnął piasku. Brzmiał groźnie nawet kiedy Charley śpiewał kolędy. Jego głos, wzrost i blask oczu podobnych do kulek w łożysku sprawiły, że kamerzysta prawie gotów był go usłuchać, zawahał się jednak, nie wiedząc, z kim ma do czynienia.

- Słuchaj, przyjacielu, chętnie wyświadczyłbym ci tę przysługę, ale...
- Chcesz zjeść ten świstek?

Charlie wetknął mu do ręki wizytówkę Pauliego. Kamerzysta szybko skinął głową.

- Dopilnuję wszystkiego. Cała przyjemność po mojej stronie. Taka urodziwa kobieta, film tylko na tym zyska!

- Mowa! - zgodził się z przekonaniem Charley.

Dekoratorzy urządzili salę balową hotelu na wzór starego Palermo Gardens. Każdy z dawnego sąsiedztwa, kto wchodził na salę, czuł się jakby dostał obuchem w głowę, bo widział przed sobą własną młodość. Efekt był tak niesamowity, że trzy staruszki śmiały się i płakały równocześnie.

- Na miłość boską, patrzcie, co oni tu zrobili! - krzyczał szef rodziny Bocca. - Ale numer!

Nad głowami gości ciągnęły się wstęgi marszczonej bibuły: czerwone, białe i granatowe sięgały od jednego końca sali do wiszącego pośrodku sufitu żyrandola, a od niego do przeciwległej ściany odchodziły czerwone, białe i zielone. Nad nimi uderzały o siebie balony, wprawione w ruch przez unoszące się do góry ciepłe powietrze. Wszyscy bawili się świetnie. Poważna uroczystość zaślubin przemieniła się w radosny bankiet weselny. Ludzie nagle poczuli do siebie sympatię. Niektórzy ściskali się. W sali było tyle miłości, że serce Charleya napełniło się jej pianą, niczym kufel, do którego zbyt szybko nalano piwa.

Po obu stronach pomieszczenia ciągnęły się długie stoły zastawione górami kanapek. Żydowski kelnerzy z sieci garmażerii należącej do Prizzich rozlewali piwo do dziesiątków kufli. Ed Prizzi zapoczątkował sieć, ponieważ nigdzie nie mógł dostać dobrej peklowanej wołowiny; wkrótce doszły do tego piekarnie, najpierw w samym Nowym Jorku, a potem w całych Stanach, gdyż na żytni chleb z chrupiącą skórką wszędzie byli amatorzy, i nim kto się obejrzał, sklepy i zakłady gastronomiczne Palermo Maven - z żydowską obsługą - powyrastały w całym kraju jak grzyby po deszczu.

Równocześnie kelnerzy mówiący po sycylijsku nalewali ze sporej beczki do dzbanów wino z czarnego bzu. Na stołach stało dziesięć rodzajów sałatek, góry farfalline, stopy wędlin, sterty salsiccia, obok zaś piętrzyły się najwymyślniejsze ciasta otoczone przez czternaście gatunków słodyczy i lodów. Jezu, zdziwił się Charley, nawet orkiestra jest jak należy! Fortepian, akordeon, klarnet i wiolonczela grały "Giovanezzę" w rockowej aranżacji. Za podium z orkiestrą wisiały na ścianie oprawne w ciężkie złoczone ramy sepiowe fotografie Artura Toscaniniego, papieża Piusa XII, Enrica Carusa i Richarda Nixona o rozmiarach dwa i pół na trzy metry.

Wielu starszych mężczyzn było ubranych odpowiednio, we fraki; wszystkie starsze kobiety też miały suknie we właściwym kolorze na wesele, czarne; natomiast młodzi i

cywile przyszli wystrojeni jak ziticones. Charley miał na sobie frak. Było lato, trzecia po południu, ale na weselu Prizzich należało okazać szacunek.

Jeszcze jedno odbyło się zgodnie z obyczajem: osiemdziesięcioletnia siostra Don Corrada, odziana w czerń, siedziała przy drzwiach i płakała z radości, a wchodzący na salę goście wrzucali zaklejone koperty lub zwinięte banknoty dla panny młodej do czarnej, zaciąganej torby, którą staruszka trzymała między kolanami. Wyglądało na to, że w torbie jest już co najmniej sześćdziesiąt dolarów. Ludzie ze środowiska początkowo nazywali tysiąc dolarów dolarem, żeby zmylić turystów w Vegas, ale potem zwyczaj ten bardzo się rozpowszechnił, ponieważ wszędzie leżały dosłownie stosy gotówki i tylko czekały, żeby ktoś po nie wyciągnął dłoń. Sześćdziesiąt dolarów oznaczało sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

Charley przyjechał z kościoła do hotelu wozem policyjnym na sygnale, bo chciał być na miejscu przed dziewczyną, która wpadła mu w oko. Dał sierżantowi, który załatwił mu jazdę, kupon na sześć mrożonych steków z masarni Prizzich. Po wejściu na salę stanął w pobliżu drzwi i czekał.

Dziewczyna zjawiała się dopiero po dwudziestu minutach - pewnie najpierw poszła do toalety. Patrzył jak wrzuca kopertę i zobaczył, że towarzyszy jej Maerose Prizzi, siostra panny młodej. Szybko wyprzedził je w tłumie i tak się ustawił, żeby musiały przejść obok niego. Co za twarz! Dziewczyna nie miała typowej włoskiej urody, ale była piękna jak obrazek. Usta niby bukiet maków, skóra jakiej dotąd nie widział... Udał, że to tłum popycha go w ich stronę.

Maerose była równą babką; szkoda, że tak sobie zmarnowała życie. W dodatku prawdziwa włoska piękność: ogromne oczy, wspaniała figura, krągłości i zapadłości do których ręka rwie się sama. Niemal dorównywała Charleyowi wzrostem. Miała smutne oczy i długie palce. I zawsze umiała się zachować - z wyjątkiem tego jednego razu przed laty.

- Hej, Charley! - zawołała, gdy go dostrzegła. - Ale tu wspaniale! Poznaj moją przyjaciółkę, Irene Walker. Irene, to Charley Partanna.

Irene nic nie powiedziała. Czeka, żebym ja odezwał się najpierw, mądrze postępuje - pomyślał. Jak to możliwe, żeby kobieta miała taką twarz, takie cudowne (niewątpliwie) ciało, i w dodatku była mądra? Odniósł wrażenie, że jej oczy zmieniają wyraz, kiedy na niego patrzy. Wydało mu się, że Irene ma taką minę, jaką pewnie miał Pizarro, gdy po raz pierwszy ujrzał peruwiańskie złoto. Jakby dokonywała historycznego odkrycia. Jezu, jeszcze nigdy nie spotkałem takiej kobiety! - przemknęło mu przez myśl.

Maerose znikła gdzieś w tłumie.

- Napije się pani? - spytał Charley.

- Może kieliszek wina, żeby wypić zdrowie młodej pary - odpowiedziała.

Jej głos przypominał gęsty dym! Gdy wypływał z jej ust, dla Charleya był zupełnie widoczny: złocisty, z lekkim odcieniem różu, niczym dym z petardy wystrzelonej czwartego lipca. Zauroczyły go jej oczy. Miała zdrowe oczy. Ocieśniały je rzęsy podobne do frędzli na abażurach, które robiła jego matka, kiedy był mały. Na tle białek najczystszej bieli, brązowe tęczy wyglądały jak kwiaty unoszące się na sadzawce. Ale ich brąz, brąz syropu klonowego, nie był jednolity: wśród jaśniejszych punkcików barwy

skórki mandarynek pływały złote rybki... Czuł, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Co będzie, jeśli oderwie wzrok od jej oczu i ogarnie spojrzeniem całą jej postać? Był zakochany.

- Czy mogę zawieść panią do domu? To znaczy... kiedy będzie pani gotowa do wyjścia.

Zatrzymała kelnera niosącego tacę zastawioną kieliszkami z szampanem. Charley zdjął z tacy dwa kieliszki.

- Mieszkam w Los Angeles - odparła.

- Miałem na myśli własny dom - wyjaśnił.

Vincent Prizzi zaczął przemawiać do mikrofonu umieszczonego na podium. Włosy miał kręcone, szpakowate, twarz jak odlaną z betonu: mówił z lekkim sycylijskim akcentem. Był tak ciężkiej budowy, że wyglądał na morganatycznego męża Matki Ziemi, patrona kamieni, telewizji i upuszczonych tortów. Zapowiedział Don Corrada Prizziego. Charley wyprężył się. Od dwóch lat nie widział Don Corrada. Wśród przejętych gości zapadła cisza: nawet żydowscy kelnerzy przestali roznosić trunki, gdy w stronę mikrofonu dreptał wolno przez podium słabowity starzec, tak okrutne ucieleśnienie gwałtownej śmierci i korupcji, iż zebrani odetchnęli z ulgą widząc, że wielki zbrodniarz jest więźniem tak kruchego ciała.

Ze wszystkich przywódców fratellanza tylko Corrado Prizzi nieustannie rósł w siłę i znaczenie, ponieważ tylko on nigdy nie sprzeniewierzył się zasadom omerta. One z kolei chroniły go i wzmacniały jego władzę. On jeden spośród obecnych uczestniczył zarówno w spotkaniu w Cleveland w 1928 roku, jak i w spotkaniu w Apalachin ponad ćwierć wieku później, w 1957 roku. Ze wszystkich aresztowanych podczas spotkania w Cleveland był jedynym, którego zdjęcie nie figurowało już w kartotece policji. Przez ponad sześćdziesiąt lat sława i potęga we fratellanza rosły sukcesywnie, a równocześnie w postępie geometrycznym wzrastały jego wpływy w rządzie Stanów Zjednoczonych. Był jedynym amerykańskim "przyjacielem", którego rzeczywistość łączyły zażyłe stosunki ze świętej pamięci Don Calem Vizzinim, człowiekiem blisko spokrewnionym z obecnym Capo di tutti Capi Sycylii, Don Piętrzem Spina: syn Don Pietra nawet specjalnie przyleciał na ślub.

Don Corrado dotknął ramienia Vincenta i dał mu znak, żeby się nachylił. Vincent, kiwając głową, wysłuchał ojca, po czym przemówił do mikrofonu, tłumacząc słowa starca.

- Ojciec wita was wszystkich na tej rodzinnej uroczystości. Mówi, że pragnie, abyście się dobrze bawili. Wznosi toast za miłość i szczęście młodej pary i życzy im liczne potomstwo.

Vincent uniósł kieliszek. Ośmiuset gości uczyniło to samo. Wszyscy wypili toast. Staruszek, powłócząc nogami, przeszedł przez podium, minął fortepian, i zniknął za kotarą, którą odchylił jeden z dwóch czekających za nią na niego goryli.

Znow rozległa się muzyka. Orkiestra grała "Szaleję za tobą", stary szlagier, do którego Charley nauczył się kroków w czasach, gdy jeszcze zdarzało mu się tańczyć.

- Czy mogę panią prosić? spytał.

Ale akurat kiedy prowadził Irene na parkiet, Maerose złapała ją za łokieć.

- Telefon powiedziała.

- Telefon? - powtórzył zaskoczony, lecz Irene już odchodziła z Maerose i chwilę później obie znikły w tłumie. Pozostał w tym samym miejscu, zastanawiając się, czy Irene wróci do niego, i denerwując się, co będzie, jeśli nie wróci. Żeby zająć czymkolwiek myśli, zaczął robić plany na resztę wieczoru. Gdy tylko młoda para odjedzie, zabierze Irene do parku po drugiej stronie ulicy. Usiądą na ławce, a kiedy znudzi im się siedzenie, przejdą się dookoła parku, potem znów usiądą i wspólnie zdecydują, dokąd pójść na kolację.

Po dwudziestu minutach zaczął jej szukać. Nigdzie jej nie było. Dostrzegł Maerose tańczącą z Alem Melvinim, więc obszedł parkiet, żeby poczekać blisko nich aż ustanie muzyka. Nie chciał odbijać Alowi partnerki, bo bał się, że Irene zjawi się i pomyśli, że interesuje się inną kobietą. Zaczepił Maerose, kiedy schodziła z parkietu.

- Gdzie jest Irene? - spytał.

- Irene?

- Zabrałaś ją do telefonu.

- Kochany, skąd mam wiedzieć, gdzie się podziała?

Opuszczał hotel jako ostatni gość. Wcześniej ustawił się przy drzwiach i przyglądał się wychodzącym, nie mając pojęcia co powie, jeśli ujrzy Irene w towarzystwie jakiegoś faceta. No, jednak z nią porozmawia. Wolno mu się przecież do niej odezwać, a jeśli ten facet będzie miał coś przeciwko temu, złamie mu rękę. Ale co jeśli ona nie będzie chciała z nim mówić? Co jeśli tylko skinie do niego i pójdzie dalej, a jeśli będzie chciał ją zatrzymać spojrzy na niego tak, że odechce mu się żyć?

Kiedy inni goście już wyszli, dał pięć dolarów sprzątacze, żeby sprawdziła, czy Irene przypadkiem nie zasłała w żeńskiej toalecie. Nie. Następnie odszukał głównego kamerzystę. Sfilmowaliście ją?

- Kogo?

Charley chwycił kamerzystę za koszulę i szarpnął do góry, aż mężczyzna uniósł się na palce.

- Chcesz wylądować na śmietniku? - zapytał z nadzieją w głosie.

- Tak, tak, już pamiętam! Skręciliśmy z nią wiele metrów taśmy, na pewno świetnie wyszła, na pewno się panu spodoba!

- Pokaż! - polecił Charley, puszczając kamerzystę.

- Ależ my tylko kręcimy! Taśma musi wrócić do wytwórni, żebyśmy mogli zmontować film. Niech pan zgłosi się do wytwórni!

- W porządku. Tak zrobię.

Wciąż we fraku, ruszył na piechotę pod kościół, gdzie zostawił swoją poobijaną czarną furgonetkę marki Chevrolet. Wsiadł do wozu i pojechał w kierunku plaży, rozmyślając po drodze, że może dobrze się stało, że Irene nagle mu znikła, bo inaczej musiałby ją wieść tym gruchotem. Gównon by musiał! Przecież mógł powiedzieć w recepcji, żeby mu sprowadzono limuzynę. Chevroleta zostawiłby pod kościołem i przysłał kogoś po niego jutro rano. Kiedy wrócił do swojego czteropokojowego mieszkania w budynku na plaży urządzonego przez Maerose w wystroju wnętrza pominęła całkowicie książki: nie było ani jednej, lecz Charley dotąd tego nie zauważył, choć mieszkał tu już

od dziewięciu lat - zdjął muszkę, usiadł na tarasie z widokiem na zatokę i jeszcze raz przemyślał sobie wszystko od początku. Nie ma dwóch zdań, musi odnaleźć Irene i koniec. Nie może przecież usiąść z założonymi rękami, a potem przez resztę życia czynić sobie wymówki i zastanawiać się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby ją jednak odnalazł. Chociaż niezbyt mu się podobał ten pomysł, postanowił zadzwonić do Maerose i spytać ją o numer jej znajomej. Wiedział, że mogą z tego wyniknąć nieprzyjemności, ale był to jego jedyny zamiar na Irene. Wziął telefon na kolana i wykręcił numer Maerose.

- Mae?

- Pani nie ma w domu. Czy mam jej coś przekazać?

- A kto mówi?

- Służąca.

- Ma pani ołówki?

- Chwileczkę, zaraz znajdę. - Odłożyła na moment słuchawkę. - Już mam.

- Proszę powtórzyć Mae, że dzwonił Charley Partanna. Przeliterować nazwisko?

- Nie, nie trzeba. Już zapisałam.

- To proszę powiedzieć jak. Przeliterowała "Partanna".

- W porządku. Niech mi pani teraz poda swoje imię i nazwisko, to wyślę pani

dziesięć dolarów na adres Mae.

- Dziesięć dolarów?

- Tak jest. Jak się pani nazywa?

- Peaches Altamont.

- Świetnie, Peaches. Proszę powtórzyć pannie Prizzi, żeby zadzwoniła do mnie bez względu na porę. Zna mój numer.

- Dobrze, proszę pana.

Rozłączył się i zadzwonił do Pauliego do hotelu. Nikt nie odebrał. Wrócił więc do pokoju, wyjął z szuflady kopertę, włożył do niej dziesięciodolarowy banknot, zakleił ją i zaadresował. Wszedł z mieszkania na korytarz, gdzie na wprost windy znajdował się zsyp na listy. Znalazł w portfelu znaczek, nakleił na kopertę i wrzucił ją do zsypu.

Drzwi windy otworzyły się i wysiadło z niej dwóch mężczyzn.

- Hej. Partanna! - zawołał większy.

Charleya, zdjął gwałtowny strach - bez spluwy, w pustym hallu, był zupełnie bezbronny. Mężczyzna błysnął znaczkiem.

- Gallagher, sekcja zabójstw.

Charley odetchnął z ulgą.

- O co chodzi?

- Nie ma co rozmawiać na korytarzu.

- Słusznie. Wchodźcie do środka.

Weszli do mieszkania.

- A więc? - spytał Charley.

- Dziś po południu ktoś sprzątnął Sala Netturbina.

- Naprawdę?

- Tak. U niego w hotelu.

- Kto?

- Gdzie byłeś między drugą a piątą?
- Na ślubie. Na ślubie wnuczki Corrada Prizziego.
- Nie mówiłem ci? - mruknął Gallagher do drugiego gliny. - Okazuje się, że oni wszyscy byli na tym ślubie.

Rozdział 2

Jeden z prawników Eda Prizziego wyciągnął Charleya z komisariatu o dziesiątej wieczorem. Przesłuchiwano go ponad trzy godziny, ale nie miał glinom nic do powiedzenia, a zresztą cały czas myślał tylko o tym, jak odszukać Irene. Ona i Maerose sprawiały wrażenie, że znają się od dawna, ale co jeśli tak nie jest? Jeśli Maerose nic o niej nie wie, przypomni sobie, kto jej przedstawił Irene, i bez względu na to, ile osób przyjdzie mu wypytać, wreszcie ją odnajdzie. Po opuszczeniu komisariatu wszedł do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonił do Pauliego do hotelu.

- Zerknąłem na telefon i w tej samej sekundzie zadzwonił! Dziwna rzecz! - zdumiał się Paulie. - Właśnie ruszam na lotnisko.

Paulie lubił histeryzować i dlatego trafił do branży filmowej. O każdym wydarzeniu mówił tak, jakby to Bóg osobiście sprawił, że mu się przytrafiło.

- Słuchaj, Paulie, pamiętasz, jak zależało mi, żeby kamerzyści sfilmowali mi jedną babkę i ty dałeś mi wizytówkę, mówiąc, żebym ją wręczył tamtemu gościowi? - Charley brzmiał przez telefon jak gadający koń, w dodatku pijany.

- No i co? - spytał Paulie.
 - Chciałbym mieć jej ujęcia na kasecie. Co mam zrobić?
 - Nic trudnego zostaw to nam.
 - Świetnie. Dziękuję, Paulie.
 - Czy to jakaś aktorka? Może warto, żebym ją zobaczył?
 - Już ją widziałeś. Chodzi mi o tę babkę z kościoła, tę w zielono-żółtej sukience.
 - Aha. No to nic. Ale najlepiej byłoby, gdybyś sam obejrzał cały nakręcony materiał i pokazał, co mamy ci przegrać.
 - Kiedy mogę obejrzeć?
 - Pojutrze. Ale u nas w wytwórni. To jedyna możliwość.
 - Dobra. Przylecę pojutrze. I powiem ci jedno, Paulie; doprawdy cieszę się, że mam inny gust od ciebie, bo twoje dupy nigdy mi się nie podobały!
 - Charley! Co ja takiego powiedziałem? Przecież nie chciałem cię urazić!
- Ale Charley już odwiesił słuchawkę.

Kiedy wrócił do siebie na plażę, dochodziła północ. Na sekretarce automatycznej czekała wiadomość, że telefonowała Maerose. Zadzwonił do niej natychmiast. Brzmiała tak, jakby była oszołomiona proszkami nasennymi, więc pewnie już spała.

- Charley, co cię naszło? - spytała znużonym głosem. - Wiesz, która godzina? Jestem zupełnie wypompowana!

- Słuchaj, Mae, to cholernie ważna sprawa, inaczej nie zawracałbym ci głowy. Muszę wiedzieć, jak skontaktować się z tą dziewczyną, wiesz, z Irene Walker.

- Charley, poznałam ją zaledwie godzinę przed tobą.
- Kto ci ją przedstawił?
- Znajomi.
- Fajnie. Zadzwoń do nich i dowiedz się, gdzie mieszka, dobrze?
- Nie wiem, Charley.
- Co znaczy nie wiesz? Westchnęła.
- To tak, jakbym sama podrzynała sobie gardło. Odpychała cię dalej od siebie.
- Kto kogo odepchnął? Ja ciebie? Nie, ty mnie. Ale nie mamy do czego wracać. To było prawie dziesięć lat temu.
- Dobra, dobra. Niech to cholera! Miałam szansę, ale ktoś podbił mi ramię, kiedy składałam się do strzału.
- Będę ci bardzo wdzięczny.
- Zgoda. Ale dziś w nocy już nie dam rady.
- Dobrze, jutro.
- Spróbuję.
- Mogę zadzwonić do ciebie w południe?
- Sama zadzwonię. Nie wiem czy mi się uda.

Kiedy się rozłączyli, opadła z powrotem na łóżko, po czym przekręciła się na bok i wbiła wzrok w ścianę. Kiedyś całe jej życie zapowiadało się różowo, miała je spędzić z Charleyem, ale potem pokłócili się, a właściwie to ona zrobiła mu awanturę, piekielną awanturę, po czym wyszła z knajpy z innym facetem i wylądowała z nim w Mexico City, oboje pijani jak świnie. Nie wiedziała co począć, więc została z tym facetem i chlali bez przerwy. Wreszcie pewnego ranka w drzwiach stanęło dwóch ludzi jej ojca. Sprawili facetowi tak straszliwy łomot, że nie wyobrażała sobie nawet, że coś takiego jest możliwe, podczas gdy zastępca dyrektora hotelu, chuj zasrany, tylko się przyglądał. Potem kazali się jej ubrać i więcej nie odezwali się do niej słowem przez całą drogę powrotną. Wyprowadzili ją z hotelu niczym dwaj policjanci, wsadzili do samolotu i zawieźli do Nowego Jorku. Potem siedziała w gabinecie ojca i ojciec patrzył na nią i patrzył, aż miała ochotę krzyczeć. Patrzył tak, jakby była śmieciem.

- Okryłaś wstydem naszą rodzinę - warknął w końcu. - Pokazałaś co dla ciebie znaczy honor Prizzich. Miałaś wyjść za syna najstarszego przyjaciela dziadka, ale zamiast tego wolałaś zostać passeggiatrice. Dziękuj Bogu, że twoja matka nie dowie się o tym. Jest wśród aniołów, 1am jej nie dosięgniesz. Słuchaj, co mówię! Więcej się do ciebie nie odezwę. Angelo Partanna oświadczył, że ci wybaczają, ale Charley nie może ci wybaczyć, zraniłaś jego męskość. Możesz udawać, że należysz do naszej rodziny i jesteś moją córką, bo tego życzy sobie dziadek, ale wiedz, że dla mnie przestałaś być córką i dopilnuję, żebyś na zawsze pozostała starą panną.

Przez pięć miesięcy nie widziała Charleya. Kiedy spotkali się przypadkiem, powiedział jej cześć i spytał co słyhać, zupełnie jakby nigdy nic ich nie łączyło. Nawet nie traktował jej chłodno. Straciła go. Kochała go, ale straciła, i nigdy już nie próbował się do niej zbliżyć.

Nazajutrz Charley i jego ojciec prawie cały dzień spędzili z chemikiem, badając próbki z transportu cinnari, który właśnie dotarł z Azji przez Kolumbię. Była to heroina klasy A, grupa 4. Potem chemik dzielił towar na mniejsze porcje dla hurtowników i jeszcze mniejsze dla handlarzy ulicznych. Kiedy wieczorem wracali razem przez Long Island City, Charley przypomniał sobie, że był zatrzymany w związku z zabójstwem Netturbina, i powiedział o tym ojcu.

- Wiem, Ed wspomniał mi o tym - rzekł Angelo.
- Ale miałeś murowane alibi, prawda?
- Papo, czyja to robota?
- Nasza.
- Nasza? Jak to nasza? Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?
- Tak było lepiej, nie uważasz?
- Kto go kropnął?
- Specjalnie sprowadziliśmy kogoś spoza miasta. To była wyjątkowa sprawa.
- Dlaczego?
- Vincent chciał, żebym tak to załatwił, by na nas nie padł nawet cień podejrzenia.

Komisja będzie burczeć, ale my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Wszyscy byliśmy na weselu, nawet nas tam sfilmowano. Nie gniewaj się, ale w ten sposób było najrozsądniej.

- Tak, znakomicie to wymyśliłeś! - przyznał Charley. Wrócił do siebie dziesięć po dziewiątej, usiadł na tarasie i zadzwonił do Maerose. Pogoda była paskudna. Deszcz ostro zacinał, więc żeby nie zmoknąć, wcisnął się w sam róg tarasu, ale do środka nie wszedł, bo uważał, że jeśli ma się taras z tak wspaniałym widokiem, to albo należy z niego korzystać, albo wynosić z powrotem do zachodniego Brooklynu i starej czynszówki.

Maerose miała numer Irene.

- Wierz mi, Charley, nie było to łatwe - oświadczyła. Już prędzej zdobyłabym numer budki telefonicznej na szczycie Mount Everestu.

- Mae, przyślę ci za to coś naprawdę ładnego. Powiedz, co byś chciała.

Zaśmiała się smutno.

- Odrobinę serca. Tego mi brakuje.

Była dziewiąta dwadzieścia pięć. A więc szósta dwadzieścia pięć w Kalifornii, znakomita pora. Irene podniosła słuchawkę po trzecim dzwonku.

- Mówi Charley Partanna - powiedział Charley i wstrzymał oddech.

- Charley Partanna?

- Właśnie.

- To wspaniale! Skąd masz mój numer?

- Ktoś mi znalazł. Nie gniewasz się?

- Skądże! Jestem uradowana. Gdzie jesteś?

- W Brooklynie.

- Aha.

- Ale jutro mam coś załatwić w Los Angeles. Nie zajmie mi to długo, więc myślałem... może zjedlibyśmy razem kolację?

Wahała się przez kilka sekund.

- Dobrze. Zrobię sobie wolne.

- Cudownie! Fajnie. Wpadnę po ciebie. Która ci odpowiada?

- Siódma?

- Znakomicie.

- Ale nie przyjeżdżaj po mnie. Spotkamy się... w hallu hotelu Beverly Wilshire, dobrze?

- Oczywiście. Okropnie się cieszę. Miłych snów! Nacisnął widełki i rozłączył się, po czym przez dłuższy czas siedział wpatrzony w telefon. Przez całe życie uważał telefon za coś najzwyklejszego na świecie, zupełnie jakby to był mebel, na miłość boską! A jak bez telefonu wezwać lekarza lub adwokata? Kurcze blade, choćby nawet teraz, jak strasznie mu się przysłużył, okazał się równie niezawodny, jak gdy dzwoni się do zegarynki lub sprawdza horoskop. Zwykły aparat telefoniczny, a zmienił całe jego życie. Dał mu Irene. Jeśli tylko usłyszy, że jacyś chuligani powyrywali druty w okolicznych budkach telefonicznych, jak to się czasem zdarza, już on się na nich zaczął i sprawi im manto.

Siedząc sobie w hallu hotelowym w połyskującym zielonym słomkowym kapeluszu - który sam jeden byłby w stanie przywrócić sztukę modniarską do dawnej świetności Irene zwolniła ruch w okolicy recepcji do ładu żółwiego tempa, jak stwierdził Charley, gdy tylko wszedł do środka. Obserwował bacznie wszystkich, którzy na nią patrzyli, i aż żał mu się robiło tego głupka Pauliego, kiedy widział (lub wydawało mu się, że widzi) jak oczy starszków zachodzą łzami na jej widok, boye i inni faceci ledwo kryją erekcje, a kobiety krzywią się niechętnie, świadome, że tej nocy nie zmrużą z zawiści oka.

Wystarczyło, że tak siedziała, by pod nim samym nogi ugięły się jak z waty. Musiał się aż przytrzymać oparcia krzesła. Wtem podniosła wzrok, dostrzegła go i pomachała mu dwoma palcami. Przeszedł szybko przez hall, stanął nad nią i rzekł:

- Bałem się, że cię już nigdy nie zobaczę.

- Dzwoniłam do ciebie - powiedziała. Maerose dała mi twój numer. Ale cię nie zastałam. Chciałam znów zadzwonić w niedzielę rano. - Kłamała, ale było to miłe kłamstwo.

- Poważnie? Jej słowa ucieszyły Charleya, bo oznaczały, że nie będzie to jednostronne uczucie, a tego lękał się najbardziej.

- Chodźmy gdzieś zaproponował.

Wstała. Była idealnego wzrostu, o głowę niższa od niego, choć zapamiętał ją jako jeszcze niższą.

- Masz wyższe obcasy? - spytał.

- Wyższe od czego?

- Wyższe niż na weselu.

- A tak. Rzeczywiście wyższe.

- Wytwórnia dała mi limuzynę z kierowcą. Czeka za hotelem.

- Weźmy mój wóz. Możesz prowadzić.

Nigdy nie słyszał takiego głosu. Przed powrotem do domu każe Pauliemu puścić mu filmy z Gretą Garbo, bo Greta Garbo na pewno miała właśnie taki głos jak Irene. Czytał kiedyś, że jakiś facet zapłacił półtora tysiąca dolarów za suszoną różę, którą Garbo pocałowała przed dwudziestu laty, i myślał wtedy, że facet jest scimunito. Ale teraz go rozumiał. Sam chętnie wybuliłby półtora kafała za różę, która znajdowała się w jednym pomieszczeniu z Irene. Najważniejsze, że jej się podobał! Może - wkrótce go pocałuje, a po latach wystawią go na licytację i Bóg wie, ile będzie kosztował!

Minęli wolno windy, gabloty wystawowe, restauracje, i wyszli na szeroki, kryty podjazd. Irene powiedziała coś do boya, i po chwili podjechał do nich zagraniczny wóz - ametystowy, dwuosobowy kabriolet ze złożonym dachem. Charley pomógł Irene wsiąść, dał napiwek boyowi i polecił mu odesłać czekającą limuzynę, po czym obszedł kabriolet i usiadł za kierownicą." - Co to za wóz? - spytał.

- Gozzy.

- Gozzy?

- Kopia mercedesa z dwudziestego dziewiątego roku. Japończycy produkują je w Anglii dla arabskich szejków. To idealny wóz na Kalifornię.

- Idealny na gdziekolwiek! - zawołał Charley, ruszając spod hotelu. - Musiał kosztować majątek!

- Tak, nie dostałam go darmo, ale pomyśl tylko, ile będzie kosztował za dwa lata. Co lubisz jeść?

- Jeść?

- Tak. Do jakiej restauracji pojedziemy?

- Może do jakiejś na wolnym powietrzu? To dla mnie nowość.

- Świetnie! Znam doskonałą!

Dojechali do oceanu i ruszyli na północ nadbrzeżną autostradą - Charley czuł się wyższy, lepszy, miłszy i mądrzejszy niż kiedykolwiek przedtem. Było mu tak lekko na duszy, że opowiedział Irene o swoim pobycie w Lansing w stanie Michigan, jedyne jego wspomnienie przed jej poznaniem, na myśl o którym robiło mu się przyjemnie.

- Byłem tam w interesach, gdy nagle rozszalała się zamieć. Spadło tyle śniegu, że nikt z personelu motelu nie mógł dojechać do pracy. Był tylko zastępca kierownika i księgowy, który w nocy sprawdzał rachunki, to wszystko. Goście musieli sami słać łóżka, gotować, sprzątać, więc niektórzy narzekali jak diabli. Sytuacja rzeczywiście była trudna, a ja lubię prowadzić dom, lubię gotować. Mieszkam sam i wiem, że nie można żyć jak w chlewie, więc zgłosiłem się do zastępcy kierownika i zaoferowałem swoją pomoc.

Uśmiechnął się tak promiennie, że do dziś pamiętam jego wyraz twarzy. Gotowałem, obsługiwałem centralę telefoniczną, barek - słowem, robiłem wszystko, co było potrzebne. Większość gości zachowała się sympatycznie, pożyczali sobie gazety i w ogóle, ale niektórzy tylko siedzieli w hallu, gapili się na rosnące zwały śniegu i bezustannie narzekali. Wreszcie trzeciego dnia zjawił się facet na pługu i oświadczył, że za czterysta dolarów oczyści parking i dojazd do szosy. Zastępca kierownika powiedział, że nie jest upoważniony do takiego wydatku, tym bardziej że motel ma zawartą stałą umowę na odśnieżanie z kim innym. Ludzie siedzący w hallu zaczęli się z nim awanturować. Dwóch gości chciało się nawet brać do rękoczynów, więc musiałem

odciągnąć ich na bok i zdzielić raz czy drugi. Pozostali uspokoili się natychmiast, ale zaczęli się dąsać; ich nastrój udzielił się nawet tym sympatycznym, zupełnie odechciało im się pracować, też rozsiedli się w hallu i tylko narzekali. Sam posłałem wszystkie łóżka. Potem stanąłem za ladą w bufecie i wydałem wszystkim posiłek. O czwartej, kiedy już się ściemniało, zjawił się właściwy facet z plugiem, ten z którym motel miał stałą umowę, i powiedział, że oczyścił już dojazd do szosy. Nie minęło dziesięć minut, a w motelu nie było nikogo, i tylko trzech z tych za przeproszeniem skurwysynów, zaoferowało się zapłacić za pobyt. Ale zastępca kierownika oświadczył, że nic nie są winni, a gdy się już wszyscy wynieśli, zwrócił się do mnie i wygłosił całe przemówienie, dziękując mi, że tak się znalazłem. Sam wiedziałem, że postępuję słusznie, ale mimo to jego słowa sprawiły mi radość. Nazywa się Francis M. Winikus, co roku dzwonię do niego na Boże Narodzenie. Od razu robi mi się przyjemnie.

- Charley, jestem z ciebie dumna! wykrzyknęła Irene. - Nic dziwnego, że robi ci się przyjemnie!

Czuł się w siódmym niebie. Zaiste, warto spełniać dobre uczynki; kto by się spodziewał, że po tylu latach i tyle kilometrów od Lansing spotka go tak wspaniała nagroda!

- No, w miarę sił trzeba pomagać innym - oświadczył.

Skręcili w kierunku wzgórz i wkrótce zobaczyli zajazd. Charley uznał, że musi wryć sobie w pamięć ten obraz, bo nigdy go już pewnie nie ujrzy: nie dlatego, iż zajazd rozmyje się w powietrzu niczym baśniowy pałac, lecz ponieważ całe życie nabrało nagle takiego rozpędu, że nigdy nie będzie miał czasu, by wracać dokądkolwiek.

To portorykańska knajpa, pomyślał, bo i kelner był raczej śniady, i Irene zaszwargotała do niego jakby po portorykańsku.

- Co zamówiłaś?

- Charley, żałuj, że nie widzisz swojej miny! Wyglądasz tak, jakbyś był pewien, że kelner zamierza cię otruć.

- Naprawdę? Powiedz, co zamówiłaś? Zmienił wyraz twarzy, żeby go nie miała za strachliwego zrzedę.

- Sok ananasowy z rumem.

- Powtórz jeszcze raz nazwę.

- Jugo de pina con Bacardi.

- To portorykański napój?

- Możliwe. Po raz pierwszy piłam go na Kubie.

- Mówiłaś do kelnera po kubańsku? Myślałem, że to był portorykański!

Wypili po dwie szklanki. Wspaniałe pomyślał Charley, a w dodatku jaki ma zdrowy smak! Potem Irene namówiła go na coś, co nazywało się combo nachos, i było rzeczywiście przepyszne. Oboje śmiali się niemal bez przerwy i Charley czuł się cudownie, bo dotąd nikt nie uważał, że umie być zabawny. Wręcz przeciwnie. Po pewnym czasie przeszedł do spraw istotniejszych.

- Masz męża? - spytał.

- Prawdziwego to nie mam.

- Nieprawdziwy też mnie interesuje.

- Wysłałam za mąż - wzruszyła ramionami. - Mniej więcej cztery lata temu. Ale potem mąż mnie porzucił, nie wiem gdzie teraz jest i nie chcę wiedzieć.

- Porzucił taką kobietę?!

- Wariat prawda? Miał koncentrację dziecka.

- To znaczy?

- Szybko mu się znudziłam.

- Niemożliwe! - ryknął Charley tak głośno, że taras niemal zatrząsnął się w posadach. Inni goście przerwali jedzenie i zaczęli się oglądać. Irene zachichotała, po czym położyła rękę na dłoni Charleya i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Cieszę się, że tak się skończyło.

- Mógłbym go odnaleźć.

- Nie warto.

- A jeśli będziesz chciała wyjść za kogoś innego?

- To wtedy zacznę się martwić.

- Małżeństwo powinno być największym szczęściem - rzekł Charley. - Wiem, że bardzo często nie jest, ale to źle. Moja matka i ojciec byli wzorową parą, aż do śmierci matki. Sprawiało mi to wielką radość. Złości mnie, kiedy słyszę, że małżeństwo się komuś nie układa, a kiedy rozpada się jak twoje, to dosłownie trafia mnie szlag. Nienawidzę tego faceta, który cię porzucił, choć równocześnie cieszę się, że tak się stało.

- Mamy podobne poglądy na te sprawy. Małżeństwo moich rodziców było piekłem, ale już wówczas rozumiałam, że prawdziwe małżeństwo powinno wyglądać zupełnie inaczej. Ale żeby zmienić temat, bardzo podoba mi się twoja marynarka, Charley.

- Naprawdę? Uszył mi ją krawiec Pauliego, mojego kuzyna. Paulie pracuje w branży filmowej, więc pomyślałem, że pewnie ma dobrego krawca. Ale nie noszę jej często. Nowy Jork... W Nowym Jorku ludzie ubierają się inaczej. Taka marynarka za bardzo rzucałaby się w oczy, jest zbyt krzykliwa na Nowy Jork. Kiedy byłem mały, ojciec wciąż mi powtarzał, że prawdziwy mężczyzna unika rzeczy krzykliwych. Chodziło mu nie tylko o stroje, ale o to, że należy zwracać na siebie uwagę tym, jakim się jest, przez swoje czyny, a nie za pomocą strojów, samochodów, sygnetów z brylantami. Dotyczy to, oczywiście, wyłącznie mężczyzn - dodał szybko.

- Miał rację Charley.

- Jak to się stało, że zaproszono cię na ślub Teresy Prizzi, choć nie jesteś Włoszką?

- Biskup, który udzielał ślubu, też nie był Włochem.

- Nie? Fakt! To Polak.

- Więc może dlatego nie jestem Włoszką, że mój ojciec był Polakiem? -

Uśmiechnęła się szeroko.

- Walker to polskie nazwisko? - spytał zdziwiony.

- Oryginalnie brzmiało Walcewicz. Skróciłam je trochę.

- Myślałem, że może znasz Maerose ze studiów.

- Prawie. Długo będziesz w Los Angeles?

- Może do wtorku.

- Musisz wracać tak szybko?

- Niestety. Interesy. Handluję oliwą i serami. - Wydało mu się, że dostrzega w jej oczach błysk rozbawienia. Czy możliwe, żeby wiedziała o rodzinie? - A ty w czym robisz, że stać cię na taki luksusowy wózek?

- W podatkach.

- W podatkach?

- No, wiesz, ktoś umiera, a jego spadkobiercy muszą płacić podatki, więc zwracają się do mnie. Jestem konsultantem podatkowym.

- Na czym polegają te konsultacje?

Miała dla laików wielokrotnie sprawdzoną odpowiedź:

- Wczoraj zjawił się u mnie klient, który ma udział w banku i konto zagraniczne, więc mu powiedziałam, że musi wypełnić formularz skarbowy numer dziewięćdziesiąt, dwieście dwadzieścia jeden.

- Naprawdę?

- Oszczędzam klientom pieniądze. Jeśli na przykład koncern wypłaca kidnaperom okup za porwanego pracownika, może to odliczyć z podatków, zupełnie tak samo, jakby tę sumę po prostu ukradziono. Moja praca polega na udzieleniu właśnie takich porad.

- Irene, to po prostu wspaniałe! Nie żartuję!

Przez oba następne dni, niedzielę i poniedziałek, umawiali się na obiad i kolację. Charley po raz pierwszy pocałował Irene W niedzielę wieczór. Mam czterdzieści dwa lata, pomyślał, ona z trzydzieści pięć, a jeden jej pocałunek sprawia, że czuję się jak pijany. Przy poniedziałkowym obiedzie powiedział jej, że ją kocha.

- Muszę ci to wreszcie wyznać, Irene. Nie mogę spać, nie - mogę jeść. Kocham cię. Jestem dorosłym mężczyzną. Moja Polisa ubezpieczeniowa potwierdzi, że nie jestem już młodzieniaszkiem, ale do nikogo jeszcze nie czułem tego, co do ciebie. Kocham cię. Tylko tyle. Aż tyle. Kocham cię.

Musnęła jego usta koniuszkami palców, po czym przycisnęła je do swoich warg.

- Ja też zakochałam się w tobie - szepnęła.

- Zakochałam?! - zawołał prawie gniewnie. - Zakochanie to stan krótkotrwały, zaraz się można odkochać i zakochać w kimś następnym. Ludzie robią to ciągle. Wiem o tym dobrze, bo wiele czytałem na ten temat w pismach. Zakochanie to wyłącznie sprawa egzohormonów, czyli - już ci mówię - hormonalnych wydzielin zapachowych, które oddziałują na zmysł węchu drugiego osobnika, wywołując określony skutek. Zapisalem sobie tę definicję i powtarzałem, aż wkułem ją na blachę. A według innego artykułu, zakochanie to... słuchasz?... wzajemne sprzężenie zwrotne, innymi słowy reakcja jednego osobnika na zachowanie drugiego. Tylko na tym polega! Cóż warte jest takie uczucie?!

- Więc... kocham cię. Tak, chyba naprawdę cię kocham!

- Świetnie! Po prostu fantastycznie!

- Zabrzmiało, jakbym się ociągała, ale to dlatego, że nie mam wprawy, jeszcze nikomu tego nie mówiłam.

- Nigdy?

- Nigdy. Nikogo jeszcze nie kochałam. Zawsze musiałam sama troszczyć się o siebie, a tego nie można pogodzić z miłością. Kocham cię Charley.

- Jak ja pragnęłam to od ciebie usłyszeć! Marzyłem o tym w dzień i w nocy. Teraz kiedy wiem, że ty również mnie kochasz, chcę byś wiedziała, iż od tej chwili zmieni się wszystko w twoim życiu. Nie będziesz już nigdy musiała troszczyć się o siebie. Ja się tobą zaopiekuję.

- A ja tobą!

- Możesz opuścić Los Angeles?

- Na to potrzebuję trochę czasu. Mam tu dom, biuro, sporo spraw, które muszę polikwidować.

- Więc będę do ciebie przyjeżdżał, dopóki wszystkiego nie załatwisz. Przez kilka dni popracuję w Nowym Jorku, potem hop w wieczorny samolot, a w poniedziałek o świcie powrót.

- Cudownie!

- Ale będziesz mogła czasem wyrwać się do Nowego Jorku?

- Czasem na pewno.

- Słuchaj, Irene, czy gdyby nic nie stało na przeszkodzie, wyszłabyś za mnie?

- Gdyby nic nie stało na przeszkodzie? Ale stoi.

- Ale gdyby...

- Tak, Charley, wyszłabym za ciebie.

W poniedziałek po południu kochali się na jego hotelowym łóżku. Nikomu nie było tak wspaniale. Nigdy. Jak świat światem. Tego Charley był pewien.

W wytwórni Paulie puścił Charleyowi taśmę z Irene. Był to Absolutnie bombowy materiał - Pauliemu aż zatkało gębę, nic nie komentował. Z niemal trzech minut przegrali na kasetę dwie minuty i czterdzieści dziewięć sekund. Jedno ujęcie pokazywało Charleya i Irene stojących razem. Wyglądali zupełnie jak John Gilbert i Greta Garbo, znakomita scena, w niczym - zdaniem Charleya - nie ustępująca najlepszym scenom miłosnym, które widział na filmach. Nie posiadał się z radości, widząc jak Irene patrzy na niego, gdy Maerose przedstawia ich sobie. Dlaczego nie spostrzegł tego od razu? No, może i spostrzegł, ale jakoś nie od razu do niego dotarło. Ich poznanie było w całości zarejestrowane na taśmie; Charley wręcz oczekiwał, że Paulie zaraz go spyta, czy może sprowadzić wszystkich reżyserów wytwórni, żeby zobaczyli na własne oczy, jak takie sceny rozgrywają się w rzeczywistości. Był pełen uznania dla kamerzysty. Rany, wyszedłem jak młody Bóg, pomyślał. I jakie kolory! Jego mucha niewątpliwie warta była jedenastu dolarów, które dał za nią paserowi. Tło dźwiękowe stanowił zgiełk weselny, ale Paulie powiedział, że mogą dać filtr i wyciszyć wszystkie hałasy. Na taśmie znalazło się też jedno nieoczekiwane ujęcie Irene, którego Charley nie kazał sobie przegrać. Było bardzo krótkie, trwało zaledwie parę sekund: Maerose przyprowadziła Irene do jego ojca, i gdy ten zaczął z nią rozmawiać, kamera odjechała.

Charley zabrał ze sobą kasetę do Nowego Jorku. We wtorek rano limuzyna z wytwórni odebrała go z hotelu. Przejeżdżał właśnie przez Watts, gdy w limuzynie zabręczał telefon. Dzwonił z Nowego Jorku jego ojciec.

- Cześć Charley! - zawołał - Jak się masz?
- Świetnie, papo. Słyszę cię tak, jakbyś siedział w sąsiednim pokoju!
- Co ty powiesz? To w tych hollywoodzkich wozach są nawet pokoje? - Papa parsknął śmiechem i rżał Charleyowi w ucho przez następny kilometr. - Słuchaj, Charley, mamy Pewien drobny kłopot, więc jak tylko wylądujesz, przyjedź do biura.

Rozdział 4

Prosto z lotniska La Guardia Charley pojechał do pralni w St. Gibbone Hotel, gdzie urzędował Vincent Prizzi i skąd prowadził swoją część rodzinnych interesów. Papa czekał na niego.

- Zanim zapomnę - rzekł Charley - dowiedziałem się o pewnej sztuczce, którą ty lub Ed może zechcecie wykorzystać.

Opowiedział ojcu, co mu mówiła Irene o uldze podatkowej przy wypłacaniu okupu kidnaperom.

- Niezły greps - pochwalił papa - Skąd to wiesz?

- Od kogoś, kto zajmuje się podatkami. Co mamy za kłopot?

- Marty Gilroy znów nas kantuje.

- Poważnie?

- Połam mu giczoły.

- Nie, papo. To najlepszy dowód, że Marty jest po prostu głupi. Nie mogę go w kółko przekonywać - już raz z nim gadałem. Znów do niego nie trafi. Jeśli tylko połamie mu giry, inni bankierzy pomyślą, że w sumie mu się to opłaciło.

- Chcesz go kropnąć i wywieźć na wysypisko śmieci?

- Nie, chcę mu wepchnąć do gęby bruciatóre i trzymać, dopóki nie wypisze czeku na całą forszę jaką ma, co do centa. Potem wezmę go na Long Island i potrzymam, dopóki nie zrealizujemy czeku, a potem połamie mu giry i go zostawię, niech wraca do domu autostopem.

- Myślisz, że tak będzie lepiej?

- Jasne! Pokażemy jego czek wszystkim bankierom i pośrednikom w Brooklynie i Queens; niech zobaczą, że spotkała go gorsza kara, niż połamanie nóg.

- Słusznie mówisz! I Marty na pewno nie będzie nas więcej kantował. Lubię go, to sympatyczny gość.

- Papo?

- Tak?

- Kim była ta dziewczyna, z którą rozmawiałeś na weselu?

- Jaka dziewczyna? Połowa gości to były dziewczyny.

- Szałowa babka w zielono-żółtej sukni.

- Szałowa?

- Tak. Przecież mówię!

- Słuchaj, jestem już stary. Nie zwracam uwagi na dziewczyny. Nie pamiętam.
- A gdybym ci pokazał, o kogo mi chodzi?
- Pewnie, czemu nie? Ale dlaczego tak ci na tym zależy? - To wyjątkowa kobieta, papo, i chcę się o niej dowiedzieć wszystkiego, co mogę. Paulie ma taśmę, na której nakręcono cię razem z nią.
- Gdzie?
- Na weselu Teresy. W hotelu. Tak? Chętnie obejrzę.
- Możesz wpaść do mnie wieczorem? Przygotuję kolację. Akurat tego ujęcia nie przegrałem, ale mam inne. Muszę tylko zdobyć magnetowid.
- Dziś jestem zajęty.
- Dobra, kiedy będziesz mógł.
- Dam ci znać, Charley.
- W porządku. Jadę pogadać z Martym Gilroyem.

Charley zadzwonił do Ala Melviniego zwanego Hydraulikiem, bo zawsze groził swoim ofiarom, że wepchnie je do klozetu i spuści wodę. Polecił mu, żeby wziął narzędzia i za pół godziny stawiał się w The Corner.

Było za wcześnie, żeby zadzwonić do Irene do Kalifornii. Wyszedł z pralni tylnymi drzwiami, wsiadł do swojej niepozornej czarnej furgonetki i pojechał do The Corner, włoskiego baru położonego cztery przecznice dalej. Wstąpił do baru sprawdzić, kto jest w środku. Phil Vittimizzare grał w elektryczny bilard zając drożdżówkę, a przy najdalszym stoliku dwóch handlarzy liczyło porcje heroiny.

- Hej, Charley! - krzyknęła zza kontuaru pani Latucci. - Chodź, chodź. Napij się kawy i podaj mi pewniaka na którąś z dzisiejszych gonitw.

Charley pomachał jej ręką i podszedł do Phila.

- Będę w wozie - rzekł - Ale nie musisz się spieszyć. Czekamy na Hydraulika. Ruszył w stronę wyjścia.

- Hej, Charley! - ryknęła pani Latucci. - Zanim wyjdiesz, daj mi pewniaka!

- Lady Carrot w trzeciej na Pimlico - oznajmił, a pani Latucci i obaj handlarze natychmiast zapisali tę informację.

Wsiadł do furgonetki i zaczął przeglądać gazetę. Wciąż podawano wiadomości o zabójstwie Netturbina. Charley przeczytał artykuł ze skupieniem bankiera studiującego "Wall Street Journal". Z wyjątkiem niedziel, które spędzał z trzema wujami - zawodowymi graczami w bocce - Netturbino kazał sobie codziennie o trzeciej sprowadzać do hotelowego apartamentu nową kurwę. Zdaniem policji, najwyraźniej oczekiwał osoby, która go zabiła; był sam, ubrany tylko w szlafrok i kurtkę od pizamy. Charley uśmiechnął się. Solidnie wykonana robota, pomyślał.

Phil i Al wsiadli do furgonetki. Prowadził Charley.

- Stary, ale pogoda! - zachwycił się Al Melvini. Kiedy świeci słońce i wieje lekki wietrzyk, nie ma ładniejszego miejsca niż Brooklyn. Dokąd jedziemy?

- Odwiedzić Marty'ego Gilroya.

Marty Gilroy był potężnym Murzynem z sumiastymi wąsami sięgającymi baków. W całym Nowym Jorku nie znalazłoby się drugiego równie sympatycznego gościa.

“Prawdziwy Ronald Reagan” - mawiał o nim papa, który cenił sobie wesołe usposobienie. Ponieważ Marty był bankierem Prizzich, trzej mężczyźni nie mieli trudności z dostaniem się do jego biura na zapleczu podziemnego garażu, w którym urzędował, ale Charley wiedział, że nawet we trzech nie dadzą łatwo rady olbrzymowi, więc uśmiechnął się do niego na powitanie i nie zwalniając kroku, z całej siły wyrzucił go w prawy baczek pięścią zaciśniętą na garści drobnych, akurat gdy Marty podnosił się z obrotowego fotela. Marty runął na podłogę z takim łoskotem, jakby w ziemię rąbnęła kometa. Przez chwilę wszystko dygotało. Phil i Al podnieśli Marty’ego, posadzili w fotelu i przywiązali sznurem, dobrze sprawdzając supły.

- Nikogo nie wpuszczają! polecił Charley.

Phil wyszedł. Charley i Al czekali, aż Marty odzyska przytomność. Nie trwało to długo.

- Marty, gdzie masz książeczkę czekową? spytał Charley.

- W górnej szufladzie - wystękał olbrzym. - Charley, posłuchaj...

Charley odsunął fotel obrotowy i otworzył szufladę. Wyjął z niej szeroką, trzywarstwową książeczkę czekową oraz pistolet kaliber 38.

- Zarejestrowany na ciebie? - spytał.

Marty potrząsnął głową. Charley schował pistolet do jednej z wewnętrznych kieszeni marynarki, a z drugiej wyjął oprawny w skórę notes, który otworzył na pierwszej stronie.

- Na koncie A, Marty, masz dwieście osiem tysięcy czterysta trzydzieści dziewięć dolarów i dwadzieścia jeden centów. Wypisz mi czek na tę sumę.

- Charley, słuchaj, to jakaś pomyłka. Myślisz, że kantowałem Prizzich? Człowieku, ani mi w głowie! Po cholere miałbym kiwać Prizzich, przecież dzięki nim sam dostaję szmal!

- Znów oddałeś za mało. Dobrze o tym wiesz, my również, i wiesz, że my wiemy. Więc pisz czek. Hydraulik, odwiąż mu grabę. Pisziesz prawą czy lewą?

- Lewą - wycharczał Murzyn.

Charley stanął za nim i przytknął mu pistolet do nasady czaszki. Melvini odwiązał mu lewą rękę.

- Tylko nic nie próbuj, bo wepchnę cię do kibla! - zagroził.

Marty zaczął pisać - Melvini przytrzymał mu książeczkę czekową. Gdy Murzyn skończył, Charley znów otworzył notes.

- Na koncie B masz osiemdziesiąt sześć tysięcy trzysta dziewięćdziesiąt dwa dolary i siedemnaście centów. Pisz drugi czek.

- Charley, to pieniądze moich dzieci. Odłożone na ich przyszłość!

- Co ty mi tu pieprzysz, Marty? Pisz i koniec!

Kiedy Al ponownie przywiązał Murzynowi lewą rękę do fotela, Charley wyrwał z książeczki oba wypisane чеки.

- Hej, Phil! - zawołał. Vittimizzare wetknął głowę do środka.

- Masz, zawieszysz Angelowi - powiedział Charley.- Teraz bierzemy Marty’ego i splywamy.

We trzech z trudem załadowali Marty'ego - wraz z fotelem obrotowym, do którego był przywiązany - do furgonetki Charleya. Czterech ludzi Murzyna stało bez ruchu obserwując ich wysiłki, i zastanawiało się, dlaczego kazano im się przyglądać.

- Nikomu pary z gęby, bo wepchnę was do kibla i spuszczę za wami wodę! - zagroził im Melvini.

Phil odłączył się, żeby zawieźć czeki do pralni, a Charley i Al ruszyli na wschód, w kierunku Long Island. Po półtorej godzinie jazdy zostawili Marty'ego przywiązanego do fotela i zakrytego kocem wewnątrz furgonetki, którą zaparkowali w garażu przy drewnianym domu oddzielonym rozległymi polami od Brentwood, sami zaś weszli do środka, żeby się ochłodzić, pograć w karty i poczekać na telefon Angela. Zadzwoił po dwóch godzinach.

- Już - powiedział i rozłączył się.

- Dobra - oznajmił Charley. - Teraz zawieziemy Marty'ego do parku stanowego na południowym brzegu. Kiedy dojedziemy, będzie już ciemno. Weź z szopy łom. Marty na własnych nogach nie wróci do domu!

Kiedy wieczorem Charley dotarł do siebie na plażę, usiadł na tarasie i zadzwonił do Pauliego do Kalifornii.

- Słuchaj, Paulie, powiedziałem ojcu, że masz go na taśmie i bardzo się podniecił. Chciałby się obejrzeć. Możesz mi nagrać ten fragment i przysłać?

- Charley?

- No?

- Charley, tylko się nie denerwuj. Dlaczego miałbym się denerwować?

- Twój ojciec zatelefonował do mnie dziś rano i kazał mi koniecznie zniszczyć taśmę z nim i tą dziewczyną.

- Co?

- Kazał mi, Charley, więc musiałem. Nie miałem wyboru!

- Słusznie zrobiłeś, Paulie - stwierdził Charley i odłożył słuchawkę.

Charley był członkiem szacownego stowarzyszenia odkąd skończył siedemnaście lat. Jego ojciec został "uznany" za męczyznę w tym samym wieku, jeszcze na Sycylii. Gdy Charley pokazał na co go stać, rozwalając Phila Terrona jako trzynastolatek, Angelo zaczął namawiać Don Corrada na jego wczesną inicjację. Don Corrado zawiesił przyjmowanie nowych członków na okres pięciu lat. Charley miał dwanaście, kiedy przyjęto ostatnich. Angelo tyle mu o tym opowiadał, że stopniowo rytuał przyjęcia do fratellanza nabrał dla chłopca wręcz mistycznego znaczenia.

Wtedy właśnie umarła jego matka. Gdyby żyła o rok dłużej, na pewno nie pozwoliłaby, żeby Angelo wysłał Charleya na Guñ Hill Road z poleceniem sprzątnięcia Phila Terrona. Od tego dnia Angelo darzył syna coraz większą miłością; Don Corrado również, choć tak tego nie okazywał. Charley mieszkał i jadał z ojcem, rozmawiał z nim godzinami, uczył się myśleć jak on. Angelo Partanna znał tylko środowisko, ale za to wiedział wszystko co się w nim dzieje w całej Ameryce: kto się najbardziej dorabia na handlu samogonem, jakie dzienne wpływy mają bukmacherzy, która rodzina ma przejąć dany związek zawodowy, kto kogo rozwalił i dlaczego. Na tym właśnie polegała praca

Angela: jego obowiązkiem jako consigliere rodziny Prizzich było mieć to wszystko w małym palcu. Ale posiadał również wiedzę praktyczną: nauczył Charleya fachowo posługiwać się garotą, sprawnie rzucać nożem, a także zapoznał go z najprzemysłniejszymi metodami przekupstwa wypracowanymi przez chytrych “przyjaciół przyjaciół” na przestrzeni siedmiu stuleci.

Charley był dużym chłopcem w wieku lat czternastu, dorodnym młodzieńcem, gdy skończył siedemnaście. Rzucił szkołę i pracował dla rodziny, ucząc się handlu heroiną: od importu po dystrybucję, z czym wiązało się ustalanie ceny, opłacanie kurierów i rozprowadzaczy, oraz przede wszystkim prowadzenie badań rynku umożliwiających jak najpełniejsze zaspokojenie popytu w całym kraju. Chociaż opanowanie przez rodzinę handlu kokainą, narkotykiem znacznie bardziej szkodliwym dla psychiki użytkownika, przypisywano powszechnie Vincentowi Prizziemu, to właśnie badania marketingowe, dynamicznie prowadzone przez Charleya wśród ludzi z branży rozrywkowej za pośrednictwem Pauliego, przekonały rodzinę już na początku lat sześćdziesiątych, że nadszedł czas kokainy jako narkotyku, który pozwoli uszczknąć coś z zamożności amerykańskich klas średnich.

Charley miał trzydzieści lat, kiedy tak zdecydowanie wprowadził Prizzich w handel kokainą, a wówczas Don Corrado jeszcze silniej uwierzył w jego dobrą gwiazdę. Zawodowa dalekowzroczność głowy rodziny sprawiła, że już dwa lata później mianowano Charleya zastępcą Vincenta, któremu podlegała cała nielegalna działalność Prizzich.

W wieczór inicjacji Charleya do szacownego stowarzyszenia, Prizzi zgromadzili czterdziestu “uznanych” mężczyzn w sortowni pralni w suterenie St. Gabbione Hotel. Charley czekał na korytarzu - przesyconym silną wonią mydła i ługu - wraz z pozostałymi kandydatami: dwudziestodwuletnim Tancredim zwanym Doleczki, swoim najlepszym przyjacielem Gustem, o sześć lat młodszym od Charleya, trzydziestoczteroletnim Momem Ginfondą zwanym Kobrą oraz dwoma innymi facetami, którzy rok później zmarli na gripę azjatycką.

Oczekiwał, że jego wprowadzającym będzie ojciec; zdumiał się równie bardzo jak pozostali kandydaci, a także wszyscy członkowie, gdy z sortowni wyszedł Don Corrado, żeby wprowadzić go pośród zebranych i osobiście zaprzysiąc.

Kiedy Charley miał siedemnaście lat, Don Corrado był krzepkim, pięćdziesięciodwuletnim mężczyzną. Szybko stawał się legendarną postacią w całej fratellanza i już wówczas zaliczał się do dziewięciu najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Wbił z powagą sztylet w drewniany blat stołu i oznajmił:

- Pierwszym nowym członkiem, którego po pięciu latach przerwy przyjmujemy do czcigodnego stowarzyszenia w rodzinie Prizzich, jest syn Angela Partanny, mojego consigliere i najstarszego przyjaciela. Młodzieniec ten, który stoi teraz obok mnie, ma siedemnaście lat, a więc jest w tym samym wieku co jego ojciec, kiedy dostał zaszczytu inicjacji przed wyjazdem z Agrigento, i w tym samym co ja, kiedy składałem świątą przysięgę.

Położył rewolwer obok wbitego w stół sztyletu.

- Charley - powiedział swoim przenikliwym głosem - wstępujesz do szacownego stowarzyszenia, braterstwa ludzi, których cechuje niezwykle męstwo i dozgonna wierność. Rewolwer i sztylet będą ci braćmi. Połóż dłoń na mojej na rękojeści f; sztyletu, Charley, górując nad drobnym Don Corradem, wyciągnął rękę i uczynił, co mu kazano.

- Czy gotów jesteś przysiąc, że w twoim życiu zawsze na pierwszym miejscu będzie fratellanza?- spytał go Don Corrado.

- Tak.

- Przed rodziną, ojczyzną. Bogiem?

- Tak, przysięgam.

- Nasze braterstwo ma trzy prawa, które powinny stać się częścią ciebie. Po pierwsze, musisz bez pytania wypełniać polecenia przełożonych, nawet gdyby zażądali od ciebie, byś poświęcił życie dla dobra ogółu braci. Przysięgasz?

- Przysięgam - powiedział Charley, a policzki pałały mu ze szczęścia.

- Nie wolno ci nigdy zdradzić żadnych tajemnic naszej wspólnej sprawy, ani też zwracać się w jakiegokolwiek kwestii do Kościoła lub rządu; przysięgnij, że nie będziesz szukał pociechy i ochrony poza obrębem fratellanza.

- Przysięgam - zawołał Charley.

- Ostatnie: nie wolno ci nigdy pohańbić żony lub dzieci innego członka stowarzyszenia..

- Przysięgam - oświadczył pokornie Charley.

- Za pogwałcenie któregokolwiek z tych praw spotka cię natychmiastowa śmierć, bez sądu i ostrzeżenia.

Angelo Partanna polecił mu, żeby podniósł palec wskazujący prawej ręki. Nakłut palec szpilką; wypłynęła podobna do łzy kropla krwi.

- Ta krew symbolizuje twoje narodziny jako członka naszej rodziny. Jesteś jednym z nas, dopóki śmierć nas nie rozłączy - oznajmił Don Corrado, stając na palcach, żeby ucałować Charleya.

- Tak jak my będziemy chronić ciebie, tak ty musisz chronić honor Prizzich. Przysięgasz?

- Przysięgam przed Bogiem! - potwierdził Charley. Ucałował Don Corrada, potem ojca. Członkowie stowarzyszenia zaczęli klaskać. Ich twarze jaśniały zachwytem.

Rozdział 5

Zagadkowe polecenie ojca, żeby Paulie zniszczył taśmę, tak bardzo rozstroiło Charleya, że musiał wyszorować posadzkę kuchenną, aby się uspokoić. Napełnił wiadro wodą z mydlinami i wlał do niego własną mieszankę denaturatu z czystym amoniakiem, bo wiedział od chemika Prizzich, który dzielił cinnari, że taki amoniak jest silniejszy od sprzedawanego w sklepach do celów domowych, a zależało mu, by jego mieszkanie lśniło czystością. Zawsze o to dbał. Dom jego matki był najczystszym w całym Brooklynie i nikt nigdy nie musiał uczyć Charleya zamiłowania do czystości - miał to po prostu we krwi. Podwinął nogawki spodni i posuwając się na czworakach z wiadrem i drucianą szczotką, wyładował na posadzce swoją złość.

Kiedy skończył, zostawił posadzkę, żeby wyschła, i w tym czasie umył wszystkie okna wychodzące na zatokę. Gdy mógł już z powrotem wejść do kuchni i zrobić sobie kolację, wyjął z zamrażarki nadziewanego karczocha oraz własnej roboty pizzę cuddiruni z sardynkami, serem, pomidorami, czosnkiem i oregano, żeby nieco odtajały przed włożeniem do mikrofalowego piecyka. Ciężka praca przy sprzątanii sprawiła, że przestał rozmyślać o poleceniu ojca wydanym Pauliemu. Był głodny.

Wyjął z lodówki fungi 'Ncartati i spojrzał na nie z lubością: najpiękniejsze kapelusze grzybów na rynku, które sam upiekł na ruszcie otoczone w tartej bulce, nadziane drobno posiekaną sardelą z dodatkiem czosnku, skropione cytryną, oliwą, posypane tartym pecorino i odrobiną prezzemolo. Nawet papa, prawdziwy smakosz, lubił jadać u Charleya, bo jego potrawy były równie dobre jak matki.

Wstawił pizzę do mikrofalowego piecyka, odkorkował napoczętą butelkę czerwonego wina, nakrył dla siebie stół kuchenny, oparł o butelkę "Daily News" i zasiadł do pysznej kolacji. Jak to się dzieje, że restauracje nie bankrutują, pomyślał, skoro każdy, kto umie czytać, jest w stanie dobrze gotować?

Jadł wolno, żując dokładnie każdy kęs. Matka wielokrotnie mówiła mu, jak ważne jest dokładne przeżuwanie; w skrytości ducha cieszył się, że ma najzdrowszy układ trawienia z całej rodziny Prizzich. Zaczął się zastanawiać, czy Irene żuje dokładnie jedzenie. Usiłował sobie przypomnieć, jak jadła w tej portorykańskiej knajpie, ale nie pamiętał. Irene miała cudowną cerę i była zdrowej budowy, z szeroką klatką piersiową. Zęby - zaraz po oczach - stanowiły jej najmocniejszy atut: białe, kwadratowe, osadzone w dziąsłach zdrowej, różowej barwy, były w stanie rozwiązać wszelkie jego obawy, czy przypadkiem nic jej nie dolega. Skoro zęby, których ciągle używa, lśnią jak nowe, rozumował, to i z układem trawienia nie powinna mieć żadnych kłopotów.

Sprzątając po kolacji zaczął się jednak znów zastanawiać, co skłoniło jego ojca, że zadzwonił do Pauliego. Widział wyraźnie w pamięci ujęcie papy z Irene. Słuchała pilnie tego co jej mówił; ich miny świadczyły, że nie prowadzą zdawkowej, towarzyskiej pogawędki. Stali z dala od innych w alkwie, i gdyby Charley nie wsunął kamerzyście stówy i wizytówki Pauliego, nikt by nawet nie zauważył ich razem. Dlaczego papa powiedział mu, że nie pamięta rozmowy z Irene, skoro nie była to zwykła wymiana uprzejmości? A zresztą, na miłość boską, jak w ogóle można nie pamiętać Irene?

Schowawszy umyte sztućce, Charley wyszedł na taras i usiadł z telefonem na kolanach, patrząc na zatokę i rozmyślając, co począć z Irene. Obracał się w innym świecie niż ona. Jego fach odstręczał kobiety, chyba, że - jak Maerose - same urodziły się w jednej z rodzin. Gdyby Irene też była od początku związana z rodziną, rozumiałaby, że prowadzi interes jak inne, służące zaspokajaniu ludzkich potrzeb - ale w tym - wypadku takich, których prawa ustanawiane przez polityków dla zapewnienia sobie zwycięstwa w wyborach nie pozwalają zaspokajać. Ludzie mieli powody, żeby nie pożyczyc od banków. Ludzie zawsze uprawiali hazard. Zawsze pragnęli tego, co zakazane. To sprawiało, że w grę wchodziły miliony, a ponieważ różni cwaniacy próbowali rozdrapać tę forszę dla siebie, potrzebni byli tacy ludzie jak on, Charley, żeby hamować ich zapędy, gdy wyciągali graby. Jeszcze nigdy nie kropnął uczciwego gościa.

Był jakby głównym stróżem w wielkiej firmie, która miała na celu dostarczenie ludziom tego, co pragną - nic więcej. Gdyby Irene wychowała się w środowisku, na pewno by to rozumiała i akceptowała, podobnie jak Maerose.

Ale tak nie było, więc co mu pozostało - szukanie innej pracy? Cała rodzina uważałaby go za wariata. Traktowałiby go jak powietrze, nikt by mu nie ufał. A zresztą, co mógłby robić? W swojej branży miał zapewnioną przyszłość. Vincent Prizzi skończył sześćdziesiąt cztery lata, ojciec Charleya siedemdziesiąt cztery. Charley był ich jedynym następcą, ponieważ znał cały interes na wylot, a ponadto ludzie się go obawiali i darzyli szacunkiem. Lepszego kandydata nie było: wszyscy Prizzi, którzy służyli pod Vincentem, to albo kretyni, albo małolaty. Pozostali - i ci stanowili większość - albo kierowali legalnymi interesami rodziny, albo też odłączyli się od niej, zostając lekarzami, inżynierami lub sprawozdawcami sportowymi. Don Corrado nie mógł żyć wiecznie, miał już osiemdziesiąt cztery lata, ale nawet gdyby przeżył Vincenta, to i tak po śmierci syna musiałby uczynić szefem właśnie jego, Charleya. Czy miał więc przekreślić całą swoją przyszłość tylko po to, żeby poślubić tę kobietę?

Siedział nieruchomo, pocąc się mimo chłodnej nocy, bo nie umiał znaleźć żadnego rozwiązania. Irene była mężatką, ale bez męża. Nie chce nic o nim wiedzieć, tak powiedziała. Zaczął rozmyślać o przyszłości. Miną ze dwa lata, zanim Irene dowie się dosyć, by zrozumieć, dlaczego on nie może zmienić pracy. Prędzej czy później zorientuje się, że Charley należy do środowiska. Nie jest w ciemną bitą. Kobiety pomogą ją przekonać. Jest Amerykanką. Zdaje sobie sprawę, że ludzie potrzebują tego, co im dostarcza rodzina Prizzich, żeby mieć trochę luzu - w przeciwnym razie dlaczego by tak gloryfikowano całe środowisko w telewizji, filmach i książkach, robiono niemal bożyszczy z jego przedstawicieli? Maerose jakoś to Irene wytłumaczy. Przecież Irene wcale nie musi wiedzieć, czym dokładnie zajmuje się Charley. Wystarczy, że będzie poinformowana, iż należy do środowiska, jest liczącą się osobą w rodzinie Prizzich. Zresztą mało kto umiałby udowodnić, czym zajmuje się naprawdę. I jeśli tylko nie będzie się spieszył z mówieniem Irene całej prawdy, lecz posuwał krok po kroczku, nie będzie to dla niej szokiem, kiedy wreszcie co nieco się dowie. Stopniowo pozna wszystkich Prizzich, Sesterów, Garronych, przekona się, że to wspaniali ludzie - ciepłi, serdeczni, godni zaufania.

Ale co jeśli mąż Irene pojawi się nagle, zanim sytuacja do końca się wyklaruje? To mogło wszystko zepsuć. Podobnie zresztą, gdyby w ogóle nie udało się go odnaleźć. Przecież nie może przedstawić jej rodzinie nie mając absolutnej pewności, że się pobiorą. Don Corrado to człowiek religijny. A dopóki nie znajdą męża Irene, małżeństwo nie wchodzi w grę. Nawet jeśli go znajdą, to i tak na niewiele się to zda, bo co z tego, że Irene się rozwiedzie? Prizzi, Sestero i Garrone to ludzie staromodni. Nie uznają rozwodów.

Irene musi zostać wdową. To jedyne wyjście. Sama mówiła, że do męża nic nie czuje. Nie widziała go od czterech lat. Gdyby nagle owdowiała, nie powinno jej to specjalnie zboleć. Jeśli tylko wydobędzie od niej nazwisko i trochę podstawowych danych, odpowiedni ludzie odnajdą faceta w mig. Trzeba oczywiście działać ostrożnie,

żeby niczego się nie domyśliła. Może lepiej, żeby Maerose uzyskała od niej potrzebne informacje i mu je przekazała? Bez względu na to, gdzie facet teraz przebywa, kropnięcie go nie powinno nastęrczać trudności. Zrobi się to tak, żeby na niego, Charleya, nie padł nawet cień podejrzenia. Kiedy będzie po wszystkim, on i Irene wezmą ślub w Santa Grazia tak samo jak inni członkowie rodziny, i wszyscy z przyjemnością będą im przysyłać karty na Boże Narodzenie. Wpadł w wyśmienity humor i natychmiast zadzwonił do Irene.

- Tu Charley!

- Oooooch!

- Padam na nos.

- Przylecisz na weekend?

- Jezu! Chyba nie dam rady.

- Powiedz mi coś miłego!

- Kocham cię.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę - oświadczył z bezradną szczerością. - Może nienaukowe, ale autentycznie!

- Nienaukowo?

- Czytałem kiedyś artykuł pewnego lekarza, który twierdził, że jeśli dwie osoby mają się ku sobie, to w rzeczywistości szukają własnych matek.

- Charley!

Przeraził się, że może strzelił jakąś straszną gafę.

- Charley, ja nawet nie pamiętam swojej matki!

- Na tym polega naukowość tej teorii. W podświadomości wiesz, czego potrzebowałaś od matki, wszystko jedno, czyją pamiętasz, czy nie. Masz to zakodowane gdzieś głęboko, i kiedy spotkasz kogoś i wyczuwasz, że może ci dać właśnie to, czego oczekiwałaś od matki, budzi się w tobie miłość. Tak było w tym artykule. Napisał go autentyczny lekarz.

- Ależ Charley, nie sędzę, abym oczekiwała od matki, żeby miała metr dziewięćdziesiąt wzrostu, głos jak klakson samochodowy, i żeby pałaszowała więcej makaronu, niż dziesięć drużyn włoskich skautów!

- Nie chodzi o to, co widzisz, tylko o to, co wyczuwasz: że ktoś się będzie o ciebie troszczył i tobą opiekował, że będzie dla ciebie miły, nie podniesie na ciebie głosu, nie będzie pragnął nikogo innego. Ta teoria wydaje mi się całkiem prawdopodobna.

- Jedyne co wiem, świadomie i podświadomie, to że koniecznie muszę wiedzieć, kiedy się znów zobaczymy.

- W najbliższy weekend. Obiecuję. Też się za tobą stęskniłem. Zobaczymy się już wkrótce.

O jedenastej położył się spać. Zasnął myśląc o tym, że musi wziąć od Eda trochę kradzionych czystych biletów samolotowych, żeby mogli latać do siebie z Irene, kiedy tylko zechcą. Za kwadrans dwunasta zaterkotał telefon. Dzwonił papa.

- Charley?

- Tak, papo.

- Vincent chce cię zobaczyć.
 - Teraz?
 - Nie, jutro. O drugiej.
 - W porządku.
 - Ale nie w pralni. U Bena.
- U Bena Sestera mieszkał Corrado Prizzi.
- Cholera, co się stało?
 - Nie mam pojęcia, ale Vincent był wkurwiony jak rzadko.

Rozdział 6

Corrado Prizzi mieszkał u ukochanej córki, Amalii Sestero, która opiekowała się nim równie troskliwie jak swoim licznym potomstwem, kuchnią i kościołem. Z okien okazałego domu w Brooklyn Heights, stosownej rezydencji dla dyrektora dużego, świetnie prosperującego przedsiębiorstwa, rozciągał się wspaniały widok dolnego Manhattanu, tej części Nowego Jorku, którą Don Corrado znał tak słabo, że praktycznie mogłaby dla niego nie istnieć.

Ani Don Corrado, ani jego syn Vincent, nie posiadali niczego. Wille, samochody, meble, biżuteria i przeróżne sprzęty stanowiły własność różnych spółek i przedsiębiorstw. Jako ludzie starej daty, darzeni powszechnym szacunkiem, uważali zapewne, iż należy żyć w pokorze i w ubóstwie - oraz nie dawać urzędowi podatkowemu żadnych podstaw, by sądził, że stać ich na podobne luksusy, wymagające znacznie większych pieniędzy niż skromne dochody, do których się przyznawali.

Amalia ze spokojem otworzyła drzwi, jakby nie widziała pilnującego ich uzbrojonego goryla, i ucałowała Charleya w oba policzki.

- Mam dla ciebie gelu i muluni, Charley powiedziała cicho po sycylijsku - Poczęstuj cię, kiedy tata pójdzie spać.

Zaprowadziła go do rozsuwanych dębowych drzwi i lekko zastukała. Przytłumiony głos polecił jej wejść. Rozsunęła drzwi, wpuściła Charleya do środka i zamknęła je za nim. W pokoju, o ścianach krytych ciemną boazerią, stały meble surowe i ciężkie, gdyż było to pomieszczenie przeznaczone na poważne sprawy: na spożywanie posiłków i odbywanie narad. Zastony zaciągnięto. Woskowe owoce w koszyku na stole połyskiwały matowo w blasku wiszącego nad nim żyrandola - z abażurem z czerwonego jedwabiu i frędzlami brzoskwiowej barwy, ledwo oświetlającego twarze obecnych, którzy zresztą nawykli do prowadzenia interesów w półcieniu albo i mroku.

Przy stole siedzieli Vincent Prizzi i Angelo Partanna. Dwaj podstarzali amerykańscy biznesmeni włoskiego pochodzenia, ubrani w czarne garnitury, białe koszule, krawaty, dobrze wypolerowane buty. Ich oblicza - niegdyś zapewne miłe, uprzejme, usługowe - na przestrzeni lat oblekły się w surowość, jakiej oczekiwały od nich darzące ich szacunkiem społeczności Brooklynu, Queens, Long Island, Miami, Las Vegas, Atlantic City, Phoenix, Los Angeles, Waszyngtonu, a także choć obaj panowie nigdy nie wyjeżdżali dalej z Brooklynu niż do Las Vegas - mieszkańcy Londynu, Sycylii, Turcji, Iranu, Laosu, Kolumbii i południowej Francji.

Vincent Prizzi zbudowany był jak traktor. Wszystko miał ciężkie: mowę, szczękę, pięść, którą wymierzał sprawiedliwość. Do wszystkiego podchodził poważnie: nawet kiedy coś pił, przed przełknięciem obracał płyn ostrożnie w ustach i filtrował przez zęby. Był wykonawcą swojego ojca, w czasach gdy Don Corrado osobiście zajmował się interesami, podobnie jak teraz Charley pełnił tę funkcję przy nim. Lecz starał się widywać Charleya najrzadziej jak mógł, a to z powodu upokorzenia, jakie jego córka sprawiła Charleyowi i jemu przed blisko dziesięciu laty, kiedy to - choć zaręczona z Charleyem - uciekła z innym mężczyzną. Wiedział, że postępuje niesłusznie, lecz nie potrafił wybaczyć Charleyowi tego, co się stało, gdyż po pierwsze, to za jego przyczyną splamiony został honor Prizzich, a po drugie, nie poślubił innej kobiety, choć jego małżeństwo pozwoliłoby zapomnieć o całej sprawie. Jakżeż on, Vincent, mógł odezwać się do córki lub pozwolić jej wyjść za mąż, skoro człowiek, którego skrzywdziła, wciąż pozostawał w stanie kawalerskim? Vincent odnosił się do Charleya niezwykle przyjaźnie, ale w sposób tak nienaturalny, że dla tych, którzy widzieli ich razem było jasne, że szef nie potrafi współczuć Charleyowi tak bardzo, jak - według siebie - powinien, więc traktuje go z przesadną wylewnością, usiłując udowodnić swoim zachowaniem, iż z całej duszy pragnie wynagrodzić mu wyrządzoną krzywdę. Równocześnie miał za złe Charleyowi jako podwładnemu, że na oczach wszystkich tak musi mu nadskakiwać. To był kolejny powód jego niechęci. Dlatego też, kiedy tylko mógł, załatwiał sprawy nie przez Charleya, swojego zastępcę, lecz przez jego ojca, Angela; spowodowało to wzrost władzy obu Partannów w rodzinie Prizzich. Ale kiedy nie był w stanie obyć się bez Charleya, lub gdy Don Corrado mówił, że Charley jest im potrzebny, wzywał go i znosił jego obecność.

Świdrujące oczy Vincenta, zimne jak promienie lasera, przejmowały wszystkich strachem. Każde z jego spojrzeń było ciężkie jak keraunos, kamiennie prehistoryczne narzędzie, przez starożytnych uważane za piorun, który spadł na ziemię. Swoją bazyliszkowy wzrok Vincent zawdzięczał temu, że był krótkowidzem, a także próżności, która nie pozwalała mu nosić okularów. Ponadto miał kłopoty z chodzeniem: czasem tylko z lekka utykał, innym znów razem bardzo wyraźnie. Zdarzało się też, że nie był w stanie postawić ani kroku. Co tydzień dawał sto dolarów siostrzyczkom ze Zgromadzenia Ran Bolesnych, aby modliły się za niego do świętego Gerarda, patrona cierpiących na podagrę, prosząc go o wstawiennictwo.

Vincent Prizzi absolutnie wszystko zawdzięczał ojcu: swoją pozycję, charakter, podagrę, ciśnienie 170 na 120 oraz zamiłowanie do okrucieństwa i przemocy.

Angelo Partanna - zwierzęco oddany Prizzim był o dziesięć lat starszy od Vincenta i wyższy o tyle, co Charley od niego. Dobrotliwy uśmiech i słodki ton, jakim zlecał wykonanie najgorszych łotrów i zbrodni, obrosły w środowisku w legendę. Ludzka chciwość, ból, krew, stanowiły dla niego chleb powszedni. Na swój sposób umiał być wytworny. Kiedy w 1950 roku umarła jego żona, matka Charleya, stał się nie lada kobieciarzem. Poniżej łysiny jak u kondora, nosił zadbane, siwe pukle; siwy miał również wąsik, przystrzyżony na modłę Pucciniego. Jego skóra była barwy ciemnego, grudziastego kakao, a nos przypominał dziób papugi - genetyczny ślad sprzed wieków po jakimś arabskim najeźdźcy zachodniej Sycylii. Podobieństwo Charleya do ojca ograniczało się więc siłą rzeczy do gestów i sposobu mówienia: konie wyścigowe rzadko

przypominają papugi. Obaj jednak mieli te same oczy, podobne do kulek w łożysku; matowe, pozbawione wszelkiego wyrazu. Obu los i tradycja ukształtowały na wasali całkowicie oddanych swym panom. Dla Sycylijczyków, czas tylko pozornie postępuje naprzód.

Partannowie, ojciec i syn, byli pierwszymi condottieri rodziny i ze wszech sił strzegli jej mienia, gdyż wszystko, co posiadali Prizzi, stanowiło także udział Partannów, Sesterów i Garronych - w tej właśnie kolejności.

- Siadaj, Charley - poprosił łagodnie Vincent. Charley z kamienną miną przysunął sobie krzesło. Nauczył się cierpliwie znosić dwulicowość Vincenta.

- Charley, powiedziałem Edowi o tym numerze z okupem - rzekł papa. - Sprawdził z prawnikiem od ubezpieczeń i okazuje się, że to wcale niegłupi pomysł.

- Świetnie! - ucieszył się Charley.

- Cholera jak mnie męczy podagra! - jęknął Vincent.

Charley tylko połowę uwagi poświęcał rozmowie, chciał myśleć o Irene, i nie umiał się powstrzymać od myślenia o niej. Ten lekarz, co napisał artykuł o miłości, na pewno ma rację, zdecydował. Bo jak inaczej wytłumaczyć owo niesamowite uczucie, które ogarnia dwoje ludzi bez względu na to, czy chwila jest do tego odpowiednia czy nie? Tak, zarówno Irene jak i każda kobieta, którą kiedykolwiek kochał, musiała w jakiś sposób sygnalizować, że da mu to, czego podświadomie pragnął od matki. Nie, żeby matka szczydziła mu uczuć; była najwspanialszą kobietą w jego życiu. Chciał być podziwiany i matka go podziwiała, toteż tym bardziej łaknął podziwu innych kobiet, gdy mu jej zabrakło. Ale matka harowała od świtu do nocy, więc może oprócz jej miłości i podziwu pragnął, i żeby poświęcała mu więcej czasu, była przy nim, ilekroć jej potrzebował. Niewątpliwie. A Irene zasygnalizowała mu w jakiś sposób swoją gotowość, gdy tylko na nią spojrział. Nawet wcześniej; to zapewne jej sygnały sprawiły, że skierował na nią wzrok. Te same prądy wysłała mu Mardell Dupont, zbzikowana striptizerka, którą poznał w Jersey City przed dwudziestu laty. Szalał na jej punkcie przez piętnaście miesięcy, dopóki się nie zabiła. W liście, który zostawiła, napisała, że odbiera sobie życie, ponieważ na plakacie umieszczono jej nazwisko na drugim miejscu, ale nie był do końca przekonany, czy to prawda, gdyż popełniła samobójstwo nazajutrz po tym jak wniesiono przeciwko niemu oskarżenie o zabójstwo - Bummy'ego Feina i Binky'ego jak-mu-tam. Długo wtedy nad tym rozmyślał, i wreszcie doszedł do wniosku, że Mardell po prostu urodziła się samobójczynią, tak jak większość ludzi, którzy odbierają sobie życie. Ale cóż to była za wspaniała dziewczyna i w dodatku jak pięknie mówiła - czysta muzyka! Pod tym względem jego matka, mimo swoich licznych zalet, nie mogła się z nią mierzyć, gdyż wychowała się w starym kraju. Mardell kochała go, podziwiała, a poza tym miała więcej oleju w głowie niż wszyscy sędziowie Sądu Najwyższego wzięci razem.

Maerose, bardziej niż którakolwiek inna kobieta, stanowiła dowód, że ten lekarz ma rację, tak, właśnie ona, posiadała bowiem wszystkie cechy jego matki, a ponadto wiele własnych. Wręcz wybuchowa mieszanka. Maerose była gorącokrwistą Sycylijką, której utrzymanie w ryzach wymagało nie lada siły, bo czasami wydawało jej się, że jest własnym dziadkiem. Ale miała jeden mankament, lubiła wypić. Pewnego wieczoru, kiedy

była zmęczona, zaprawiła się na fest i zrobiła mu awanturę, że ciągle tańczy z Verą Bendichino, zwyciężczynią w dożynkowym konkursie piękności. Żeby się zemścić, wyszła z przyjęcia z jakimś facetem, też ululanym, którego nigdy przedtem nie widział, i tak skończyło się ich narzeczeństwo. Odnaleziono ją w Meksyku, wciąż pijaną w dym. Ojciec umieścił ją na pięć miesięcy w jakimś zakładzie, gdzie dawali jej środek, po którym rzygała i rzygała, aż ochota na alkohol odeszła ją całkowicie. Teraz paliła trawę.

Maerose pod każdym względem była morową dziewczyną, ale Charley zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby znów chciał się z nią połączyć (przez parę lat sam nie wiedział, na co ma ochotę), Prizzi nigdy by się nie zgodził, bo tak im wciąż było wstyd za jej wyskok. Kochał ją nadal, choć bardziej jak siostrę. Była odważna niczym jego matka, miała ciepły głos i wielkie serce. Prizzi porzucili ją jak stłuczoną butelkę. Trwało to już blisko dziesięć lat i przez cały czas nie pokazała się z żadnym facetem, co nie znaczy, iż z żadnym się nie zadawała, ale widząc ile smutku kryje się w jej oczach, Charley żałował, że Prizzi ukarali ją tak surowo.

Wszystkie cztery kobiety w jego życiu, łącznie z mamma, miały ujmujący szyk, klasę, dumnie nosiły głowy, ale tkwił w nich pewien ból, podobnie jak i w nim. Przebywając z Irene potrafił się do niej jakby wychylić z samego siebie i widzieć nie tylko jej dumę, radość z życia, ale także ten ból. Może autor artykułu nie chciał o tym pisać, lecz prawdziwą przyczyną miłości od pierwszego wejrzenia jest nadzieja - złudna, ale co tam że druga osoba będzie w stanie uśmierzyć nasz ból? Brzmiało to logicznie. Może właśnie dlatego on i Irene pokochali się tak gorąco.

Rozsuwane drzwi otworzyły się. Ukazała się w nich Amalia podtrzymująca drobną, zasuszoną sylwetkę Corrada Prizziego.

Za nimi postępował mocno opalony mężczyzna w sportowym ubraniu, które wydawało się komicznie krzykliwe przez kontrast ze strojami pozostałych. Amalia doprowadziła starca do krzesła u szczytu stołu i ostrożnie pomogła mu usiąść. Nikt nie przywitał się z opalonym mężczyzną, który usiadł obok Charleya Partanny, twarzą do Vincenta i Angela. Amalia wyszła z pokoju. Don Corrado utkwiał wzrok w żółtym wazonie znajdującym się na niedużym kredensie stojącym przy końcu długiego stołu.

Wszyscy znamy Cyrila Bluestone'a stwierdził Vincent. Jest dyrektorem naszych trzech hoteli w Vegas i przyjechał powiedzieć nam, co wydarzyło się w Casino Latino. Skurwysyny!

- Zorientowaliśmy się dopiero wówczas zaczął Bluestone - gdy inkasenci tu na wybrzeżu zaczęli zgłaszać się po forszę. Jeśli w dziesięć dni po wypłaceniu przez nas gotówki na rewers wystawiony przez gracza ze stuprocentowym kredytem nie dostajemy od niego czeku, inkasenci składają mu wizytę. Sięgnął do kieszeni. Mam tu czternaście rewersów. Najwyższy opiewa na sześćdziesiąt tysięcy, najniższy na czterdzieści trzy. W sumie siedemset dwadzieścia dwa tysiące osiemdziesiąt pięć dolców. Kłopot w tym, że kiedy inkasenci stawili się po szmal, okazało się, że faceci, których podpisy widnieją na rewersach albo nabawili się grypy i wyciągnęli nogi, zanim mogli je wystawić, albo w tym czasie przebywali w Europie lub gdzieś indziej. Każdy weksel był kontrasygnowany, takie mamy przepisy, przez Louisa Pala, i każdy podpisany przez kasjera nazwiskiem Heller.

Każdy co do jednego. Więc zacząłem sprawdzać. Z dat wypisanych na rewersach wynika, że wszystkie zostały wystawione w ciągu dziesięciu dni, kiedy to Jack Ramen, kierownik kasyna, po raz pierwszy od trzech lat wziął urlop. Kiedy Ramen wyjechał, jego obowiązki przejął szef zmiany i równocześnie jego zastępca. Był nim właśnie Louis Palo. Od dawna w rodzinie, doświadczony pracownik kasyna. Z każdym fałszywym wekslem szedł do faceta siedzącego w trzeciej klatce, Marxiiego Hellera, który musiał być jego współnikiem. Mieli dziesięć dni czasu. Dziesięć dni do powrotu Ramena. Dziesięć dni, zanim dłużnikami zainteresują się inkasenci.

- Gdzie są Louis i Heller? - zapytał Charley.

- Louis nie żyje, a Heller znikł - odparł Vincent.

- Louisa znaleziono zastrzelonego w jego wozie na parkingu za knajpą Presta Cigfionego - wyjaśnił Bluestone. - Musiał to zrobić ktoś, kogo znał, bo Louis był wyjątkowo nieufnym facetem.

- Wszyscy wiemy, jaki był - powiedział Vincent. - Poznałem go czterdzieści lat temu, kiedy pracował przy rozwózce lodu. Przyszedł do mojego ojca, oferując mu swoją wierność i przyjaźń, prosząc, żeby mu pomógł. Był nieufny, ale nigdy nie zapominał, komu wszystko zawdzięcza. Wyuczyliśmy go fachu, i z czasem został szefem popołudniowej zmiany w naszym największym kasynie w Vegas. Podlegały mu wszystkie stoły, miał decydujący głos przy keno i automatach. Był człowiekiem numer dwa w całym lokalu, bo znał się na rzeczy. Zaczynał jako szuler, pomagał naciągać frajerów. Potem trzymał bank przy grze w oko, później nadzorował kilka stołów, a przecież sami wiecie, ilu krupierów jest za głupich, żeby awansować, bo wydaje im się, że więcej stracą na napiwkach, niż zyskają na wyższej pensji. Louis znał się na grach i krupierstwie: wszystkie sztuczki miał w małym palcu, wiedział, ile forsy znajduje się na stole, wiedział, jak chronić bank. Miał głowę do liczb, a w dodatku umiał złapać kontakt z graczami, sprawić, że zawsze wracali. Największą jego zaletą było jednak to, że potrafił wyczuć, któremu z klientów opłaca się dać kredyt. Wierzcie mi, był jak maszyna licząca, jak komputer...

- Chciałbym zwrócić uwagę - wtrącił Bluestone - że dopóki był tylko szefem zmiany, a więc gdy Jack Ramen, zanim wziął urlop, osobiście pilnował interesów, Louis nie mógłby pójść z rewersem klienta do kasy po forszę. Ramen, jako kierownik kasyna, miał prawo to robić, ale nie chciał. Gracze musieli iść do kasy sami i wylegitymować się przed kasjerem. Gdyby więc Louis działał w pojedynkę i spróbował czegoś takiego po wyjeździe Raniona, wyglądałoby to podejrzanie i ktoś by mi o tym doniósł. Ale ponieważ działał w zмовie z kasjerem, przynosił mu lewe rewersy wystawione na nazwiska graczy mających u nas duży kredyt, co było do sprawdzenia w kartotece, obaj je kontrasygnowali, po czym kasjer wkładał je między inne, a Louisowi wypłacał gotówkę.

- Teraz sobie przypominam Marxiiego Hellera - oznajmił Angelo. - W pracy nosił szpakowatą peruczkę i miał pod oczami ciemne wory, jakby mu żona wlewała tam fusy: głośny facet z tłustym zadkiem i porcelanowymi koronami za trzy patyki w gębie.

- Kiedy powiadomiłem ojca, co zrobił Louis Palo - rzekł Vincent, zupełnie jakby Don Corrado wyszedł na chwilę z pokoju - przez chwilę siedział w milczeniu, przypominając go sobie, a potem rzekł: "Louis nie był słabym człowiekiem, ale był wyjątkowo łasy na

pochlebstwa. Nie potrafił się im oprzeć. Pod tym względem był rzeczywiście słabszy od nas wszystkich.” Lubił się ubrać. Lubił wygody. Ale przez te wszystkie lata, kiedy ojciec go znał, nigdy nie był chciwy. Sam wiem, że nie brakowało mu odwagi. Załatwił Fufa Sopera, głośnego zabijakę, w łaźni na Coney Island, a miejscowe bandziory, z którymi niegdyś grywał w kości na Dziewiątym Nadbrzeżu, dosłownie jadły mu z ręki. Więc ojciec pomyślał tak: “Jeśli facet nie lęka się niczego, ale nie jest chciwy i w sumie jednak brak mu sprytu, żeby samemu obmyślić taki numer, to jak do tego doszło?” Zdecydował, że w grę musiała wchodzić kobieta. To ona mogła ułożyć cały plan, a potem pochlebstwami namówić Louisa. W babskich rękach był miękki jak wosk. Cyril, powiedz nam teraz wszystko co wiesz o Hellerze.

- Marxięgo Hellera przysłał nam przed czterema laty gość nazwiskiem Marowitz - oznajmił Bluestone. - Virgil Marowitz. Ma własne przedsiębiorstwo pożyczkowe. Nie trudni się lichwiarstwem, no, może trochę, tyle, na ile pozwala mu prawo. Ma sieć kas pożyczkowych pod nazwą “Pieniądze dają szczęście” w zachodnim Teksasie, Nowym Meksyku i Arizonie; powodzi się mu dobrze.

- Mniej więcej siedem lat temu - wtrącił Vincent - Marowitz uznał, że potrzebuje opieki, bo jego przedsiębiorstwo jest zbyt intratne, by nikt się go nie czepiał. Znał Eduarda. Umówił się z nim i przyszedł na spotkanie z całym plikiem papierów. Powiedział, że telewizja kablowa to najlepszy interes, jaki się kroi, więc chce nam sfinansować założenie sieci na południowym zachodzie. Położenie kabli kosztowało czterdzieści melonów - część wyłożył z własnej kieszeni, na resztę załatwił nam kredyty. Dogadali się z Eduardem w ten sposób, że my kierujemy całością i dostajemy sześćdziesiąt pięć procent akcji. Musicie wiedzieć jedno - Marowitz ma fioła na punkcie wszystkich z naszej branży, zupełnie jakbyśmy byli gwiazdami filmowymi. Marzy mu się, by na jego nagrobku wypisano, że tu spoczywa facet, który znał więcej ludzi ze środowiska niż Jimmy Hoffa. To zupełnie tak, jakby największym pragnieniem Charleya było znać osobiście wszystkich członków Naczelnej Rady Kościołów. - Westchnął. - Marowitz to bardzo dziwny facet, ale sprawa Hellera się z nim wiąże.

Pociągnął łyk anyżkowego likieru z małego kieliszka i skinął głową na Cyrila Bluestone'a.

- Tak - potwierdził Bluestone. - Marxię Heller pracował dla starej bandy z Detroit, gromady durni, którzy żarli opium jak płatki owsiane. Miał pamięć do liczb i można było na nim polegać, więc kiedy nabawił się gruźlicy, narajono go Abe'owi z Phoenix. Heller przeniósł się do Arizony, ale ponieważ wciąż szwankował na zdrowiu, wkrótce poszedł w odstawkę. Wówczas spotkał jakoś Marowitza i pewnie nagadał mu bajeczek, jak to Al Capone był jego najlepszym kumplem i podobnych bzdur, bo Marowitz sam zaczął nalegać, że opłaci mu kurację. Kiedy Heller wyszedł z sanatorium, Marowitz zatrudnił go w swoim przedsiębiorstwie. To było dziesięć lat temu. Przed czterema laty Marowitz gorąco mi go polecał i prosił, żebym go wziął do Vegas. Mówił, że to geniusz matematyczny i niechętnie go puszcza, ale żona Hellera nie może wytrzymać w Phoenix. Więc wziąłem łobuza. Resztę znacie.

- Gdzie teraz jest jego żona? - spytał Charley.

- W Los Angeles - odparł Bluestone. - Załatwię ci teczkę Hellera z adresem żony i innymi informacjami.
- Sądzę, że powinienem zacząć właśnie od niej - zdecydował Charley.
- Nie, najpierw Marowitz - powiedział Vincent. - Jutro rano polecisz do Phoenix, żeby z nim pogadać. Ojciec chce odzyskać pieniądze i uważa, że jeśli dobrze przyciśniesz Marowitza, zaprowadzi cię do Hellera.
- Myślisz, że Marowitz był z nimi w zмовie?
- Charley, skąd mam wiedzieć? Ale Louis sam tego nie wymyślił, więc ktoś musiał mu pomóc.

Rozdział 7

Charley wylądował w Phoenix o drugiej po południu. Był upały. Wynajął samochód, pojechał do hotelu w centrum miasta, wziął prysznic, i dopiero wtedy zadzwonił do Virgila Marowitza.

- Pan Charley Par-ta-nna! - zaśpiewał do słuchawki Marowitz. - Cóż to dla mnie za zaszczyt! Jest pan tu, w Phoenix? Kiedy możemy się spotkać?!

Charley początkowo nie bardzo wierzył, że Marowitz uważa ludzi ze środowiska prawie za gwiazdy filmowe, ale ton głosu jego rozmówcy przekonał go, że Vincent nie kłamał. Niemal wbrew sobie, zaczął sobie przypominać, jak zachowywał się Bogart, kiedy chciał pokazać, że nie warto z nim zadzierać. Czuł się jak idiota do kwadratu, ale powiedział srogim głosem:

- Słuchaj, Marowitz, chcę sobie uciąć z tobą krótką pogawędkę. Za dwadzieścia minut podjadę pod twoje biuro. Masz czekać na ulicy.

Odwiesił słuchawkę i włożył czarną koszulę z krótkimi rękawami, czarne spodnie i okulary słoneczne. Wziął mapę Phoenix, którą dostał, kiedy wynajmował samochód i sprawdził dojazd do głównego biura przedsiębiorstwa podatkowego "Pieniądze dają szczęście".

Kiedy dotarł na miejsce, zobaczył, że przed budynkiem stoją cztery samotne osoby, więc nacisnął na moment klakson; do wozu natychmiast podbiegł niski, uśmiechnięty mężczyzna, z wyglądu przypominający bańkę-wstańkę.

- Pan Partanna? - spytał radośnie cienkim głosem, mającym wyższy ton niż gwizdki przeznaczone dla właścicieli psów.

Charley skinął głową.

- Virgil Marowitz - przedstawił się wesoły grubasek, po czym otworzył drzwi wozu i wsunął się do środka. - Panie Partanna, to dla mnie prawdziwy zaszczyt i ogromna przyjemność. Czy możemy mówić sobie po imieniu? - Chwycił się obiema rękami za głowę i zapał ze szczęścia. - Aż nie mogę uwierzyć, że jadę ulicami Phoenix w jednym wozie z Charleyem Partanna, wykonawcą rodziny Prizzich! Co za rozkosz!

Jak mam rozmawiać z tym wariatem? - zastanawiał się w myślach Charley. Przecież to nie przelewki! Okantowano Prizzich na grubą forszę! Bogart w żadnym ze swoich filmów nie odegrał tej sceny lepiej, niż Charley w rozmowie z Marowitzem.

- Posłuchaj mnie, przyjacielu - zaczął. Przeleciałem kilka tysięcy mil, żeby ci powiedzieć, że twój koleś, Marxie Heller, zwędził moim przyjaciółom siedemset dwadzieścia dwa tysiące i osiemdziesiąt pięć dolców.

- Marxie? Myślałem, że jego ksywka to Płucko!

- Zamknij ryj. Wypiszesz czek na ukradzioną sumę i pojedziemy do banku, żeby go poświadczyć. Jasne? A teraz pytam cię po raz pierwszy i ostatni: gdzie jest Marxie Heller?

- Panie Partanna, od ponad czterech lat ani go nie widziałem, ani z nim nie gadałem! Dokąd jedziemy?

- Pojeździmy sobie, dopóki się nie ściemni, a potem wysiądziesz, weźmiesz z tylnego siedzenia łopatę i wykopiesz dół. Wtedy cię zastrzelę, wrzucę do dołu i przysypię ziemią.

Marowitz odwrócił się i spojrzał na tylne siedzenie. Leżała na nim nowiutka łopata.

- Naprawdę nie ma dla mnie ratunku? Boże, jakie to podniecające! Ileż razy marzyłem o tym, żeby być obecny przy wykonywaniu mafijnego wyroku, ale nawet w najśmielszych snach nie wyobrażałem sobie, że sam padnę ofiarą krwiożerczego gangstera!

- Krwiożerczego gangstera? - powtórzył Charley.

Charley, czy naprawdę nie ma dla mnie ratunku? - Jest. Jeśli dasz mi czek i Hellera, będziesz mógł spać tej nocy we własnym łóżku.

W takim razie rzekł Marowitz -- nie musimy dłużej jeździć. Możemy od razu udać się do mojego biura; wypiszę ci czek i poświadczę od ręki.

- Dobra. A co z Marxie'em Hellerem?

- Nie mam pojęcia, Charley, gdzie się podziewa, więc nie jestem w stanie ci pomóc. Mogę ci za to doradzić coś bardzo sensownego. Ale zanim to uczynię, chcę ci powiedzieć jedno: nie wierzę, że mógłbyś mnie zabić, a to ze względu na skomplikowane zasady finansowania naszej sieci kablowej. Sześćdziesiąt pięć procent czterdziestomilionowej inwestycji należy do Prizzich, ale tylko dopóki ja jestem cały i zdrow, bo bez mnie rozpadłby się kredytowy fundusz obrotowy, z którego płyną pieniądze na rozruch. Wszedłem w spółkę z Prizzimi, kiedy zorientowałem się, że mogę potrzebować ochrony. Jeśli mi się coś przytrafi, z miejsca urwą się kredyty. Ed Prizzi świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Gdybyś więc dał mi w czapę, że posłużę się tym jakże malowniczym zwrotem z waszego żargonu, rodzina Prizzich straciłaby sto razy więcej, jeśli chodzi o honor i gotówkę, niż ta nędzna sumka, którą zwędził Heller.

- Rany, Virgil, ale z ciebie numer! - zawyrokował Charley ze złością, ale i podziwem.

- O tak, dam ci czek - obiecał Marowitz. - Ed Prizzi nigdy nie pozwoli nikomu go zrealizować, ale coś ci powiem: jeśli Vincent Prizzi zechce zrobić mi tę przyjemność i zażąda, abym się stawił przed naczelną radą syndykatu zbrodni, lub nawet tylko przed komisją chicagowskich i nowojorskich rodzin - każde z tych ciał to przecież ostateczny trybunał amerykański - a rada albo komisja uzna, że mam zwrócić pieniądze, bo cztery lata temu z mojego poręczenia Marxie Heller dostał pracę w Vegas, zapłacę co trzeba z największą radością, pod warunkiem, że taki wyrok zapadnie w mojej obecności.

Virgil...

Tak, Charley?

A... gównu! - warknął Charley i gwałtownie zawrócił wóz. - Mam dość tego upału! Jedziemy do hotelu; zaczekasz, a ja zadzwonię do Nowego Jorku.

Vincent Prizzi powiedział Charleyowi, żeby nie odchodził od telefonu, zaraz do niego oddzwoni. Zadzwonił po siedmiu minutach.

- Ktoś pojebał sprawę, Charley - oświadczył. - Najlepiej postaw Marowitzowi kielicha.

Charley wrócił do stolika w cichym rogu klimatyzowanego baru. Virgil powitał go szerokim uśmiechem.

- Pieprzony interes! - burknął Charley.

Przywołał kelnera i zamówił dwie szklanki jugo de pi?as con Bacardi.

- Co słyhać w Nowym Jorku? - spytał Virgil.

- Masz przepustkę na życie - przyznał Charley. Kelner przyniósł koktajle.

- Hm, hm! Bardzo orzeźwiający napój stwierdził Virgil. - Muszę poprosić o przepis.

- Virgil, czy ty jesteś pedałem?

- Troszeczkę. - Uśmiechnął się promiennie. - A ty?

- Nie.

- Szkoda. Ale nie przejmuj się tym zbytnio.

- Gdzie jest Marxie Heller?

- Aleś ty uparty! Gdybym to ja pełnił tak odpowiedzialną funkcję w waszej organizacji, dałbym sobie spokój z Phoenix, to stary, czteroletni trop, i starał się odszukać go przez jedyną osobę, której zawsze się trzymał.

- Kto to taki?

- Jego żona.

- W Los Angeles?

- Tralala, Charley, cóż to za wspaniały trunek! Musimy się napić jeszcze po szklaneczce.- Dał znak kelnerowi.- Marxie mówił, że chce się wynieść z Phoenix, bo jego żonie tu nie odpowiada. Że tu strasznie suchy klimat, a ona cierpi na astmę czy coś podobnego. Nie chciałem go puścić, bo był świetnym księgowym, ale kiedy mnie poprosił, żebym przez swoje rozległe znajomości w świecie przestępczym wybaczył słowo - załatwił mu pracę w Vegas, zadzwoniłem do Cyrila Bluestone'a. Wkrótce Marxie wyjechał i więcej go nie widziałem.

- Virgil, masz, jakieś jego zdjęcia?

Trzy albo cztery, całkiem wyraźne. Mam własną kartotekę ze zdjęciami ludzi ze środowiska, i dosłownie spuściłbym się w gacie ze szczęścia, gdybyś zechciał zrobić mi ten zaszczyt i pozwolił się sfotografować.

- Ojciec jest absolutnie przeciwny robieniu zdjęć.

- Rozumiem, Charley, rozumiem.

Kiedy kelner przyniósł nowe trunki, Virgil poprosił o telefon. Gdy aparat został podłączony, szybko wystukał numer.

- Buziuchna. Morderco - zaświergotał do słuchawki. - To ja. Słuchaj kochanieńki, weź wyjmij czwarty album, na wszelki wypadek sprawdź w spisie, odszukaj zdjęcia

Hellera i przywieź mi je natychmiast, mój miły, do recepcji hotelu John H. Jackson Gusher. Powiedziałem do recepcji, Morderco. Proszę cię, nie próbuj mnie rozgniewać.

Virgil rozłączył się.

- Wcale nie jest mordercą powiedział do Charleya - ale nazywam go tak, żeby mu sprawić przyjemność.

Rozdział 8

Żona Marnego Hellera mieszkała w Westwood, w eleganckiej willi stylizowanej na wiek osiemnasty. Charley minął willę i zaparkował wóz pięćdziesiąt metrów dalej. Cofnął się na piechotę, przemierzył bezszelestnie podjazd i wszedł do środka bocznymi drzwiami. Zamknął je cicho za sobą. Na zewnątrz gęstniejącymi płatami zapadał mrok. Charley skradał się korytarzem wiodącym z kuchni wypatrując światła; nagle, za zakrętem, ujrzał pod drzwiami jasną smugę. Pchnął je na oścież i napotkał zapadłe, podkrążone worami barwy khaki oczy Marxiego Hellera, który siedział za szerokim biurkiem i stawał pasjansa. Heller wpatrywał się w niego, lecz po chwili zamrugnął. Charley nie odezwał się.

- Czego sobie życzysz, przyjacielu? - spytał w końcu Heller.

- Przysłali mnie Prizzi.

Heller sięgnął prawą dłonią do szuflady, na co Charley w dwóch skokach znalazł się przy nim, i na wszelki wypadek, a także by pokazać, iż nie żartuje, podniósł jego rękę do góry i z całej siły uderzył nią o krawędź biurka, łamiąc mężczyźnie nadgarstek. Heller na kilka sekund stracił przytomność. Charley usiadł przy nim i czekał, aż otworzy oczy. Tymczasem zajrzał do szuflady: leżał w niej długi nóż, świetnie wyważony, idealny do rzucania. Wsunął go sobie za pasek z tyłu spodni. Heller drgnął.

- Marxie, gdzie jest forsa Prizzich? Kim jesteś?

- Nazywam się Charley Partanna.

- O cholera! Harcerzyk Charley, wzorowy amerykański gangster! Jeśli ci powiem, że nie mam tej forsy, oczywiście mi nie uwierzysz, i moja sytuacja będzie nie do pozazdroszczenia, ale to prawda. Nie mam.

- Co za różnica? Twoja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia od chwili gdy rąbnąłeś forszę Prizzim. Ruszaj.

- Dokąd?

- Do samochodu. Szybciej.

Heller wstał, spojrzął na swój nadgarstek, spuchnięty jak balon.

- Cholera, to boli! - powiedział jakby sam do siebie.

- I tak nie będzie ci potrzebna.

Heller, podtrzymując nadgarstek lewą dłonią, wysunął się wolno za biurka.

- Do ściany, nogi szeroko rozsunięte, ręce nad głową! - rozkazał Charley.

W kieszeni szlafroka Hellera znalazł pistolet. Rozładował go i wrzucił do kosza na śmieci, a naboje schował do kieszeni.

- Wychodzimy!

Wyszli frontowymi drzwiami. Charley pchnął Hellera w stronę dużego garażu i kazał mu otworzyć drzwi. Weszli do środka.

- Światło, Marxie! - zawołał Charley, zamykając garaż.

Heller przycisnął kontakt. Lampa oświetliła oldsmobile'a, model Cutlass, i puste miejsce na drugi wóz.

- Miałeś czas się zastanowić. Powiesz mi, gdzie jest forsa Prizzich?

- Gdybym wiedział, może bym ci powiedział, może nie, ale nie wiem.

Charley wyciągnął z kabury na piersi rewolwer z umocowanym do lufy tłumikiem i strzelił trzykrotnie do Hellera, raz trafiając go w twarz, raz w klatkę piersiową, raz w gardło. Schował broń i otworzył bagażnik oldsmobile'a. Podniósł Hellera, który upadł obok wozu, i wrzucił go do środka. Zatrzasnął bagażnik, zgasił światło i wrócił do willi.

Siedział w mrocznej jadalni, tuż obok kuchni, do której prowadziło z podjazdu boczne wejście, i czekał. Siedział trzydzieści pięć minut, zanim blask reflektorów omiół dom i na podjazd wtoczył się samochód. Boczne drzwi otworzyły się i do środka weszła kobieta, podtrzymując oburącz torby z zakupami. Zamknęła drzwi, przeszła przez kuchnię i zawołała:

- Kochanie, wróciłam!

Charley podniósł się z miejsca.

- Marxięgo nie ma, pani Heller.

Odwróciła się błyskawicznie w kierunku jego głosu.

Była to Irene Walker.

Rozdział 9

- Charley! - krzyknęła.

Jemu odjęto mowę.

- Co tu robisz? spytała bliskim hysterii głosem. Dlaczego nie zadzwoniłeś? Zawsze dzwonisz! Do licha. Charley, wszystko popsuleś! - Gdzie jest forsa?

- Jaka forsa?

- Mów gdzie! Heller kropnął Louisa Pala, żeby mu ją odebrać, więc gdzie ją schował?

- Charley, nie mam pojęcia, o czym ty mówisz. Pytałeś Marnego? Gdzie Marxie?

- Nie żyje.

- Nie żyje?!

- Prędszej. Irene. Gdzie jest forsa, którą twój stary rąbnął Prizzim w Vegas?

Zachowywała się jak w transie.

- Poczekaj, chyba wiem. Miał taką torbę... Pokażę ci. Wyszła z kuchni i zaprowadziła go do szafy ściiennej we frontowym hallu. Otworzyła ją i kopnęła stojącą w niej torbę.

- Może jest tu. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Charley wyciągnął torbę i postawił na stoliku. Otworzył zamek błyskawiczny i zajrzał do środka. Torbę wypełniały banknoty.

- Muszę to przeliczyć - rzekł. - A ty się przesuć. Chcę cię mieć na oku.

Przesunęła się posłusznie. Zaczął liczyć pieniądze.

- Gdzie reszta? zapytał, gdy skończył.

- Reszta?

- Jest trzysta sześćdziesiąt kafli! Połowa!

- Połowa?

- Pani Heller, dobrze radzę, niech pani przestanie powtarzać po mnie, tylko do kurwy nędzy, zacznie odpowiadać! Gdzie reszta forsy?!

- Charley... Ja nic o tej forsie nie wiedziałam, nie wiedziałam nawet, że tu jest, więc skąd mam wiedzieć, że to tylko połowa? Kiedy Marxie przyjechał nagle trzy dni temu, miał z sobą walizkę i tę torbę... Walizkę rozpakował, a torbę wrzucił do szafy.

- Wiedziałaś, że opuścił Vegas? - Głos Charleya brzmiał zimno.

- Tak.

- Pytałaś dlaczego?

- Tak.

- I co?

- Powiedział, że odnowiły mu się kłopoty z płucami, więc chce wracać do Phoenix. Ale był zmęczony i prosił, żebym mu pozwoliła odpocząć tu przez kilka dni.

- I zgodziłaś się?

- Tak.

- Jezu, to najgorszy dzień w moim życiu!

- Charley, sama chciałam, żeby zatrzymał się u mnie! To była jedyna okazja, żeby z nim porozmawiać i przekonać go, by

- się zgodził na rozwód.

- Wiesz, co pamiętam?

- Co?

- Pamiętam, jak wchodząc do kuchni zawołałaś: "Kochanie, wróciłam!" Nie samo "wróciłam", nie "Marxie, wróciłam", ale "kochanie, wróciłam"!

- Bo rzeczywiście był dla mnie bardzo kochany odpowiedziała wolno. Spędziliśmy ze sobą czternaście lat. Zaprzyjaźniliśmy się w Chicago, kiedy jeszcze byłam podlotkiem. Nigdy na mnie nie krzyczał, nie bił mnie, nie zabierał mi pieniędzy. Zamieszkaliśmy w Detroit, a kiedy musiał przenieść się do Phoenix, i tam myślał, że umiera, pojechałam do niego, bo był mi naprawdę bliski. Kochałam go. Nie w ten sposób, jak kocham ciebie, ale tak, jak kochałabym swojego ojca, gdybym tylko mogła go kochać. Marxie był dowcipnym i uroczym człowiekiem. Miał wspaniały umysł i zawsze się mną opiekował.

- Orznął Prizzich na siedemset dwadzieścia dwa dolce!

- Gdzie jest teraz?

- Zabieram go z sobą.

- Na miłość boską, Charley, jak to?! Przecież to mój mąż! Był dla mnie dobry!

- Dziwisz się? Facet ukradł siedemset dwadzieścia dwa dolce, a ty się dziwisz?

spytał gorzko. Wciąż chcesz za mnie wyjść?

Spojrzała na niego ponuro.

- Chcę, żebyś ty sobie wszystko przemyślał odparła. Bo dla mnie to, co się stało, nie jest zaskoczeniem. Kiedy Marxie powiedział mi, że do spółki z Louisem Palo okradł

kasyno, wiedziałam, że jest skończony i wiedziałam, że wyślą właśnie ciebie, żebyś go załatwił. Ale Marxie nie żyłby w tej chwili nawet gdybyś ty został sprzedawcą butów! Więc zrozum, do licha, że nie jest to dla mnie szok. Ale dla ciebie tak. Pełne zaskoczenie! Siedzisz w obcym domu i czekasz, aż ktoś się pojawi, a tu nagle wparowuje twoja najdroższa. Cholera, ładna niespodzianka! Więc lepiej przemyśl sobie wszystko bardzo dokładnie, zanim cokolwiek postanowisz.

Miała rację. Więc to ona była żoną Marxiego Hellera! Wiedziała o Prizzich, wiedziała, że Marxie ich okradł, wiedziała, czym on, Charley, zajmuje się naprawdę. Spodziewała się, że przyślą go, żeby kropnął jej męża! Kiedy wreszcie to sobie w pełni uzmysłowił, postanowił, że na razie najlepiej w ogóle przestać o tym myśleć.

- Dobra. Marxie jest w oldsie, w garażu. Pojadę oldsem na lotnisko i zostawię na parkingu. Niech go gliny tam znajdą. To twój wóz?

- Nie. Ma tablice rejestracyjne z Nevady.

- Świetnie.

- Charley... czy wierzysz, że nie kłamałam, mówiąc ci, że od czterech lat nie widziałam Marxiego?

- Posłuchaj, mała. Cały czas mieszkał w Vegas, tuż po drugiej stronie gór. Kiedy musiał zwiewać, przyjechał tu, bo to jego dom; przyjechał z walizką, uzbrojony po zęby, a ty pewnie pitrasilaś mu obiadki, dawałaś dupy, i co dzień, wracając do domu, z własnej nieprzymusowej woli wyśpiewywałaś: "Kochanie, wróciłam!" Nie, nie wierzę w nic, co mówisz czy mówiłaś. - Gorycz przepelniała jego głos. Gdybyś była kim innym, pewnie bym cię kropnął. Ale mniejsza o to: choćbym nie wiem jak pragnął, nie umiem zmienić swoich uczuć wobec ciebie. Patrzę w twoje oczy. Irene, i wierzę w to, co w nich widzę, bo bardzo chcę wierzyć. Wrócę do Nowego Jorku, oddam forszę, i od tej chwili Marxie Heller przestanie dla nas istnieć. Kiedy Prizzi zaczną mnie wypytywać, co się stało, co z żoną Hellera, wcisnę im jakąś ciemnotę. Potem wrócę tu, tak, prawie na pewno wrócę, żeby cię spytać, czy chcesz zostać moją żoną.

- Tak, Charley. Chcę.

Rozdział 10

Czuł się tak, jakby trzymał naręcze zdechłych ryb. Niech to szlag, pomyślał, prawdziwa wesoła wdówka! Rozwałam jej męża, kiedy ona wychodzi na zakupy, a mimo to aż rwie się, by zostać moją żoną. Co za potwór!

Co do kurwy nędzy miał z nią zrobić? Był przekonany, że świadomie wydała mu na żer męża; musiała przecież wiedzieć, że Prizzi upomną się o swoje siedemset dwadzieścia dolców. To ona obmyśliła cały kani. Na pewno. Jebana szprota! Z jej sprytem, z jej ciałem, owinęła sobie wokół palca Louisa Pała, napalonego na nią półgłówka, i namówiła go oraz własnego męża, by rąbnęli z kasyna szmal, a potem tak wszystko rozegrała, żeby Marxie beknął za nią. Powinien zrobić z nią to, czego oczekiwali po nim Prizzi: kropnąć ją i też wpakować do bagażnika. Ale co wtedy z resztą szmalu, z brakującymi trzystu sześćdziesięcioma dolcami? Jeśli ją teraz zdmuchnie,

nigdy się nie dowie, gdzie podziła się brakująca forsa. Musiał ukryć swoją wściekłość, bo widział po minie Irene, że gotowa zsikać się ze strachu.

- Słuchaj, Irene - zaczął chrapliwym głosem - powiem ci, co masz zrobić. Nie kładź się spać, tylko siedź i dumaj, gdzie podziła się reszta forsy. Ja się szpulam; porzucę wóz i wracam do Nowego Jorku. Muszę się czymś zająć, a w tej chwili tylko to przychodzi mi do głowy.

- Dobrze. Charley. Przewrócę cały dom do góry nogami i jeśli Marxie ukrył tu pieniądze, na pewno je znajdę. Kiedy do mnie zadzwonisz? Kiedy cię znów zobaczę?

Czuła się tak, jakby miała zemdleć. Bała się, że nogi się pod nią ugną, wiedziała jednak, iż nie wolno jej usiąść, gdyż byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Potrzeba zabicia jej dopiero znikła mu z twarzy.

- Nie wiem, Irene. Po prostu nie wiem. - Nie wiesz, czy w ogóle się zobaczymy?! Nie mogła go utracić. Musiała go jakoś zatrzymać przy sobie, zakotwiczyć po tej stronie przekłętego bagna, bo jeśli pozwoli mu odpłynąć, wróci wyłącznie po to, by ją zabić.

- Stul pysk! - wrzasnął. - Prizzim brak trzystu sześćdziesięciu dolców, a ty jesteś cała i zdrowa!

- Ale Marxie nie żyje - odparła z prostotą. - Był moim przyjacielem. Czym jest dla Prizzich kradzież pieniędzy, które i tak zwróci im towarzystwo ubezpieczeniowe, w porównaniu z moją stratą?

- Ja chromo! Pięć minut temu chciałaś za mnie wychodzić, a teraz pieprzysz mi o stracie! Już zapomniałaś, że to ja go kropnąłem?

- Chyba nie rozumiesz, co czuję - oświadczyła, już znacznie pewniejsza o swój los, ho jednak udało się jej wciągnąć Charleya w rozmowę, sprawić, że zaczął powątpiewać w to, w co wierzył jeszcze przed chwilą. - Marxie był umierający. Miał przed sobą tydzień, najwyżej dziesięć dni życia. Wiedziałam, że go stracę. I bolało mnie to, choć byłam na to przygotowana, rozumiesz? A potem zjawili się ty i go usunąłeś. Kiedy wychodziłam z domu, żył. Kiedy wróciłam, było już po nim. Co ty wiesz? Co cię obchodzą uczucia kobiety? Tak czy siak, musiał umrzeć, ale to straszne, Charley, że zginął właśnie z twojej ręki!

- Kurwa, niech to szlag trafi! Słuchaj! Znajdź tę forszę i koniec. Znajdź ją i przywieź mi.

Wyszedł z willi bocznym wejściem i pojechał na lotnisko wozem, w którego bagażniku leżał trup Marnego. Rewolwer wyrzucił po drodze do kosza na śmieci. Wóz zaparkował na lotnisku. Wsiadł w pierwszy samolot do Nowego Jorku, rozczarowany do najważniejszej sprawy w swoim życiu. Irene okazała się zimną, wyrachowaną suką. Na co komu taka? Ładny mi, kurwa, doradca podatkowy! Ohyda. Gorsza od najnudniejszej oklapichy! On tu sobie łamie głowę, jak jej powiedzieć, że jest ze środowiska, a ona tymczasem obmyśla kant, żeby rąbnąć Prizzich na siedemset dwadzieścia tysięcy zielonych! Na pewno dawała się walić Louisowi, bo inaczej, nigdy nie dałby się namówić, i kto jak nie ona kropnął Louisa za budą Presta Ciglioneo? Zajębała szmal i rozwalila Louisa; musiała się spodziewać, iż Prizzi wyślą za nią kogoś, więc wymyśliła sobie, że jeśli da im Marxiego i połowę szmalu, a sama wróci do domu obładowana zakupami wykrzykując "kochanie, wróciłam!" jak jakaś słodka idiotka, to kupią tę naiwną historyjkę i

uwierzą, że jest biedaczka tylko niewinnym doradcą podatkowym przypadkowo wplątany w całą aferę. Co najgorsze, niewątpliwie spodziewała się, że rodzina przyśle po forszę właśnie jego - i zabezpieczyła się! A on pozwolił, by to jej uszło na sucho.

Podstępna suka! Gdyby, kurwa, mógł jakoś wyskoczyć z boeinga, lecącego akurat nad Arizoną, wsiadłby w pierwszy lepszy wóz, pognął do Kalifornii i podziurawił tę szmatę na sito!

Popijając lemoniadą kanapkę z mieloną wołowiną, zaczął sobie również przypominać zalety Irene. Nie mógł zaprzeczyć, że była wyjątkową kobietą. Skoro jeździła autem za pięćdziesiąt dwa tysiące dolarów, musiała rzeczywiście być geniuszem podatkowym. Ilu facetów, którzy zajmują się tym samym, stać na takie cacko? Nawijała po portorykańsku, jakby urodziła się wśród dzikich. I kochała się w nim na zabój. Miała piękną willę, cudowne ciuchy, prawdopodobnie studiowała na jednej uczelni z Maerose Prizzi, ale najistotniejsze i najwspanialsze było to, że kochała go na zabój. Miłość od pierwszego wejrzenia, miał to zarejestrowane na taśmie. Gdy tak, po przemyśleniu jej wad, analizował zalety Irene, znacznie się uspokoił.

Czy to możliwe, spytał się w myślach, że Irene jest dwoma kobietami? Chyba tak. Przypomniał sobie mglście, że kiedyś widział film o czymś takim, a nawet czytał artykuł. Ale najważniejsze, że jest wspaniałą dziewczyną. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Przecież, na Boga ojca, nie można winić kobiety za to, że wyszła za faceta, który był dla niej dobry przez wiele lat! Powtarzał sobie, że odwrotnie, powinien być wdzięczny, że tak właśnie się stało, bo dzięki temu Irene nabrała pojęcia o środowisku. Na pewno dlatego zdecydowała się wyjść za Marxiego, bo wiedziała, że jest chory i wymaga opieki. Kolejny dowód, jaka to wspaniała dziewczyna! Kiedy przypomniał sobie, jak niewiele brakowało, żeby ją sprzątnął i władował do bagażnika obok Marxiego, zrobiło mu się straszno. Ależ też i była to potworna niespodzianka, omal mu serce nie pękło, kiedy się odwróciła i zobaczył, że to ona. Był gotów ją zastrzelić. Bóg świadkiem, palec go aż świerbił, ale nagle poczuł promieniującą z niej dobroć i to mu pozwoliło się opanować. Właśnie ta dobroć przekonała go, że musi dokładnie rozważyć całą sytuację zanim zrobi coś pochopnego i na zawsze wszystko popsuje. Jakże to się okazało słuszne! Dobrze, że miał czas ochłonać i precyzyjnie przemyśleć sprawę; jutro pójdzie do Santa Grazia i zapali w podzięce dwie świece po dwadzieścia dolarów każda.

Najcenniejsze wydało mu się to, że Irene dowiodła, iż rozumie zasady funkcjonowania środowiska: choć rozwalił jej męża, gotowa była przymknąć na to oczy, gdyż wiedziała, jaki świński numer Marxie wyciął Prizzim. Tak ohydnie ich okantował, że nawet jego własna żona nie buntowała się, że musiał ponieść karę. Co więcej, nie ulegało wątpliwości, że to on wykończył Louisa. Jak mógł mu przyjść do głowy ten idiotyczny pomysł, że cały kant zaplanowała Irene? Z pewnością nie ona sprzątnęła Louisa. Fakt, że rozumiała środowisko, nie czynił z niej przecież morderczyni!

Ale... cholera! Jeśli Louisa wykończył Heller, dlaczego w torbie była tylko połowa szmalu? Gdyby to on go kropnął, miałby cały szmal. Jednakże brak doli Louisa wcale nie świadczył, że załatwiła go Irene. Wręcz przeciwnie. Gdyby w jej willi znajdowała się cała forsa, a Heller był zbyt schorowany, aby kiwnąć palcem, wówczas rzeczywiście ktoś mógłby ją podejrzewać o rozprawienie się z Louisem, chociaż to zupełny nonsens.

Kiedy samolot wylądował w Nowym Jorku, Charley - nie sprawdzając nawet, która jest godzina prosto z lotniska zatelefonował do Irene.

- Irene? Mówi Charley.

- Och, Charley!

- Wszystko w porządku?

- A u ciebie, najdroższy?

- Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że jestem już w Nowym Jorku. Na La Guardia.

Właśnie wylądowałem.

- To wspaniale!

- Zadzwoń później, kochanie - powiedział i odwiesił słuchawkę.

Pojechał furgonetką do siebie na plażę i zasnął myśląc o tym, że jeśli rozmowa z Vincentem w sprawie brakującej forsy zakończy się pomyślnie, zaprosi papę, upichci wspaniałą kolację, a potem puści mu taśmę z Irene Walker, wypyta go o nią dokładnie i jakoś uporządkuje sobie wszystko w głowie. Niedługo pobiorą się i Irene przeprowadzi się, oczywiście, do Nowego Jorku. Poprosi Eda, żeby znalazł jej eleganckie biuro na Manhattanie i zlecił część spraw podatkowych rodziny. Ed prowadził tak liczne interesy, że bez względu na to, ile zarabiała w Los Angeles, tu wkrótce podwoi swoje dochody.

Obudził się w znakomitym humorze. Wziął prysznic, nucąc stary przebój "Ty jesteś moja". Kiedy się ogolił i ubrał, sprawdził co jest w lodówce, po czym wyskoczył kupić pozostałe składniki potrzebne do przyrządzenia ojcu jego ulubionej potrawy. Po powrocie spędził trochę czasu szykując kolację, a następnie wsiadł w furgonetkę i pojechał do pralni w St. Gibbone Hotel.

Ojciec wprowadził go do gabinetu Vincenta. Uścisnęli sobie ręce, po czym Vincent spytał, jak mu poszło.

- I dobrze i źle odparł Charley. - Odzyskałem połowę forsy, ale tylko połowę. Trzysta sześćdziesiąt kafli.

- Tak a to czemu?

- Louis i Heller podzielili się forszą w Vegas, po czym Heller pojechał do żony, do Los Angeles. Louis został na miejscu i umówił się z kimś za knajpą Presta. Forsę wziął z sobą. Ten ktoś go kropnął, a forszę zabrał.

- Myślisz, że Louis, zamiast wiać, został dzień dłużej w Vegas i pojechał z forszą na spotkanie?

- Tak jest. Dlatego przepadła jego dola, trzysta sześćdziesiąt dolców - odparł spokojnie Charley.

- Może.

- Próbowałem wypytać w Los Angeles Hellera, ale nie chciał puścić farby. Upierał się, że nie wie, gdzie podziła się forsa. Więc go rozwaliłem. Dopiero jego żona pokazała mi, gdzie ją schował. Przeliczyłem i okazało się, że to zaledwie połowa.

- Musiałeś babę mocno przycisnąć?

- Nie, nie miałem z nią żadnych trudności, od razu wskazała mi torbę. Nawet nie wiedziała, że jest wypchana forszą. O Hellerze też nic nie wiedziała. Przyjechał do niej po raz pierwszy od czterech lat.

- Coś mi tu nie gra - oświadczył Vincent. - I ktoś nadal ma połowę naszej forsy. - Na moment przygryzł wargę. - Ale dobrze się spisałeś, Charley. Wpadnie ci za to kilka punktów.

Kiedy po spotkaniu szli razem korytarzem, Charley spytał ojca:

- Papo, myślisz, że Vincent ma coś do mnie? Może podejrzewa, że to ja zwinąłem połowę szmalu?

- Eh, znasz Vincenta. Don Corrado będzie mu wiercił dziurę w brzuchu, więc prosto woli się upewnić.

- Myślisz, że nie mam się czym przejmować?

- Na razie na pewno nie.

- Papo, możesz dziś wpaść do mnie na kolację?

- Z przyjemnością!

- Będzie to, co lubisz. Prawie wszystko jest już gotowe. Dawno u mnie nie byłeś.

- Rzeczywiście.

- Pokażę ci taśmę z tą kobietą, o której ci mówiłem. Pamiętasz? Ta z wesela Teresy? Dziś po południu mają mi zainstalować magnetowid.

- Od dawna chciałem zobaczyć, jak to działa - ucieszył się papa. - Ale umówmy się niezbyt późno, bo muszę się wcześniej położyć spać.

O trzeciej zainstalowano Charleyowi magnetowid. Poleciał monterowi, żeby nagrał coś z trzynastego kanału - nawet dla wypróbowania sprzętu nie chciał nagrywać jakiegś szmiry - więc przez trzy minuty oglądali "Historię angielskich mebli" Roberta Adama; Charley nabrał ochoty, żeby obejrzeć film do końca, ale monter wyjaśnił mu, że podczas gdy program się rejestruje, mogą zobaczyć co innego. Toteż przez kilka następných minut oglądali jakiś czarno-biały film z 1937 roku; monter uświadomił Charleyowi, że wszyscy grający w nim aktorzy są obecnie prawie o pięćdziesiąt lat starsi, niż na ekranie.

- Jeśli w ogóle żyją - powiedział Charley. - Powtórki w telewizji to największe cmentarzysko w Ameryce.

Magnetowid działał idealnie. Puścili kawałek "Historii angielskich mebli", i kiedy Charley upewnił się, że może sam obsługiwać sprzęt, dał monterowi pięć dolarów napiwku i puste pudło, żeby je wyrzucił po drodze.

- Dawaj tyle, ile trzeba - uczył go niegdyś ojciec. - Nigdy za dużo i nigdy za mało.

Wsunął do magnetowidu kasetę z napisem IRENE WALKER. Przycisnął odpowiedni klawisz, cofnął się, usiadł, i miał ją z sobą w pokoju we wspaniałych kolorach na dwudziestosześcioletnim ekranie. Zajechała z Maerose przed hotel i z gracją wysiadła z wozu. W drzwiach sali bankietowej wrzuciła kopertę do czarnej, jedwabnej torby, a potem już trzymał ją za rękę i uśmiechali się do siebie zupełnie jak w scenie "chłopak spotyka dziewczynę" z romantycznego filmu. Dotknął przycisku na leniwcu, żeby zatrzymać obraz, i zapatrzył się w ekran. Wyglądali przepięknie. Znów wprowadził Irene w ruch, a gdy obejrzał do końca całe nagranie trwające dwie minuty czterdzieści dziewięć sekund, cofnął taśmę i - wniebowzięty - puścił od początku.

Obejrzał nagranie po raz trzeci i dosłownie wpadł w euforię. Zauważył bowiem coś niezmiernie istotnego: Irene dotykała go, kiedy ze sobą rozmawiali. A nie dotykała

przecież każdego: ani Maerose, ani - o ile pamiętał - papy, tylko właśnie jego. Wciąż był w znakomitym nastroju, kiedy zjawił się papa.

- Papo! - zawołał radośnie. Wiesz, co będzie na kolację? Sisizzo 'U Cimulu! Twoje ulubione danie, prawda? I wiesz, co jeszcze? Dostałem świeżą alozę, więc zrobiłem alose in camicia, a do tego stosy capotina. No, co ty na to?

- Zapowiada się lepiej od hamburgera.

- Wszystko dla ciebie, papo.

Podczas kolacji milczeli, koncentrując się na jedzeniu. Papa tylko wykrzyknął parę razy, że nie ma pojęcia, skąd Charley umie tak wspaniale gotować.

- Mówię ci, jeśli tylko zamknę oczy, wydaje mi się, że to gotowała twoja matka!

Nigdy przy jedzeniu nie omawiali interesów.

Po kolacji Charley ulokował ojca przed telewizorem, z kieliszkiem likieru anyżowego w jednej ręce, a cygarem firmy Pruelba w drugiej.

- Teraz pokażę ci dziewczynę, o którą cię pytałem.

Włączył magnetowid i usiadł obok ojca. Obejrzel nagranie w milczeniu. Charley spodziewał się, że ojciec powie mu, dlaczego kazał Paulie'emu skasować ujęcie siebie z Irene, ale starszy Partanna zaczął zamiast tego zachwycać się sprzętem.

- Co za wspaniałe wynalazek! Pomyśl tylko, Pete Spina uwieczniony ze śmietanką nowojorskiej policji!

- Oczywiście, oczywiście. Ale ta dziewczyna? Skąd ją znasz, papo?

- Prawdę mówiąc, wcale jej nie znam. Znałem jej starego. A ją widziałem chyba po raz drugi w życiu.

- Kim był jej stary?

- Mechanikiem w gangu Joego Saltisa, starym polskim gangu, który działał w pobliżu chicagowskiej rzeźni w czasach prohibicji. Specjalizował się w napadach, pobiciach. Nie był to duży gang. Po wojnie ktoś kropnął jej starego. Nikt za nim specjalnie nie płakał.

Charley był zawiedziony, a zarazem uradowany. Chryste, nic dziwnego, że Irene ma pojęcie o środowisku! Nie musiała się nic uczyć od Marnego, skoro jej rodzony ojciec pracował dla gangu. Urodziła się i wychowała w środowisku, znała je na wylot, a w dodatku była bombową dziewczyną. Tylko dowiedział się o tym zbyt nagle wszystko, co jej dotyczyło, działo się zbyt nagle - i przez to poczuł się trochę nieswojo. Znała środowisko, więc zrozumie go bez trudu!

- Ale, ale - niemal krzyknął do ojca - dlaczego kazałeś Pauliemu zniszczyć ujęcie, na którym byłeś razem z nią?

- Eh, powiem ci - oświadczył Angelo Partanna. - To ona jest tym fachowcem spoza miasta, który kropnął dla nas Netturbina.

W umyśle Charleya wszystko nagle zaczęło się rozjeżdżać na boki i wpadać na siebie niczym sprzęty na statku walczącym z huraganem. Ogromny koncertowy fortepian, na którym z takim oddaniem i przejęciem wygrywał dla Irene miłosne ballady, pędził jak oszalały po pokładach jego mózgu, miażdżąc wszystko na swej drodze.

Znał w środowisku wielu ludzi, których praca polegała na zabijaniu, i akceptował ich - jednych z obojętnością, z innymi nawet się przyjaźnił. Potrzebowano ich. Ale byli to sami mężczyźni. Niemal wszystkie nadzieje Charleya na normalny, szczęśliwy związek z Irene obróciły się wniwecz, gdy dowiedział się, że wykonuje ten męski fach. Ci, którzy trudnili się zabijaniem, niczym się nie różnili od innych ludzi solidnie wypełniających swoje obowiązki, aby zapewnić sobie dostatek i szacunek otoczenia, lecz jak każdy zawód, ich także wymagał predyspozycji: żeby mordować, trzeba było posiadać pewien typ specyficznej obojętności, w jaką - co do tego Charley nie miał wątpliwości - Bóg nigdy nie zamierzał wyposażać żadnej kobiety. Znał ją krótko, ale ponieważ zdawało mu się, że znają się od wieków, przeinaczał w myślach to, co o niej wiedział, aż wbrew całemu swojemu doświadczeniu, z garści uzyskanych o niej informacji stworzył sobie portret absolutnie nie odpowiadający prawdzie. Irene była kontraktowym mordercą, zarabiała pieniądze zabijaniem ludzi. Czuł straszliwy ból. Meble jego umysłu jeździły po miotanym falami statku nadziei, siejąc w nim spustoszenie, lecz Charley cały czas świadom był jednego: Irene nie była niczemu winna. Tak bardzo pragnął, by rozumiała środowisko, i nagle jego pragnienie się ziściło; wystarczyło jedno zdanie papieża, żeby pojął, skąd w Irene ten głęboko skrywany ból, żeby wszedł w jej duszę i zrozumiał ją na wskroś, lecz okazało się to o tyle ponad jego siły i oczekiwania, że odebrało mu całą radość i pozostawiło w sercu pustkę.

- Co ci jest, Charley? - spytał papież.

- Nie czuję się najlepiej. Pewnie coś mi zaszkodziło. - Podoba ci się ta dziewczyna? To było za mało, nie zareagowałam.

- Kochasz ją? - W głosie papieża nie było zdziwienia. Brzmiał łagodnie. Nie darmo papież był wytrawnym doradcą, najmłodszym ze wszystkich consiglieri.

- Papo, nie mogę o tym teraz mówić.

- Nie musisz, wystarczy, że będę mówił ja. To bystra, zdolna dziewczyna. Posłuchaj mnie - dodał szybko, widząc, że syn zamierza wyjść z pokoju - co jest ważniejsze: to, co o niej wiesz, czy to, co do niej czujesz?

- Ale nie podoba mi się to, co wiem!

- Bo zaskoczyłem cię, tak? Myślisz, że można się wszystkiego o kimś dowiedzieć od ręki? Znasz ją przecież dopiero kilka dni, góra tydzień. A ty co jej powiedziałaś, że jak zarabiasz na życie?

- Że handluję oliwą i serem. Ale ona знаła prawdę, papo. Skoro jest kim jest, musiała wiedzieć, kim ja jestem, ale nie zdradziła się słowem. Przyjechała na bankiet, żeby spotkać się z tobą, i zaraz poszła kropnąć Netturbina. A mnie nałgała, że jest doradcą podatkowym.

- A gdyby było odwrotnie? Gdybym cię uprzedził, że ma rozwalić Netturbina, a potem spotkalibyście się na weselu i spytałaby cię, czym się zajmujesz? Chcesz mi wmówić, że przyznałbyś się, że jesteś wykonawcą Prizzich?

- Nie.

- Obaj znamy facetów, którzy rozpowiadają na lewo i prawo, że sprzątnęli tego czy tamtego, i obaj wiemy, że to gówniarzeria. Ta babka ma klasę. Wiedziała, że prędzej czy później dowiesz się wszystkiego, ale sama nie zamierzała się chwalić. Słuchaj, Charley.

Jeśli ktoś ma taką markę jak ona, dostaje po sto dolców za robotę, nie może iść na żadne ryzyko, i kto jak kto, ale ty powinienesz to rozumieć!

- Ale to nie zawód dla kobiety!

Myślisz, że sama go sobie wybrała? Jej stary był, bydlakiem, ale trzymała się go, dopóki nie znaleziono go pod stertą śmieci na miejskim wysypisku. Dobra córka. Potem trafiła do Marnego Hellera, który się nią zajął. Pojechała z nim do Detroit, opiekowała się nim, kiedy chorował na płuca, ale w końcu się rozdzielili, bo nie chciał, żeby marnowała się w Phoenix. Wróciła do Chicago, gdzie dostała robotę w organizacji. Podobała się, awansowano ją. Została kurierką, latała przez ocean, i równocześnie studiowała prawo finansowe. Okazała się bardzo zdolna.

- I co z tego, że była zdolna, skoro teraz jest specem od mokrej roboty?

- Jest Amerykanką! Nadarzyła się okazja, żeby więcej zarobić, więc skorzystała. Jej biuro podatkowe to świetna przykrywka. Znała środowisko, miała kontakty. Wiedziała, że są sytuacje, w których baba może poradzić sobie lepiej niż Al Melvini czy ty. Więc spróbowała i poszło jej jak z płatka. Zbija kokosy.

- Nie wiem, papo. To nie takie proste. Mieliśmy się pobrać.

- Wierz mi, byłaby świetną żoną. Niestety. Don Corrado i rodzina nie rozumieją tego. Jak chcesz, sprowadź ją do Nowego Jorku. Zamieszkajcie razem. Ale znasz Prizzich. Dla nich właściwym miejscem kobiety jest kuchnia.

- Muszę to sobie dobrze przemyśleć.

- Ale pamiętaj, Charley, co ci powiedziałem. Nie szalej, rozumiesz?

Rozdział 11

Kiedy przyjechali po niego Dom i Phil, papa pożegnał się i wyszedł, a Charley usiadł na tarasie i pograżył się w ponurych myślach. Był zadowolony, że zjawili się goryle papy, bo po raz pierwszy w życiu miał ochotę sprać starego na kwaśne jabłko. Gdyby nie obawa o meble, chętnie sprawiłby wciury Domowi i Philowi. Naszła go ochota pojechać do The Corner i złać kogo tam spotka. Co innego miał robić?

Nagle zdjęły go mdłości, więc zasłaniając dłonią usta pognął do łazienki, potracając po drodze stolik i zrzucając z niego, wazon. Wymiotując, żałował stłuczonego wazonu. Gdzie taki znajdzie? Miał idealny odcień, pięknie współgrający z zieloną obwódką dywanu i zielenią drzew na dużym obrazie. Znalezienie identycznego wazonu zajmie kilka tygodni, myślał wymiotując. A może jakiś fachowiec skleiłby ten tak, żeby nie było widać śladów stłuczenia? Do licha, bardzo liczył, że da się to zrobić.

Płucząc usta doszedł do wniosku, że nie zwymiotował dlatego, iż dowiedział się jak Irene naprawdę zarabia na życie, ale przez te brakujące trzysta sześćdziesiąt dolców, które ktoś zgarnął po zdmuchnięciu Louisa.

Nacierając się wodą kolońską o słodkawym zapachu, z dezaprobatą potrząsnął głową Louis potrafił zupełnie stracić głowę dla pierwszej lepszej cipy. Każda dupa mogła mu wszystko wmówić. Marxie Heller i Louis podzielili forszę poprzedniego wieczoru, więc tego dnia, gdy zatrzymał łbem kawałek ołowiu, Louis miał przy sobie trzysta sześćdziesiąt dolców. Louis Palo, najbardziej nieufny facet, jaki kiedykolwiek jadł pizzę

cuddiruni, pojechał z forszą do knajpy hen poza miastem - do tej budy nędzniejszej od sracza, gdzie kelnerki za parę dolarów dawały się dymać klientom na parkingu - żeby się z kimś spotkać. Charley dobrze wiedział, że Louis nigdy by tam nie polazł, gdyby jakaś cipa, za którą uganiał się od dłuższego czasu, nie naopowiadała mu bzdetów, żeby go sprowadzić. Durny palant!

Wyszedł chwiejnym krokiem z toalety i poprawił stół. Zebrał skorupy jeszcze niedawno stanowiące wazon, który Maerose wyszukała dla niego z takim trudem - chciała, by pasował odcieniem do obwódky dywanu - owinał je ostrożnie w gazetę i schował do szuflady. Gdzie, u licha, znajdzie drugi taki wazon? Kiedy ma go szukać? Musi powiedzieć Maerose co się stało, choć pewnie porządnie go opieprzy. I musi porachować się z tym, kto załatwił Louisa.

Wyszedł na taras, żeby wszystko sobie przemyśleć. Usiadł, spoglądając na zatokę, i zapalił cygaro. Spróbował wydmuchać kółko, lecz wiatr rozwiął je natychmiast. Dobra. To niemożliwe, żeby Irene wykończyła Louisa. A skoro Marxie Heller był właściwie umierający, mała szansa, by miał dość sił, żeby go załatwić. Zresztą nawet gdyby był w sile wieku i zdrowy jak byk. Marxie nigdy nie poradziłby sobie z Louistem. Louis to był jednak twardy gość i podejrzliwy jak diabli. Więc kto, kurwa mać, go wykończył? Charley wstał i wrócił do mieszkania. Bawienie się w zgadywanki nie miało sensu. Potrzebował informacji. Zaczął grzebać w szafie ściennej w przedpokoju i w końcu wyszperał książkę telefoniczną Las Vegas. Odszukał numer knajpy Presta Ciglione, cofnął się do telefonu i wykręcił numer.

Chcę mówić z Prestem. Proszę mu powiedzieć, że dzwoni Nowy Jork.

Czekał krótko.

- Presto? Tu Charley Partanna.

- No, no! To mi dopiero! Charley, co u ciebie? - spytał Ciglione.

- Słuchaj, czy tego dnia, co dostał w czapę, Louis wchodził do twojego lokaju?

- Nie. Dziwne, ale w ogóle nie wszedł do środka.

- Dobra. Rozumiem. Zachowaj naszą rozmowę w tajemnicy. Dziękuję ci.

Charley odłożył słuchawkę i znów wyszedł na taras, kopiąc ogromne cygaro. Potwierdziły się jego podejrzenia. Louis nie pojechał spotkać się z kimś w knajpie Ciglione. Umówił się na parking.

Żadnych świadków. Ktokolwiek spotkał się z Louistem na tym zadupiu i wykończył go na parking w jego własnym wozie, najpierw pokazał mu się w świetle reflektorów, potem wsiadł do środka, załatwił go i ulotnił się ze szmalem. Mogła to być wyłącznie kobieta.

A jaka kobieta była, według papy, najlepszym fachowcem w branży? Do tego jeszcze żoną współnika Louisa? Kto oddał Prizzim trzysta sześćdziesiąt dolców, ale resztę szmalu zatrzymał dla siebie? Która kobieta była tak szalowa, że Louis mógł całkiem ocipieć na jej punkcie i zapomnieć o ostrożności? Charley dobrze wiedział która.

Myślał i myślał i za każdym razem dochodził do tego samego wniosku. Dwóch facetów fałszuje rewery i pobiera z kasy kasyna gotówkę. Do tego numeru nie potrzeba im innych współników. Wystarczy ich dwóch, żeby gwizdnąć Prizzim siedemset dwadzieścia dolców. Louis nie musiał się z nikim więcej spotykać w Vegas. Szmal już

miał. Marxie Heller prysnął z Vegas natychmiast. Więc na co jeszcze czekał Louis? Mógł czekać tylko na to, na co gotów był czekać zawsze i wszędzie - na jakąś dupę. Irene przypuszczalnie wmówiła mu, że porzuci Marxiego i ucieknie z nim i z całym szmałem, więc pewnie czekał na nią z nabrzmiałym kutasem, a ona wyłoniła się z mroku, wsiadła do wozu i wyciągnęła spluwę. Właśnie tak musiało się wszystko rozegrać. Irene kropnęła Louisa i zabrała jego dolę. Z tym, co dał jej Marxie, który wiedział, że lada dzień odwali kite, miała siedemset dwadzieścia tysięcy zielonych. Spodziewała się, że Prizzi przyślą właśnie jego, Charleya, żeby wyjaśnił sprawę, więc podzieliła forszę z powrotem na dwie części, i odegrawszy przed nim niewiniątko nie gorzej niż Lillian Gish, oddała mu połowę łupu. Siedział na fotelu w rogu tarasu, ściskając w zębach cygaro, i kołysał się w tył i w przód, trzymając się obiema rękami za brzuch, a łzy spływały mu po policzkach. W końcu sięgnął po stojący obok fotela telefon, postawił go sobie na kolanach i wykręcił znajomy numer.

- Maerose? - powiedział do słuchawki. - Mówi Charley. Jak to jaki Charley? Charley Partanna, do licha! Ilu Charleyów dzwoni do ciebie po nocy, co?

- Na miłość boską, Charley! Jest za kwadrans pierwsza! O co chodzi, znów chcesz telefon jakiejś polskiej dupy?

- Mae... Mae, posłuchaj... Stłukłem wazon.

- Jaki wazon?

- Ten piękny wazon, który pasował do obwódki dywanu. Ten, który wyszukałaś dla mnie z takim trudem.

- Charley, co ci odbiło?

- Jesteś sama?

- Oczywiście, ty ośle!

- Mae, muszę się z tobą zobaczyć.

- Przez ten wazon? - Ale słyszała potrzebę w jego głosie. - Musisz się ze mną zobaczyć?

- Tak. Mogę?

- Charley, o co chodzi? Co się stało? Masz kłopoty? Ale nawet Charley, nawet Charley, który po raz pierwszy w życiu był w tak czarnej rozpacz, wiedział, że lepiej zaprzeczyć:

- Dlaczego myślisz, że skoro chcę się z tobą widzieć, to muszę mieć kłopoty? Po prostu... Po prostu stęskniłem się za tobą. Mam ochotę pogadać. Rozumiesz?

- Po dziesięciu latach nagle się za mną stęskniłeś?

- Mogę przyjechać?

- Pewnie, Charley.

- Będę za pół godziny, góra czterdzieści minut. Uczesał się w łazience przed lustrem, poszedł do sypialni i włożył krawat. Po chwili ściągnął jednak krawat, a białą koszulę zamienił na sportową z krótkimi rękawami, tę samą, którą miał na sobie w Phoenix - najpierw jednak obwąchał ją dokładnie, żeby sprawdzić, czy jest jeszcze czysta, a następnie, na wszelki wypadek, spryskał się pod pachami wodą kolońską.

Odkąd ojciec zakazał jej wstępu do rodzinnego domu. Maerose mieszkała na Manhattanie w bloku apartamentów "Matsonia" na Wschodniej Trzydziestej Siódmej Ulicy, tuż przy Alei Parkowej. Miała dziesięć punktów w firmie zajmującej się projektowaniem wnętrz usytuowanej na Wschodniej Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy. Do celów zawodowych posługiwała się pseudonimem Mary Hoover. Jako dekoratorce szło jej całkiem nieźle: obsługiwała klientów płci męskiej, bogatych klientów, których stać było na przymatyczne płótna Jamesa Richarda Blake'a. Angelo Partanna, za pozwoleniem Don Corrada, pełnił funkcję jej łącznika z Prizzimi. Wolno jej było odwiedzać rodzinę na Boże Narodzenie i niektóre inne święta kościelne, takie jak Dzień św. Gennaro, oraz uczestniczyć w przyjęciach urodzinowych, bywać na ślubach i pogrzebach. Rozmawiali z nią wszyscy oprócz jej dziadka, ojca, Eduarda, głów rodzin Sesterów i Garronych, oraz innych mężczyzn z rodziny Prizzich. Wiele kobiet nie odzywało się do niej, dopóki Don Corrado nie oznajmił, iż pragnie, aby to uległo zmianie, ale wówczas sama nie miała już ochoty z nimi rozmawiać. Charley, sprawca jej wygnania, zawsze mówił jej cześć, jeśli niewiele więcej. Angelo Partanna i Amalia Sestero byli jedynymi osobami, które witały ją naprawdę serdecznie. Trwało to dziewięć lat i dwa miesiące - prawie dziesięć, jak mówili wszyscy - lecz Maerose nigdy nie przepuściła okazji, żeby przyjechać na drugą stronę rzeRi i z dumnie uniesioną głową pojawić się wśród Prizzich. Tym niezwykłym uporem już w trzecim roku wygnania zaskarbiła sobie milczące poparcie Don Corrada, toteż stopniowo coraz więcej mężczyzn, w tym Eduardo, zaczęli rozmawiać z nią przyjaźnie, kiedy nie było w pobliżu Vincenta, który twardo obstawał przy swoim. Nie mogła też w żaden sposób uzyskać zgody, żeby odwiedzić rodzinę - a tym samym symbolicznie powrócić do Brooklynu - w jakikolwiek dzień oprócz tych kilku zaakceptowanych przez ojca.

Maerose Prizzi, księżniczka na wygnaniu, tęskniła za swoimi bliskimi i domem rodzinnym, mieszkając zaledwie cztery mile od niego; rzeczy, których pragnęła, miały się do niej jak planety do słońca, część była jej bliska, część daleka, lecz najsilniej pchała ją do powrotu ochota, aby wślizgnąć się do łóżka Charleya Partanny i nigdy go już nie opuścić.

Była silna: wynegocjowała przez Angela Partannę prawo do odwiedzin, choć ojciec zaklinał się, że jej noga nigdy nie postanie w rodzinnym domu. Użyła całej swojej inteligencji, wytrwałości i cechującego wszystkich Prizzich uporu, by uzyskać prawo do spędzania w gronie rodzinnym świąt Bożego Narodzenia, a potem innych świąt kościelnych, do których jej dziadek przykładał wielką wagę, następnie zaś prawo bywania na ślubach i pogrzebach. Przegrała bój o wieczór sylwestrowy i o otwarcie sezonu na Shea Stadium - gdzie Prizzi posiadali ważne koncesje za pierwszą i trzecią bazę - choć stadion mieścił się nie w Brooklynie, lecz w Queens. A także o wszystkie pozostałe dni roku. Kiedy jednak zorientowała się, że zdobyła wszystko, co było do zdobycia, przestała walczyć.

Angelo Partanna wpadał do niej do "Matsonii" na godzinę w każdy piątek o jedenastej rano i przynosił jej kieszonkowe od dziadka: pięć punktów, które jej wyznaczył, od zysków firmy zaopatrującej restaurację. Angelo przekazywał jej wszystkie rodzinne wiadomości. Bądź co bądź jego zawód polegał na doskonałej pamięci. O Charleya pytała

na końcu, kiedy już odprowadzała Angela do drzwi, i choć za każdym razem nieco inaczej formułował odpowiedź, zawsze brzmiała podobnie:

- Myślę, że Charley tęskni za tobą, Maerose. Ale minęło już prawie dziesięć lat... No i musi pamiętać o rodzinie...

Kiwała z powagą głową. Angelo całował ją w oba policzki, i żegnali się do następnego razu.

Maerose czekała, pewna ojcowskiego przebaczenia i swojego miejsca u boku Charleya. Upłynęło prawie dziesięć lat, a on wciąż się nie ożenił. Jeśli nawet widywał się z kobietami, nie afiszował się z nimi przed rodziną. Rozumiała nie gorzej od mężczyzn, że honor ważniejszy jest od miłości, a już bezwzględnie istotniejszy niż małżeństwo i płodzenie dzieci. Honor to twarz, serce i dusza rodziny. Nie wiedziała, jak może przywrócić mu utracony przez nią honor, lecz nadal czekała na Charleya.

Przez niemal cały dziesięcioletni okres tylko raz była bliska zwątpienia. Charley, który nie telefonował do niej od czasu jej ucieczki do Meksyku, zadzwonił nagle, żeby spytać o numer pewnej kobiety. Boże, myślała, że łono wywróci jej się na nice!

Ta kobieta była kontraktowym mordercą. Wiedziała o tym, ponieważ ojciec Charleya prosił, żeby przywiozła ją z hotelu na ślub, a potem z kościoła na wesele, gdzie Angelo zlecił jej sprzątnięcie jakiegoś faceta - jak się później okazało, Sala Netturbina. Babka jak sople lodu. Jezu, kiedy Charley zadzwonił, poczuła się tak, jakby ktoś dźgnął ją nożem. A potem Amalia opowiedziała jej, że mąż tej kobiety wraz z Louistem Palem okradli Casino Latino i wysłano Charleya, żeby go wykończył; mogło to jeszcze bardziej zbliżyć go do rywalki.

Maerose codziennie rano rozmawiała z Amalia przez telefon i codziennie wypytywała ją o Charleya i tę Polkę. Amalia mówiła jej, że Charley wciąż lata do Kalifornii i zachowuje się tak, jakby był niespełna rozumu. Kiedy więc zadzwonił do niej w środku nocy i powiedział, że pragnie się z nią zobaczyć, od razu się domyśliła, że chce się z nią przespać, żeby zemścić się za coś na tej Polce. Zawsze jakiś początek. Lepsze to niż nic, a przez blisko dziesięć lat nie miała od niego nic.

W kontaktach z Charleyem postanowiła się trzymać bardzo prostej, lecz nad wyraz skutecznej zasady, że jedna rzecz zwykle prowadzi do drugiej.

Kiedy Charley zjawił się w "Matsonii" i nacisnął dzwonek. Maerose ubrana była odpowiednio do okazji. Piękne kruczoczarne włosy, miękkie jak chiński jedwab, opadały jej na plecy aż poniżej talii, obramowując wspaniałą, pociągłą twarz o arabsko-włoskich rysach i wydatnym orlim nosie, podkreślając oliwkowość cery - z tym podkładem różu, który był jakby ciepłą kopertą jej ciała - kontrastującą z jaskrawą bielą zębów, gdy uśmiechnęła się, by powitać mężczyznę, którego - jak była o tym głęboko przekonana - Bóg przeznaczył jej na męża.

- Cześć, Charley - powiedziała. - Co cię naszło? Wziął głęboki oddech.
- Musimy... no... porozmawiać.
- Chcesz rozmawiać w drzwiach, czy wejdiesz do środka i usiądziesz?
- Wejść.

Usiedli obok siebie na ogromnej kanapie.

Salon Maerose urządzony był jak wnętrze ważnej chińskiej pagody z czasów Napoleona II, gdyby tylko cesarz panował na Dzikim Zachodzie.

- Rzeczywiście nie wygląda to autentycznie - oświadczyła Maerose w rozmowie ze swoimi współpracownikami - ale zgodzicie się chyba, że jesteśmy jak projektanci mody. Musimy robić wszystko, żeby nasze kreacje przyciągały uwagę klientów.

- Tak - przyznał starszy. - Ale co, jeśli klient dostanie wylewu na widok czegoś takiego?

- Słuchaj, Gascoigne, kolory są zgrane, a to jest najważniejsze. Kształty każdy widzi inaczej, ale kolor to rzecz nieśmiertelna!

- Pięknie tu u ciebie - pochwalił Charley.

- To mój zawód.

- Dlaczego masz tyle książek?

- Często bywam sama.

- Dlaczego do mojego mieszkania nie wstawiłaś żadnych?

- Bo ty rzadko bywasz sam.

Usiłował patrzeć tylko na jej twarz. Nie na oczy, nie potrafił w nie spojrzeć, ale na twarz, jednakże wzrok wciąż opadał mu niżej, i wkrótce poczuł się tak, jakby jakieś szpony drapały mu krocze, bo pod cienką szmatką nic na sobie nie miała, wyraźnie widział jej cyce. Rany! Co za cudowna para drugorzędnych cech płciowych; jak określił piersi autor pewnego artykułu, który niegdyś czytał. Musiał poprawić sobie spodnie.

- Słyszałem, że wciąż palisz trawy - oznajmił, żeby w ogóle coś powiedzieć.

- Popalam, ale nie wciąż. Chcesz skręta?

Charley nie wiedział, jak zareagować. Trawa, śnieg, hera, były dobre dla frajerów. On i ojciec czuli straszliwą pogardę dla wszystkich narkomanów. A także dla pijaków, odkąd zajęli się podrabianiem nalepek na whisky. Na myśl o alkoholu przypomniła mu się portorykańska knajpa, w której Irene zamówiła dla nich jugo de pi?as con Bacardi. Żeby odpędzić wspomnienia, odparł:

- Czemu nie, chętnie.

Maerose otworzyła rzeźbioną szkatułkę z kości słoniowej stojącą na stoliku i wyciągnęła w jego stronę.

- Nie wiedziałam, że lubisz sobie zapalić.

- Wcale nie lubię - zaprzeczył kategorycznie, biorąc skręta. - W ogóle nie palę trawy!

- A co z nią robisz? Dodajesz do ciasteczek? - Wyjęła mu z dłoni skręta, zapaliła, zaciągnęła się głęboko i oddała mu z powrotem. - Czego ty ode mnie właściwie chcesz, co Charley?

Wziął sztacha i przytrzymał dym w płucach, po czym wypuścił wolno i rzekł:

- Chciałem z tobą pogadać.

- I tylko po to przyjechałeś taki kawał z Brooklynu prawie o drugiej nad ranem?

Pozwolił sobie położyć dłoń na jej kolanie, a właściwie na udzie. Było ciepłe, przyjemnie ciepłe. - Zmarnowaliśmy trochę czasu.

- Prawie dziesięć lat, a ty mówisz trochę czasu! Dlaczego nie czekałeś, aż stuknie mi pięćdziesiątka?

- Bo - zaczął wolno, powoli wypuszczając dym - jak skończysz pięćdziesiątkę, będziesz pewnie gruba jak stodoła!

- Tak? Jak ja skończę pięćdziesiątkę, ty będziesz wyglądał jak ojciec Hydraulika, jeśli ter, hycel w ogóle miał ojca. Chcesz się ze mną przespać, Charley? O to ci chodzi?

- Hej, wolnego! Nie mamy się co spieszyć, do licha!

- Nikt nie spieszył się mniej od nas, Charley. Dziesięć lat! Odpowiedz - chcesz czy nie?

- Eh... tak.

- W porządku.

Wstała i zaczęła zdejmować cieniutki peniuar.

- Przy świetle? - spytał Charley.

Stała w pantoflach na wysokich obcasach, naga jeśli nie liczyć grubej kredki do powiek, oddychając ciężko.

- Tak. Tutaj. Na dywanie. Przy świetle.

- Madonna mia - wybełkotał Charley.

Zanim minęła godzina, kochali się na dywanie, w łóżu z ogromnym baldachimem oraz pod prysznicem, z tym że Charley siedział na stołku, bo już się nieco zmęczył. Szeptał jej do ucha, że ma atlasową skórę, cudowne piersi, krągłe biodra, aż mu powiedziała, żeby albo zaczął do niej gadać wulgarnie, albo w ogóle zamknął japę.

O siódmej podała mu śniadanie, tak znakomite, że sam nie umiałby podobnego przyrządzić: caciotti, małe, gorące paszteciki z serem i mieloną nerką, sarde bcccafico, drobne sardynki z nadzieniem z tartej bułki, salami i nasion pinii, skropione cytryną, a do tego butelka zimnego białego wina oraz litr czarnej kawy.

Żując, popatrzył na nią z konsternacją zmieszaną z podziwem. Przewiązała się fartuszkiem, ale nic więcej na sobie nie miała.

- Nie wiem, co robić - poskarżył się.

- Pewnie.

- Co znaczy pewnie?

- Charley, do jasnej cholery, przez blisko dziesięć lat mówisz mi "cześć" i nic więcej, aż nachodzi cię ochota na Irene Walker, więc dzwonicz do mnie jak do biura numerów, i to niby ma być nasze pożegnanie, prawda? Potem ni stąd, ni zowąd, cały w nerwach, budzisz mnie o pierwszej w nocy i koniecznie chcesz się ze mną walić. Więc nie trudno zgadnąć, że masz kłopoty, najgorsze odkąd wtedy zwiłam ci do Meksyku.

- Tak myślisz? Skąd ci to przyszło do głowy?

- A jak ja się nazywam, co? Jones? Nie, Prizzi. Jestem wnuczką Corrada Prizziego.

- Mogę mówić z tobą szczerze?

- Nie wiem, Charley. Jeszcze nie tak dawno sądziłam, że tak, ale teraz nie wiem.

- Wczoraj byłem gotów się zastrzelić.

- Charley, nie żartuj!

Popatrzył na nią i skinął głową. Na twarzy miał wypisaną bezradność. Nigdy go nie widziała w takim stanie.

Siedzieli po obu stronach stołu w przeładowanej sprzętem automatycznym kuchni i patrzyli na siebie, jakby wsłuchując się w nieistniejące tykanie elektronicznego zegara.

- Opowiedz mi wszystko po kolei, Charley.

- Tylko przed tobą, Mae, mogę się otworzyć. Kiedy próbowałem zwierzyć się papie, nie potrafiłem wydusić z siebie słowa, a nikogo więcej nie mam. Ale choć ulżyłoby mi, gdybym ci wszystko opowiedział, tobie sprawiłoby ból, więc nie mogę, bo to jakbym pozbawiał się męskości, plamił własny honor.

- Charley, jak możesz sprawić mi większy ból, niż czułam przez te wszystkie lata? Osiągnęłam dno. Pewnie ty się tak czujesz teraz. Chciałam się zabić, wiedziałam jednak, że dla dziadka byłoby to straszniejszą plamą na honorze niż moja ucieczka do Meksyku. Ale do licha, Charley, możesz mi wierzyć: czas leczy wszystkie rany.

- Nie wiem, jak to się stało. Kiedy ujrzałem tę kobietę, coś przestawiło mi się w głowie, zacząłem wszystko widzieć inaczej. Ot tak, po prostu. Zobaczyłem ją i to wystarczyło. Odnalazłem ją w Kalifornii i spędziliśmy razem parę dni. Nie tak jak teraz z tobą - to zdarzyło się tylko raz, wtedy - ale byliśmy ze sobą mnóstwo czasu; koncentrowałem się, żeby wszystko zapamiętać i byłem pewien, że poznałem ją na wylot.

Maerose zagryzła wargi i słuchała dalej.

- Jak, ostatni kretyn! - zawołał gwałtownie. - Ale dobra. Louis Palo, gość tak uczciwy, że mógłby być zakonikiem, dogadał się z kasjerem nazwiskiem Heller i orzneli twojego dziadka na siedemset dwadzieścia dwa dolce i trochę drobnych. Twój ojciec wysłał mnie, żebym odzyskał szmal i nauczył gnoi moresu. Louisa już ktoś trzepnął, więc sprzątnęłam Hellera, po czym usiadłem i czekam, aż wróci jego stara, i wiesz co się okazuje? Że jego żona to moja ukochana! - Błagalnym gestem podniósł swoje potężne łapska. - Co miałem robić? Dała mi torbę z połową szmalu i opowiedziała jakąś bajeczkę. Odgadłem wszystko, gdy tylko ją tam zobaczyłem. Lonis był za głupi, żeby sam obmyślić ten kant. Heller umierał na płuca i gówno go wszystko obchodziło. To ona zaplanowała cały numer. Złapała Louisa za chuja i wciągnęła do spółki. To ona go rozwalila! Ma połowę szmalu Prizzich. O kurwa! Myślisz, że władowałem ją do bagażnika obok Hellera i zawiozłem na lotnisko, żeby tam na parkingu znalazły ich gliny? Nie. Wróciłem da Nowego Jorku i patrząc twojemu ojcu prosto w oczy, skłamałem, że ona jest czysta. Powiedziałem, że nie wiem kto wykończył Louisa i zgarnął resztę szmalu.

- Ależ Charley...

- Nawet się nie zająknąłem! Całe życie byłem uczciwy, a tu nagle okłamuję twojego ojca i nic sobie z tego nie robię. I jakby Bóg chciał mnie ukarać za to, że przesrałem swój honor, nagle dowiaduję się od papy, że właśnie ona jest tym fachowcem, który kropnął dla nas Netturbina! - Ukrył twarz w dłoniach i oparł łokcie o stół. - Kocham ją. To głaz, którego nie umiem zepchnąć ze swej drogi, a który jest za wielki, bym mógł go obejść. Kocham ją!

- No więc co zrobisz? - spytała szorstko Maerose. Zaśmiał się pusto.

- Muszę znaleźć takie rozwiązanie, żebym mógł z tym żyć. Maerose wzięła głęboki oddech.

- Więc bierz się do dzieła.

- Ale jak? Co mam robić?

- Charley, wierz mi, nawet ludzie, którzy pracują w biurze, nie żyją wiecznie. Nie trać czasu! Zaczynj działać! Nie zwlekaj; może na łożu śmierci przypomnisz sobie jak postąpiłeś i odzyskasz szacunek dla samego siebie. Nie będzie to żadną ujmą na twoim honorze, jeśli zaraz wsiądziesz w samolot, polecisz do Kalifornii i wyjaśnisz sprawę do końca.

Wbił w nią wzrok, nie mogąc uwierzyć, że właśnie rozwiązała wszystkie jego problemy.

Posłuchaj, Charley - powiedziała, ruszając do salonu po szkatułkę z kości słoniowej. - Taka kobieta jak ona myśli w ten sposób tylko w konkretnych sytuacjach. Od dzieciństwa uczono ją, że powinna się piąć w górę, posługując się tym, co ma. A co miała? Spaczony umysł i tani pistolet, więc posłużyła się nimi, żeby dojść do dużej forsy. No i popatrz. – Podała mu zapalonego skręta - Udało się jej! Ale do licha, Charley, tylko dlatego, że jest złodziejką i najemnym mordercą, nie znaczy, że pod innymi względami nie jest przyzwoitą kobietą. Ty nie musiałeś kraść, ale jesteś wykonawcą rodziny, i wcale ci to nie przeszkadza być porządnym człowiekiem. Rozumiesz, co mówię? Do licha, gdyby była projektantką mody czy jakąś bogatą lalą i coś by się między wami zawiązało, po miesiącu mielibyście się dosyć! Ty i ta kobieta patrzycie na wszystko jedną parą oczu. Masz szczęście, że dowiedziałeś się o tym w porę, wiesz Charley?

Charley rozplakał się z ulgą. Maerose spojrzała na jego pochyloną głowę, uśmiechnęła się z sycylijskim tryumfem i wyszła z kuchni.

Rozdział 12

Sześć dni przed ślubem Teresy Prizzi w Nowym Jorku, Irene Walker wyslizgnęła się naga z łóżka, pozostawiając w nim Louisa Pala i zerkając z niechęcią na jego brudne włosy. Była ładną, może nawet bardzo ładną kobietą, ale miała w sobie coś znacznie ważniejszego od urody: spokój, który działał kojąco na gwałtownych mężczyzn.

Włożyła niebieski, jedwabny szlafrok, kupiony w ekskluzywnym sklepie za osiemset dwadzieścia pięć dolarów. Wsunęła stopy, w importowane francuskie pantofelki za sto pięćdziesiąt dolarów, również kupione detalicznie.

- Gdzie idziesz? - spytał zaspanym głosem Louis.

- Zaparzyć kawę! - zawołała rześko.

- Która godzina?

Spojrzała na stojący na kominku ozdobny zegar Patek-Philippe, który kosztował ją u jubilera trzy i pół tysiąca dolarów.

- Za kwadrans ósma.

Louis mruknął coś i niczym koziołkujący ze skały gruchot, przekreślił się na drugi bok, wgniatając poduszkę w wezglowie łóżka.

Irene nastawiła kawę, a następnie wzięła prysznic i umyła głowę. Zanim kawa była gotowa, ubrała się w kostium od Diora, kupiony w salonie mody za sześćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Zawsze kupowała wszystko w najlepszych sklepach, bo tak wypadalo.

- Kupując od pasera, nie możesz reklamować towaru, jeśli okaże się kiepski - powtarzała Marxiemu. - A tak w ogóle, co to za zwyczaj, że ludzie, którzy nie znają paserów, kupują wszystko bezpośrednio od producenta lub hurtownika za zaliczeniem pocztowym, bo inaczej czują się wykiwani? I to ludzie z forszą! Nie mają żadnej klasy! Bo klasa polega na tym, że kupuje się wszystko w sklepach po normalnych cenach detalicznych!

Przyniosła na tacy, którą postawiła na stoliku obok łóżka, dwie filiżanki, dwa spodki, dwie łyżeczki, cukier i śmietankę.

- Gotowe, mój miły!

Louis zrzucił z siebie prześcieradło i usiadł na łóżku - wyglądał tak, jakby powieki miał przyszyte do brody. Wyciągnął rękę. Irene pomogła mu sięgnąć po filiżankę. Podniósł ją do ust.

- Hej! - zawołał nagle, szeroko otwierając oczy. - Gdzie jest kawa?

- W kuchni. Dzbanek nie zmieścił się na tacy.

- Ale ty jesteś, Irene! - stwierdził z podziwem. - Mało kto by się odważył podać mi pustą filiżankę!

- Ale się obudziłeś, co? - Jasne! Jak po kawie!

Wróciła z dzbankiem i napełniła mu filiżankę.

- Wszystko gotowe, Louis. Dziś zaczynamy.

- Rewersy, które zdobyłaś, są świetne.

- Sporo kosztowały.

- Nic dziwnego.

- Jack Ramen wyjeżdża dziś na wakacje, rusza w drogę gdy tylko zjawisz się w kasynie. Mamy dziesięć dni czasu. Dziś dasz Marnemu dwa weksle, jutro trzy, we wtorek jeden, i tak dalej. W sumie czternaście. Zgarniemy siedemset dwadzieścia dwa tysiące i osiemdziesiąt pięć dolców. Nieźle, co?

Louis uśmiechnął się szeroko.

- Zabezpieczenie na wypadek inflacji - oświadczył.

- Pewnie! Sześćdziesiąt procent dla ciebie, bo masz najtrudniejsze zadanie, po dwadzieścia dla Marxiego i dla mnie. Potem polecimy do Rio i będziemy żyli długo i szczęśliwie.

- Nie wiadomo, czy długo.

- Dlaczego? - Jej jasnopiwne oczy zaślniły z ciekawości.

- To zależy od Charleya Partanny.

- Jak to?

- Wiesz, kto to taki?

- Słyszałam, że wykonuje brudną robotę Prizzich.

- Tak. I to skutecznie.

- Jeszcze jeden typowy osiłek pracujący dla syndykatu!

- Charley jest inny. Typowy osiłek wypełnia polecenia i szuka, bo mu każą, a jak kogoś nie znajdzie, to trudno; Charley natomiast bierze sobie każde zadanie głęboko do serca. To dla niego sprawa honoru: jeśli Prizzi mówią mu, że ktoś ich orznął, Charley zawsze robi z tego lekcję pogładową. Nigdy nie daje za wygraną. Wciąż próbuje. Jak nie tak, to inaczej. Odczekuje i znów szuka. Wierz mi, Irene, jeśli nawet dolecimy do Rio, to jeszcze wcale nie znaczy, że nam się udało.

- Nie rozumiem. Marxie wspominał mi o Charleyu, ale mówił, że to prostak.

- Tak. Sycylijski prostak. Dlatego właśnie jest najbardziej niebezpieczny. Święcie wierzy w to, że jego zadaniem jest strzec honoru Prizzich. Przejmuje się, kiedy ktoś ich oszukuje lub nie okazuje im należytego szacunku. Na tym to polega. Pamiętasz Joeya Labiolę i Willy'ego Daspisę?

- To ci dwaj, którzy zaczęli sypać przed czterema laty?

- Tak.

- No i co?

- Jak myślisz, gdzie się znajdują teraz?

- Rząd zafundował im operacje plastyczne. Nowe nazwiska, nowe dokumenty.

Pewnie prowadzą sklep z farbami czy coś w tym rodzaju w jakiejś małej dziurze.

- Charley ich odnalazł.

Ta wiadomość zrobiła na niej wrażenie.

- Jak? - zapytała.

- Zajęło mu to prawie trzy lata i musiał czekać na zmianę administracji w Waszyngtonie. Naciskał Eda Prizziego, żeby dowiedział się przez swoich znajomych w rządzie, gdzie Willie i Joey się podzieli. Prizzi stracili przez nich jakieś sześćset kafli i Charley dosłownie nie mógł tego znieść. Nie chodziło mu o samą forszę, lecz o to, że wycieli Prizzim taki numer. Ojciec dobrze go wychował. Jeśli ktoś cię wykiwa, musi za to beknąć. Tak uczył Charleya, i miał rację. Cały interes Prizzich rozpadłby się w mgnieniu oka, gdyby każdy mógł ich bezkarnie kantować.

- Cholera, to niewiarygodne. Charleyowi udało się przebić przez rządowy program ochrony świadków?

- Owszem, udało mu się. Słuchaj, o Joeyu i Willym pisała cała prasa. Złożyli zeznanie, po czym znikli bez śladu. Sześciu żołnierzy Prizzich trafiło przez nich do pudła. Samo utrzymanie ich rodzin kosztowało Prizzich osiemdziesiąt dolarów rocznie. Dziwisz się, że odnalazł dwóch facetów z nowymi twarzami, nowymi odciskami palców, nowymi dokumentami, w kraju tak ogromnym jak Ameryka? Facetów, którzy mogli nawet przysnąć za granicę? Otóż wiedz, że Charleya łączy niewidoczna nić z każdym, kto wykiwa Prizzich. Zażądał zwołania posiedzenia Komisji. Godzinami wisiał na telefonie, przypominając każdemu capa, wszystkim drobnym krętaczom w całym kraju, że szukanie Joeya i Willy'ego to ich obowiązek. Ale ludzie, jak to ludzie. Mieli inne rzeczy na głowie. Po pewnym czasie zaczęli go zwyczajnie zbywać, więc wtedy uczeplił się Eda Prizziego. Ed się wkurwił i kazał mu się odpieprzyć. Ale Charley ani myślał dać za wygraną. Nudził i nudził, aż wreszcie Ed zwołał zebranie rodziny. Przewodniczył Don Carrado. Obecni byli Vincent, Angelo Partanna i trzej capiregime. Charley palnął im taką mowę, że już nikt nie mógł mu kazać, aby dał spokój całej sprawie. Musi odszukać Joeya

i Willy'ego, bo tu chodzi o honor Prizzich. Muszą ponieść zasłużoną karę. Don Carrado polecił Edowi zabrać się do dzieła. Ed przycisnął kilku ważnych polityków i w końcu, po ośmiu miesiącach, uzyskał pożądane informacje, i to bezpośrednio od rządu!

- Jezu!

- Wiesz, co Charley zrobił? Odnalazł ich w Yakimie w stanie Waszyngton. Mieli firmę meblową. Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to, że zdecydowali się sypać, bo byli pedałami i kochali się w sobie. Tak. Szczera prawda. Dwaj Sycylijczycy, aż się w pale nie mieści! No, ale nic. Charley wynajął w Yakimie dom i powiedział pośrednikowi, że potrzebuje mebli. Pośrednik miał od tego otrzymać prowizję. Podsyłał więc Charleyowi różnych dekoratorów, ale ten wciąż powtarzał, że żaden mu nie odpowiada. Wreszcie pośrednik przysłał Joeya. Medycy zrobili niezłą robotę. Twarz miał rzeczywiście inną, ale nie całkiem nową, więc po chwili go rozpoznałem. Ponieważ Joey mnie nie znał, to ja go przywitałem, nie Charley. Pojechaliśmy zobaczyć meble u niego w magazynie. Był tam i Willy. Złote bransolety, długie, farbowane włosy, koszula rozpięta po pępek. Jezu. Powiedziałem, że chcę, aby ktoś wprawnym okiem rozejrzył się po domu i doradził mi, co pasuje, a co nie. Wstąpiliśmy na kielicha, a potem mieliśmy jechać w trójkę obejrząc dom: ja, Joey i Willy. No, Willy po paru kieliszkach jest już dobry, szczebiocze i strzyże oczkami jak rasowy pedzio, bo to on robi w spółce za artystę, a Joey głównie prowadzi księgowość. Więc jedziemy do domu, spory kawał od miasta. Na miejscu poję ich winem, serwuję spaghetti, i siedzimy tak sobie w salonie, gdy nagle wparowuje Charley. Na jego widok Joey natychmiast się porzygał. Willy zemdłał. Sprowadziliśmy ich do piwnicy, i tu dopiero Charley zaprezentował swoją klasę. Nie wrzeszczał, nie wymyślał im, po prostu wyjaśnił sytuację, jakby to było ważne, żeby wiedzieli, o co chodzi. Przypomniał im, spokojnie, bez nerwów, że kiedy Prizzi przyjęli ich do rodziny, byli młodymi gówniarzami, niepewnymi jutra, którzy ledwo wiązali koniec z końcem ogrywając jeleni w trzy karty. Wyliczył gnojom, jak z roku na rok wiodło im się coraz lepiej, aż wreszcie, gdy rozkręcił się interes ze śniegiem, Prizzi dali obu odpowiedzialne stanowiska. Joey beczy. Willy wciąż powtarza: "Co chcesz zrobić, Charley? Powiesz cię, jeśli tkniesz nas choć palcem!" i inne takie bzdury. Charley przemawia do nich jak ojciec. Pragnie tylko, by zrozumieli, że wyrządzili krzywdę Prizzim. Oni wciąż nie kojarzą, że wkrótce ich załatwi. Myślą, że chce od nich czegoś innego, ale cholera wie czego.

"Czego od nas chcesz?" - pytają.

"Chcę, żebyście wykonali kilka telefonów - mówi Charley - i powiedzieli, że żałujecie tego, coście zrobili."

"To wszystko?"

Kiwa głową.

"Do kogo mamy zadzwonić?"

Podaje im nazwiska i domowe numery czterech capi di mafiosi z różnych stron kraju. Podnosi słuchawkę i wykręca pierwszy numer. Mówi po sycylijsku:

"Don Abramo, tu Charley Partanna."

Słucha. Wymieniają pozdrowienia.

"Siedzę tu - wyjaśnia - z Joeyem Labriolą i Willym Daspisą, chłopakami, o których rozmawialiśmy parę lat temu. Pragną zamienić z panem kilka słów. Jedną chwilę."

Wręcza słuchawkę Joeyowi.

“Co mam powiedzieć?” - pyta Joey.

“Powiedz, że wyrządziłeś krzywdę Prizzim i powinieneś smażyć się za to w piekle” - poucza go Charley.

Joey bierze słuchawkę.

“Don Abramo, tu Joey Labriola - mówię drżącym głosem. - Chciałem panu powiedzieć, że wyrządziłem krzywdę Prizzim i powiniennem smażyć się za to w piekle.”

Spogląda na Charleya, a ten wskazuje cygarem na Willy'ego. Willy bierze słuchawkę i powtarza to samo. Cztery rozmowy. Joey i Willy po każdej mają coraz pewniejsze miny.

“Teraz zadzwonimy do Don Corrada - oświadcza Charley, wykręcając numer. - Amalia? Mówi Charley Partanna, poproś Don Corrada.”

Czeka.

“Padrino mówi po chwili - są ze mną Joey Labriola i Willy Daspisa.”

Słucha. Joey wstaje, żeby wziąć słuchawkę.

“Tak, padrino. Tak.” - mówi Charley i rozłącza się.

“Wybacza wam” - oznajmia.

Joey i Willy padają sobie w objęcia. Płaczą z radości.

“Ale chce mieć wasze kciuki” - dodaje Charley.:

Odskakują od siebie jak oparzeni.

“Co?” - pyta Willy. Joey nie może wydusić z siebie ani słowa.

“Chyba nie myśleliście, że zdrada ujdzie wam na sucho?”

“Nie możesz nam tego zrobić!” - wrzeszczy Willy.

Charley strzelił każdemu w brzuch. Kiedy upadli na ziemię, wyjął z szuflady toporek. Ukłął obok pierwszego, rozczapierzył mu dłonie i odrąbał kciuki. To samo uczynił z drugim. Ból sprawił, że ocknęli się. Otworzyli oczy i spojrzeli na Charleya. Nie odwrócił wzroku. To skryty gość, ale tego dnia cieszył się jak dziecko. “Gliny w Brooklynie dostaną wasze kciuki! - zawołał. - A nasz człowiek przekaże prasie wasze personalia i odciski palców. Znowu będziecie sławni! Sławni!” Przeszelił im kolana. Darli się wniebogłosy. Więc Charley na to, jakby byli w stanie go jeszcze słyszeć: “Poczekamy, chłopaki, aż się uciszycie.” Po około dwudziestu minutach - a ich wycie było naprawdę nie do wytrzymania - strzelił każdemu w łeb i odjechaliśmy.

Irene patrzyła na Louisa.

- Nie zostaniemy w Rio - oznajmiła. - Pojedziemy do Południowej Afryki, gdzie cały czas świeci słońce i nikt nas nie znajdzie.

Nie żeby rzeczywiście planowała wiać dokądkolwiek z Louisem po zagarnięciu szmalu.

Jadąc do biura swoim ametystowym gozzym (cena detaliczna, łącznie z opłatą rejestracyjną, pięćdziesiąt trzy tysiące dolarów), rozmyślała o Charleyu Partannie, którego wcześniej wyobrażała sobie jako tępego oprycha, takiego jak jej ojciec. Była wdzięczna Louisowi, że opowiedział jej o nim. Myślała, że jeden bandzior niewiele różni się od drugiego. Każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie, mógł puścić z torbami Joego

Saltisa, szefa polskiego gangu. Zrozumiała, że dużo musi się jeszcze nauczyć o Sycylijczykach. Byli za głupi, żeby dobrze pilnować swojego szmalu, ale okradzeni, wpadali w furję i zaraz chcieli się mścić. Jej specjalizacja była tak wąska, że nie dawała jej pełnego rozeznania w środowisku. Ale wiedziała, że Sycylijczycy lubią udawać, że nie zależy im wyłącznie na forsie. Wciąż podkreślają swoją męskość - zasrani durnie! - i do znudzenia pieprzą o honorze, gdy każdy jeden z radością zdradziłby pozostałych dla kilku marnych centów! Zdrada to ich jedyna religia: sprzedaliby krewnych i przyjaciół. Byli najgorszymi śmieciami pod słońcem, lecz wiedziała, że jeśli nie przestanie myśleć o nich z taką wyższością, może przyplącić to życiem.

Nigdy nie popadała w rutynę, do każdej roboty podchodziła inaczej. Dlatego była najlepsza. Dlatego teraz postanowiła nie dzielić gangsterów tylko z grubsza na polskich, żydowskich lub sycylijskich, lecz oceniać każdego z nich indywidualnie, traktować jak pojedyncze, niebezpieczne zwierzę, mogące wyrządzić jej krzywdę. Sycylijczykami kierowały dwa instynkty: instynkt stadny, który sprawiał, że łączyli się w rodziny, oraz instynkt samozachowawczy, który pozwalał im jakoś przetrwać w kotłującej się, zdradzieckiej rodzinie, ustawicznie, dziesiątki tysięcy razy, sprzedającej własnych członków. Irene była przekonana, że chorobliwe przeczulenie na punkcie męskości stanowiło główną przyczynę ich bezdennej głupoty. Rodzina pragnęła władzy - pieniędzy również, ale przede wszystkim po to, żeby zdobyć jeszcze większą władzę; manipulując nią subtelnie (jak wówczas, gdy Charley - którym, miała nadzieję, zajmie się wreszcie nierychliwy, lecz sprawiedliwy prokurator generalny Stanów Zjednoczonych - chciał poznać nową tożsamość Joeya i Willy'ego), potrafiła przetaczać góry; to właśnie władzy zawdzięczała swoją pozycję. Pieniądze, po przekroczeniu przez rodzinę pewnego pułapu, stały się tylko smarem dla kół jej rydwanu. Tym, którzy kroczyli w pochodzie za rydwanem, kapiała z niego forsa, większość jednak podążała za nim dlatego, że reprezentował niesłychaną potęgę. Rodzina mogła zrobić wszystko, gdyż kontrolowała handel trawą i śniegiem, sześćdziesiąt siedem narodowych sportów, na które frajerzy stawiali codziennie w zakładach pół miliona dolarów, a ponadto kurwy, lichwiarzy, związki zawodowe, polityków, sędziów, oraz ze dwieście legalnych przedsiębiorstw. Jej rydwanu nic nie było w stanie zatrzymać, bo miała poparcie mas, a to właśnie masy wybierają polityków. Na myśl o tym, że ona mogłaby korzystać z tego wszystkiego, co jest dostępne na szczycie, przeszedł ją rozkoszny dreszcz. Była co prawda kobietą, lecz to - gdy pomyślała o latach, w ciągu których przebyła trudną drogę od chicagowskich slumsów do miejsca za kierownicą ekskluzywnego wozu - stanowiło w jej oczach wyłącznie zaletę.

Zdecydowała, że musi poznać Charleya Partannę. Posiadał to, czego jej brakowało. Może ona z kolei miała coś, czego on potrzebował. Był konsekwentny. No, Marxie też był konsekwentny na swój chwiejny sposób. Robił, co mu kazała, i cieszył się, że jest z nim i chce nim kierować. Charley Partanna był lojalny, i choć nie wiedziała, czy szanuje ludzi, którym jest tak głęboko oddany, najwyraźniej cenił sobie lojalność jako taką, bo tak go wychowano. Marxie zaś nie tyle był wobec niej lojalny, co po prostu od niej zależny; inaczej nigdy - on, facet z połową płuca - nie upilnowałby stajni złożonej z siedemdziesięciu dziwek. Bez niej lub innej baby nie dałby sobie rady w życiu. Nieraz

przylapywała go na oportunizmie - i to w dodatku ze spuszczoneymi gaciami. Kierował się nie tyle lojalnością, co zasadą zmieniania lojalności. Charley Partanna był silny. Tego akurat nikt nie mógł powiedzieć o Marxiem Hellerze.

Nie wiedziała nic o Charleyu Partannie oprócz tego, co o nim słyszała, a to jej nie wystarczało. Gdyby miała więcej czasu, na co się nie zapowiadało, postarałaby się go poznać. Na razie jednak najważniejszą sprawą było porządnie się zastanowić w jaki sposób należy się przed nim zabezpieczyć, kiedy jedenastego dnia rano wyjdzie na jaw kant w Vegas.

Wsunęła klucz w zamek drzwi, na których wisiała udająca mahoń tabliczka ze złotym napisem WALKER & WALKER. DORADCY PODATKOWI, a poniżej w prawym rogu, nieco mniejszymi literami, ZAPISY PRZEZ TELEFON. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi na zasuwę. Przejrzała korenspondencję - listy z ministerstwa finansów i urzędu podatkowego, oraz cztery od klientów. Po sprawdzeniu notatek w kartotece i pewnych paragrafów ustaw podatkowych, poradziła się jeszcze telefonicznie dwóch prawników, po czym podyktowała odpowiedzi na listy do dyktafonu, włożyła taśmę do brązowej koperty i zadzwoniła do biura usług sekretarsko-stenograficznych, żeby przysłali po nią posłańca. Następnie włączyła automatyczną sekretarkę podłączoną do telefonu stojącego po lewej stronie długiego biurka.

Biuro Irene urządzone było zbytownie i ekscentrycznie. Nie było poczekalni, gdyż nie zatrudniała żadnego personelu. Składało się z jednego pomieszczenia o rozmiarach dziewięć na dziewięć metrów, mieszczącego się na dwudziestym drugim piętrze w narożniku nowego wieżowca: cztery okna wychodziły na Beverly Hills. Królujące w pomieszczeniu biurko, a właściwie dębowy blat o rozmiarach dwa i pół na półtora metra wsparty na dębowych kozłach, było niegdyś stołem sztabowym. Na obu jego końcach stały telefony, każdy wyposażony w automatyczną sekretarkę. Na ścianie wisiał staloryt Piłsudskiego, romantyczny obraz Chopina przy fortepianie, oraz oprawione w ramki zdjęcie Marxiego w towarzystwie fisz ze związku zawodowego kierowców i Richarda Nixona. Ruchoma szafa na akta stała ukryta za skrzynkami kwiatów. Stół pod ścianą służył niegdyś w kasynie do gry w kości. Na dwóch ścianach, które nie miały okien, wisiały półki wypełnione księgami dotyczącymi prawa podatkowego. Dzięki rozmaitym koneksjom, biuro konsultacji podatkowych przyniosło Irene roczny dochód w wysokości sześćdziesięciu tysięcy dolarów - była to mniejsza część jej zarobków, lecz świetna fasada dla tej drugiej, bardziej intratnej działalności.

Irene puściła przez głośnik wiadomość nagraną na automatycznej sekretarce stojącej po lewej stronie biurka. Rozległ się szorstki męski głos, mówiący z wyraźnym włoskonowojorskim akcentem:

- Pokój osiemset pięć, Peak Hotel w Brooklynie, czwartek, dwudziestego trzeciego lipca. Ktoś wpadnie tam po ciebie i zawiezie cię na spotkanie. Weź narzędzia.

Dwudziesty trzeci był za sześć dni. Siódmy dzień roboty w Vegas.

Irene zadzwoniła do klienta z kłopotami podatkowymi i umówiła się z nim na obiad.

Gdy Irene, w odpowiedzi na pukanie, otworzyła drzwi pokoju numer 805 w Peak Hotel, ujrzała przed sobą piękną dziewczynę o arabsko-włoskiej urodzie.

- Cześć. Irene Walker?

Irene skinęła głową.

- Jestem Maerose Prizzi. Zabieram cię na ślub.

Kiedy dojechały do kościoła Santa Grazia, Maerose powiedziała Irene, żeby usiadła na lewo od nawy.

- Odnajdę cię po mszy - oznajmiła.

Irene odprężyla się i siedziała spokojnie jak kotka obserwując ceremonię ślubną, równocześnie zastanawiając się, czy jutro o tej samej porze będzie z powrotem w domu. Uznała, że w Vegas wszystko idzie sprawnie: brak wiadomości wróżył jak najlepiej, gdyż Marxie zawsze do niej dzwonił, ilekroć wpadał w tarapaty.

Po mszy Maerose natychmiast pojawiła się przy niej; przydzielono im limuzynę, którą pojechały na wesele. Jeszcze w wozie Maerose wręczyła jej zaklejoną kopertę.

- Wchodząc, wrzuc to do jedwabnej torby poleciła. Gdy tylko znalazły się w sali bankietowej, przystrojonej podobnie jak na polskie wesele, Maerose spostrzegła kogoś i przywołała go do siebie. Irene podejrzewała, że ów mężczyzna jest jej zleceniodawcą; nabrała pewności, kiedy Maerose go przedstawiła, albowiem był to Charley Partanna. Legendarny Charley Partanna. Skoncentrowała na nim całą swoją uwagę. Maerose znikła gdzieś w tłumie. Charley patrzył na nią jak na jakieś dziwo, więc pomyślała, że pewnie nigdy dotąd nie spotkał w jej fachu kobiety. Przyzwyczaj się jak wszyscy. Zaczekała, aż pierwszy nawiąże rozmowę.

- Napije się pani? spytał.

- Może kieliszek wina, żeby wypić zdrowie młodej pary. Jezus, ale to był ogromny facet! Dosłownie bryła mięsa z włosami na czubku. Miał miły uśmiech, co ją trochę zbiło z tropu. Nie pasował do jego zawodu. Głos wydobywał mu się z samego dna, niczym błoto przy pogłębianiu rzeki; lecz był to głos człowieka umiejącego słuchać i reagującego na słowa rozmówcy. Jest gustownie ubrany, pomyślała. Większość mężczyzn, których znała, ubierała się drogo, ale bez smaku. Na włoskich i polskich weselach odbywających się po południu obowiązywał frak, lecz frak Charleya - spokojny, czarny, o naturalnym kroju ramion (jego własne i tak były szersze niż jarzmo wołu) - sprawiał, iż wykonawca Prizzich wyglądał w nim - bez modnej jasnozielonej marszczonkiej koszuli, karmazynowej muszki, wiśniowych wyłogów oraz żółtej szarfy - jak prawdziwy mężczyzna a nie starszy kelner z psychodelicznej balangi.

Na podwyższeniu ktoś zaczął przemawiać do mikrofonu - dopiero po chwili zorientowała się, że to Vincent Prizzi. Nie sposób było natomiast nie rozpoznać następnego mówcy, wspaniałego starca, Corrada Prizziego, najstarszego i najpotężniejszego z żyjących szefów syndykatu zbrodni.

Przemówienia trwały krótko. Charley poprosił ją do tańca. Orkiestra grała świetny szlagier, który pamiętała z dzieciństwa - "Szaleję za tobą". Zmrużeniem wielkich, piwnych oczu przyjęła zaproszenie Charleya, ale akurat gdy kierowali się na parkiet, zjawiała się Maerose Prizzi i powiedziała, że jest do niej telefon; wtedy Irene natychmiast zrozumiała, że spojrzenie Charleya wyrażało zupełnie co innego, niż sądziła. To nie on miał jej zlecić robotę. Idąc przez tłum za Maerose pojęła, że wpadła Charleyowi w oko: nie wiedziała jeszcze, co o tym myśleć, lecz ucieszyła się, bo on również się jej podobał. Ucieszyła się

tym bardziej, że Marxie i Louis zaczęli już obrabiać kasyno, co Charley Partanna z pewnością potraktuje jako zamach na honor Prizzich, a ponieważ to on jest ogarem, którego rodzina spuści z łańcucha, by rozszarpał świętokradców na strzępy, pragnęła go mieć po swojej stronie. Jeśli właściwie odczytała jego spojrzenie, był to prawdziwy uśmiech losu.

Maerose zaprowadziła ją przez salę do alkowy, w której stał wysoki, szczupły starszy pan. Odeszła nie przedstawivszy ich sobie. Angelo Partanna - gdyż on to był - ukazał swoje drogie, sztuczne zęby w szarmanckim, olśniewającym uśmiechu, po czym nagle wyłączył uśmiech i zmierzył Irene spojrzeniem oczu podobnych do kulek łożyskowych.

- Masz załatwić Sala Netturbina - oznajmił. - Hotel Waldorf, pokój dwa tysiące sto, punktualnie o trzeciej, czyli za godzinę i dziesięć minut. Spodziewa się kobiety, której nigdy nie widział. Ta kobieta nie zjawi się. Zamiast niej zjawisz się ty.

- To prostytutka? Tak.

- Dobrze, mogę udawać prostytutkę.

- Kiedy go załatwisz i wyjdiesz z pokoju, zjedź do baru na parterze. Spytaj o Johnny'ego. To barman. Zapytaj go, czy nie ma przypadkiem wiadomości dla pani Bronstein. Wręczy ci kopertę i zawiadomi nas, że wszystko się udało.

Angelo uśmiechnął się i skinął jej głową, więc odeszła.

Wzięła taksówkę do hotelu Waldorf. Wjechała na dwudzieste pierwsze piętro - apartament Netturbina znajdował się tuż obok windy. Naciskając dzwonek postanowiła, że będzie udawać prostytutkę-damulkę. Mężczyzna, który otworzył drzwi, oczekiwał jej niecierpliwie. Poły szlafroka miał rozchylone i zdążył już nawet zdjąć spodnie od piżamy. Członek nie zwiślał mu markotnie, lecz prężył się jak dodatkowe ramię.

- Nareszcie! Przybywasz w samą porę! - krzyknął Netturbino z desperacją mężczyzny w stanie pełnego wzwołu.

- Jestem Rhoda Bronstein - przedstawiła się, omiotając rzesami policzki. - Przepraszam, ale najpierw chciałabym skorzystać z toalety.

- Proszę bardzo! - zawołał jowialnie. - Tylko pospiesz się, moja droga!

Weszła do toalety, zamknęła drzwi, przykręciła do lufy tłumik, wróciła do pokoju i rozwalila Sala Netturbina. Dopiero wtedy cofnęła się do toalety, żeby się wysuszać.

Rozdział 13

Kant w Vegas miał trwać jeszcze dwa dni; Irene właśnie rozmyślała, jak osłabić siłę jego pogoni, gdy wszystko się wyda, kiedy Charley Partanna zatelefonował do niej z Nowego Jorku, żeby zaprosić ją na obiad. Marxie miał dzwonić nazajutrz z Vegas o dwunastej trzydzieści, jak tylko się obudzi, lecz rzadko bywał punktualny. Umówiła się więc z Charleyem na pierwszą w Beverly Wilshire. Marxie zadzwonił pięć minut przed czasem.

- Szafa gra, laleczko - oznajmił, pewnie wyobrażając sobie, jak to zwykł czynić, że jest bohaterem filmu kryminalnego.

Miała dość czasu, żeby się odświeżyć, przykryć loki nowym słomkowym kapeluszem za sto dziewięćdziesiąt dolarów i pojechać wolno do hotelu.

Charley wyglądał blado, gdy dostrzegła go w hallu, lecz kiedy doszedł do niej, cały poczerwieniał. Stojąc nad nią, wielki jak drabina, bąknął, że bał się, iż więcej jej nie zobaczy. Miała rację! Zbikował na jej punkcie. No, nie on pierwszy. Ale było to bardzo przyjemne. I choć zdawała sobie sprawę, że powinna myśleć wyłącznie o tym, jak wykorzystać zakochanie Charleya pod kątem roboty w Vegas, dochodziło coś jeszcze - Charley naprawdę się jej podobał. Nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje, ale patrząc w jego oczy czuła się dziwnie dojrzalsza, bliższa śmierci, a zarazem jakby nieśmiertelna. Było to obce, nieznanne jej uczucie; ponieważ czytywała wyłącznie księgi podatkowe, niewiele wiedziała o miłości. Charley był inny niż wtedy, kiedy spotkała go na weselu, i zupełnie inny, niż go sobie wcześniej wyobrażała z opowieści. Jak na swoje lata, wyglądał bardzo młodo. Był silny jak byk, ale również wrażliwy. Miał ogromne ręce, nos, głowę, cały był potężny, lecz w tym roslym mężczyźnie tkwił mały człowieczek, a w nim spragniony uczuć chłopiec. Zaczęła się zastanawiać, jaki on jest - i jaka sama jest - pod tym cielesnym pancerzem, który tylko udaje, że wie, czego pragnie. W obojgu czaiła się niepewność, która w jednej chwili stopiłaby się jak śnieg, pomyślała, gdyby tylko złączyli się z sobą; tak, wówczas oboje nabraliby pewności.

W drodze do Las Tremblas, ulubionej meksykańskiej restauracji Irene, Charley opowiedział jej, jak podczas zamieci śnieżnej pomagał ludziom uwięzionym w motelu; historia ta zburzyła wszelkie wyobrażenia, jakie o nim miała: zupełnie jej się nie mieściło w głowie, że wykonawca Prizzich mógł słać łóżka i zmywać garnki, bo pragnął być pomocny. Usiłowała odgadnąć, kogo w tym czasie sprzątnięto w Lansing w stanie Michigan, i wreszcie sobie przypomniała: pełnomocnik związku zawodowego kierowców został podziurawiony na sito strzałami z dubeltówki. Musiała to być robota Charleya.

- Jesteś zupełnie inny, niż się spodziewałam - oświadczyła.

- Dlaczego?

Nie zamierzała zdradzać, jak sama zarabia na życie, więc nie mogła mu też wyjawiać, że miała go za tępego osiłka, a okazał się przystojnym i wrażliwym facetem.

- Wybacz, 'ale sądziłam, że będziesz bardziej gruboskórny, że pomyślisz sobie: od tego, do licha, są baby, niech zasuwają i sprzątają motel!

- Skądże znowu! - oburzył się Charley. - Mieszkam sam. Utrzymuję mieszkanie w czystości i porządku, i chcę, żeby tak samo było wszędzie, gdzie się akurat znajduję. Czy to ta restauracja? Tam na górze?

W trakcie obiadu Charley spytał, czy ma męża, więc wypadło to całkiem naturalnie, gdy zaczęła mu snuć bajeczkę mającą ją chronić, kiedy w Vegas wybuchnie afera. Louisa i tak należało sprzątnąć, bo po pierwsze oczekiwał, że naprawdę ucieknie z nią do Rio, a po drugie jego najpierw - należał przecież do rodziny - złączą maglować wysłannicy Prizzich, kiedy szwindel wyjdzie na jaw. Marxie był umierający. Gównu go obchodziło, co się stanie, a na udział zgodził się tylko dlatego, żeby mieć co zostawić jej w spadku. Louisa załatwi sama. Marxiego zaś zostawi Charleyowi - dlatego musi znaleźć jakiś powód, żeby Charley go znieubił, gdyż wtedy szybciej go załatwi. Pozwoliła

Charleyowi wydobyć z siebie całą nieszczęśliwą historię swojego małżeństwa. Prawdą było jedynie to, że rzeczywiście miała męża.

Poznała Marxiego kiedy miała osiemnaście lat i kupczyła własnym tyłkiem po barach i hotelach w śródmieściu Chicago, z czego połowę zarobków zabierał jej syndykat. Marxie pracował jako inkasent: zbierał forszę od dziwek i alfonsów. Ociężały, powolny i systematyczny, wewnątrz był jednym kłębkim nerwów. Od wczesnego dzieciństwa, kiedy ojciec prał matkę cztery razy na tydzień, zdawała sobie mglście sprawę, że ma w sobie coś, co działa kojąco na facetów poszarpanych w środku.- Marxie odbierał od niej te sygnały. Na co dzień człowiek chwiejny i niezdecydowany, umiał się jednak dla niej przemóc, i w latach kiedy byli razem, potrafił się wykazać aktywnością, ilekroć tego od niego potrzebowała. Była jedną z siedemdziesięciu prostytutek, od których ściągał haracz, lecz bezbłędnie - jak się miało okazać - wyczuł, iż psychicznie (choć żałowała, że tylko psychicznie) świetnie się uzupełniają; jesienią 1963 roku zaprosił ją na kieliszek do Palmer House. Później zaproponował, żeby wprowadziła się do niego. Następnie, wiosną 1964 roku, oznajmił jej, że syndykat zaproponował mu prace księgowego w Detroit, i poprosił ją o rękę. Myślała wtedy, że złapała pana Boga za piętę! W sumie lubiła Marnego. Była mu potrzebna i nie miała się co oszukiwać - on jej również. Uprawianie z powodzeniem prostytucji wymagało obojętności, której jej brakowało. Miała ambicje, pragnęła piąć się w górę. Miała też głowę do liczb, a ponieważ to była specjalność Marxiego, rzuciła mu się z płaczem na szyję i powiedziała, że się zgadza. Przenieśli się do Detroit. Karmazynowy Gang właściwie całkiem już przeszedł spod kontroli żydowskiej pod sycylijską. Marxie był reliktem dawniejszych czasów i sentymentalnych przeświadczeń, że Żydzi rachują lepiej od Sycylijczyków. Powoli dla obojga stało się jasne, że Marxie coraz poważniej szwankuje na zdrowiu: dziury w płucach, słabe serce, częste krwotoki. Po dziesięciu latach pobytu w ohydny, wilgotnym klimacie, jego organizm nie miał sił dłużej się bronić. W tym okresie Irene była już kurierką i woziła zyski z kasyn z Nevady do Miami, gdzie następował pierwszy podział szmalu, potem do Nowego Jorku, gdzie następował drugi, a na końcu leciała do Chicago z dolą dla miejscowych gangsterów i tych z Cleveland. Z czasem awansowano ją na trasy zagraniczne: woziła pieniądze do Zurychu, Genewy, Panamy, Nigerii i na wyspy karaibskie. W trakcie długich lotów studiowała prawo podatkowe.

Marxie bywał nudny jak flaki z olejem, często miała go po uszy, ale musiała przyznać, że odkąd go poznała, wszystko w jej życiu przybrało lepszy obrót. To właśnie dzięki niemu znalazła dla siebie fach, który zapewniał jej naprawdę przyzwoite dochody. Był w Nowym Jorku jubiler, z którego usług syndykat korzystał do przetrzutu trefnych brylantów, ponieważ jednak facet podmieniał co ładniejsze kamienie, zaczęły sypać się na niego skargi. Jego sklep, mieszczący się na Czterdziestej Siódmej Ulicy między Piątą a Szóstą Aleją, od świtu do nocy wypełniał tłum bab oglądających przeróżne błyskotki w nadziei, że uda im się namówić męża lub kochanka, żeby im coś kupił. Joe Licamarito, szef Marxiego, gdy jubiler wykiwał i jego, wpadł w furję i poprzysiągł, że nie ujdzie to chciwemu paserowi na sucho; zamierzał zwrócić się do którejś z nowojorskich rodzin, by posłała do sklepu ekipę i rozwalila gnoja. Tak się złożyło, że Marxie przyjaźnił się z Joem.

- Słuchaj. Joe - powiedział - do tej roboty najlepiej nadaje się baba. Kropnie go, wmiesz się w tłum i nikt jej nie zauważy.

- Baba? Ale skąd wytrzasnę taką, która się tego podejmie?

- Ja ci znajdę.

Wieczorem, kiedy zmywali naczynia po kolacji, wspomniał o tym Irene.

- Staniesz przy kontuarze. Wskażesz przez szybę kamień, który niby chcesz kupić - tłumaczył. Jubiler schylił się, żeby otworzyć gablotę, a ty wówczas sięgniesz do torby, jakbyś wyjmowała pieniądze, i wyciągniesz spluwę. Strzelisz, upuścisz spluwę, wmieszasz się w tłum kobiet, i kiedy zaczną krzyżeć i wybiegać na ulicę, wybiegniesz razem z nimi.

- Ile mogę za to dostać, Marxie?

- Dwadzieścia pięć kafli. -. Poważnie?!

- Irene, to jeszcze nic! Kiedy rozniesie się po syndykacie, że jest do wynajęcia dobra specjalistka, cena wkrótce się potroi.

Irene załatwiła jubлера i jej dalsza kariera rozwinęła się tak, jak to przewidywał Marxie, z tym że z powodu inflacji cena bardzo szybko poszła w górę: za rozwalenie Netturbina dostała sto kafli, a podobnych zleceń miała rocznie trzy albo cztery.

Marxie chciał zostać jej agentem i brać pięćdziesiąt procent od każdej narajonej jej roboty, ale posłała mu takie spojrzenie, że natychmiast się wycofał, mówiąc:

- Nie, to głupi pomysł. W razie wpadki byłbym współwinny.

Powiedziała, żeby dał jej numer Joemu. Potem wymyśliła własny system. Nawiązała romans ze ślicznym chłopakiem, geniuszem elektroniki studiującym na uniwersytecie w Los Angeles, który skonstruował dla niej system przekaźnikowy łączący telefon znajdujący się w wynajętym pustym pokoju w Kansas City z sekretarką automatyczną w biurze w Beverly Hills. To samo kazała sobie zrobić z telefonem w Columbii w Południowej Karolinie. Nie było jak dojść, skąd i dokąd przekazywane są telefoniczne połączenia. Cudowna rzecz!

Oświadczyła Charleyowi, że wyszła za mąż przed czterema laty, ale jej małżeńskie szczęście trwało zaledwie kilka tygodni. Powiedziała mu też, że jest doradcą podatkowym, co było zgodne z prawdą. Prowadziła bowiem część spraw podatkowych syndykatu w południowej Kalifornii. Potem niespodziewanie wydarzyło się coś, co powinna była przewidzieć, lecz nie przewidziała. Poszła do łóżka z Charleyem Partanną i gotowa była zaklinać się na wszystkie świętości, że czegoś podobnego jeszcze nikt nie przeżył. Jak świat światem, myślała.

Zakochała się w Charleyu Partannie. Kochała Charleya Partannę, czy też jak tam miała określić swój stan emocjonalny według jego wymagających zasad.

Rozdział 14

Załatwiła Louisa Pala w jego wozie na parking. Specjalnie włożyła opięte szorty i ciasny podkoszulek, żeby Louis, obserwując ją, jak wysiada z wynajętego samochodu i biegnie do niego przez parking, uśmiechnięta jak panna młoda, gotowa uciec z nim

choćby na koniec świata, widział, że nie ma przy sobie broni. Marxie ukrył wcześniej pistolet w wozie Louisa pod tablicą rozdzielczą od strony pasażera. Całując Louisa, oderwała pistolet od magnesów i strzeliła mu w głowę. Położyła trupa na przednim siedzeniu i wysiadła. Otworzyła tylne drzwi, nachyliła się przez oparcie i przejrzała Louisowi kieszenie. Pieniądze znajdowały się w bagażniku, spakowane do torby stojącej obok walizki z ubraniami.

Przeniosła torbę do swojego samochodu i ruszyła w stronę Reno. Wczesnym rankiem zatrzymała się na chwilę i przebrała w sukienkę. Z Reno poleciała do Los Angeles, wsiadła we własny wóz, który zostawiła na lotnisku, i pojechała do domu.

Marxie leżał w łóżku. Było z nim źle. Od rana miał już dwa krwotoki.

- Nie mogę nigdzie jechać, Irene.

- Staraj się odpocząć. Nic nie mów.

- Zjawia się po forszę. Powinniśmy być w drodze do Hong Kongu, a ja nie mam siły się ruszyć. - Zaczął kastać do chustki. - Ten adres jest w moich aktach.

- Marxie, nie denerwuj się. Coś wymyślę! Wymyśliła coś już dwa tygodnie temu.

Marxie i tak przecież był umierający.

- Kiedy tu przyjdą, mów, że wpadłem do willi z bronią w ręku i cię sterroryzowałem.

Udawaj, że nic nie wiesz o szmalu.

Przeszła do małego pokoju, w którym zwykle oglądała telewizję, i podzieliła łup na dwie równe części. Połowę, dolę Marxiego, schowała do torby, którą postawiła w szafie w przedpokoju. Swoją część zamierzała umieścić w swoim sejfie w banku. Jeśli coś wkrótce przytrafi się Marxiemu, cała forsa będzie należała do niej.

Nazajutrz Marxie uparł się, że wstanie z łóżka. Z pomocą Irene włożył szlafrok, usiadł przy biurku w pokoju telewizyjnym i tam - ze spluwą w kieszeni - zaczął stawiać pasjansa. Przez cały dzień, a także cały następny, rozkładał karty i powoli umierał. Skończyły się im zapasy jedzenia, więc Irene wyszła na zakupy. Minęło już chyba dość czasu, pomyślała. Niedługo się zacznie. Kiedy po powrocie weszła do kuchni, wyczuła w domu czyjąś obecność.

- Kochanie, wróciłam! - zaśpiewała od progu, specjalnie udając oddaną żonę.

Wtem usłyszała za sobą głos Charleya; Bogu dzięki, była na to przygotowana.

Odwróciła się do niego, myśląc o Marxiem. Wiedziała, że skończyły się jego cierpienia.

Dalej wszystko poszło jak z płatka. Wskazała Charleyowi torbę z pieniędzmi.

Udawala, że jest w szoku. Tak się zresztą przejęła swoją rolą, że prawie uwierzyła we własną niewinność. Charley powiedział, że ją podejrzewa, ale nic jej nie robi. Nie zabije jej, bo ją kocha. Kiedy potem spytał ją, czy nadal chce zostać jego żoną, po raz pierwszy w życiu oznajmiła coś z takim przekonaniem:

- Tak, Charley. Chcę.

Mieli dwa wyjścia, albo wrócić do sytuacji sprzed kilku dni, albo zrobić ogromny krok naprzód. Widziała, że Charley strasznie się męczy, ale sam był sobie winien. Nie mógł jej nic udowodnić. Z własnej woli oddała mu połowę szmalu. Nic nie wskazywało na to, że cokolwiek łączyło ją z Louisem. Jedynie z Marxiem, ale był przecież jej mężem, a ktoś taki jak Charley powinien się przecież orientować, jak często żony ludzi ze środowiska cierpią przykrości przez mężów. Zresztą Marxie już nie żył. Jeśli tylko konsekwentnie

będzie obstawać przy swojej niewinności, z dnia na dzień powinno być coraz lepiej między nią i Charleyem. Jej najdroższy odzyska równowagę ducha, ona również, a za to będzie bogatsza o trzysta sześćdziesiąt dolców.

To oczywiste, że nie chciała się rozstać z forszą, ale jeszcze bardziej nie chciała się rozstać z Charleyem. Jezu, myślała, dlaczego przydomek "Harcerzyk" ma być obelżywe? Przecież najwspanialsze w Charleyu było to, że autentycznie był harcerzykiem. Wierzył w pracowitość, obowiązkowość. Wiedziała, że dopiero gdy go odzyska, przekona się ile bólu sprawiła mu tym, iż przez nią sprzeniewierzył się wartościom, w które tak głęboko wierzył. Musi go przekonać, że również ceni te same wartości: lojalność, honor Prizzich, a także sumienność, która każe mu wywiązywać się z obowiązków bez względu na trud i cenę.

Wiodło się jej nieźle przede wszystkim dlatego, że w branży nie było zbyt wielu facetów, którzy znali się na rzeczy i umieli bezbłędnie wykonać robotę. Wiedziała, że płacą jej gruby szmal nie tylko dlatego, że jest jedyną kobietą trudniącą się tym fachem. Nawet jeśli chodziło o typową mokrą robotę - nie o likwidowanie ważnych figur, ale drobnych bandziorów - w syndykacie trudniło się tym zaledwie dwanaście procent wyspecjalizowanych żołnierzy: rewolwerowcy, nożownicy i dusiciele. Prizzi mogli wystawić armię o sile dwa tysiące sto chłopów, ale do mokrej roboty mieli góra stu pięćdziesięciu łapsów, z czego co najmniej setka to prymitywne matoty, nadające się najwyżej do ciągnięcia za końce sznurka obwiązanego wokół szyi ofiary.

Charley jako fachman był legendą. Wykonywał wyroki Prizzich w biały dzień, na środku ulicy i na oczach tłumów, jednakże zawsze uchodziło mu to na sucho, nawet może nie tyle dzięki jego wyjątkowym kwalifikacjom, co dlatego, że święcie wierzył, iż postępuje słusznie rozwalając tego czy innego gościa. Jego praca niewątpliwie dawała mu poczucie władzy. Ale się z nią nie afiszował. Na pewno nie zabijał dla forsy, gdyż żaden wykonawca rodziny nie dostawał wynagrodzenia od każdej roboty. Większość wykonawców byli to brutalnie nielepsi od zwierząt. Charley zupełnie się od nich różnił, gdyż kierował się zasadami. Nie pracował dla szmalu, lecz dla wyższego celu, którym było wykazanie mistrzostwa przy każdej robocie, podniesienie jej do rangi sztuki świadczącej o wielkiej klasie wykonawcy - klasie, której jego szefowie nie mogli ignorować, więc tylko coraz sówiej opłacali jego usługi, żeby przypadkiem kiedyś nie obrócił się przeciwko nim.

Z nią było inaczej. Nie związana z żadną rodziną, wolny strzelec na własnym rozrachunku, nie mogła od nikogo oczekiwać pomocy, gdyby nagle powinęła jej się noga; dlatego właśnie żądała tak wysokich stawek. Musiała polegać wyłącznie na sobie: wiedziała, że ma mocne nerwy i głowę na karku, i to jej dotąd wystarczało, ale kiedy poznała Charleya, zrozumiała, jak beznadziejnie puste było jej dotychczasowe życie. Lubiała pracować samotnie, ale żyć samotnie nie chciała nigdy; na szczęście - a może na nieszczęście - los zrządził, że poznała Marxięgo. Wiedziała, że przyjdzie jej umierać w samotności, ale - do licha - każdy umiera sam. Co innego życie; ze wszystkich sił pragnęła odzyskać Charleya. Zdawała sobie sprawę, że będzie wówczas bardziej narażona na ciosy, niż gdyby nie wiązała się z nikim, jednakże chciała nauczyć się myśleć tak jak on i patrzeć na świat jego oczyma, a gdy to się stanie, gdy zacznie myśleć

i czuć jak on, może wtedy - kto wie? - zdecydują się mieć dzieci; postara się zapomnieć o zaszranym życiu jakie dotąd wiodła, i zacznie żyć naprawdę, bo będzie miała jego wiarę.

Niczym gracz w bakarata zastanawiała się, jakie ma szansę. Po pierwsze, musi skłonić Charleya, żeby ją wysłuchał. Musi mu wyjawić, co stanowi główne źródło jej dochodów. Na pewno będzie to dla niego wstrząsem, lecz przecież zna tę robotę od podszewki. Rozumie mechanizm, opłacalność, motywacje. Uznała, że szansę powodzenia mająk osiem do dwóch. Musi go przekonać, że patrzą na wszystko w ten sam sposób i że dlatego właśnie zakochali się w sobie.

Największą przeszkodą był kant w Vegas. Trudna sprawa. Musi wmówić Charleyowi, że nie miała z tym nic wspólnego. Nie może jej przecież nic udowodnić. Ale Louis nie żył, a odnalazła się tylko połowa forsy. Nikt nie wiedział, że cokolwiek ją łączyło z Louistem, lecz Marxie wisiał u jej szyi jak zdechła ryba. Choć z całą sprawą wiązało ją tylko to, że była jego żoną, syndykatomu zwykle wystarczyło jeszcze mniej, by wziąć kogoś w obróbkę.

Popeniła jeden błąd, prawdopodobnie dlatego, że sama sobie nadała tę robotę, więc wykonując ją nie musiała się troszczyć o swoją zawodową reputację. Ale może okazać się, że ten błąd wcale nie był taki głupi. Może błędy tak bardzo nie pasują do jej stylu działania, że właśnie dzięki temu zostanie automatycznie wyłączona spośród podejrzanych? Prawdę mówiąc, niezbyt na to liczyła. Po zastrzeleniu Louisa zostawiła zwłoki w Nevadzie. Tymczasem Komisja, czyli rada rozjemcza rodzin z Nowego Jorku i Chicago, ustanowiła zasadę, że nie wolno wykonywać żadnej mokrej roboty na terenie Nevady, chyba że usunie się zwłoki poza granice stanu. Jeśli ktoś w Komisji zechce zrobić z tego aferę, żeby dopieprzyć Prizzim, rozwiążą sprawę w najprostszy dla nich sposób; po prostu polecą kropnąć tego, kogo będą najbardziej podejrzewali o sprzątnięcie Louisa.

Kochała Charleya bardziej niż kogokolwiek w życiu, lecz jeśli miała mu rodzić dzieci, był jej potrzebny po to, żeby ochronić ją przed Prizzimi, gdy postanowią się za nią wziąć, ponieważ do nie prowadzi jedyny trop, jaki mają.

Podejrzewała, że wkrótce przestaną w niej widzieć wyłącznie biedną wdowę po Marxiem Hellerze, zapracowaną kurę domową, która wróciwszy z zakupów dowiedziała się ze zdumieniem, że w jej domu znajduje się połowa szmalu Prizzich. Angelo Partanna może lada moment powiedzieć pozostałym, że ona również należy do środowiska i w dodatku jest wysokiej klasy fachowcem, za którego usługi właśnie co wybulili sto tysięcy zielonych. Nie mogli jej udowodnić udziału w kancie w Vegas, ale wiadomość kim jest wystarczy, by zapragnęli się nią bliżej zainteresować.

W tej sytuacji Charley Partanna był jej po prostu niezbędnym.

Rozdział 15

Był piękny niedzielny poranek. Manhattan, po drugiej stronie rzeki, wyglądał czysto i dostojnie, zupełnie jak na fotografiach w kalendarzach linii lotniczych. Vincent Prizzi przyjechał po ojca za kwadrans siódma, żeby zawieźć go na poranną mszę. Czarnego

lincolna prowadził Phil Vittimizzare; obok niego siedział Zingo Poppaloush, znany jako Grek. Obaj byli żołnierzami Prizzich. Rodzina Zinga przybyła z Grecji na Sycylię przed sześciuset siedemdziesięciu trzy lata, więc niewiele miał w sobie z Greka, choć za takiego się podawał, dumny, że pochodzi ze starego rodu. Dwie i pół długości za lincolnem jechała nowa toyota podarowana Don Corradowi przez jednego z parafian, a zarejestrowana jako własność firmy produkującej hamburgery w Winsted w stanie Connecticut. Toyotę prowadził Cetrioli zwany Ogórkiem, a obok niego siedział Willie Lessato - między nimi leżała lupara, strzelba ze spiłowaną lufą.

Ojciec i syn ubrani byli w czarne garnitury, białe koszule i czarne krawaty. Don Corrado miał na głowie sportowy płócienny kapelusz.

- Wiesz, co podano wczoraj w wieczornych wiadomościach? - spytał Vincent.

- Co?

- Według badań opinii publicznej, sześćdziesiąt siedem procent obywateli amerykańskich uważa, że przedsiębiorstwa, którymi podobno kieruje mafia, funkcjonują najsprawniej.

- To prawdziwy komplement! Prosto z serca!

- Świadczy to przede wszystkim o tym, że kierownicy innych przedsiębiorstw są zupełnie do niczego.

- Trudno się dziwić. Ludzie nie przykładają się. Przychodzą na dziewiątą, wychodzą o piątą, nic więcej ich nie obchodzi. Pracują tylko za pensję, więc czego można od nich wymagać?

Niewielka kawalkada zatrzymała się przed kościołem Santa Grazia di Traghetto. Vincent wysiadł z lewej strony i obszedł od tyłu wóz, żeby otworzyć drzwi ojcu. Wraz z Zingiem pomógł mu wysiąść. Utartym zwyczajem natychmiast przed starcem wyrosły jak spod ziemi, marszcząc bogobojnie twarzyczki, dwie siostry ze zgromadzenia Siedmiu Ran Bolesnych. Don Corrado skinął na syna, który wręczył każdej zakonnicy pięćdziesięciodolarowy banknot, potwierdzając tym czynem, że jego ojciec jest człowiekiem szczodrym, a jednocześnie opłacając sobie ich modlitwy o wyleczenie z podagry.

Cetrioli i Willie stanęli z tyłu kościoła, a Phil z Zingiem usiedli w zarezerwowanej ławce bezpośrednio za Don Corradem i Vincentem. Don Corrado drzemał przez całą mszę. Vincent zaś - nawet przystępując do komunii - nucił bezgłośnie stare wodewilowe przeboje, żeby tylko nie myśleć o kłopotach z córką.

Po skończonej mszy Cetrioli i Willie podeszli do Prizzich, żeby oddzielić ich od reszty wiernych. Kiedy kościół opustoszał, z zakrystii wyłonił się ojciec Malgaragno, żeby odprowadzić Don Corrada do samochodu. Ruszyli do wyjścia. Na czele pochodu szedł Vincent, za nim Cetrioli i Willie, następnie Don Corrado z księdzem, a na końcu Phil i Zingo.

- Czy biskupowi smakował parmigiano stravecchio, który mu posłałem?

- Don Corrado! Zajadał go z czerwonym winem, z białym, a kiedy jest sam, chyba popija szampanem.

- Fakt, z szampanem jest bardzo smaczny. A jak sobie radzi drużyna baseballowa młodzików?

- W tym roku mamy szansę zdobyć mistrzostwo ligi. W drużynie jest dwóch doskonałych miotaczy i trzech świetnych pałkarzy.

- Parafia powinna również posiadać drużynę skautów. Nic tak jak skauting nie kształtuje charakterów młodych ludzi.

- To rewelacyjny pomysł. Don Corrado. Sam również się nad tym zastanawiałem.

- Czy wspomnieć o tym w diecezji?

- Na pewno nie zawadzi. Don Corrado. Może bardzo pomóc.

- Porozmawiam jutro rano.

Starszy pan objął i ucałował księdza, po czym wsiadł do lincolna.

Limuzyny ruszyły w kierunku zatoki Sheepshead, gdzie w przystani czekała dwudziestopięciometrowa łódź żaglowa z potężnym silnikiem - Don Corrado, zagorzały przeciwnik snobizmu, nie pozwalał nazywać jej jachtem zarejestrowana jako własność Klubu Golfowo-Sportowego Tarrawonga w Hillsboro w Północnej Dakocie. Don Corrado miał trudności z wejściem na pokład, ale z charakterystycznym uporem wreszcie dopiął celu. Łódź odbiła od pomostu, i - mijając małe kutry niedzielnych rybaków, motorówki, żaglówki wypłynęła na środek zatoki, gdzie spuszczone kotwice. Kapitan pozostał na mostku, a załoga zeszła pod pokład. Czterej żołnierze Prizzich grali na dziobie w karty, natomiast Don Corrado z synem siedzieli na rufie w rybackich fotelach ocienionych pasiastą markizą.

Vincent, który rano nic nie jadł, bo przystępował do komuni, odwinął z papieru dwie ogromne kanapki z kielbasą pepperoni. Zanim ugryzł pierwszy kęs, nalał ojcu kieliszek oliwy, który Don Corrado, wznosząc toast za zdrowie syna, opróżnił jednym haustem. Kiedy Vincent zaczął pałaszować pierwszą kanapkę, ojciec przemówił do niego cicho w dialekcie z Agrigento.

- Byłeś dzielny, mój synu. Byłeś jak lew.

Vincent, żując kanapkę, skinął z wdzięcznością głową, choć zastanowił go czas przeszły użyty przez ojca.

- Nigdy nie dopominałeś się zapłaty, mimo że zasługiwałeś na znacznie więcej, niż rodzina była ci w stanie oferować.

Biorąc następny kęs, Vincent uniósł dłoń, żeby powściągnąć pochwały ojca; tego wymagała skromność.

- Świat musi przekonać się, że potrafimy docenić twoje zasługi. Spotka cię nagroda. W pełni sobie na nią zasłużyłeś. Niech świat zobaczy, jak dumny jestem, że mam takiego syna.

Vincent pojął, że coś się kroi. Stary aż kraśniał od dobrych chęci. Wziął nieco mniejszy, ostrożniejszy kęs, bardziej pasujący do wiewiórki niż lwa.

- O co chodzi, tatusiu? - zapytał.

Don Corrado popatrzył na niego z ojcowską miłością.

- Dorobiłeś się podagry, nadciśnienia, kłopotów z nerkami, dźwigasz wstyd córki niczym krzyż, a wszystko przez to, że tak bardzo kochałeś rodzinę. Ofiarowałeś nam najcenniejsze, co miałeś, nic nie żądając w zamian. Ale teraz mnie posłuchaj. Wie dobrze lewica, co jej dała prawica; nadszedł czas, by się mogła choć w części odwdziżyć.

Vincent zatroskał się słowami ojca. Kiedy stary uderzał w tak wzniosły ton, trudno z nim było dyskutować, więc jeśli wbił sobie do głowy jakiś projekt, nie sposób będzie go od niego odwieść.

- Słuchaj, tatusiu... - zaczął, bo nagle przestraszył się, że ojciec zamierza przenieść go na emeryturę, co oznaczałoby, iż szefem zostanie Charley, którego Vincent najchętniej udusiłby własnymi rękami.

- Nie, to ty słuchaj. - Ojciec nie pozwolił mu dojść do głosu. Harował jak wół, wypruwał sobie dla nas żyły, ale teraz wreszcie możemy ci się odwzajemnić. Rozmawiałem z Komisją, z najważniejszymi członkami Wielkiej Rady. Powiedziałem im, czego pragnę, i przystali na to z radością. Upoważnili mnie, żebym ci zaproponował objęcie stanowiska głównego arbitra Vegas. Będziesz doglądał naszych trzech hoteli, ale co istotniejsze, będziesz Principe Azzurro oraz parlere wszystkich totalizatorów sportowych. Vincent, co ty na to? Zamieszkas w willi za dziewięćset trzydzieści pięć tysięcy dolarów, z własnym polem golfowym i basenem otoczonym leżakami. Możesz sobie wybrać i zabrać do Vegas czterech żołnierzy rodziny.

Don Corrado wstał z fotela, rozpostarł ramiona i podszedł do syna chwiejnym krokiem.

- Jestem z ciebie dumny, synu, bo zasłużyłeś w pełni na to wyróżnienie.

Poczucie ogromnej ulgi rozlało się po wszystkich komórkach udręczonego ciała Vincenta. Bóg uwalniał go od hańby córki. Wyzwalał go z codziennej szarpaniny w Nowym Jorku i przenosił daleko od Maerose. - Nareszcie odpocznie, i będzie otrzymywał dwa procent od zysków przynoszonych przez wszystkie totalizatory sportowe w Ameryce, najlepsza fucha pod słońcem! Ilekroć zechce się dowiedzieć, co nowego w pralni, Angelo na pewno chętnie do niego wpadnie i go o wszystkim poinformuje, a poza tym może tato pozwoli mu kierować z Vegas organizowaniem zachodniej Kanady. Ale, na miłość boską, najwspanialsze i najcudowniejsze jest to, że nie będzie potrzebował dłużej udawać, iż cierpi z powodu Maerose. Stanie się wolny!

- Stokrotne dzięki, tatusiu! Ostatnio nie czuję się w formie. Gdybym pozostał w Brooklynie, musiałbym zwolnić obroty. Zmiana klimatu jest właśnie tym, czego mi trzeba. Zobaczysz, jak się wezmę za totalizatory! Ale kto zastąpi mnie tutaj? Charley?

- Wszystko po kolei. Dziś jest twój wielki dzień. Nie będziemy sobie zawracać niczym innym głowy, dopóki nie przeniesiesz się do Vegas. Chcę wydać bankiet na twoją cześć. Wspaniały bankiet, żeby wszyscy długo mieli co wspominać.

Vincent objął ojca.

- Życia mi nie starczy, tatusiu, by ci się w pełni odwdzięczyć - powiedział wzruszony. - Ciągłe dbasz i troszczysz się o nas wszystkich, o dwa tysiące ludzi. Nie wiem, jakbyśmy sobie radzili bez ciebie. Ed, Angelo, Charley... Bez ciebie bylibyśmy niczym!

Kiedy puścił ojca, w oczach miał łzy.

- Zasłużyliście na to, bo miłujecie honor - oświadczył Don Corrado.

Z dziobu łodzi dobiegł ich gromki śmiech Cetriolego. Mewy nurkowały w powietrzu, wylądowując odpadki z brudnej wody. Do zatoki wpłynęły równocześnie nieczystości z siedemdziesięciu jeden tysięcy ośmiuset czterdziestu trzech toalet.

Rozdział 16

O dziesiątej rano w sobotę Charley wsiadł na lotnisku La Guardia w samolot do Los Angeles. Zaledwie przed godziną pocałował na do widzenia Maerose, potem pocałował ją po raz drugi, nie mogąc się nasycić jej miękkimi twardościami, twardymi miękkościami i cudownym smakiem; wreszcie w pożegnalnym zapale przewrócił ją w przedpokoju na dywan i dał taki popis swoich możliwości, że skończyła wyjąc jak syrena fabryczna, po czym wybuchnęła płaczem.

Zamierzał zadać Irene parę pytań; wiedział, że da mu na nie z góry przygotowane odpowiedzi i że bez względu na to jakie będą, on je zaakceptuje. Cholera, całe życie był sam, bo na pierwszym miejscu zawsze stawiał pracę. No, tym razem - postawił pracę, Prizzich i ich honor na drugim miejscu, o kilka długości za uczuciem. Coś się w nim rozregulowało, kiedy po raz pierwszy okłamał Vincenta. Przecież doskonale zdawał sobie sprawę, że Irene obrobiła Prizzich i że to właśnie ona zdmuchnęła Louisa Pala. Podejrzewał również, i pewnie słusznie, że kant w Vegas od początku był jej pomysłem. Okłamał Prizzich. Nie rozwalił jej i nie wpakował do bagażnika obok Marxiego. Wystarczyło to jedno odstępstwo od zasad, by nagle wszystko się w nim odmieniło. Gównu go teraz obchodziło, że tyle zawdzięcza Prizzim. Sam nie umiał tego pojąć. Jedyne, czego pragnął, to tej cwanej hipokrytki. Może wreszcie stawał się dojrzały? Miał czterdzieści dwa lata, a Marxie Heller nazwał go Harcerzykiem; czyżby właśnie tak przezywali go wszyscy za jego plecami? Chuj z nimi! Wypruwał sobie flaki i jak dziki osioł harował dla Prizzich, a właściwie od dwóch lat nie widział nawet Don Corrada. Za cały swój zapieprz miał na szwajcarskim koncie zaledwie jakieś osiemset, dziewięćset tysięcy, podczas gdy Vincent miał z piętnaście melonów.

Teraz liczyła się dla niego przede wszystkim Irene. Bez niej, cała reszta to o kant dupy potłuc! Ona była najważniejsza i basta. Więc zada jej parę pytań i przyjmie każdą jej odpowiedź. O kurwa, ale wdepnął!

Gdy tylko znalazł się w gmachu lotniska w Los Angeles, natychmiast pobiegł do telefonu.

- Irene? Tu Charley.
- Och, Charley, jak się cieszę!
- Musimy pogadać.
- Gdzie jesteś?
- Właśnie przyleciałem, dzwonię z lotniska. Słuchaj, spotkajmy się w tej portorykańskiej knajpie nad oceanem, zgoda?
- O której?
- Muszę wynająć pokój w hotelu, umyć się i przebrać, więc może o pierwszej?
- Wpadnę po ciebie do hotelu.
- Nie! Chcę, żebyśmy byli na słońcu, kiedy cię znów zobaczę. Którędy się jedzie do tej knajpy?
- Trudno tam trafić, Charley.
- Dobra, wezmę taksówkę. Odwiesił słuchawkę.

Kiedy przybył na miejsce, zapytał o kierownika, i ten sam śniady kelner, który obsługiwał ich poprzednio, wyjaśnił mu, że akurat tego dnia kierownik ma wolne. Charley dał mu pięćdziesiąt dolarów i wskazując stolik na końcu tarasu, z którego roztaczał się wspaniały widok na ocean, rzekł:

- Zajmę tamten stolik. Chcę, żeby nikogo nie było w pobliżu, więc proszę dopilnować, żeby trzy sąsiednie stoliki pozostały wolne, dobrze?

Kelner uśmiechnął się i skinął głową. Charley usiadł przy stoliku. Irene zjawiała się za dziesięć pierwsza. Wyglądała fantastycznie. Idąc wolno przez taras, uśmiechnęła się do niego - ucieszył się tak bardzo, że nawet nie zwrócił uwagi, jak jest ubrana. Oboje zrobili coś dziwnego: na powitanie podali sobie ręce.

Gdy tylko usiadła, przybiegł do nich kelner; zaszwargotała do niego tak samo jak poprzednio.

- Zamówiłaś ten napój z sokiem ananasowym?

- Tak.

- Wiesz, wciąż nie mogę dojść do siebie.

Irene westchnęła, nadymając policzki i wypuszczając z nich wolno powietrze.

- Irene, muszę ci coś powiedzieć. Wiem o tobie wszystko. Wiem, że to ty załatwiłaś Netturbina, a jeśli chodzi o ten kant w Vegas, jestem przekonany, że byłaś w zмовie z Louisem i Marxiem.

Irene podniosła oczy. Jej kojąca moc działała na niego jak balsam: czuł, że ogarnia go błogi spokój, co działo się tylko wtedy, gdy była przy nim. Nagle zdał sobie sprawę, że tamten lekarz, autor artykułu o miłości, nie miał racji. Tego, co dawała mu Irene, potrzebował wyłącznie od niej, nigdy od matki.

- Tak, Charley, załatwiłam Netturbina, ale z kaniem w Vegas nie mam nic wspólnego.

- Naprawdę? Słowo?

- Tak. To nie moja specjalność, ale gdybym już chciała wywinąć taki numer, rozegrałabym wszystko zupełnie inaczej.

- Wiesz co? Vincent uważa, że gdyby ten tępak Louis działał sam, też rozegrałby wszystko inaczej. A gdyby spiknął się tylko z twoim mężem, to też robiliby wszystko według jego pomysłu, bo nigdy nie zgodziłby się, żeby Marxie nim dyrygował.

- Charley, naprawdę nie miałam z tym nic wspólnego.

- To dlaczego Louis Pała czekał w nocy za knajpą Presta Ciglioneego? Dlaczego ciągnął szwindel do ostatniej chwili, aż do powrotu Jacka Ramena? Dlaczego zgodził się odpalić połowę łupu Marxiemu, zupełnie jakby twój mąż był uznanym człowiekiem? Jeśli siedział w wozie i na kogoś czekał, jedyna osoba, którą dopuściłby do siebie, to Marxie, gdyby Marxie miał przynieść szmal. Ale szmałem podzielili się wcześniej. Zresztą, zanim Marxie zdołałby go kropnąć, sam dostałby kulę w łeb, a Louis byłby już w połowie drogi do San Francisco lub Reno.

- Nie wiem, co się stało - oświadczyła z głębokim spokojem.

- Spluwa znajdowała się pod tablicą rozdzielczą. Louis był tak podejrzliwy, że nawet kiedy jechał po lody, sprawdzał, czy nikt mu nie wsadził do silnika bomby. Taki już był. Ale tobie pozwoliłby podejść do wozu i wsiąść do środka.

Popatrzyła na niego, dając mu dostrzec ból w jej oczach, po czym wolno, jakby przysięgała na życie ukochanego dziecka, potrząsnęła trzykrotnie głową, i głosem tak cichym, że Charley mógł jedynie odczytać odpowiedź z ruchu jej warg, wyszeptała:

- Nie.

- Muszę cię o wszystko dokładnie wypytać, Irene. Nie potrafiłbym z tobą żyć, gdybym tego nie uczynił.

- Rozumiem, co czujesz - odparła. - Nie mogłam spać, bo wiem, jak ważny jest dla ciebie honor Prizzich. Towarzystwo ubezpieczeniowe zwróci ukradzione pieniądze, ale ciebie boli, że ktoś w ogóle odważył się targnąć na własność rodziny. Wiesz, że Prizzi liczą na ciebie, że odzyskasz szmal, a jeśli ci się nie uda, to przynajmniej ukarzesz tych, którzy narazili na szwank ich honor.

- Chryste! Siedemset dwadzieścia dwa dolce to kupa forsy!

- Połowę odzyskałeś.

- Trzysta sześćdziesiąt to też kawał szmalu!

- Nie jesteś w stanie powstrzymać wszystkich od wyciągania rąk po forszę! Tym, którzy ją mają, zawsze grozi niebezpieczeństwo, że ktoś będzie próbował im co nieco uszczknąć!

- Pewnie tak - przyznał zduszonym szeptem Charley. - Ale nie wyjawiałem Vincentowi, co się stało ze szmałem. Kryłem cię, więc łgałem. A dla Prizzich, zresztą dla mnie też, to zupełnie tak, jakbym sam brał udział w tym szwindlu.

- Wcale mnie nie kryłeś, Charley. Wbiłeś sobie do głowy, że jestem winna, ale naprawdę nie musiałeś mnie kryć, bo nie miałam z tym nic wspólnego.

Była całkowicie opanowana. Nie słyszał w jej głosie zniecierpliwienia, gniewu. Promieniował od niej spokój i rozbijająca szczerłość, lecz w nim wciąż wrzało.

- Kiedy wyszedłem z ojcem od Vincenta, sam nie wiem, co mnie naszło, ale nagle, zupełnie jakbym rzeczywiście był winien, spytałem go, czy Vincent przypadkiem nie podejrzewa, że to ja zwinąłem połowę szmalu. Nigdy nie zapomnę, jak ojciec na mnie spojrzał!

Bezradnym gestem podniósł obie dłonie.

- Pobierzemy się? - spytała cicho Irene. Popatrzył na nią przeciągle.

- Boże, co za pytanie! - Ale wtem z twarzy znikło mu napięcie, rozplynęły się wszystkie jego wątpliwości. - Poważnie? Naprawdę chcesz za mnie wyjść, mimo że podejrzewałem cię o najgorsze?

- Och, Charley!

- Świetnie! Znakomicie! To załatwia całą sprawę. Prizzi muszą mi uwierzyć, bo ja wierzę tobie!

Zalała ją fala wdzięczności: wobec Boga, Charleya, matki, która pokazała jej, jak czczą rzeczą jest pycha, a także wobec Marxiego, który nauczył ją kłamać. Pomyślała, że może właśnie ta chwila jest najważniejszą w jej życiu. Oczy naszły jej łzami. Uśmiechnęła się.

Charley głośno wytarł nos.

- Irene, posłuchaj. Ojciec wie, co do ciebie czuję. Może nawet podejrzewał cię o to samo, co ja. Ale jest mądrym człowiekiem, nie próbuje przeciwstawić się uczuciu.

Powiedział mi, żebym sprowadził cię do Nowego Jorku i byśmy wspólnie zamieszkali, ale ponieważ rodzina orientuje się, w jaki sposób zarabiasz na życie, radził, bym nie brał z tobą ślubu. Pojmujesz o co chodzi? Nie zgodzą się, żeby specjalistka od mokrej roboty przyjaźniła się z ich żonami i córkami.

- Co za bzdura! Przecież kobiety z rodziny cały czas kontaktują się z ludźmi, którzy mają ręce znacznie brudniejsze ode mnie!

- Jasne. Masz świętą rację. Mówię o tym, żeby ci pokazać, jak mój ojciec świetnie wszystko przewidział. Powiedział wprawdzie, żebym się z tobą nie żenił, ale sam był wierny matce aż GO jej śmierci. Nigdy nie zadawał się z innymi kobietami. Dlatego na pewno mnie zrozumie.

- Mam nadzieję. Charley. A nie będziesz miał przez nasz ślub nieprzyjemności?

- Prizzim nic do tego. Maerose na pewno serdecznie się z tobą zaprzyjaźni, a to liczy się za setkę innych znajomości. Chodź, ruszamy. Polecimy do Meksyku, kupimy na miejscu ciuchy i weźmiemy ślub.

Dalsze wydarzenia potoczyły się jednak nieco inaczej. Irene nie miała zamiaru brać pierwszego w swoim życiu ślubu z prawdziwej miłości w jakiejś kiecce kupionej w meksykańskim butik, więc pojechali do jej willi, ale zanim wzięła się za pakowanie, wyładowali w tym samym łóżku, w którym kilka razy przespala się z Louistem oraz regularnie sypiała z Marxiem, i było tak cudownie, że wciąż odkładali pakowanie na później, aż wreszcie zrobiła się za kwadrans siódma.

Irene przyrządziła polsko-sycylijsko-meksykańską kolację.

- Nigdy nie jadłem nic równie pysznego! - pochwalił ją narzeczony, po czym, utrudzony napięciami dnia, olimpijskimi zmaganiem z Maerose ostatniej nocy, podróżą, nerwami, poolimpijskimi wyczynami z Irene, a także ogromną kolacją i butelką francuskiego wina Petrus, rocznik 1970, zwałił się jak kłoda na łóżko i usnął natychmiast.

Upewniwszy się, że Charley śpi, Irene przeszła do pokoju telewizyjnego, w którym Marxie lubił stawiać pasjansa, i wykręciła numer swojego biura w Beverly Hills. Był wpół do jedenastej. Na sekretarce automatycznej połączonej z telefonem w Południowej Karolinie nagrany był w miarę kulturalny, nieco wysoki męski głos.

- Chciałbym się spotkać w Dallas dziewiątego sierpnia. Płacę pełną stawkę. - Irene uśmiechnęła się do siebie w półmroku: "pełna stawka" oznaczało sto tysięcy dolarów. - Umówmy się na obiad o pierwszej w restauracji Hilton Inn na Central róg Mockingbird. Będę czekał przy szóstym stoliku na lewo od drzwi, przy oknie. Narzędzia dostarczę.

Sprawdziła w kalendarzu. Dziewiąty był za sześć dni od jutra. Lepsza krótka podróż poślubna niż żadna. Skasowała nagranie i pogasiła światła.

O siódmej rano oboje byli już na nogach.

- Wiesz co, Charley - powiedziała Irene, gdy tylko się obudzili - dla cudzoziemców wzięcie ślubu w Meksyku wcale nie jest taką prostą sprawą. Formalności mogą trwać i trzy tygodnie.

- Serio?

- Tak. Dwa lata temu dowadywałam się o to na prośbę przyjaciółki.

- Więc co robimy?

- Jedyną miejscowością w Meksyku, gdzie ślubu udzielają od ręki jest Tijuana. Później możemy lecieć do Acapulco.

- Świetnie! Ruszamy!

Kiedy się ubierali. Irene oświadczyła, że mają sześć dni, bo dziewiątego ma w Dallas spotkanie z klientem.

- Porady podatkowe?

- Nie. Kontrakt.

- Ile ci płacą od łebka?

- W Dallas otrzymam sto dolców. Ale cena się waha. Syndykat płaci mi zwykle siedemdziesiąt pięć, choć robota wcale nie jest łatwiejsza.

- Ile masz zleceń w ciągu roku?

- Trzy, cztery.

- Aż tyle? Poważnie?

- W porównaniu z liczbą ludności, to doprawdy niewiele!

Skończyli się pakować i Irene zadzwoniła po taksówkę.

- Dobra. Jak długo zajmie ci Dallas?

- Nie wiem. Góra trzy dni. Na ogół wszystko jest już zaplanowane.

- Ale koniec z mieszkaniem na dwóch wybrzeżach, zgoda, Irene? -

- Oczywiście! Będziemy przecież małżeństwem, a to wszystko zmienia. Nie bój się, chcę mieszkać ze swoim mężem.

Podbiegł do niej, delikatnie ujął w dłonie jej twarz i zaczął ją czule całować: po nosie, oczach, miękkich policzkach i jeszcze miększych ustach.

- Nie wierzę we własne szczęście! - zawołał.

Pobrali się w Tijuanie, korzystając z usług dwóch zawodowych świadków i sędziego pokoju Josepha Tierneya Mastersa, który na koniec puścił im melodię "Błękitne niebo".

- Cholera, coś mi tu nie gra! - mruknął Charley. - Ślubu powinien udzielać ksiądz!

- Ten jest równie prawomocny - uspokoiła go Irene. - A poza tym, jak pojedziemy do Brooklynu, możesz umówić nas z księdzem. Pomyśl, Charley, taka drobna przyjemność, a jak cieszy! Być twoją żoną to doprawdy cudowne uczucie! Powinniśmy się pobrać jeszcze kilka razy!

Polecieli do Acapulco. Kiedy rozlokowali się w hotelu, Charley wykręcił domowy numer ojca w Nowym Jorku.

- Papa? Tu Charley.

- Cześć! Nie widziałem cię ostatnio.

- Jestem w Meksyku.

- Tak? Jaka masz pogodę?

- Albo leje, albo praży słońce.

- Co robisz w Meksyku?

- Papa, ożeniłem się!

- Z tą specjalistką?

- Tak.

- Na razie trzymaj to w tajemnicy, Charley.

- Tobie musiałem powiedzieć!
- Zadzwoń do Dwy'e'a Williamsa.
- Coś się stało?
- Nie. Po prostu dopilnuje, żebyś wszędzie miał najlepszą obsługę.
- Świetnie! Może odpali mi trochę czystych biletów lotniczych? Przydałyby się.
- Kiedy wracasz?
- Dziewiątego.
- Razem z nią?
- Nie, Irene doleci później. Musi uregulować swoje sprawy.
- Gdybyś był potrzebny, dam ci znać przez Dwy'e'a. I Charley...
- Tak, papo?
- Gratulacje!
- Dziękuję, papo.
- Mam nadzieję, że wszystko się jakoś ułoży. Charley zszedł na dół do Irene, która siedziała nad basenem.

W przetykanym złotą nicią bikini jej piersi wyglądały tak ponętnie, że natychmiast miał erekcję.

- Hej, Charley - zawołała Irene, uśmiechając się szeroko - co tam chowasz?
- Nie zwracaj uwagi, może zniknie. Znasz Dwy'e'a Williamsa?
- Nie. Powinam?
- Kieruje naszymi sprawami w Meksyku.
- Już wiem, o kogo chodzi. Kiedyś był ważną figurą!
- Ojciec chce, żebym do niego zadzwonił.
- Spotkasz się z nim?
- Chyba tak.
- Więc umów się od razu, żebyśmy resztę czasu mieli wyłącznie dla siebie.
- Dobrze. Pojedziesz ze mną?
- Nie. To przygnębiające, widzieć kogoś, kto zwichnął sobie karierę.

Dwy'e Williams był przed laty burmistrzem Filadelfii. Miał w rządzie tak znakomite układy, że kiedy oddał klucze do miasta w ręce mafii i огоłocił do cna jego obywateli, mianowano go (dla jego dobra, dla dobra partii, którą reprezentował, i po to, aby cała sprawa nie wyszła na jaw) ambasadorem i wysłano do Meksyku, gdzie odsłużył swoją kadencję chlejąc codziennie od świtu do nocy.

Kiedy nowy rząd odwołał go ze stanowiska, Dwy'e Williams otworzył w Meksyku kancelarię adwokacką; no, może nie tyle kancelarię, co biuro. Nie wrócił do Stanów, gdyż taki był warunek jego nominacji: powrót miał odcięty na zawsze.

Przerzut kokainy, heroiny i marihuany z Meksyku do Stanów Zjednoczonych rozwijał się tak świetnie, że miejscowi coyotes chętnie wyciągali po niego łapy; dzięki swoim znajomościom na najwyższych szczeblach, Dwy'e uczynił różnych meksykańskich dygnitarzy rządowych swoimi współnikami i wówczas rzeka narkotyków zamieniła się w istny ocean, przelewający się przez tysiąc milową granicę na stronę amerykańską.

Charley zatelefonował do Dwy'e'a z hallu. Dwy'e spytał go o nazwę hotelu i uparł się, że za dziesięć minut przyśle po niego limuzynę.

Charley usiadł w klimatyzowanym hallu blisko wejścia. Czuł się w Meksyku trochę dziwnie, bo to właśnie tu Hydraulik i mały Philly Zanzara dopadli Maerose i faceta, z którym uciekła; jego skatowali, a ją zmusili, zgodnie z poleceniem Vincenta, żeby się przyglądała. Hydraulik, bardzo speszony całym zajściem, przeproszał później Maerose co najmniej raz do roku. Charley właściwie nie żałował rozstania z Maerose, choć czasami, a zwłaszcza od niedawnej, wspólnie spędzonej nocy zresztą pierwszej i jedynej, gdyż w okresie ich długiego narzeczeństwa ze wszystkich sił hamował swoje popędy - nachodziło go pragnienie, żeby znaleźć się przy niej, mieć ją blisko siebie, nie po to, aby się z nią pieprzyć, ale żeby być razem jak para przyjaciół.

Ona i Irene zajmowały odrębne nisze w jego umyśle. Były jak oliwa i woda; nie sposób, żeby w jego myślach mogły się połączyć. Czuł się najszcześliwszym człowiekiem na ziemi, ponieważ Irene należała do niego, ale zawdzięczał to właśnie Maerose, która wyciągnęła go z dołka i przywróciła do zmysłów: gdyby nie ona, nie byłby teraz z Irene. Ale, cholera, nigdy już nie będzie z Maerose; na tę myśl ogarnął go niewymowny smutek.

Podszedł portier i oznajmił, że przyjechał samochód.

Samochód zawiózł go na lotnisko.

- Kurwa, co to ma znaczyć? - zdenerwował się Charley.

- Pan Williams oczekuje pana w swoim biurze w stolicy - wyjaśnił z kamienną twarzą kierowca wyglądający na Szweda.

- Zgłupiał, czy co! Myślałem, że mieszka gdzieś tu za rogiem. Stolica jest pięćset mil stąd! Wracamy do hotelu. I żadnych więcej kawałów!.

- Tak jest, proszę pana.

Przez dwie mile jechali w milczeniu.

- Samochód i ja jesteśmy do pańskiej dyspozycji. Pan Williams kazał mi to panu powiedzieć, kiedy odmówił pan lotu do stolicy.

- Bardzo miło z jego strony. Zostaw mi wóz. Ty nie będziesz mi potrzebny.

- Znam teren, a pan Williams chciał mieć pewność, że wszędzie spotka się pan z jak najlepszym przyjęciem.

- A to co innego. Dobra. Czekaj przed hotelem o wpół do ósmej.

Oboje byli przekonani, że jeszcze nikt nie miał tak udanej podróży poślubnej.

- Może zabrzmi to głupio - cieszyła się Irene - ale gotowa jestem założyć się o całe swoje wynagrodzenie za robotę w Dallas, że wśród mieszkańców Nowego Jorku, Brooklynu, Detroit, Chicago i Los Angeles nie znajduje się nikt, kto w ciągu pięciu dni kochałby się pięćdziesiąt jeden razy, a do tego widział z okna, jak topi się troje ludzi porwanych przez odpływ!

- Spaghetti też było niezłe - dodał słabo Charley. Pakowali się, żeby wyjechać dzień wcześniej, bo zadzwonił papa i powiedział Charleyowi, iż potrzebny jest w Nowym Jorku.

- Charley, musisz wracać - oznajmił. - Zostaniesz oskarżony o zabójstwo, a Don Corrado chce to mieć z głowy przed zwołaniem narady.

- Jakiej narady?

- Rodziny. Obie strony.
- Obie?
- Tak.
- Chodzi o ten szwindel w Vegas?
- Nie sędzę. No bo co mogą obie strony o tym wiedzieć?
- Słusznie.

Ich pożegnanie na lotnisku było krótkie. Irene rozplakała się. Charley wydmuchał nos. On leciał bezpośrednio do Nowego Jorku, ona prosto do Dallas.

Rozdział 17

Irene wprowadziła się do hotelu na Plaża of the Americas i obejrzała w telewizji film. Następnie zjadła kolację i o jedenastej położyła się do łóżka. Spała jak na siebie długo, do wpół do dziewiątej, a potem niespiesznie wykapała się, umyła włosy, zszyla nocną koszulę, która rozdarła się trochę, gdy Charley niechcący ją przygniótł, po czym zjadła wolno śniadanie, dla zabicia czasu odsyłając z powrotem do kuchni potrawy i robiąc kelnerowi awanturę o to, że zapomniał podać jej do kawy gorącego mleka. Za kwadrans pierwsza wsiadła w taksówkę, a dwanaście minut później wsiadła przed Hilton Inn na rogu Mockingbird i Central. Policzyła stoliki przy oknach po lewej stronie i usiadła przy szóstym, naprzeciwko grubasa w zielonym garniturze, jaskraworóżowej koszuli i zielonym krawacie.

- Dzień dobry - przywitał ją znajomym, niemal dystyngowanym, trochę za wysokim głosem. - Kiedy ostatni raz z panią rozmawiałem, była pani w Południowej Karolinie, prawda?

- Tak? Pod jakim numerem? Grubas wyrecytował numer.
- Zamówili omlety - ona z serem, on z truskawkami.
- Co to za robota? - spytała Irene.

Tak się zaczęło; dwa dni później było już po wszystkim. Chodziło o załatwienie pewnego miejscowego prawnika, który najpierw skumał się z ludźmi z syndykatu, a potem zaczął ich kiwać. Klient grubasa, niezależny nafcjarz, oskarżył prawnika o sprzeniewierzenie, niedbalstwo, oszustwo i brak etyki zawodowej. Nafcjarz wynajął go, żeby wytoczyć proces o łamanie prawa antytrustowego dwóm spółkom naftowym, które usiłowały doprowadzić go do bankructwa. Sąd federalny przyznał mu 27,2 miliona dolarów odszkodowania, z czego prawnik miał dostać honorarium wysokości 2,7 miliona, lecz po wniesieniu przez spółki odwołania, sąd wyższej instancji zmniejszył kwotę odszkodowania do dziesięciu milionów, z czego półtora miliona miało zostać wypłacone natychmiast, a reszta w ratach rozłożonych na pięć lat. Prawnika jednak ani nie powiadomił klienta, że rozprawa się odbyła, ani nie dał mu pieniędzy, które otrzymał jako jego pełnomocnik. Co więcej, nie powiedział o niczym kumplom z syndykatu. Nafcjarz wytoczył mu proces, ale prawnik wciąż wynajdywał preteksty i kruczki, żeby odraczać kolejne rozprawy; zapowiadało się na to, że miną trzy lata, zanim nafcjarz odzyska pieniądze. Postanowił więc usunąć prawnika. Syndykat wyraził zgodę.

Prawnik zajmował apartament w jednym z wielkich hoteli w centrum miasta, więc grubas wymyślił, iż Irene wślizgnie się do apartamentu przebrana za pokojówkę i podmieni pastylki obniżające, ciśnienie na identyczne kapsułki z cyjankiem.

Irene odparła, że przysięgli w Teksasie potrafią zrozumieć i usprawiedliwić użycie broni palnej, bo strzelanie jest zgodne z amerykańską tradycją, lecz trucielei zawsze traktują bardzo surowo. Spytała grubasa, czyjego klient miałby coś przeciwko temu, by zastrzeliła prawnika. Okazało się, że nie; zadzwoniła więc do prawnika i opowiedziała mu zmyśloną historyjkę, jak to jej zmarły niedawno mąż pozostawił w spadku posiadłość wartości ponad stu milionów, którą jakaś modelka usiłuje sobie przywłaszczyć; umówili się nazajutrz u niego w biurze o dziewiątej piętnaście.

Kiedy się zjawiała, przyodziana w strój żałobny z długą, gęstą woalką, sekretarka natychmiast wprowadziła ją do dużego gabinetu o grubych zasłonach i zamknęła za nią obite skórą drzwi dobrze tłumiące odgłosy. Irene usiadła naprzeciwko prawnika i strzeliła do niego trzymając rewolwer pod biurkiem. Hałas był znikomy. Wstała, obeszła biurko i dwukrotnie strzeliła ofierze w głowę. Zostawiła trupa i wyszła do pomieszczenia, w którym urzędowała sekretarka.

- Pan mecenas pragnie mieć kwadrans spokoju dla przejrzenia dokumentów w mojej sprawie.

Sekretarka z uśmiechem skinęła głową, a wtedy Irene poprosiła, żeby wskazała jej, gdzie są windy.

Minęła godzina i pięć minut, zanim sekretarka zajrzała do gabinetu spytać o coś szefa - wcześniej wstrzymała osiem telefonów. W tym czasie Irene była już w drodze do Los Angeles, gdzie musiała spakować się przed przeprowadzką do Nowego Jorku, zamknąć na cztery spusty wilgę i ulokować "pełną stawkę" w swoim sejfie w banku w Beverly Hills.

Rozdział 18

Po południu tego samego dnia, co Charley zadzwonił do niego z Acapulco, Angelo Partanna - jak w każdy czwartek - odwiedził rezydencję Sesterów w Brooklyn Heights, żeby wypić kieliszek wina z czarnego bzu i wziąć polecenia Don Corrada, jakie uzbierały się dla niego w ciągu kilku dni. Amalia umiała tak wspaniale przyrządzać różne sycylijskie łakocie, że była to jego ulubiona wizyta tygodnia. Siedział w kuchni obszernego domu - już z instrukcjami Don Corrada w kieszeni - i ocierając z potu gładką, opaloną łysinę, sączył wino i pogryzał smakowite cubaita, gdy Amalia spytała go o Charleya.

- Powiem ci to w zaufaniu, ale na razie nie mów o tym nikomu. Charley się ożenił. Jest w Meksyku.

- Ożenił się?! Charley?! O Boże!

- No, chłopak ma już czterdzieści dwa lata.

- Z kim, na miłość boską?

- Irene Walker.

- Walker to nie sycylijskie nazwisko.

- Irene jest Amerykanką. Doradcą podatkowym. Miła dziewczyna. I bystra.

- To dopiero sensacja!
- No, zobaczymy, jak się im ułoży. Mieszane małżeństwo...
- Nie jest ze środowiska?
- Właśnie.

Dziesięć minut po wyjściu Angela. Amalia nie mogła już dłużej wytrzymać: musiała się z kimś podzielić nowiną. Jeśli ktokolwiek miał prawo o tym wiedzieć, to przede wszystkim jej bratanica, Maerose Prizzi. Zadzwoiła do niej do biura.

- Mae, mam niesamowitą wiadomość!
- Co takiego?
- Charley Partanna się ożenił!

Maerose nie odpowiedziała. Położyła słuchawkę na biurku, podeszła do okna i wyjrzała na ulicę. Po chwili ze słuchawki dobiegły ją trzaski, więc wróciła do biurka, usiadła i podniosła ją znów.

- Z Irene Walker?
- Tak.

- Mogłam się domyślać, że do tego dojdzie. A więc jednak!

- No, nie wiem, jak ty się na to zapatrujesz, ale dla mnie stanowi to zamknięcie pewnego rozdziału - oświadczyła Amalia. - Rozumiesz, Mae, co mam na myśli?

- Co?

- Jestem przekonana, że jeśli teraz napiszesz list do dziadka i powiadomisz go o tym, i powiesz, że nadszedł chyba czas, by welno ci było wrócić do domu, na pewno poleci twojemu ojcu, żeby przyjął cię z powrotem.

- Dziękuję ci, Amalio.

- Będę przy dziadku, kiedy dostanie twój list. Pomogę mu podjąć decyzję.

- Jezu, chętnie wrócę do domu, choćby po to, żeby zemścić się na ojcu.

- Dobrze wiesz, że to nie jedyny powód!

Maerose odpowiedziała ponuro, że zemsta na ojcu jest dla niej najważniejsza.

- Napisz ten list od razu, Mae! - poradziła Amalia. Maerose odwołała przez telefon dwa spotkania z klientami, jakie miała naznaczone na popołudnie. Za oknem lało jak z cebra. Następnie zadzwoniła do centrali.

- Edwina, nie łącz mnie z nikim do końca dnia - powiedziała telefonistce. - I bez tego mam huk pracy.

Zamknęła się w gabinecie i usiadła nad blokiem żółtego papieru. Jej dziadek nie miał zaufania do listów pisanych na maszynie.

Kochany Dziadku! (pisała po sycylijsku)

Mam dwadzieścia dziewięć lat, a kiedy skończyłam dziewiętnaście, musiałam wyprowadzić się z rodzinnego domu.

Mężczyzna, którego skrzywdziłam, Charley Partanna, masie wkrótce ożenić z jakąś Kalifornijką. Jest szczęśliwy. O mnie już dawno zapomniał.

Proszę Cię, Dziadku, żebyś porozmawiał z moim ojcem i przekonał go, że już dość się wycierpiałam za to, co zrobiłam przed dziesięciu laty. Proszę cię, byś przekonał mojego ojca, żeby mi wybaczył.

Twoja kochająca wnuczka, Maerose

Angelo Partanna działał bardzo ostrożnie. Specjalnie najpierw podzielił się z nowiną z Amalią, ponieważ był pewien, że powtórzy wszystko Corrado Prizziemu. Corrado przemyśli to sobie dokładnie, a następnie zadzwoni do Vincenta. Angelowi jednak zależało, aby Vincent dowiedział się o małżeństwie Charleya przed rozmową z ojcem, żeby nie stanowiło to dla niego zaskoczenia.

Wyszedł na korytarz i wetknął głowę w drzwi gabinetu Vincenta.

- Może zjedlibyśmy dziś razem wcześniejszą kolację?

- Świetnie. Dokąd pójdziemy?

Vincent od lat powtarzał to pytanie, choć zawsze szli do Tucciego.

- Może do Tucciego? - zaproponował zresztą sam.

- Doskonale. Wpadnij po mnie o szóstej, dobrze?

Podczas jazdy do Tucciego dyskutowali o baseballu. Angelo nie odróżniłby piłki baseballowej od cocómero, ale przez lata rozmów z Vincentem podłapał dość fachowej terminologii, żeby udawać, iż świetnie wie o co chodzi. Gdy tylko znaleźli się w restauracji, obaj spowaźnieli. Wlepili wzrok w menu, które z tym samym skupieniem studiowali dokładnie pięć razy na tydzień.

W lokalu Tucciego znajdował się barek, sześć stolików i szafa grająca. Na zmianę gotowały żona i synowa Tucciego. Kierowca Vincenta, i zarazem jego goryl, jadał zawsze przy barze.

Tucci był Neapolitańczykiem.

- Chyba wezmę zupę rybacką di Pozzuoli - oświadczył Vincent takim tonem, jakby podjął jakąś wyjątkową decyzję.

Zupa ta figurowała w karcie dwa razy w tygodniu - i wówczas zawsze ją zamawiał.

- Dobrze. Ja również.

- Angelo, spójrz! Mają peperoni imbottiti! Co ty na to? - Wspaniale, wspaniale!

Zamówili butelkę Łez Jezusa z gron winorośli porastających zwały lawy u stóp Wezuwiusza. Dla Vincenta był to najmilszy moment dnia, ale ponieważ jego dobry nastrój nigdy nie trwał długo, Angelo od razu się zakrzętał wokół interesów syna.

- Vincent, wiesz co? Charley się ożenił.

W Vincenta jakby piorun strzelił. Zatrzymał w pół ruchu rękę unoszącą kieliszek i odstawił go z powrotem na stole.

- Charley się ożenił?

Jego małe oczka stały się nagle szkliste. Przestał widzieć Angela. Usta ściągnęły mu się w ciasną, wstrętą bliznę - nagle jednak zdał sobie sprawę, że Angelo obserwuje jego reakcję, więc przysłonił serwetką usta, po czym zmusił się do sięgnięcia po kieliszek.

Angelo skinął łagodnie głową. Nie musiał zgadywać, co się dzieje w umyśle przyjaciela. Vincent od blisko dziesięciu lat udawał, że gnębi go i boli krzywda, wyrządzona przez jego córkę Charleyowi, lecz w miarę upływu czasu coraz bardziej winił Charleya za złamanie życia Maerose i wynikłe z tego własne zgryzoty. Czyż jego córka

mogła wyjść za męża i powrócić na łono rodziny tak długo, jak upokorzony przez nią mężczyzna demonstracyjnie obnosił się ze swoją krzywdą nie poślubiając innej kobiety? Nawet gdyby nigdy nie wyszła za męża - w głębi serca zdawał sobie sprawę, że po tym co uczyniła zamążpójście jest dla niej niedostępne - publiczna żaloba Charleya uniemożliwiła mu pozwolenie Maerose na powrót do rodzinnego domu. Przez blisko dziesięć lat musiał się stołować po różnych spelunkach jak ta buda Tucciego i cierpieć później zgagę, bo z winy Charleya jego córka tułała się gdzieś po Manhattanie, choć jej miejsce było przy ojcu - gdyby nie Charley, prowadziłyby mu dom i szykowałą posiłki.

Po pierwsze, to niewątpliwie sam Charley był winien temu, że Maerose uciekła od niego do Meksyku. Na pewno chciał zmusić ją do jakichś świństw - nie zamierzała się podporządkować i dlatego uciekła. Gdyby dziesięć lat temu zaręczona była z kimkolwiek innym niż Charley Partanna, na pewno dawno temu by się pobrali, a on mieszkałby z córką i zięciem i - zamiast tych neapolitańskich odpadków Tucciego - jadał wyłącznie smaczne i zdrowe potrawy. Charley Partanna zmusił jego córkę, żeby własnego ojca pohańbiła w oczach rodziny. Przez nikogo nie wycierpiał się tyle, co przez Charleya Partannę. Łobuz nie zasługiwał na to, by mieć żonę - gospodynię, kucharkę, towarzyszkę - po tym wszystkim, co z jego winy Maerose uczyniła jemu, sobie i ojcu. Powściągnął jak mógł swoją wściekłość, gdyż Angelo był najstarszym przyjacielem jego taty.

- Z kim się ożenił?

Głos mu drżał. Nie był w stanie spojrzeć Angelowi w oczy. Domyślał się, że Charley nie ożenił się z kimś z rodziny, bo wówczas wiedziałby o tym od dawna. Więc co zrobił? Wżenił się w którąś z czterech pozostałych rodzin? To mogło mieć swoje dobre strony, ale także złe.

- Z pewnością Kalifornijką - odpowiedział Angelo. - O ile mi wiadomo, spoza środowiska. Jest doradcą podatkowym.

- Spoza środowiska?! Jezu, Angelo, to o czym kobiety mają z nią rozmawiać? Chryste, będziemy musieli urywać rozmowy, gdy tylko wejdzie do pokoju!

- Trudno, już się pobrali. Właśnie pojechali do Meksyku w podróż poślubną.

Podjął ogromne ryzyko, ale uczynił to świadomie. Nikt oprócz niego nie wiedział, kto sprzątnął Netturbina, bo takie były zasady całej ich działalności, tego wymagały względy bezpieczeństwa. Żadnych świadków. Nic nikomu nie mówić bez przyczyny. Dlatego Vincent nie miał pojęcia, kto dla Prizzich załatwił Netturbina. Gdyby chciał się dowiedzieć, spytałby Angela, lecz tego nie uczynił. To była pierwsza niebezpieczna sprawa. Ale istniała jeszcze druga: to, że żona Charleya zaledwie cztery dni wcześniej była żoną Marxiego Hellera, faceta, który orznął rodzinę na siedemset dwadzieścia dwa dolce. Obie te sprawy to dynamit. Gdyby tylko Vincent dowiedział się o którejś z nich, byłoby po Charleyu. Pierwsza - wprowadzenie w ich krąg mordercy było obelgą dla kobiet z rodzin Prizzi, Garrone i Sestero. Nikt by tego nie puścił płazem. Druga sprawa była jeszcze drażliwsza od kwestii honoru: chodziło o blisko trzy[<] czwarte miliona dolarów skradzionych rodzinie, z której to sumy odzyskano zaledwie trzysta sześćdziesiąt dolców. Zdaniem Angela, Charley nawet gdyby specjalnie się starał, nie mógłby się znaleźć w gorszej sytuacji. Istniała szansa, co prawda bardzo, ale to bardzo nikła, że gdyby Charley poznał Irene i ożenił się z nią trzy lata po tym szwindlu, to

wówczas nikt by nie twierdził, że miał on z tą sprawą coś wspólnego. Ale Charley rozwił jej męża i sam się z nią ożenił cztery dni później, i jeśli powiązać z tym fakt, że była fachowcem od mokrych robótek i miała te trzysta sześćdziesiąt tysięcy zielonych, które zwróciła Charleyowi, stawało się jasne jak słońce, że to ona zdmuchnęła Louisa Pala, więc Vincent przy jego nastawieniu do Charleya gdyby kiedykolwiek zdołał powiązać to wszystko do kupy, miałby aż nadto podstaw, by żądać, żeby Charley zapłacił gardłem za swoje małżeństwo i brakującą forszę.

Angelo przemyślał to wszystko dokładnie. Właśnie takie pokrętne myślenie było jego specjalnością jako consigliere Prizzich. On jeden wiedział, że to żona Charleya załatwiła Netturbina. On jeden wiedział, że żona Charleya to wdowa po Marxiem Hellerze. Był consigliere Prizzich, ale przede wszystkim był ojcem Charleya, więc musiał zaryzykować i sam powiadomić Vincenta o małżeństwie syna, licząc na to, że gdy ktoś teraz wspomni o tym fakcie Vincentowi, ten powie, że już mu dawno o wszystkim wiadomo i nie ma ochoty więcej zawracać sobie tym głowy.

Nazajutrz o piątej po południu Maerose Prizzi zadzwoniła do drzwi rezydencji Sesterów w Brooklyn Heights. O pierwszej był u niej fryzjer, o trzeciej kosmetyczka. Wiedziała, jak przypodobać się dziadkowi - kazała się ucharakteryzować na młodą dziewczynę, od której biłaby uroda i dobroć. Ugo Bustarella, który pilnował drzwi, szczerze ucieszył się na jej widok.

- Jezu, nie widziałem cię chyba z cztery lata! - zawołał. - Wyglądasz wspaniale!

- Ugo, ależ ty utyłeś! Florrie pewnie karmi cię sześć razy dziennie!

Uśmiechnął się szeroko.

- Florrie trzy razy i pani Sestero trzy razy. Wchodź, zaprowadzę cię do niej. Jest w kuchni.

Postawił opasłą strzelbę w rogu za drzwiami i zadowolony, podprowadził Maerose do schodów.

- Do kuchni trafię sama - powiedziała. - Byłam tu przecież co najmniej kilkaset razy! Pozdrów ode mnie Florrie.

Amalia już na nią czekała. Pozbyła się służącej, posyłając ją na górę z jakimś poleceniem, po czym oznajmiła Maerose:

- Dziadek dostał wczoraj twój list. Ogromnie się ucieszył. Powiedział Vincentowi, żeby się tu dziś zjawiał. Każe mu sprowadzić cię z powrotem do domu.

Maerose wyprostowała się na całą wysokość. Wzięła głęboki oddech, wypuściła wolno powietrze i oświadczyła:

- Zapłaci mi za wszystko. Przez następne dziesięć lat zrewanżuję mu się w pełni za moich dziesięć.

- Zemsta nie daje satysfakcji stwierdziła Amalia. Sycylijczycy ciągle za wszystko by się mścili, ale co z tego potem mają? Nic.

- Jestem wnuczką Corrada Prizziego. Kiedy ojciec wyrzekł się mnie, ja również przestałam uważać go za ojca. Kiedy wyrzucił mnie z domu i przez dziesięć lat nie pozwalał mi wrócić, nazywając mnie ładacznica i przysięgając, że dopilnuje, abym zawsze pozostała starą panną, kiedy patrzył na mnie, jakbym była kawałkiem śmiecia,

gdy te kilka razy w roku dziadek nakłaniał go do widzenia się ze mną, przez cały ten czas opluwał mój honor. Nie chodzi mi więc o zemstę. Chodzi mi o honor.

Corrado Prizzi płakał rzewnie przyjmując swoją wnuczkę na łono rodziny. "Biedny starowinka, taki słaby i bezradny" - rozczuliła się nad nim w myślach Maerose, na chwilę zapominając, z kim ma do czynienia.

- Dziś się wszystko wyjaśni - powiedział. - Twój ojciec odwiedzi mnie wieczorem.

- Napisałam do dziadka list, bo pragnę powrócić do grona rodziny. Pragnę zająć swoje dawne miejsce w domu ojca. Wiem, że jest samotny; chcę dla niego gotować, sprzątać. Z całego serca pragnę wynagrodzić mu to wszystko, co przeze mnie wycierpiał.

Pożegnawszy się z dziadkiem, udała się czym prędzej do kościoła Santa Grazia di Traghetti. Zapaliła trzy świece - za ojca, za Charleya i za siebie wrzuciła do puszeki dwudziestodolarowy banknot, po czym usiadła w drugim rzędzie na prawo od nawy, na tym samym miejscu, gdzie siadywała podczas niedzielnych i świątecznych mszy przez całe swoje dzieciństwo, i zaczęła się gorąco modlić o wstawiennictwo dla siebie i swoich planów, najpierw do Najświętszej Pani, a następnie do Świętego Januarego. Zamierzała odplacić się ojcu: udruką za udruką, tak jak on ją, za życia skazać go na czyszcie. Zniszczy go: w końcu rozchoruje się ze zgryzoty i umrze. Wówczas Charley Partanna obejmie po nim funkcję szefa rodziny, a ona będzie panować u jego boku, jako jego prawowita małżonka. To właśnie będzie dla niej najwyższą satysfakcją. Odzyska Charleya, odzyska go na zawsze. To nigdy, przenigdy nie mogłoby się wydarzyć, gdyby nie fakt, że poślubił Irene Walker. To, o co modliła się we dnie i w nocy, miało się wreszcie ziścić. Przez dziesięć lat żyła w upodleniu, lecz teraz sprawiedliwość miała zatrumfować, a ona odzyskać utracony honor. Wkrótce pogrzebie dziada i ojca, i u boku Charleya będzie przewodzić rodzinie Prizzich; ona, która jeszcze niedawno była jej wyrzutkiem.

Rozdział 19

Po upływie kolejnej, tygodniowej raty swojego miodowego miesiąca, spędzonej przez nich oboje w Nowym Jorku, oraz po upływie piętnastu miesięcy od samego wydarzenia, Charley został wezwany przez Sąd Brooklyński do stawienia się na rozprawie wstępnej w charakterze oskarżonego o zabójstwo Quarica Grifonego, zwanego Pryszczatym, oraz Sama Fanfaronego, zwanego Jublem, dwóch spryciarzy, którym zechciało się przechwycić należący do rodziny transport narkotyków, a których w akcie oskarżenia określono jako "właścicieli warsztatu samochodowego". Rodzina odłożyła więc planowane spotkanie, aby najpierw Ed Prizzi oczyścił z zarzutów Charleya. Rozprawa wstępna potoczyła się sprawnie: sąd od razu wyznaczył Charleyowi kaucję w wysokości dwustu pięćdziesięciu tysięcy, a następnie, z braku dostatecznych dowodów, w ogóle umorzył sprawę. Charley pojechał prosto do domu, gdzie Irene kończyła właśnie szykować kolację. Przez kilka minut całowali się i tulili do siebie, po czym Irene spytała nagle:

- Charley, co ty na to? Chciałabym inaczej urządzić mieszkanie.
- Tak? Co chcesz zmienić?
- Na początek, przydałoby się trochę książek. Zresztą cały ten wystrój za bardzo mi przypomina wystawę sklepu meblowego. Coś wymyślę.
- Charleya trochę to zakłóło, ale zaraz pomyślał, że przecież Maerose i tak pewnie nigdy tu nie zajrzy.
- Zgoda, rób co chcesz. Tylko nie zapraszaj do nas Maerose, dobrze?
- Dlaczego?
- Jest dekoratorką, i to właśnie ona urządziła mi mieszkanie. - Nagle twarz mu rozblęła. - Słuchaj, gdybyś wiedziała, czego chcesz, pewnie mogłaby ci to załatwić po hurtowej cenie.
- Irene zeszczywniała.
- Nie kupuję nic hurtem - oświadczyła. - Ani nic kradzionego. Ale nie zaprzętaj sobie tym więcej głowy, Charley. Poradzę sobie. Mam przecież w Kalifornii dziewięć pokoi urządzonych tak, że mucha nie siada. Same cudowne, naprawdę najlepsze sprzęty. Na pewno ci się spodobają. Zobaczysz, będziesz zachwycony, kiedy skończę.
- Dobra. Co jest na kolację?
- Próbuję coś nowego. Wołowina duszona w winie, według najlepszego francuskiego przepisu. Wiejskiego przepisu!
- Bez makaronu?
- Właśnie że nie. Do tego dania, które nazywa się la daube de boeuf Provençale, znakomicie pasuje farfallini.
- Mnie tam pasuje do wszystkiego. Zabrzęczał telefon. Dzwonił papa.
- Czołem, Charley! - zawołał. - Więc Ed Prizzi wszystko załatwił? Znakomicie. Słuchaj, dziś o dziesiątej u Bena Sestero. Nie możemy z tym dłużej zwlekać.
- Nie ma sprawy. Ale słuchaj, kiedy wpadniesz, żeby poznać pannę młodą?
- Przecież już ją poznałem, zapomniałeś? Ona zresztą nie dba o takie drobiazgi. Nie obiecuję, bo to zależy od tego, jak się potoczą sprawy na dzisiejszej naradzie, ale pewnie mogę wpaść do was na kolację w niedzielę.
- Świetnie!
- Rozłączyli się równocześnie.
- Dziś o dziesiątej jest wielka narada. - Charley poinformował Irene. - Ta, o której mówił papa, kiedy dzwonił do Meksyku.
- Wielka narada oznacza wielką forszę - powiedziała Irene, mieszając wolno w garnku.
- Jeśli nic mu nie wyskoczy, odwiedzi nas w niedzielę. Irene przykryła garnek pokrywką.
- Fajnie. Znakomicie. Więc dziś zjemy coś na mieście, a ten kawał miecha niech się dwa dni przegryza w lodówce, żeby smakował jak prawdziwe arcydzieło francuskiej kuchni, kiedy go podam na niedzielną kolację.
- Siadaj i nalej sobie kieliszek wina, a ja przygotuję kolację - postanowił Charley. - Zobaczysz, sama przyznasz, że w żadnej knajpie nie zjadłabyś lepiej.
- A co zrobisz?

- Coś pysznego.

- Co?

- Specjalnie dla ciebie będzie pasta con le Sarde, danie, jakie się jada tylko w Palermo, a więc makaron w kształcie muszli, dużych jak maruzzi, całe pół kilo, zapiekany z sardynkami, ściśle tajną ilością siekanej sardeli, koprem, rodzynekami i nasionami pinii, wszystko podlane oliwą i zaprawione szafranem. A kiedy już przez żołądek trafie ci do serca, będę się z tobą kochał przez całą noc.

- No, najwyżej do wpół do dziesiątej, bo potem musisz ruszać na naradę.

- Eh, to dajmy sobie spokój z jedzeniem! - zawołał, obłapiając ją wpół. - Możemy się najeść dowoli kiedy indziej, a teraz taką mam na ciebie ochotę, że i tak nie byłbym w stanie przełknąć ani kęsa!

Charley przybył na naradę do Brooklyn Heights pięć minut przed czasem. Drzwi otworzył mu pilnujący ich nowy chłopak z Agrigento, Sam Falcone. Amalia Sestero ucałowała Charleya na powitanie w oba policzki.

- Wszyscy już są - oświadczyła. - Zaraz sprowadzę tatusia.

Podprowadziła Charleya do rozsuwanych drzwi, otworzyła je i wpuściła go do środka, po czym zasunęła je za nim.

Stojący u góry stołu fotel Don Corrada był pusty. Vincent siedział na prawo od niego, a Ed Prizzi na lewo, zgodnie z protokołem, według którego starszeństwo zależało nie od zysków przynoszonych rodzinie, lecz od wieku, co Ed uważał za bzdurę. Angelo siedział na prawo od Vincenta - miejsce obok niego było puste, przeznaczone dla Charleya; naprzeciwko nich, na lewo od Eda, siedzieli Ben Sestero i Harry Garrone. Krzesło na końcu stołu zajmował jakiś obcy. Wyglądał melancholijnie: nos miał długi jak sznur, brzuch obwisły, tylko na opinającej go ciasno kamizelce z szarej flaneli połyskiwały wesoło dwie złote dewizki. Ponieważ nikt mu go nie przedstawił, Charley, kiedy obchodził stół, żeby zająć miejsce, też zignorował obcego.

Gdy tylko pośladki Charleya dotknęły krzesła, drzwi rozsunęły się ponownie i Amalia wprowadziła Don Corrada. Pomogła mu usiąść w fotelu, twarzą do obecnych. Wszyscy wstali. Don dał lewą ręką znak Amalii, żeby zostawiła ich samych, i ledwo wyszła z pokoju, powiedział po sycylijsku do Charleya, jak wielce jest rad, iż został w sądzie oczyszczony i zarzutów. Charley podziękował.

- Pozwólcie, że wam przedstawię dżentelmena siedzącego na końcu stołu - rzekł następnie Don Corrado, przechodząc na angielski i mówiąc cichym, szeleszczącym głosem. - Jest to pan Alvin Gomsky, główny księgowy naszego banku. Zaprosiłem go tutaj, żebyście usłyszeli z jego ust, co się dzieje.

Spojrzał czule na pana Gomsky'ego, oddając mu głos. Pan Gomsky zrozumiał tylko co drugie słowo, gdyż Don Corrado mówił z bardzo silnym akcentem, ale Ed wcześniej uprzedził go, po co zostanie wezwany.

- Prezes banku okrada bank - powiedział pan Gomsky. - Jeśli wolno mu będzie kontynuować prowadzone przez niego nieopłacalne transakcje walutowe, bank zbankrutuje w ciągu dziewięciu, najdalej czternastu miesięcy.

- Dziękuję, panie Gomsky.

- Jutro rano przejrzymy księgi! - zawołał Ed.

- Jeszcze o tym pomówimy - oświadczył Don Corrado. - Dziękuję, panie Gomsky. Arrigo, odprowadź pana Gomsky'ego do drzwi - dodał, zwracając się do swojego młodszego zięcia.

- Eduardo wyjaśni wam resztę - oznajmił przechodząc na sycylijski, gdy Gomsky wyszedł z pokoju.

- Bank był mi zawsze bliski jak rodzony kuzyn - zaczął Ed Prizzi w dialekcie z Agrigento. - Bank wiele spraw umożliwiał, i to wcale nie dlatego, że przynosił znaczne dochody.

Jego głos, pełny niczym głos wprawnego sprzedawcy, natychmiast skupił na sobie uwagę i myśli zebranych, rozproszone straszliwą nowiną. Don Corrado przymknął oczy, zapewne dla głębszej koncentracji.

- Człowiek, który odkupił od nas siedemdziesiąt pięć procent akcji banku, to Rosalio Filargi, neapolitańczyk. Tu zmienił imię i nazwisko, i teraz nazywa się Robert Finley. Tylko takiemu idiotcie, który woli się nazywać Finley niż Filargi, mogło się wydać, że nie będziemy się troszczyć o interesy banku, który wciąż w jednej czwartej jest naszą własnością. Główny księgowy, pan Gomsky, którego poznaliście przed chwilą, uważa, że Filargi wykrwawia bank lewymi transakcjami walutowymi, i że jeśli nie ukrócimy tego procederu, bank zbankrutuje w przeciągu roku.

- Ale skurwiel! - zachnął się Angelo. - Jaja takiemu obciąć, ot co!

- Mamy tak zrobić, Eddie? To pewne, co mówisz? - spytał brata Vincent.

- Na razie wysłuchaj mnie do końca - rzekł Eduardo. - Tatko obmyślił pewien plan.

- W porządku.

- Przede wszystkim, skąd Filargi wziął szmal, żeby kupić osiemnasty co do wielkości bank w Stanach Zjednoczonych? No więc jest w rządzie włoskim, tak jak i tutaj, banda złodziei powiązanych z wielkim przemysłem, wielką finansjerą. My przy nich jesteśmy tylko garstką drobnych kieszonkowców. W porównaniu z nimi, wszystkie nasze interesy to jak jeden automat do gry w zestawieniu z Vegas.

Napełnił do połowy likierem anyżowym stojący przed nim kieliszek i podał butelkę przez stół Vincentowi. Ten, z uwagi na podagrę, tylko zwilżył dno kieliszka, po czym przekazał butelkę dalej. Ed Prizzi czekał w milczeniu, aż obejdzie wszystkich i powróci na jego koniec stołu.

- Żeby uniknąć płacenia podatków, musieli wywozić forszę do Szwajcarii. Filargi otworzył więc dwa banki w Chiasso, zaraz po drugiej stronie granicy od Como, i jego ludzie brali forszę od tych gości i wpłacali ją do szwajcarskich banków Filargiego. Interes szedł tak dobrze, że bez trudu przekonał frajerów, iż lepiej nie trzymać wszystkiego w jednym, choćby i szwajcarskim, worku: dali mu szmal na kupno trzech czwartych naszego banku. Ale Filargi powinien zmienić nazwisko na spingularu, taki jest chciwy. Kradnie z ich siedemdziesięciu pięciu procent i z naszych dwudziestu pięciu, ale dla nas to większa plama na honorze, nas boli znacznie bardziej.

- Plama na honorze czy utrata zysków? - spytał Arrigo Garrone.

Charley zmierzył go tak gniewnym wzrokiem, że Garrone zbladł jak ściana.

- Harry'emu chodzi tylko o to, że my odczuwamy każdą stratę silniej, niż ktokolwiek - powiedział Ed, żeby załagodzić sytuację.

Angelo poklepał Charleya pod stołem po kolanie.

- Jednakże tutaj - ciągnął Ed - chodzi zarówno o honor jak i o pieniądze mojego ojca, więc pokrótce przedstawię wam jego plan rozprawienia się z Filargim. Niektórzy ludzie cierpią najbardziej, gdy pozbawia się ich życia, bo właśnie życie jest dla nich najcenniejsze. Dla Filargiego, według ojca, najcenniejsze są pieniądze, więc musimy go ich wszystkich pozbawić. Niech żyje, ale bez pieniędzy i bez możliwości ich zdobycia.

Don Corrado otworzył swoje drobne oczka. Kiwając wolno głową, spojrzął po kolei w oczy każdemu z mężczyzn zebranych przy stole.

- Taka właśnie kara musi spotkać Filargiego - rzekł. - Charley podsunął mi pewien pomysł, dzięki któremu sprawiedliwość dosięgnie winnego.

- Ja? - zdziwił się Charley.

- Tak, to od ciebie wyszedł pomysł, że okup wypłacony kidnaperom może być odliczony od podatku dochodowego. Eduardo wyjaśni wam to bardziej szczegółowo.

Don Corrado znów przyknał oczy. Spojrzenia wszystkich skierowały się na Eda Prizziego.

Rozdział 20

- Bardzo niedawno - rzekł Eduardo - pan Gomsky przekonał zarząd banku, aby ubezpieczyć wszystkich pracowników banku od porwania na sumę dwóch i pół miliona dolarów. Kwota ta jest równa dwunastu procentom wartości naszego udziału jako współwłaścicieli banku. Będziemy musieli, oczywiście, ponieść w jednej czwartej znaczne koszty polisy ubezpieczeniowej, ale zarówno ta suma, jak i suma wypłacona jako okup, mogą być - jak dowiedział się Charley - odliczone od podatku dochodowego, czyli w sytuacji, gdyby uprowadzono jednego z pracowników banku - na przykład samego Filargiego - kidnaperzy otrzymaliby dwa i pół miliona dolarów, i tyle samo musiałoby wypłacić bankowi towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Dziękuję ci, Eduardo - powiedział Don Corrado. - I tobie, Beniamino, i tobie, Arrigo. Możecie już odejść. I proszę, dajcie znać Amalii, żeby po mnie przyszła.

Trzej mężczyźni opuścili pokój.

- Chyba robi mi się wrzód żołądka - poskarżył się Vincent. - Takie diabelstwo, w moim wieku!

- Nie pij mleka - poradził mu Angelo. - Od mleka wzbierają kwasy. To powoduje wrzody.

- A skąd ci przyszło do głowy, że pijam mleko? - obruszył się Vincent, akurat gdy Amalia weszła do pokoju, żeby wyprowadzić Don Corrada. Wychodząc, zamknęła bezgłośnie rozsuwane drzwi.

- Ojciec rzeczywiście świetnie to wymyślił - rzekł Vincent do obu Partannów. - Zażądamy za niego dwa i pół miliona dolarów okupu i zostawimy policji taki trop, żeby mogła udowodnić, iż Filargi sam zaaranżował swoje porwanie, aby naciągnąć towarzystwo ubezpieczeniowe. Rany, to mi dopiero numer! Dostanie z dziesięć wyroków

po dziesięć lat każdy, bo kto jak kto, ale towarzystwa ubezpieczeniowe potrafią dbać o swoje interesy.

- Wspaniale! - wykrzyknął Angelo i przytykając do ust czubki palców, cmoknął z zachwytu. - Charley, oto masz świetną lekcję, jak najlepiej załatwić takiego 'narugnutu.

- To jeszcze nie cała kara, jaką ojciec dla niego obmyślił - oświadczył Vincent. - Kiedy tylko gliny przymkną Filargiego, nasi ludzie we Włoszech i w Szwajcarii doniosą tym papaveri, którzy dali mu kapitał na kupno trzech czwartych naszego banku, jak to ich również naciągał przez swoje lewe transakcje walutowe, a wtedy oni wykorzystają swoje wpływy w rządzie, żeby w Rzymie też mu wytoczono proces. Tak więc, gdy wreszcie wyjdzie z pierdła tutaj, będzie go czekało jeszcze z dwadzieścia pięć lat odsiadki we Włoszech. Co więcej, jak tylko zostanie przymknięty, już my pouczymy akcjonariuszy banku jak prowadzić sprawę, aby ogołocić go co do centa, a jeśli nam się nie uda odebrać mu wszystkiego, włoscy pezzocannonati oskubią go do reszty. Na najbliższe pięćdziesiąt lat ma zapewnioną odsiadkę, tu i we Włoszech, i będzie miał od cholery czasu, żeby sobie wszystko dobrze przemyśleć i zrozumieć, że musiał upaść na głowę, kiedy postanowił zeszczuć się na honorze Prizzich.

- To absolutny majstersztyk, tego po prostu nie sposób inaczej określić! - zawołał Charley z bezgranicznym podziwem.

- Tak, kiedy się w dodatku pomyśli, że gdy wybuchnie cała ta afera, będziemy mogli odkupić z powrotem od Włochów z pięćdziesiąt procent akcji, to rzeczywiście trzeba przyznać, że to piękny kawał roboty - dodał Angelo.

- Wpadnie ci za to trochę punktów, Charley. - Vincent spoważniał, jak zawsze, gdy w grę wchodziło dzielenie się z kimś pieniędzmi rodziny.

Charley chciał kurtuazyjnie zaprotestować, lecz Vincent podniósł dłoń.

- Ojciec tak sobie zażyczył. Musi być sprawiedliwość. To ty podsunąłeś pomysł, jak załatwić tego gnoja. Dostaniesz za tę robotę pięć punktów. Pięć punktów od dwóch i pół miliona to już ładny kawałek szmalu.

- No, no, Charley! Sto dwadzieścia pięć dolców! Co ty na to? - zapytał Angelo.

- Co mogę powiedzieć? To wspaniałomyślny gest!

- Jesteś już przecież człowiekiem żonatym - rzekł Vincent miarowym głosem.

Przyda ci się więcej gotówki.

Zapadło grobowe milczenie. Angelo kaszlnął cicho. "O cholera, zaraz spadnie topór!" - pomyślał Charley.

- No, przynajmniej to, że się ożeniłeś, zamyka sprawę Maerose - dokończył myśl Vincent.

- Niech Bóg mają w swojej opiece! - zawołał Angelo. - Ale wracając do porwania Filargiego...

- Sam się powinienem wszystkim zająć - stwierdził Vincent. - Jako syn mojego ojca, to ja powinienem wymierzyć karę temu oszustowi. Tyle że męczy mnie podagra, i - niech to szlag - chyba jeszcze dorobiłem się wrzodu żołądka. Ojciec mówi, że tym razem modlitwy siostrzyczek do świętego Gerarda pewnie na niewiele się zdadzą.

- Ta twoja podagra to rzeczywiście przekleństwo! - współczuł mu Angelo.

- Co mam więc robić? - spytał uczynnie Charley.

- Sam pokierujesz akcją. Sam dobierzesz sobie ludzi. My nawet o tym nie chcemy wiedzieć. Jesteś szefem. Wstępne rozpoznanie zostało dokonane, plan akcji jest już opracowany. Zdecydowaliśmy, że najlepszy dzień na porwanie to poniedziałek, bo wtedy prasa poda wiadomości we wtorek i będzie się zajmować tą sprawą do końca tygodnia. Facet jest prezesem osiemnastego co do wielkości banku, a taki z niego sknera, że w czasie przerwy obiadowej wraca do swojego apartamentu i smaży sobie jajecznicę. W taki upał!

- Kiedy mam go porwać?

- Wkrótce. Ale uprzedzimy cię sporo naprzód. Ojciec musi się jeszcze zastanowić, jak najlepiej odebrać okup.

- Mamy plan piętra, na którym mieszka Filargi - rzekł Angelo. - Dam ci, żebyś wziął do domu i dobrze przestudiował. Wszystko jest ponumerowane i opisane, zaznaczono nawet strzałkami gdzie kto ma stać i co robić. Kiedy wkujesz się tego na pamięć, wpadnę do ciebie i omówimy dokładnie akcję.

Rozdział 21

Charley rozłożył szkic na kuchennym stole, opierając krawędź na krześle i zaczął po kolei tłumaczyć Irene cały plan.

- Jeśli twoim zdaniem coś nie gra, mów od razu, dobrze? Zaczynamy. Mam tu naszkicowany rozkład czterdziestego piętra hotelu, w którym mieszka Filargi. Od pewnego poziomu na każdym piętrze znajdują się tylko trzy apartamenty. Tu, na wprost wind, jest apartament Filargiego. - Charley wskazał miejsce, gdzie na szkicu widniała obrysowana kółkiem jedynka. - Codziennie, kiedy Filargi wraca po przerwie do banku, z apartamentu wychodzi najpierw jego goryl i sprowadza windę. Kiedy winda nadjeżdża, sięga do środka i wciska guzik, żeby ją zatrzymać na piętrze, po czym stuka do drzwi Filargiego.

- I Filargi zawsze czeka, aż zastuka?

- Tak. To stała procedura. W poniedziałek, kiedy goryl wyjdzie sprowadzić windę, z południowego apartamentu mieszczącego się po tej samej stronie hallu co windy, a po przeciwnej niż mieszka Filargi, wypadnie mój wspólnik i gdy goryl wejdzie do windy, wskoczy za nim do środka i szybko się z nim upora. Wtedy ja wychodzę z północnego apartamentu, dokładnie naprzeciwko apartamentu Filargiego, i pukam do drzwi. Filargi otwiera. Prowadzę go pod spluwą do windy, w której są już mój wspólnik i goryl. Naciskam "garaż" i "non stop", żeby dźwig nie zatrzymywał się na piętrach. Na dole stoi Al Melvini. Prowadzimy Filargiego do wozu, w którym czeka Zanzara, i jedziemy na Long Island.

- A co z gorylem?

- Mój wspólnik zawiezie go windą na dach hotelu i tam go rozwali.

- To wszystko nie trzyma się kupy.

- Nie trzyma się kupy?!

- No jasne! Charley, na miłość boską, sam pomyśl! Jeśli goryl zobaczy kogoś na korytarzu, w ogóle nie przywoła windy. A jeśli twój wspólnik wyłoni się, kiedy on już

wcisnął guzik i czeka na windę, wtedy może wyciągnąć spluwę i od razu go kropnąć. Ma prawo nosić broń i ma prawo jej używać, to doświadczony facet, jak mówiłeś, który ma wszędzie towarzyszyć Filargiemu z polecenia towarzystwa ubezpieczeniowego. Zna swoją robotę i nie będzie ryzykował.

- Myślisz, że lepiej go załatwić zanim zastukam do drzwi Filargiego?

- No, w każdym razie jestem absolutnie przekonana, że nie ma po co wozić go najpierw do garażu, a potem na dach, żeby go w końcu i tak kropnąć. Ale najslabszy punkt całego planu to moment, w którym wspólnik wyskakuje na korytarz. Ten greps mógłby się udać tylko wtedy, gdyby była nim kobieta.

Spierali się zawzięcie, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi - przyszedł papa.

Wysłuchał argumentów Irene i wzruszył ramionami. -

- Charley, Irene ma rację - zdecydował. - To rola dla kobiety.

- Posłuchajcie - powiedziała Irene. - To powinno wyglądać tak: gdy goryl przywoła windę, z południowego mieszkania wyjdzie kobieta z manekinem niemowlaka, uśmiechnie się do goryla, coś tam zacznie ciumkać do kukły, czekając, aż goryl przytrzyma windę i zastuka do drzwi Filargiego. Gdy ten wyłoni się z apartamentu, kobieta rzuci kukłę gorylowi, który odruchowo - pewien, że to prawdziwe niemowlę - wyciągnie ręce, żeby je złapać, a wówczas ona wyciągnie z torby i wyceluje w niego spluwę. Dopiero wtedy, Charley, wyjdiesz z północnego apartamentu, a kobieta weźmie goryla do mieszkania Filargiego i tam go kropnie. W tym czasie zdążysz zjechać windą z Filargim do garażu.

- Brawo! - pochwalił papa.

- Wszystko pięknie - zirytował się Charley - ale skąd ja wytrzasnę tę kobietę?!

- Jak to skąd? - zdziwiła się Irene. - A ja to pies?

- Ty? Słuchaj no... poczekaj... nie po to się z tobą żeniłem, żebyś musiała pracować!

- Charley, to ty posłuchaj! - wtrącił się papa. - Irene ma rację. To najlepsze wyjście.

Gdybyśmy to rozegrali inaczej, ryzyko byłoby znacznie większe. Nawet Don Corrado zgodzi się ze mną, kiedy mu wyjaśnię, dlaczego do tej roboty najlepiej nadaje się baba.

- Uzgodnijcie to między sobą - powiedziała Irene - ale tymczasem, proszę was, wynoście się stąd, bo czuję, że moja wspaniała potrawa zaczyna się przypalać.

Usiądźcie sobie na tarasie i podziwiajcie przez chwilę widok.

Wygoniła ich z kuchni.

Ojciec i syn wyszli na taras. Charley szczelnie zasunął za nimi oszklone drzwi, po czym z furią napadł na ojca:

- Papo, do licha, co cię naszło?! Musimy wybić jej z głowy ten kretyński pomysł!

Papo, na miłość boską!

- Charley, przestań się oszukiwać, dobrze wiesz, że Irene ma rację. Przy windzie powinna być baba, a ten pomysł z rzuceniem niemowlaka jest doprawdy genialny!

- Posłuchaj mnie, papo. Prędzej czy później Prizzi dowiedzą się, że Irene jest moją żoną. A jeśli w dodatku dowiedzą się, że użyłem do akcji własnej żony, po prostu trafi ich szlag! Wieść się przecież rozniesie, a wówczas będą pośmiewiskiem wszystkich rodzin,

że posługują się żonami do takich numerów! Sam wiesz, jacy Prizzi są drażliwi na punkcie honoru! Za coś takiego mogliby mnie sprzątnąć. A ją to na pewno.

- Charley, nie denerwuj się, usiądźmy, pogadajmy. Charley usiadł; papa również przyciągnął sobie fotelik.

- Po pierwsze, kto się o tym dowie? Goryl? Irene go kropnie. Filargi będzie tak przerażony, że nawet jej nie zauważy. Ale co najważniejsze - i od tego powinienem był zacząć - ta robota warta jest więcej niż sto innych. Dla Don Corrada to jakby jego pomnik. Słyszałeś kiedyś, żeby żołnierz czy nawet caporegime dostał za robotę pięć procent od dwóch i pół miliona zielonych? Za jedną robotę sto dwadzieścia pięć dolców? Pewnie, że nie słyszałeś. Ta akcja musi się udać. Don Corradowi chodzi o jego bank. Bank, który założył, kiedy przyjechał do Ameryki, bank, dzięki któremu mnie tu ściągnął, i który umożliwił mu zdobycie wszystkiego, co zdobył. Wie, że zostało mu już niewiele czasu i pragnie, żeby początek i koniec jego życia się zeszły, żeby udało mu się odzyskać bank płacąc dziesięć centów za dolara, i żeby wreszcie mógł przekazać wszystko Eduardowi, który na tych fundamentach zbuduje nowe imperium. Posłuchaj, Charley. Tu nie chodzi o żadne dwa i pół miliona dolarów okupu. Co to jest? Nic! Zemsta na Filargim. Prawdziwa forsa polega na tym, że od procesu Filargiego pójdzie taki smród na bank, iż ci wszyscy Włosi nie będą chcieli mieć z nim nic wspólnego i chętnie opchną go z powrotem za jedną dziesiątą ceny. A to przyniesie Prizzim zysk rzędu sześćdziesięciu, siedemdziesięciu milionów. Tak jest, Charley. I. na miłość boską, nikt się nie dowie, że Irene miała z tą robotą cokolwiek wspólnego - przecież zanim zjedzie z czterdziestego piętra, ty już będziesz z Filargim na moście Queensboro! Ale nawet gdyby jakimś cudem któraś z rodzin zdołała się dowiedzieć, że twoja żona brała udział w tej akcji, co z tego? Ludzie zapominają! I choć byłby to dla Prizzich uszczerbek na honorze, co tam drobny uszczerbek, gdy w grę wchodzi siedemdziesiąt milionów dolarów. Mam rację czy nie?

- W tej sytuacji, masz, to oczywiste. Ale Irene nie będzie pracować za darmo.

- Pewnie. Jest przecież fachowcem, należy się jej szmal. Kiedy wytłumaczę Don Corradowi, dlaczego powinniśmy użyć baby, nie tylko się zgodzi - a zgodzi się na pewno, bo nie jest w ciemną bitą - ale dobrze będzie wiedział, że takiej kobiecie, która w dodatku sama wymyśliła ten greps z niemowlakiem, należy się najwyższa stawka.

- Czyli ile?

- Stówa.

- Papo, chyba więcej. Jak Boga kocham, ten numer jest wart sto pięćdziesiąt.

- Nic nie obiecuję, bo to nie zależy ode mnie. Ale jutro dam ci znać.

Irene zastukała w oszklone drzwi, mówiąc coś przez szybę i dając znaki, żeby weszli do środka. Papa rozsunął drzwi.

- Chodźcie! Czekają na was prawdziwe pyszności!

Rozdział 22

Vincent siedział obok ojca w rezydencji Sesterów w Brooklyn Heights. Z coraz większym wzruszeniem słuchał słów Don Corrada. Oprócz nich w pokoju nie było nikogo. Panował upał, gdyż Don lubił, żeby w kominku paliło się przez okrągły rok.

- Twoja córka dość się nacierpiła. Tak, wiem, ty również się nacierpiełeś, ale miłosierdzie uczy nas, iż trzeba robić wszystko, żeby położyć kres cierpieniom bliźnich. Tego nauczał Pan Jezus. Matka Boska jest ucieleśnieniem miłosierdzia. Pewien rozdział został zamknięty. Po blisko dziesięciu latach samotnej tułaczki z dala od rodziny, twoja córka - a moja wnuczka - zwróciła się do mnie o wybaczenie, ponieważ człowiek, którego skrzywdziła, symbolicznie zakończył okres naszej wspólnej, zwyczajowej kary żeniąc się z inną kobietą. Maerose jest wolna. Ty jesteś wolny. Ja również. Wymogom honoru stało się zadość. Więc wezwałem cię do siebie, żeby na kolanach błagać cię, byś wybaczył swojej córce i pozwolił jej wrócić do domu. Spójrz, oto jej list. Przeczytaj go, synu. Przekonasz się, jak żarliwie to dziecko cię kocha, może właśnie za surowość, którą jej okazałeś, gdy zgrzeszyła przeciwko wymogom honoru, choć wiedziała, że będzie musiała ponieść za to karę. Pragnie się tobą opiekować. A tobie właśnie tego trzeba. Za długo żyłeś w samotności. Wyciągnij do niej ramiona. Powiedz mi, że mogę ci ją przysłać, a ty jej nie odepchniesz. Kochajmy się. Dni nas wszystkich są policzone.

Kiedy skończył mówić, łzy płynęły po jego wysuszonych policzkach. Vincent łkał cicho. Przez długą chwilę siedzieli tak razem, obaj wzruszeni i jakby oczyszczeni tym przyływem uczuć, po czym Vincent rzekł:

- Masz rację, tatuniu. Przyślij ją do mnie. Spróbujemy sobie oboje wynagrodzić stracone lata. Maerose znów jest moją córką.

Podczas gdy w Brooklynie jej ojciec i dziad odkrywali uroki chrześcijańskiego miłosierdzia, Maerose siedziała w gabinecie Presta Ciglione na piętrze jego lokalu - składającego się z ogromnego baru, sali dancingowej i staromodnie urządzonego salonu gier - na zachodnim krańcu Vegas. Ułożyła równo na biurku przed Ciglione, Włochem o klasycznym wyglądzie zbira z wczesnego hollywoodzkiego filmu, ale mówiącym rasowym sienneńskim dialektem, trzy zdjęcia: zbliżenia twarzy Irene.

Obok zdjęć położyła po kolei dziesięć studenckich banknotów.

- Wiesz kim jestem, prawda? - zapytała.

- Tak, proszę pani.

- Rozumiesz, że ten tysiąc dolarów jest dla ciebie, prawda?

- Tak, proszę pani.

- Czy widziałeś kiedykolwiek tę kobietę?

- Tak, była tu dwa razy. Sama. Wypijała kieliszek, rozglądała się trochę i wychodziła.

- Kiedy?

- Dwa, może trzy tygodnie temu.

- Mniej więcej w tym czasie, kiedy załatwiono Louisa Pala?

- Tak, proszę pani.

- Presto, posłuchaj mnie. Zejdę na dół na dziesięć, piętnaście minut. W tym czasie ty wezwij tu po kolei cały swój personel. Zapytaj wszystkich, czy widzieli tę kobietę tego dnia, co Palo został kropnięty.

- Dobrze, proszę pani.

Maerose wyszła z gabinetu, zeszła na dół i usiadła przy stoliku na końcu sali, z dala od schodów. Zamówiła koktajl Shirley Tempie.

- Co to takiego? - zdziwił się barman.

- Mam poprosić pana Cigliona, żeby ci wytłumaczył?

- Nie trzeba. Sprawdzę w spisie.

- Tylko nie za dużo cukru! - poleciła.

Dwadzieścia minut później barman podszedł do jej stolika i powiedział:

- Pan Ciglione prosi panią na górę. Maerose położyła dziesięciodolarowy banknot.

- Reszty nie trzeba - oświadczyła i ruszyła w stronę schodów.

W gabinecie oprócz Ciglione go zastała ładną dziewczynę w stroiku kelnerki.

- Opowiedz pani, co widziałaś w dniu, kiedy zabito tego gościa - polecił jej Ciglione.

- Wszystko?

Skinął poważnie głową.

- Jeden klient, kierowca ciężarówki, zaproponował mi numer, więc wsiedliśmy do mojej toyoty. Kiedy podniosłam głowę, zobaczyłam jak ta babka, ubrana w ciasne szorty, wybiega skądś i staje w świetle reflektorów wozu, w którym później znaleziono trupa. Mój klient był tak uchlany, że na nic nie zwracał uwagi, ale ja po paru minutach ujrzałam, jak ona wysiada z tego wozu przez przednie drzwi, potem wsiada z tyłu, a chwilę później znów wysiada, otwiera bagażnik, bierze jakąś torbę, i wraca do auta, którym przyjechała. To znaczy, nie jestem pewna, czy nim przyjechała, ale teraz do niego wsiadła i ruszyła. Zupełnie o tym wszystkim zapomniałam, i przypomniało mi się dopiero teraz, kiedy pan Ciglione pokazał mi jej zdjęcia.

- Dobrze się im przyjrzałaś? - spytała Maerose.

- Tak, to ta sama babka.

- Dziękuję.

Maerose skinęła głową na Ciglione. Wyjął z kieszeni rulon banknotów, wziął z niego dwie pięćdziesiątki i wręczył dziewczynie.

- Masz, mała, kup se cygaro - zażartował.

- Świetnie - rzekł Don Corrado. - Więc załatwione. Dam znać mojej wnuczce, że może wracać do domu. Teraz musimy ustalić do końca sprawę porwania, żeby Charley mógł się brać do roboty. Poproś tu Eduarda.

Kiedy Ed Prizzi usadowił się w fotelu, Don Corrado poczęstował synów meksykańskimi cygarami, po czym oznajmił:

- Eduardo, chcę, żeby bank wypłacił okup nie tu, lecz za granicą, przelewem, więc twoi ludzie muszą się tym zająć.

- Dlaczego za granicą?

- Bo wówczas amerykańskiej policji nic do tego. Pozostaje Interpol, ale Interpol to tylko urząd telegraficzny, który informuje tępe miejscowe gliny, co się dzieje. Ale w tym wypadku nawet nie będzie miał o czym informować, gdyż Gomsky, który zajmie się w banku sprawą okupu, powie glinom, że forsa zostanie przekazana gdzieś w Nowym

Jorku, na przykład w Central Park, więc będą siedzieć z założonymi rękami i czekać, a my tymczasem odbierzemy forszę za granicą.

- Gdzie za granicą, tatulku?

- Myślałem o Panamie, o Lagos w Nigerii, może być też Aruba, Hongkong, ewentualnie Sao Paulo. Wybierz po dwa banki w pięciu miastach. Gomsky niech się umówi z jednym w każdym mieście w ten sposób, żeby kurierowi, który szyfrem wypisze na kwicie nazwisko "Filargi" - nie "Finley". jak się nazywa obecnie, tylko właśnie "Filargi" - wypłacono pół miliona. Po skończonej operacji śledztwo wykaże, że kurierzy Filargiego brali forszę z jednego banku do drugiego w tym samym mieście, i stamtąd przelewali ją na tajne konto w Lichtensteinie, które otworzy nasz bank z Zurychu. Nawet gdyby - choć to całkiem nierealne - odkryto, że Filargi nie zaaranżował własnego porwania, nikt nie zdoła wykazać, że tajne konto nie należy do niego. Po kilku latach bank w Lichtensteinie zwróci się do banku szwajcarskiego, żeby wymienił mu gotówkę na akcje amerykańskie, które spokojnie sobie sprzedamy, i to pewnie z zyskiem.

- Tatu, świetnie to obmyśliłeś - pochwalił Eduardo. - Wspaniale! Znakomicie! - entuzjasmował się Vincent. - Największy problem z każdym porwaniem to sprawa okupu. Gliny z reguły łapią kidnaperów, kiedy ci się zjawiają po forszę. Stosując tę sztuczkę, moglibyśmy zrobić z porwań całkiem intratny interes.

- Nie, synu. - Don Corrado smutno potrząsnął głową. - Trzeba się trzymać starych, wypróbowanych sposobów i robić pieniądze na tym, co sprawia ludziom przyjemność i czego sami pragną. Jeśli porywalibyśmy różne osobistości, prasa podniosłaby wrzask, szarzy obywatele zaczęliby się oburzać, a politycy zaraz by się zorientowali, że nie mogą nas chronić, bo ich wyborcy obrócili się przeciwko nam. Dopiero mielibyśmy się z pyszna! Zresztą bardzo możliwe, że ten numer z okupem to jedna z tych sztuczek, które udają się tylko raz.

- Masz rację, tatu - przyznał ze skrucą Vincent.

Tego samego wieczoru o szóstej Angelo Partanna spotkał się ze swoim starym przyjacielem w jego przegrzonym gabinecie w Brooklyn Heights i wyjaśnił mu szczegółowo, dlaczego Charley postanowił wziąć kobietę na współnika do akcji w hotelu Filargiego. Kiedy opisał jak to ona rzuci gorylowi kukłę niemowlaka, Don Corrado z uznaniem pokiwał głową.

- Bardzo mądrze - rzekł. - Lepiej, niż ja to wymyśliłem.

- Więc zgadzasz się?

Don Corrado skinął głową.

- W takim razie bierzemy babę. Mam nawet jedną na oku. Doskonałą!

- Zapłać jej ile zażąda, przyjacielu - powiedział Don Corrado. - Tu chodzi o mój pomnik.

Rozdział 23

Na osiem dni przed porwaniem, które miało nastąpić w następnym poniedziałek, Prizzi wynajęli przez podstawione osoby północny apartament na czterdziestym piętrze hotelu Filargiego, a lokatorce południowego apartamentu Angelo Partanna wysłał bilety

na poranny spektakl teatralny oraz bon obiadowy dla dwóch osób do najdroższej restauracji w mieście - miała to być główna nagroda w pewnym konkursie i choć kobieta nie mogła sobie przypomnieć, żeby brała w nim udział, niemniej ucieszyła się z wygranej. O pierwszej dwadzieścia pięć w poniedziałek Irene dostała się do południowego apartamentu. Charley zajął miejsce w północnym o pierwszej trzydzieści siedem. Goryl Filargiego wychodził ze wschodniego apartamentu najwcześniej dwie minuty po drugiej; najpóźniej sześć.

Irene jak zawsze była zupełnie opanowana. Nadmuchała gumową lalkę, owinęła ją dokładnie i wsunęła w becik, który, wniosła do hotelu pod płaszczem - brakowało jedynie efektów dźwiękowych, aby nikt nie miał wątpliwości, iż trzyma prawdziwe niemowlę. Owijając kukłę, uśmiechnęła się, wyobrażając sobie minę goryla, gdy nagle rzuci mu zawiniątko. Gdy skończyła, stanęła w przedpokoju przy samych drzwiach. Charley też czekał w przedpokoju, tyle że w sąsiednim apartamencie.

Punktualnie trzy minuty po drugiej goryl wyszedł ze wschodniego mieszkania. Był to żyłasty mężczyzna średniego wzrostu, z błękitnym cieniem zarostu na policzkach; pod szyją miał zawiązany krzykliwy czerwono-fioletowo-biały krawat. Nacisnął guzik windy. Kiedy po dziewięćdziesięciu sekundach nadjechała i drzwi się rozsunęły, wszedł do środka i nacisnął odpowiedni przycisk, żeby ją zatrzymać na piętrze. Następnie wyszedł z dźwigu, przemierzył hali i zastukał do drzwi Filargiego. Drzwi otworzyły się natychmiast i wyłonił się z nich Filargi, niski, jakby wiecznie spłoszony grubasek nieco powyżej sześćdziesiątki; pod szyją miał muszkę, a na głowie panamę. Jak tylko drzwi zatrzasnęły się za nim, Irene otworzyła te, za którymi czekała, i z lalką na ręku również wyszła na korytarz. Zarówno goryl jak i Filargi odwrócili się, żeby na nią spojrzeć. Była niespełna metr od goryla, kiedy ryknęła: "Łap!" i rzuciła mu zawiniątko, równocześnie sięgając po spluwę do otwartej torebki, którą dotychczas zasłaniała becikiem.

Goryl odskoczył w bok, pozwalając, by lalka upadła na ziemię, i wyciągnął broń. Irene już wydobyla swoją. Charley, też ze spluwą w dłoni, wyszedł z północnego apartamentu. W tym samym momencie, gdy goryl i Irene unosili broń do strzału, nagle otworzyły się drzwi drugiej windy. Akurat gdy Irene nacisnęła na spust, kładąc goryla trupem, z windy wyrzwała pięćdziesięciokilkuletnia kobieta.

- Musiałam pomylić piętra - oznajmiła głośno, wpatrując się w Irene.

Irene strzeliła jej w twarz.

Drzwi drugiej windy zaczęły się zasuwać. Irene skoczyła, żeby ją zatrzymać. Charley podbiegł do Filargiego, dźgnął go w plecy gnatem i przygwoździł do zsypu na listy biegnącego między windami. Irene wpadła do windy, zatrzymała ją, i zaczęła wywlekać z niej za nogi trupa kobiety, odrzuconego w tył siłą strzału. Spódnica podjechała kobiecie za biodra, obnażając nad rajstopami kawał białego brzucha. Wyciągnąwszy zwłoki do hallu, Irene zwolniła przycisk unieruchamiający dźwig i wcisnęła przedostatni guzik, żeby winda zjechała na parter.

- Czysto, żadnych śladów krwi - powiedziała do Charleya.

- Jezu! Już myślałem, że winda zwiezie ją na dół!

Charley chwycił Filargiego za ramię i pchnął go w stronę ciała.

- Ruszaj się! - krzyknął na niego. - Musimy sprzątnąć ten bajzel!

Filargi, blady jak ściana, nie zareagował; patrzył tylko, jak Charley bierze pod pachy trupa goryla i wlecze przez próg do południowego apartamentu.

- Bierz babę! - ryknął Charley.

- Nie dam rady - jęknął Filargi. - Jestem za słaby!

- Weź ją za jedną rękę, ja wezmę za drugą - poleciała Irene.

Wspólnymi siłami zaciągnęli zwłoki do południowego apartamentu, choć po drodze ramię kobiety zaczepiło o brzeg zsypu na listy i Irene musiała parę razy porządnie szarpnąć, zanim wreszcie puściło.

- Musiałam ją kropnąć, Charley - oświadczyła. - Patrzyła mi prosto w twarz.

- W porządku. Nie miałaś wyboru.

Wyszli z apartamentu, zatraskując za sobą drzwi i zostawiając zwłoki pechowej kobiety przerzucone w obleśnej pozie przez nogi goryla. Wepchnęli Filargiego do windy. Charley nacisnął "garaż" oraz "non stop": zaczęli zjeżdżać w dół.

- Pozwolił, żeby niemowlę upadło na ziemię! - denerwowała się Irene. - Skurwysyn! A co, gdyby to było prawdziwe dziecko? Mogło się przez niego zabić!

- Co wy robicie? Czego ode mnie chcecie? zaskamlał Filargi.

- Słuchaj no, jedziesz z nami. Kiedy znajdziemy się w garażu, masz się położyć na podłodze z tyłu wozu i cicho siedzieć. Nic więcej niech cię nie obchodzi - odpowiedział Charley.

- Porywacie mnie? Czyście oszaleli?

- W porządku. Jesteśmy na dole.

Drzwi rozsunęły się - na wprost nich, żując gumę, stał Al Melvini.

- Co tak długo? - spytał. - Wstąpiliście po drodze na kawę, czy co?

Prowadząc między sobą Filargiego, szybko przeszli krótki odcinek dzielący ich od obrotowych drzwi garażu. Tuż za drzwiami czekał ich buick.

- Irene, siadaj z przodu - polecił Charley. Wspólnie z Hydraulikiem wepchnęli Filargiego na tylne siedzenie, po czym sami wsiedli do wozu i zatrzasnęli drzwi. Filargi ułożył się na plecach na podłodze. Hydraulik zmoczył chustkę w chloroformie - silny, słodki, przyprawiający o mdłości zapach rozszedł się po wnętrzu wozu - a następnie przyłożył ją do twarzy Filargiemu; prezes banku próbował się szamotać, lecz po chwili Hydraulik przykrył go kocem.

- Dobra, Dom - oznajmił.

Potężny buick ruszył wolno do przodu. Prowadził Dom Bagolone. Podobnie jak Hydraulik, był uznanym człowiekiem. Jechali na wschód w kierunku mostu Queensboro. Przez całą drogę panowało milczenie. Dopiero gdy znaleźli się w Long Island City, Charley zapytał:

- Co zaplanowaliście na kolację?

- Myślałem, że zjemy pollo alla cacciatora - odparł Melvini.

- Poznajcie się. To jest Irene.

- Miło mi - rzekł Melvini.

- Mnie również - stwierdził kierowca.

Umieścili Filargiego w pokoju znajdującym się w piwnicy willi w Brentwood. O jedenastej wieczorem Charley zadzwonił do ojca.

- Wszystko zgodnie z planem - oświadczył.

- Musisz przyjechać - powiedział papa.

- Kiedy?

- Jutro o dziesiątej. Wpadnij do biura. - Odwiesił słuchawkę.

- Irene i ja mamy wracać do Nowego Jorku - oznajmił Charley Hydraulikowi.

Postanowił zabrać ze sobą Irene, bo według pierwotnego planu, zanim ta głupia cipa nie pomyliła pięter i wszystkiego nie pokomplikowała, Irene wcale nie miała jechać z nimi do Brentwood.

- A my zostaniemy bez wozu? - spytał Hydraulik.

- Po co ci wóz? Wybierasz się dokądś?

- Wrócisz tu?

- Tak, wieczorem.

- To dobrze. Bez wozu czuję się tak, jakbym był nagi.

- Charley, przywieź ze sobą skrzynkę pomidorów konserwowych - powiedział Dom. - Mamy zapasy wszystkiego, ale na śmierć zapomnieliśmy o pomidorach.

Charley zapisał sobie.

- Gdzie wy macie głowy? - oburzył się. - Tylko nic nie gotujcie do mojego powrotu! Nie chcę, żeby Filargi narzekał na kuchnię.

Roześmiali się.

O trzeciej nad ranem Charley i Irene wyruszyli z Brentwood do miasta. Pojechali do mieszkania Charleya na plaży. Wzięli wspólnie prysznic, a potem kochali się. Znacznie później, gdy leżeli bez ruchu spleceni ze sobą, nadzy w klimatyzowanej sypialni, Irene powiedziała nagle:

- Wciąż nie daje mi spokoju, że ten skurwysyn nie złapał dziecka. Co, gdyby to było prawdziwe, żywe niemowlę? Mogłoby zostać kaleką na całe życie!

- Ech, daj spokój, Irene. Chyba nie sądzisz, że on myślał, że to prawdziwe dziecko?

- A co u licha miał myśleć?

- Mniejsza. Nie płacili mu przecież za pilnowanie bachora! - zawyrokował Charley.

O dziesiątej rano Charley stawił się w gabinecie ojca w pralni w hotelu St. Gabbicne.

- Wpakowaliśmy się w ładną kabałę - oznajmił Angelo Partanna. - Ta baba, którąście rąbnęli, to żona kapitana policji.

- O rany! Ale nas urządziło to głupie babsko! Nie mogła nacisnąć właściwego guzika?

- Policja jeszcze nie wie, że Filargi został porwany. Kobieta, której wysłałem bilety do teatru, po powrocie do mieszkania znalazła dwa trupy, rzucone jeden na drugi. Znalezienie gumowej kukły narobiło w prasie tyle zamieszania, że wcześniej niż jutro nikt się nie zorientuje, że Filargi gdzieś przepadł.

- Goryl nawet nie spróbował złapać lalki. Irene mu ją rzuciła, a on odsunął się w bok.

- Prawdziwy zawodowiec - ocenił Angelo.

- Kiedy wyślecie do banku list z żądaniem okupu?

- Niech się zastanowię. Początkowo liczyliśmy, że damy prasie trzy dni, żeby sprawa nabrała nieco rozgłosu. Ale teraz wszystko się zmieniło, bo jeśli nawet jutro policja dowie się o zniknięciu Filargiego, będzie już środa, a zaraz potem jest weekend i bank będzie zamknięty. Więc pewnie wyślemy list w piątek, żeby do banku doszedł w poniedziałek.

- To chyba muszę wziąć jeszcze kogoś do Brentwood. Wtedy wszyscy będą mieli ośmiogodzinne dyżury, a nie dwunastogodzinne, jak teraz.

- Gówno, nic z tego! - sprzeciwił się Angelo. - I tak tylko siedzą na dupie i nic nie robią. Jakoś sobie poradzą. Wpada im za to całkiem niezły kawał szmalu, i nie widzę powodu, żeby bulić taką sumę trzeciemu nierobowi. Zresztą będziesz przecież tam jeździł co drugi dzień, więc ich trochę zluzujesz.

- Dobra. Cholera, rzeczywiście może się z tego zrobić nie lada rozróżba! Wszystko przez to, że mąż tej starej cipy jest kapitanem policji!

Rozdział 24

Maerose zatelefonowała do Amalii, prosząc ją pokornie o audiencję u Don Corrada, żeby mogła mu podziękować za przywrócenie jej życiu sensu przez przekonanie Vincenta, żeby pozwolił jej wrócić do rodzinnego domu. Amalia, jej ukochana ciotka, zadzwoniła do niej w przeciągu godziny i powiedziała, że dziadek przyjmie ją jeszcze tego samego dnia o piątej po południu.

Maerose, odziana w czerni, zjawiła się o wyznaczonej porze i uklększy przed fotelem Don Corrada, pocałowała go w rękę. Zarumienił się, zadowolony ze staromodnego hołdu, cmoknął nad nią z zachwytem, po czym polecił jej, żeby usiadła obok niego na krześle i wzięła go za rękę.

Kobiety z otoczenia Corrada Prizziego wiedziały, iż lubi trzymać je za ręce, nie jako forma umizgów - a przynajmniej już nie - lecz ponieważ sam dotyk niewieścich dłoni, ich kształt, pulchność, miękkość, sprawia mu zmysłową przyjemność, a także ponieważ wierzy, że przez ręce sięga im w głąb ciała i duszy; kiedyś jako mały chłopiec poczuł w ten właśnie sposób wpływającą w niego moc Capo di tutti Capi całej Sycylii.

Trzymał dłoń Maerose i swoimi maleńkimi, lodowatymi oczkami jasnowidza wwiercał się jej w mózg. Za szerokim oknem Manhattan rozciągał się u jego stóp niczym pole kamiennych szparagów, a dalej, za wyspą, cały kontynent podobny do wielkiej betonowej płyty.

- Amalia powiedziała mi - rzekł szeleszczącym głosem - iż pragniesz podziękować mi za to, że pomogłem ci wrócić do domu, lecz jestem przecież głową naszej rodziny - więc ktoś inny jak nie ja powinien się wstawić za tobą u ojca i wyprosić" aby przyjął cię z powrotem tam, gdzie jest twoje miejsce? Jesteś z mojej krwi, z mojego ciała, i jak długo będę do tego zdolny, zawsze będę troszczył się o twoje dobro.

- Dzięki ci, dziadku, że wyciągnąłeś mnie z otchłani czyścica - odpowiedziała Maerose z równym patosem. - Znów jestem częścią ciebie i rodziny. Tego właśnie pragnęłam nad życie.

- Żałuję, że nie jesteś mężczyzną. Masz potrzebną wrażliwość, wytrzymałość, siłę. Chcesz herbatnika?

- Nie, dziadku, to ja muszę podarować ci prezent.

- Uwielbiam prezenty. Chyba zawsze sprawiały mi wielką przyjemność.

Maerose otworzyła torebkę i wyjęła z niej kopertę. Otworzyła kopertę i wydobyła z niej trzy zdjęcia. Podała je Don Corradowi.

- Ha! Kim jest ta przystojna kobieta?

- To żona Charleya Partanny, dziadku.

- Żona Charleya? Jak to, już się pobrali? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Śluby, chrzty i pogrzeby to najważniejsze uroczystości, w których cała rodzina powinna uczestniczyć.

- Pobrali się nagle, dziadku. W Kalifornii.

- No, no.

- Dziadku, to jest właśnie mój prezent. Nie same zdjęcia, ale to, co z nich wynika.

Pamiętasz, że Louis Palo został zastrzelony?

- Tak.

- Zginął na parkingu za lokalem Presta Ciglione w Vegas.

- Pamiętam.

- Zawiozłam te zdjęcia do Ciglione. Przywitał mnie z szacunkiem. Położyłam je przed nim i powiedziałam, żeby je pokazał tym spośród swojego personelu, którzy byli obecni w dniu, kiedy zginął Louis. Jedna z kelnerek siedziała akurat wówczas w wozie stojącym na parkingu i widziała jak ta sama kobieta, co na tych zdjęciach, wysiada ze swojego auta i podchodzi do samochodu, w którym zabito Louisa. Po kilku minutach usłyszała jakby pyknięcie, i ta kobieta wysiadła z wozu Louisa, otworzyła bagażnik, wyjęła z niego torbę, po czym wróciła do własnego auta i odjechała.

- Ta sama kobieta, z którą ożenił się Charley?

- Tak, dziadku.

- To poważne oskarżenie, wnuczko.

- Ukradła ci siedemset dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Oddała połowę, żeby ocalić skórę. Wciąż ma swoich trzysta sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

- Co chcesz, żebyśmy uczynili?

- Wykończyła Louisa, okradła naszą rodzinę. Zhańbiła nas. Musi za to zapłacić, prawda?

- Ale co wówczas z Charleyem?

- Ożenił się z nią. Ożenił zaraz po tym, jak oddała mu połowę pieniędzy. Nie twierdzę, że wiedział, co zrobiła, lecz musiał orientować się, że była zamieszana w całą sprawę, gdyż to jej mąż do spółki z Louistem wykoncytował ten numer. Charley musi ją pogrzebać. Niech tak to odpokutuje. Niech ją kropnie.

- Jesteś teraz jak jego spowiednik. Oceniasz grzech i wyznaczasz pokutę. -

Popatrzył na nią z podziwem. - Jesteś podobna do mnie - stwierdził po chwili, wciąż patrząc na nią z taką samą czułością, jak na własne lustrzane odbicie. - Niczego nie wybaczymy.

Maerose spuściła wzrok.

- Zastanowię się - rzekł Don Corrado. - Muszę też zebrać więcej informacji. Moim obowiązkiem jako głowy rodziny jest dopilnować, aby nikomu nie stała się krzywda.

Rozdział 25

Wracając po blisko dziesięciu latach wygnania do domu ojca, Maerose dołożyła wszelkich starań, żeby wyglądać jak zniszczona stara panna. Ściągnęła włosy w ciasny koczek i w ogóle się nie umalowała, jedynie silnie przypudrowała twarz i czarną kredką do brwi narysowała zmarszczki pod oczami. Włożyła czarną sukienkę, otuliła się czarnym szalem, i udawała, że nie ma odwagi spojrzeć ojcu w oczy.

Patrząc na nią, Vincent przypomniał sobie tryskającą energią piękną młodą kobietę, którą wykreślił ze swojego życia. Przez te lata, kiedy jej nie widywał, myślał o niej bez przerwy i wyobrażał sobie, że gdzieś nędznie wegetuje w wynajętym pokoiku o takich samych warunkach, w jakich mieszkała jego rodzina, kiedy był małym chłopcem - z oknami wychodzącymi na studnię i z rozzuchwalonymi szczurami, które porwały dziecko sąsiadów - lecz mimo wszystko nie spodziewał się, że tak ją to zmieni zewnątrz. Widząc ją, rozplakał się. Z łzami spływającymi po policzkach rozpostarł ramiona i przytulił ją do siebie. Nad jego głową - sięgającą jej do brody - zimne oczy Maerose lśniły z zadowolenia. Zastanawiała się, jak długo będzie musiała mieszkać w ojcowskiej gradami, zanim zrealizuje swój plan. Zatrzymała swoje mieszkanie na Manhattanie i wzięła bezpłatny urlop z firmy projektowania wnętrz. Miała nadzieję, że w ciągu trzech miesięcy - może nawet dwóch, a już góra czterech - uda jej się zniszczyć ojca, wykończyć Irene i odzyskać Charleya.

Przez następny tydzień pracowała w domu ojca jak pokutnica, w milczeniu, bez chwili wytchnienia, on zaś nie potrafił skłonić jej, żeby przestała, bo po pierwsze wyobrażał sobie, że kobiety właśnie od tego są, a po drugie nawet kiedy był w znacznie lepszym nastroju, nawiązanie z kimkolwiek rozmowy nie przychodziło mu łatwo.

Przyglądał się, jak córka wstaje o świcie, szoruje podłogi, pierze, gotuje posiłki i poleruje meble (po zrobieniu - pierwsza rzecz z rana - ponurego makijażu upodobniającego ją do wiedźmy), a ponieważ uwierzył, iż piękna dziewczyna, która niegdyś stanowiła radość jego dni rzeczywiście przemieniła się w złamaną kobietę, zaś według sycylijskich obyczajów nie mógł winie siebie, za to co się z nią stało, oraz - skoro jej wybaczył - nie mógł też obwiniać jej samej, pełną odpowiedzialnością obarczył Charleya, co przychodziło mu o tyle łatwo, że wcześniej w duchu i tak winił go za wszystko. Jaki drugi mężczyzna pozwoliłby swojej narzeczonej wyjść z przyjęcia z innym facetem i nawet nie próbowałby jej zatrzymać? Gdyby ją złażał, stłukł, zamknął gdzieś w toalecie i znów stłukł, byłiby teraz szczęśliwym małżeństwem, a on, Vincent, nie musiałby bez słowa znosić tych tortur.

Ale Charley pozwolił jej odejść. Kiedy ją sprowadzono z powrotem miał świetny pretekst, żeby więcej nie mieć z nią nic wspólnego. Przez cały okres narzeczeństwa podobno nawet jej nie dotknął. Miało to o tyle pozory prawdy, że starano się nie dopuścić do takiej sytuacji, aby młodzi byli ze sobą sam na sam. Ale Vincent wiedział, że tego rodzaju środki ostrożności rzadko bywają skuteczne. Każdy mężczyzna potrafi znaleźć

sposób, by je obejść. Charley pewnie nie należał do wyjątków i przypuszczalnie starał się zmusić Maerose do jakichś świństw. No i te jego zwierzęce zachcianki sprawiły, że uciekła. I zamiast, naiwna dziewczyna, pójść do ojca i poskarżyć mu się, jaki z tego Charleya degenerat, wzięła na siebie całą winę i niemal przez dziesięć lat cierpiała niesłusznie. Cholera, Charley od początku zachowywał się tak, jakby go ktoś przymusił do tego narzeczeństwa. Teraz Vincent miał przed oczami rezultat; dzień w dzień musiał patrzeć na kobietę, niegdyś tak piękną i pełną życia, przemienioną w wiedźmę, której nikt nigdy nie zechce poślubić. Wreszcie mógł nienawidzić Charleya otwarcie: skrycie przed światem, ale otwarcie przed sobą; po sycylijsku.

Charley nie tylko zabrał mu jego piękną córkę i zwrócił starego kocmołucha, lecz co więcej, obraził honor Prizzich. Vincent był przecież Prizzim, a nie istniało na świecie nic, co Prizzi ceniłby wyżej lub miłował bardziej niż honor. Tymczasem Charley podszedł, rozpiął rozporek i jakby nigdy nic, naszczał na ten największy skarb. Tak długo jak Charley będzie chodził po świecie, okropny wstyd będzie dusił za gardło Vincenta.

Zaczął obmyślać, jak by go wykończyć. Odkąd Charley wrócił do Nowego Jorku po załatwieniu Marnego Hellera, Vincentowi nie dawało spokoju podejrzenie, że coś tu śmierdzi. Ktoś kropnął Louisa, żeby zgarnąć całą forszę. Połowę miał Marxie Heller. To pewne. Połowę Louis. To też pewne. Ale czyją połowę przywiózł Charley i co się stało z drugą? Charley niewątpliwie zgarnął resztę szmalu dla siebie. Im dłużej Vincent się nad tym zastanawiał, tym głębszego nabierał przekonania, że Charley przywłaszczył sobie brakujące pieniądze. Czy Szefer tak postępuje? A Charley miał zostać Szeferem, kiedy Vincent przejmie interesy w Vegas - ładny Szefer, który zaczyna rządy od orźnięcia własnej rodziny na trzysta sześćdziesiąt dolców!

Od powrotu Maerose, Vincent przestał wychodzić wieczorami z domu. Siadywał z córką w salonie, którego wystrój nie zmienił się od śmierci jego żony przed dwudziestu jeden laty, i ponieważ Maerose rzadko się odzywała, sam pomstował na Charleya - jej milczenie tylko podsycalo jego nienawiść do swojego zastępcy.

Za każdym razem zaczynał od początku i wałkował w kółko, po kolei, wszystkie sprawy, które niczym dur brzuszny pokryły plamami jego honor.

Czy Maerose sądzi, że Charley kiedykolwiek żywił do niej prawdziwe uczucia? Nie odpowiedziała, ale też nie oczekiwał od niej odpowiedzi. Czy Charley kiedykolwiek usiłował się z nią zobaczyć odkąd wróciła z Meksyku blisko dziesięć lat temu? Nie odpowiedziała. Vincent był pewien, że nie, bo według niego Charleyowi nigdy na niej nie zależało. Przysłał na honor, jakim było wżenie się w rodzinę Prizzich, ale sama Maerose niewiele go obchodziła. Gdy ojciec wygłosił tę opinię po raz pierwszy, Maerose zaprotestowała, a potem ilekroć powtarzał to samo, protestowała coraz kategoryczniej, specjalnie za każdym razem objawiając coraz silniejsze wzburzenie. Piątego wieczoru, po całodziennych rozważaniach nad tym jak udowodnić, iż Charley okantował rodzinę na trzysta sześćdziesiąt dolców, Vincent ryknął na córkę z furią starego byka, że przez swój głupi kaprys dziewiętnastolatki dostarczyła Charleyowi pretekstu, którego szukał, żeby się wypiąć na nią tyłkiem - na nią< córkę Vincenta Prizziego i wnuczkę Corrada Prizziego - gdyż nigdy nie miał na nią ochoty.

- Miał, miał, ojciec - powiedziała Maerose. - Zjawił się u mnie w dzień przed wyjazdem do Kalifornii na ślub z tą kobietą i zmusił mnie, żebym to z nim zrobiła.

- To z nim zrobiła? - powtórzył Vincent, nieco skonfundowany jej doborem słów i nie do końca pewien, czy oboje myślą o tym samym.

- Wypierdolił mnie, ojciec. Trzy razy. Może nawet cztery. Nie pamiętam. Vincent uderzył ją w twarz na odlew tak mocno, że aż spadła z krzesła.

- Bo ci szczotką wyszoruję gębę! Jak śmiesz tak mówić do ojca! Nie zapominaj, kim jestem!

Podniosła się i usiadła na krześle, przyciskając dłoń do policzka.

- To właśnie ze mną zrobił.

- Niech ja tylko złapię tego skurwysyna! - ryknął Vincent. - Ale czy jesteś pewna, że on cię rzeczywiście...? Charley Partanna?

- Czy jestem pewna? Tato, gdybyś widział, jaki on ma wielki interes...

- Przestań! Jak możesz mówić o takich rzeczach własnemu ojcu? Gdzie ty masz honor?

- Ja i honor? Śmiesz chyba żartować, ojciec. Nie mam honoru. Charley Partanna mnie go pozbawił.

Vincent wybiegł z salonu. Wyszedł z domu. Chodził ulicami i knuł zemstę.

Nazajutrz wieczorem znów siedzieli w niemodnie urządzonym salonie. Maerose robiła na drutach. Vincent kipiał w środku, lecz nie odzywał się ani słowem. Wreszcie, po dwudziestu minutach, przemówił do córki:

- Czy wiesz, że Charley dopuścił się jeszcze jednej zbrodni? Ukradł rodzinie trzysta sześćdziesiąt zielonych.

- Słuchaj, tato. To nie Charley. To jego żona. Ona obmyśliła cały ten numer i ona sprzątnęła Louisa Pala, żeby zgarnąć jego dolę. Z tym Charley nie miał nic wspólnego.

- Co ty wygadujesz? Zgoda, jego żona była w to zamieszana, ale Charley również. Heller, jej mąż, był im potrzebny, bo to on siedział w klatce w Vegas, ale gdy tylko dostali forsy, Charley od razu go rozwalił. Pobrali się, zanim nieboszczyk całkiem ostygł. Charley specjalnie go kropnął, żeby się z nią ożenić.

- Nie.

- Co znaczy nie? Przestań mi się sprzeciwiać!

- Tato, posłuchaj mnie. Pamiętasz tę kasetę video? Tę, na której Paulie nagrał film ze ślubu Teresy? Zamówiłam odbitki klitek, na których widać żonę Charleya.

- Odbitki klitek?

- Po prostu zwykłe zdjęcia. Wyszły całkiem wyraźnie. Poleciałam z nimi do Vegas, pokazać je Prestowi Ciglionemu. Powiedziałam mu, że jestem twoją córką, więc słuchał moich poleceń. Pokazał zdjęcia ludziom z personelu, którzy pracowali w lokalu, kiedy załatwiono Louisa, i okazało się, że jedna kelnerka była tego wieczoru na parkingu i widziała, jak żona Charleya wsiada do wozu Louisa. Po kilku minutach wysiadła i odjechała wynajętym autem. Kelnerka poznała po tablicy rejestracyjnej, że to wynajęte auto, i kiedy następnego dnia znaleziono Louisa, od razu poznała, że leży w tym samym wozie do którego wsiadła żona Charleya, ale nic nie mówiła, bo myślała, że na Louisie wykonała wyrok organizacja.

- To wszystko prawda?
- Słuchaj, tato, to nie Charley nas wykiwał, a jego żona. Sprawdź sam, spytaj Ciglione i tę kelnerkę. Charley jest najwspanialszym żołnierzem rodziny. Ale żona go omamiła. Ona jest najgorsza. Trzeba się pozbyć jej, nie Charleya.
- Vincent spojrział na nią przeciągle.
- Porozmawiam jutro z Don Corradem - rzekł.
- Ale nie powiedział, czy zgadza się, że Charleya nie powinna spotkać żadna kara.

Rozdział 26

Nazajutrz tuż przed południem Vincent zatelefonował do rezydencji w Brooklyn Heights. Amalia poinformowała go, że ojciec czuje się znakomicie i może się z nim zobaczyć o piątej. Vincent wyszedł z pralni tylnym wejściem. Nie powiedział ani Angelowi Partannie, ani nikomu, dokąd się wybiera. Tę sprawę musieli rozstrzygnąć we dwóch, on i ojciec.

Siedzieli w wygodnych, starych fotelach w ogromnym bocznym pokoju, przemienionym na sypialnię i salon Don Corrada. Dominował tu kolor niebieski - łagodny, kojący, przynoszący spokój. Całe wnętrze zostało urządzone według projektu Maerose Prizzi, ponieważ jednak było to w czasie jej przymusowej rozłąki z rodziną, realizacją projektu musieli zająć się jej wspólnicy.

Dwa potężne, wygodne fotele zupełnie nie pasowały do reszty wystroju. Vincent pamiętał je jeszcze z dzieciństwa, z czasów, gdy żyła jego matka, a ojciec był młodym człowiekiem.

- Vincent, nie wyglądasz najlepiej - rzekł Don Corrado. - Co cię gryzie?
- Mam ci coś do zakomunikowania, tato, ale z trudem przejdzie mi to przez usta.
- Mów.
- Kiedy Louis Palo nas okradł i Charley Partanna pojechał to zbadać, po powrocie zachowywał się dość dziwnie. Coś było nie tak. Przywiózł połowę siedmiuset dwudziestu dolarów. Pytam o resztę, a on na to, że więcej szmalu nie znalazł, a tę połowę odzyskał dzięki żonie Marnego Hellera, która mu ją dała. Ale coś tu śmierdzi, tato. Ledwo mijają trzy dni odkąd załatwił Hellera, Charley żeni się z wdową, tą samą kobietą, która zwróciła mu połowę forsy. Heller nie żyje, Louis Palo nie żyje. A kobieta, którą Charley poślubia, oddaje mu połowę forsy, którą nam ukradli, trzysta sześćdziesiąt zielonych.

Ojciec słuchał w skupieniu.

- Skoro Marxie Heller miał połowę forsy u siebie w domu, tam gdzie dopadł go i załatwił Charley - kontynuował Vincent - a Marxie okradł nas do spółki z Louisem, to chyba jasne, że drugą połowę miał Louis.

Don Corrado skinął głową.

- Ale Louis, kiedy go znalezione, nie miał przy sobie nic. Gdybym ci udowodnił, tato - a właśnie po to przyszedłem - że ta kobieta, wdowa po Marxiem Hellerze, która wkrótce później poślubiła Charleya Partannę, załatwiła Louisa, byłoby całkiem logiczne, że zrobiła to, by zgarnąć jego dolę.

- Jak to udowodnisz?

- Pokazaliśmy jej zdjęcia Prestowi Ciglionemu, szefowi knajpy, za którą na parkingu załatwiono Louisa. Nie ma wątpliwości, że to jej robotą. Personel Ciglionego rozpoznał ją natychmiast.

- Hm. No więc kto, według ciebie, ma resztę forsy?

- Oni, tato. Oboje. Charley i ta kobieta. Mniejsza, które z nich ma ją faktycznie. Ona obrobiła Louisa, a Charley się z nią ożenił. Wszystko pasuje.

- Co chcesz zrobić?

- Uważam, że należy zlikwidować Charleya. Poślubił kobietę, która nas okradła, jak tylko zakończyli kant. To on wszystko zaplanował. Musi zapłacić.

Don Corrado wydał wargi i przytknął do nich złączone w daszek dłonie.

- Słuchaj, Vincent. Dopóki nie odzyskamy pieniędzy, nie będziemy nikogo likwidować. Później też nie. To sprawa etyki. Usunięcie jednego czy dwojga z nich byłoby sprzeczne z etyką i wytworzyło bardzo skomplikowaną sytuację. Charley jest naszym najlepszym żołnierzem, naszym wykonawcą, twoim sottocapo, wspaniałym człowiekiem, który znakomicie wywiązuje się z powierzonych mu obowiązków. W dodatku jego ojciec jest moim zaufanym consigliere. To bardzo ważne okoliczności. Mówiąc jasno: jeśli pieniądze zostaną nam zwrócone, a nie chcemy także zlikwidować Angela Partanny oraz ich licznych przyjaciół, są to okoliczności jak najbardziej przemawiające za łagodnym potraktowaniem. Gdybyśmy sprzątnęli samą żonę Charleya, też mielibyśmy poważne problemy, i to nie tylko z Partannami. Wiesz, co by było, gdyby oskarżyli nas przed Komisją? Jak tylko rozniósłaby się wieść, że skrzywdziliśmy żonę jednego z członków braterstwa, na wieki okrylibyśmy się hańbą w oczach całej fratellanza. Ta kobieta jest przecież żoną Charleya. Nie wolno nam podejmować takiego ryzyka. Musimy pamiętać o Komisji.

- Więc co zrobimy? Pozwolimy, żeby im to uszło na sucho?

- Wszystko po kolei. Najpierw musi zostać aresztowany i oskarżony Filargi; to nasza najważniejsza sprawa, synu - odparł Don Corrado. - Dopiero potem powiem żonie Charleya, żeby oddała nam pieniądze. Ale z nim w ogóle nie będę o tym rozmawiał.

Nie widział powodu, aby zdradzić Vincentowi, że już wcześniej wiadomo mu było o tym, iż ktoś z lokalu Ciglionego rozpoznał na zdjęciach żonę Charleya, oraz że to ona obmyśliła cały numer, którego Louis Palo i Heller byli tylko wykonawcami. Posiadane informacje nastrajały Don Corrada do jeszcze pilniejszego słuchania, a nie do dzielenia się tym, co wie.

Rozdział 27

To niewątpliwie jego wygląd zewnętrzny sprawiał, że Vincent wydawał się człowiekiem mało wrażliwym. Był szeroki i krępy. Głowę miał dużą i brylastą - gdyby go zakopać w ziemi po szyję, można by ją wziąć za pieniek. Policzki golił dość niechlujnie, a w dodatku raz żyłką, raz maszynką elektryczną, przez co zarost wciąż mu się zmieniał. Twarz przedzielały mu źle przystrzyżone siwe wąsy: nad nimi, pod złączonymi brwiami porastającymi dolną krawędź czoła, tkwiły małe, czarne oczka. Pod wąsami znajdowały się usta o grubych, mięsistych wargach i krzywe zęby różnych odcieni żółci, niektóre

nawet barwy jadeitu lub hebanu, gdzieniegdzie polyskujące złotem. Mówił wolno, a głos jego brzmiał szorstko i nieprzyjemnie, choć może specjalnie nadawał mu takie brzmienie, żeby pokazać, iż jest człowiekiem twardym, nieustępliwym i okrutnym, jakim zresztą był w istocie, przede wszystkim jednak był uparty jak wół.

Najbardziej w życiu bolało Vincenta, że jego brat Ed okazał się z czasem dominującą siłą wewnątrz rodziny Prizzich. To że Corrado, ich ojciec, był głową rodziny, wynikało z naturalnego porządku rzeczy i Vincentowi nawet przez myśl nie przeszło kwestionować jego władzę; natomiast Ed - jego zdaniem - osiągnął swoją pozycję zupełnie niezasłużenie, i w sposób krzywdzący i nielojalny wobec starszego brata: Ed uparł się, żeby zdobyć wykształcenie.

Vincent, silny, brutalny i dojrzały chłopak, rzucił szkołę w wieku lat dwunastu i zaczął pracować dla ojca. Kiedy składał przysięgę jako "uznany" mężczyzna, wprowadzony do szacownego stowarzyszenia przez Angela Partannę, miał lat dwadzieścia. Każde słowo przysięgi wbiło mu się na zawsze w pamięć. Wszystkie punkty tego oświadczenia lojalności wobec fratellanza odbierał subiektywnie, jako gwarancję własnego bezpieczeństwa. Obowiązek służenia pomocą członkom braterstwa w potrzebie. Całkowite posłuszeństwo wobec przełożonych. Występek przeciw jednemu to występek przeciw wszystkim i musi zostać pomszczony bez względu na cenę.

Nigdy nie zdradzaj nazwisk członków i tajemnic stowarzyszenia i nie szukaj sprawiedliwości u agencji rządowych. Jako Prizzi i przyszły szef rodziny Vincent twardo wierzył w konieczność przestrzegania przysięgi, która została ułożona właśnie z myślą o ochronie takich jak on.

Edowi nigdy nie zależało na tym, żeby przejść inicjację. Skończył szkołę średnią jako jeden z najlepszych uczniów. Vincent nabijał się z niego, gdy ten prosił ojca o zgodę, żeby pójść na studia. Był wstrząśnięty i oburzony, kiedy jego brat zaczął studiować prawo. W oczach Vincenta, który za najmądrzejszą maksymę życiową uważał stare sycylijskie przysłowie: "im mniej się zmienia, tym nam wszystkim lepiej", Ed był niemal zdrajcą. Chciał wszystko robić inaczej. Po chuj przestępcy wyższe wykształcenie?! Kiedy jego dwaj kumple, Ben Sestero i Harry Garrone, również wyjechali, żeby coś tam studiować, Vincent zaczął się poważnie martwić, jak sobie rodzina poradzi w przyszłości.

Pewnym optymizmem natchnął go fakt, że przynajmniej Charley Partanna był dość rozsądny, by po dwóch latach rzucić szkołę, ale jego radość obróciła się w zniechęcenie i gorycz, gdy po złożeniu przysięgi Charley zapisał się do szkoły wieczorowej.

Vincent żywił do świata już niejedną urazę, zanim Ed skończył studia i powrócił, żeby przejąć kierownictwo nad legalną działalnością Prizzich. Tatuś nie protestował. Tatuś powiedział, że Ed, Ben i Harry co najmniej potroją dochody rodziny. Vincent nie bardzo się orientował, do jakiego stopnia na przestrzeni lat Don Corrado rozbudowuje legalne interesy, ale kiedy wrócił Ed z dyplomem prawnika w kieszeni, Vincent pojął natychmiast i odczuł to jako srogi policzek, że jego strona rodzinnych operacji, prawdziwa działalność Prizzich, źródło całego kapitału inwestowanego w pozostałe przedsięwzięcia, stała się jakby psim ciałem, którym merda w najlepsze ogonek kierowany przez Eda.

Świadomość, iż jest zależny od Eda spadła na niego tak nagle, że poczuł się, jakby dostał młotkiem po głowie. Ed działał 'legalnie. Ed czuł się jak w domu w Waszyngtonie, w Camp David, przyjaźnił się z prezydentami. Zapraszał senatorów, kongresmenów i ministrów na polowania, na rejsy po Morzu Karaibskim lub do swojej posiadłości w Palm Springs, do której zapraszał i Vincenla, ale ten obiecał sobie, że jego noga nigdy tam nie postanie. Ed za to nigdy nie jeździł do Vegas. Vegas było dla niego zbyt podejrzanym miejscem.

Ed nawet się nie ożenił. Wciąż bywał "zaręczony", a trzy kobiety, z którymi był zaręczony najdłużej, uchodziły za jego "nieślubne żony". A mimo to przyjaźnił się z kardynałem! Z kaznodzieją Billym Grahamem! Z rabinem Kahane'em! Edowi uchodziło wszystko. Nie widać było, żeby pracował. Ciągłe tylko rozprawiał przez telefon albo latał samolotami. Interesy rodziny rzeczywiście rozwijały się świetnie pod jego kierunkiem, ale nie to było przyczyną zawiści Vincenta, nie dlatego tak bardzo doskwierał mu fakt, że ciągle jest w cieniu brata. Ed, kurwa, był przecież jednym z ludzi sterujących państwem! Miał takie wpływy, że gdy tylko któraś z innych rodzin w całej fratellanza, a także gangi żydowskie i rosnące w potęgę nowe gangi murzyńskie potrzebowały coś załatwić na poziomie władz federalnych, waliły prosto do niego. Ed wiedział, komu i ile trzeba posmarować - Ed był Kimś.

A Vincent? Dowodził żołnierzami rodziny - i to wszystko. Był od brudnej roboty. Gazety nazywały go gangsterem, podczas gdy Eda filarem przemysłu. Nawet własna córka nie darzyła go szacunkiem i okryła hańbą w oczach całego środowiska Stanów Zjednoczonych: zachowując się jak tania dziwka, zaprzepaściła swoją przyszłość u boku mężczyzny, który z czasem miał objąć w rodzinie stanowisko jej ojca. A teraz z kolei Charley Partanna, syn człowieka, któremu Vincent, Don Corrado i nawet Ed ufali jak nikomu na świecie, pokazał, że też go nie szanuje. Charley zdradził rodzinę, ale jego czyn wymierzony był właśnie przeciwko niemu, Vincentowi. Chciał pohańbić go do cna, pograżyć w rymsztoku. Za tę obelgę, i za krzywdę wyrządzoną jego córce, musiał zginąć - to stało się dla Vincenta obsesją.

Zadzwoił do Casca Vagonego, consigliera rodziny Bocca, rządzącej południową częścią Manhattanu.

- Cześć, Casco! Tu Vincent. Jak leci?
- Nieźle, nieźle!
- Muszę wpaść dziś do miasta i mam do ciebie pewną sprawę.
- O której jesteś wolny?
- Może umówilibyśmy się na obiad?
- Fajnie. W Pavone Azzurro, o pierwszej.

Casco był starym kumplem. Stali się członkami braterstwa w tym samym roku - 1935. Casco był o jakieś sześć lat starszy od Vincenta. Podczas posiłku wspominali dawne czasy, przypominając sobie ludzi i drobne zdarzenia, które - ku ich zdumieniu - wcale nie wywietrzały im z pamięci, choć dawno powinny. Kiedy pili kawę, Vincent powiedział, że czterech jego ludzi interesuje się sklepem futrzarskim znajdującym się w rejonie rodziny Bocca, i chciałby uzyskać dla nich zgodę na skok.

- W porządku, ale jak sam mówisz, to nasz rejon. Musimy dostać taki sam udział, co zwykle.

- Oczywiście. Osobiście tego dopilnuję.

Omówili szczegóły podziału zysków ze skoku, po czym Vincent na koniec rzekł:

- Potrzebuję pewnego numeru. Muszę się skontaktować z jakimś dobrym kontraktowym strzelcem.

- Angelo Partanna zna taki numer.

- Wiem - rzekł Vincent.

- No, jeśli chcesz najlepszego fachowca, dość sporo wybulisz.

- Ile?

- Siedemdziesiąt pięć.

- Daj mi ten numer, Casco.

- Nie ma sprawy. To numer w Kansas City. Tym strzelcem jest baba. - Vagone zapisał numer na wewnętrznej stronie paczki tekturowych zapalek. - Baba, ale nie ma lepszego fachowca.

Vincent wszedł do budki telefonicznej w Roosevelt Hotel i wykręcił numer w Kansas City. Aparat przekąźnikowy połączył go z sekretarką automatyczną w Beverly Hills. Usłyszał kobiecy głos:

- Mówi sekretarka automatyczna. Po usłyszeniu sygnału, proszę podyktować wiadomość.

Rozległ się sygnał.

- Chcę się spotkać. Powiedzmy, że... hm... w tym małym parku, Paley Park, na Pięćdziesiątej Trzeciej róg Piątej, w Nowym Jorku. Zgadzam się na cenę. Położę obok siebie na ławce... no, egzemplarz "Popular Mechanics". Będę czekał o dziewiątej dwadzieścia we wtorek, pierwszego września.

Odwiesił słuchawkę.

Przybył do Paley Park pięć po dziewiątej, żeby mieć pewność, że znajdzie wolną ławkę. Okazało się, że wszystkie są puste. Irene zjawiała się dziesięć minut później. Zawahała się na ułamek sekundy, kiedy zobaczyła, kto jest jej klientem, ale ponieważ Vincent nigdy jej nie widział, nie mógł się orientować, że jest żoną Charleya. Podeszła do ławki i usiadła.

- Czyżby pan był mechanikiem? - spytała z uśmiechem.

- To z tobą się umówiłem?

- Tak

- Dobra. Ile?

- Zależy od roboty. Czy prosta, czy trudna. Kogo mam sprzątnąć?

- Jednego gościa z Brooklynu, nazywa się Charley Partanna. Znasz go?

Irene spojrzała na niego ironicznie, unosząc lekko brwi.

- To będzie wyjątkowo trudna robota. Odpowiedziała nie myśląc o Charleyu. Tu chodziło o interesy. Najpierw ustalili cenę, a później się zastanowi.

- Ile?

- Charley Partanna to doświadczony gość, a przez to niebezpieczny. Duża szansa, że załatwi mnie pierwszy.

- Więc ile?

- Za mniej niż sto nie zamierzam ryzykować.

- Dobry żart. Tyle forsy za jedną robotę?

- Może ktoś podejmie się za mnie, ale nie ja.

- Powiedziano mi, że siedemdziesiąt pięć.

- Ale nie za Charleya Partannę.

- Niech to szlag! - zdenerwował się Vincent. - Dam dziewięćdziesiąt.

- Ja ryzykuję i sama muszę sobie radzić. Dlatego taniej mi się nie opłaca.

- Dobra, niech będzie.

- Kiedy?

- Natychmiast.

- Potrzebuję czasu, żeby wszystko przygotować. Poobserwować go, poznać jego zwyczaje, zdecydować, gdzie najlepiej go zaskoczyć. Może w ogóle nie wezmę tej roboty, jeśli uznam, że mi nie leży.

- Kiedy się zorientujesz?

- Zostaw mi numer, pod który mogę zadzwonić. Dam znać w ciągu dwóch tygodni.

- Jaja sobie ze mnie robisz, czy co? Dostałaś wiadomość i przyjechałaś do Nowego Jorku dobrze wiedząc, o jaki typ roboty się rozchodzi, bo po to przecież się do ciebie dzwoni! Więc skąd te fochy? - Wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni ciemnej, bezkształtnej marynarki i rzucił jej na kolana. - Pięćdziesiąt. Pierwsza rata. Podobno jesteś najlepszym fachowcem, a tu wahania jak u pensjonarki!

Irene podniosła nie zaklejoną kopertę i zajrzała do środka. Pięćdziesiąt tysiącdolarowych banknotów. Stare, używane. Wyjęła je z koperty i potarła dłonią.

- Kiedy druga rata?

- Po robocie. Dobra, jak chcesz, masz dwa tygodnie czasu. Teraz i tak co rusz wyjeżdża z miasta.

Vincent wydobył z kieszeni pocztówkę. Ktoś zapisał na niej adres Charleya na plaży, a poniżej adres pralni w St. Gabbione Hotel. Druga strona przedstawiała kolorowy widoczek plaży w Coney Island, tak zatłoczonej, że w ogóle nie było widać piachu, tylko same ludzkie ciała.

- Mieszka pod górnym adresem, pracuje pod dolnym. To wystarczy, żeby zaplanować robotę.

Irene schowała pocztówkę do torebki, obiecując sobie w duchu, że później wszystko dokładnie przemyśli.

- Połowę następnej raty chcę dostać w studolarowych banknotach.

- A w czym mam ją przytachać, do cholery? W walizce?

- Może być.

Pięćdziesiąt dolarów to zawsze pięćdziesiąt dolarów. Gdzieś w głowie tłukła jej się myśl, że zanim minie termin, może załatwi tego ówoka Vincenta i wszystko będzie cacy, a ona o te pięćdziesiąt dolarów bogatsza.

Przywołała w myślach głos i obraz Charleya; widziała go jak je, czuła na sobie jego dotyk, kiedy się z nią kochał. Pięćdziesiąt dolarów nie dawało takich wspomnień.

Irene zjadła samotnie obiad u Schraffta i przemyślała sobie dokładnie ofertę Vincenta. Kusiła ją cena. Za wczorajszy udział w porwaniu Filargiego też miało jej co nieco kapnąć. A i tak zarobiła już w tym roku więcej, niż oficjalne dochody prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale nie opłacało jej się sprzątnąć Charleya ani za te, ani nawet za znacznie większe pieniądze, bo był dla niej po prostu niezastąpiony. Najbardziej by jej odpowiadało, żeby teraz ktoś ofiarował jej sto dolców za rozwalenie Vincenta Prizziego. Nie, Charleya nie może sprzątnąć. Ma to gdzieś. Odeśle Vincentowi zaliczkę, machnie ręką na tę stówę. Z drugiej strony może powinna kropnąć Vincenta, skoro on chce wykończyć Charleya? Tak, ale może się zdarzyć, że komuś innemu przyjdzie do głowy pomysł zlikwidowania Vincenta, a wówczas jest duża szansa, że właśnie jej zleci tę robotę. Więc po co ma ją odwalać za frajer?

Jadła sałatkę z kurczaka i myślała o miłości. Jak to możliwe, żeby ktoś był wart więcej niż sto dolców? Co mogła kupić za Charleya? Stanowił luksus. Odkąd było ją stać, nigdy niczego sobie nie odmawiała. Za wszystkie luksusy płaciła, lecz dotąd nie zdarzyło się, żeby musiała zrezygnować z takiego szmalu za sam przywilej kupienia sobie czegoś. A Charleya kupowała jak inne luksusy, co noc płaciła za niego własnym ciałem. Było jej z nim wspaniale, nic podobnego nie przytrafiło jej się w życiu, ale płaciła bez przerwy. Płaciła, kiedy gotowała posiłki. Płaciła tym, że porzuciła Kalifornię i zamieszkała w Brooklynie, a nawet tym, że jej ukochany gozzy został w Los Angeles. Wiec Charley jako luksus był w pełni splacony, a te sto dolców to jakby coś ekstra. Jezu! Przypomniała sobie matkę, poturbowaną przez ojca, leżącą w kącie ich cuchnącego czynszowego mieszkania w pobliżu chicagowskiej rzeźni, i zaczęła zachodzić w głowę, czymże do licha jest miłość, skoro przez nią matka całymi latami zносиła awantury tego bydlaka, a teraz ona sama gotowa jest zrezygnować ze stu dolarów, boją też fest pieprznięło uczucie.

Rozdział 28

Nazajutrz po spotkaniu Irene z Vincentem na Manhattanie, zadzwoniła do niej do mieszkania Charleya Maerose i powiedziała, że Corrado Prizzi pragnie widzieć ją u siebie o piątej po południu. Była druga i Irene właśnie sprzątała, a zamierzała jeszcze uprać zasłony, bo Charley narzekał przy śniadaniu, że od miesiąca nie były prane, lecz wiedziała, że Don Corradowi się nie odmawia - spytała tylko, którędy najlepiej dojechać. Maerose zaproponowała, że wpadnie po nią i zawiezie ją na miejsce. Irene odparła, że nie ma sensu, aby Maerose fatygowała się bez potrzeby, więc w końcu umówiły się, że Irene pojedzie taksówką do Peak Hotel w Brooklyn Heights, a Maerose zjawi się tam po nią za kwadrans piąta.

O czwartej Irene zatelefonowała do Charleya i powiedziała mu, dokąd się wybiera.
- O co mu chodzi? - zdziwił się Charley. - Nie pojmuję.

- Pewnie chce mnie powitać w gronie rodziny. Wsiadła do taksówki niemal zielona ze strachu, że w domu Corrada natknie się na Vincenta. Widziała go tylko dwa razy, raz kiedy przemawiał ze sceny na weselu Teresy Prizzi, a potem w Paley Park, ale to i tak było o jeden raz za dużo, gdyby miała go teraz spotkać jako żona Charleya.

Maerose czekała na nią, kiedy weszła do hotelu. Piękna, wesółka, przywitała się z Irene jak z najserdeczniejszą przyjaciółką. Rozmawiając o Charleyu, doszły do położonej na szczycie wzgórza rezydencji Sesterów. Przy bramie Maerose powiedziała, że nie będzie wchodzić do środka, bo nie została zaproszona, ale chętnie zaczeka na Irene w hotelu i odwiezie ją do domu. Irene podziękowała, wyjaśniając, iż umówiła się już z Charleyem, że zadzwoni do niego po wizycie; zabierze ją i pójda zjeść coś na Manhattanie.

Uzbrojony goryl, który otworzył drzwi, zawołał Amalię, a ta zaprowadziła Irene na piętro do salonu Don Corrada. Starzec wyraźnie ucieszył się na jej widok. Poprosił Amalię, żeby przysunęła bliżej drugi fotel, aby mógł w trakcie rozmowy trzymać Irene za rękę. Amalia sprawdziła, czy Don Corrado siedzi wygodnie, i zostawiła ich razem.

- Jesteś urodziwą kobietą - stwierdził Don Corrado. - Ale wasz nagły ślub był dla nas wszystkich prawdziwą niespodzianką.

- To była miłość od pierwszego wejrzenia i dość spontaniczna decyzja - odparła pogodnie Irene.

Don Corrado poklepał ją po dłoni.

- Rozumiem, rozumiem. Sam też byłem przecież młody. Trapi mnie jednak to wasze małżeństwo.

- Dlaczego?

- Życzę wam jak najlepiej, moje dziecko, lecz tak już jest, że fakty czasem kłócą się z najlepszymi intencjami. - Mówił po angielsku powoli i starannie, żeby mogła go zrozumieć. - Ludzie z lokalu Presta Ciglione w Nevadzie rozpoznali cię na zdjęciach i powiedzieli, że to ty zabiłaś Louisa Pala.

Trzymał jej rękę w mocnym uścisku i patrzył jej prosto w twarz. Przerwał i uśmiechnął się, a ona nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Niczym tonącemu, przelatowały jej przed oczami różne sceny z jej życia. Wpiła się palcami w dłoń starca i wlepiła w niego przerażone spojrzenie.

- W normalnych warunkach - kontynuował łagodnym głosem - musiałbym cię oddać ludziom Vincenta, bo winnych należy surowo karać.

Nie mogła zapanować nad drżeniem rąk, drżeniem całego ciała. Nie mogła oderwać wzroku od zimnych jak bryłki lodu oczu starca.

- Jesteś jednak żoną mojego chrześniaka, syna mojego najlepszego przyjaciela, więc... W ciszy tego pokoju długo się zastanawiałem, jak okazać ci litość i miłosierdzie.

- Zrobię co tylko trzeba!

- Masz resztę ukradzionych pieniędzy - oświadczył stanowczym głosem.

Irene wbrew sobie i swoim przekonaniom szybko skinęła głową.

- Czy Charley brał udział w tym szwindlu?

- Nie! Uwierzył mi, kiedy przysięgałam, że mam tylko dolę Marnego. Nie wie, że Marxie, Louis i ja działaliśmy wspólnie. Nie ma pojęcia, że to ja załatwiłam Louisa i

zabrałam całą forszę, że Marxie nie wziął ani centa. Myśli, że po prostu wskazałam mu, gdzie Marxie schował szmal. Powiedział mi, że mnie podejrzewał - powiedział to tego dnia, kiedy mi się oświadczył. Z początku myślał, że muszę być w to jakoś zamieszana, ale w końcu uznał, że to bzdura, nie miałam z kantem nic wspólnego. Gdyby było inaczej, nigdy by się ze mną nie ożenił.

Zdawała sobie sprawę, że od tego co teraz mówi, zależy życie Charleya, bo co się tyczy jej samej, to decyzja - jaka nie była - już zdążyła zapaść. Czowała, że pachy i uda ma mokre od potu.

- Charley jest porządnym człowiekiem. Honorowym. - Don Corrado westchnął. - Masz pięć dni, moje dziecko, żeby zwrócić mi trzysta sześćdziesiąt dolarów wraz z karą za to, co zrobiłaś, wysokości połowy tej sumy. Czy pięć dni ci wystarczy? - spytał z troską.

- Tak! Oczywiście! - Miała ochotę aż krzyknąć z ulgi.

- Pięć dni. Pięćset czterdzieści dolarów.

O szóstej spotkała się z Charleyem w Peak Hotel i ruszyli w stronę Manhattanu.

- Wiesz, Charley, może dla odmiany nie jedzmy dziś we włoskiej restauracji, dobrze? - poprosiła.

- Zgoda. Znasz jaką dobrą polską knajpę?

- Rano lecę do Los Angeles.

- Po co?

- Muszę przedłużyć wynajem biura i wybrać sprzęty, które chcę tu sprowadzić.

Wrócę w piątek wieczorem.

- Mnie i tak cały dzień nie będzie, bo muszę pilnować Filargiego na Long Island.

- Jak to znosi?

- Ciężko. Czego chciał Don Corrado?

- Właściwie nic. Poznać mnie, przywitać.

- To wspaniale! Aż mi się nie chce wierzyć! To naprawdę rzadki zaszczyt, żeby kogoś wżenającego się w jedną z rodzin fratellanza witała sama głowa rodziny. A zwłaszcza gdy chodzi o kogoś niesycylijskiego pochodzenia!

- Słuchaj, czy Prizzi rzeczywiście są tak potwornie mściwi?

- To znaczy?

- Chodzi mi o karę, jaką obmyślili dla Filargiego. Charley wyraźnie się zdziwił.

- Kochanie, przecież to normalka. Prizzi tylko dlatego tak daleko doszli, że niczego nie puszczają płazem. Wszyscy wiedzą, że lepiej z nimi nie zadzierać.

- Jezu, wciąż myślę o tej babie, która pomyliła piętra. Ale miała pecha!

- Irene, daj spokój. Była świadkiem, dobrze, że ją kropnęłaś.

- Prawdziwy pech! Nacisnąć w windzie zły guzik i chwilę później nie żyć!

- Gdzie zjemy kolację?

- Nie jestem specjalnie głodna.

- To może najpierw chodźmy do kina. Przez ten czas nieco zgłodniejesz i zjemy potem.

- Niech będzie. Idziemy do kina.

- Do którego?

- Wszystko jedno, gdzieś na Trzeciej Alei - odpowiedziała Irene. - Ale po filmie chyba też nie będę głodna.

O wpół do dziewiątej nazajutrz rano Charley odwiózł Irene na lotnisko. Zanim ruszyli z domu, wypełnił kradziony kupon biletowy, który dostał z biura Eda Prizziego, wpisując lot w obie strony i pierwszą klasę. Na lotnisku mieli zaledwie czas kupić dla Irene kilka gazet na drogę, gdy ogłoszono jej lot i musiała się zbierać.

Zaraz po starcie otworzyła jedną z gazet. Na drugiej stronie rzucił się jej w oczy potężny nagłówek:

KTO ZAMORDOWAŁ ŻONĘ KAPITANA POLICJI? ŚLEDZTWO WCIAŻ TKWI W MIEJSCU!

Poniżej nagłówka zamieszczone było zdjęcie przedstawiające ułożone równo na policyjnych noszach zwłoki zastrzelonej kobiety, a obok fotografia mężczyzny w mundurze kapitana policji.

Policja przyznaje, że śledztwo w sprawie zabójstwa Victorii Calhane, żony kapitana policji Martina B. Calhane'a, dowódcy antymafijnej komórki policji nowojorskiej, wciąż tkwi w miejscu. Zwłoki pani Calhane zostały znalezione w poniedziałek w godzinach popołudniowych w luksusowym apartamencie na czterdziestym piętrze hotelu Vanguard w Nowym Jorku przez najemczynię lokalu. Zwłoki pani Calhane leżały na zwłokach Eugene'a Gormleya, lat 46, prywatnego detektywa i strażnika osobistego.

W hallu przed mieszkaniem, w którym popełniono zbrodnię, znaleziono nadmuchiwaną plastikową lalkę zawiniętą w dziecięcy becik, lecz jak dotąd policja nie udzieliła żadnych wyjaśnień związanych z tym faktem.

"To było straszne! Obojgu strzelono prosto w twarz!" - oświadczyła pani Eliot Shenker, najemczyni apartamentu, w którym dokonano zbrodni. Pani Shenker znalazła zwłoki po powrocie do domu z wczesnego spektaklu teatralnego na Broadwayu.

Kapitan Calhane udał się natychmiast na miejsce zbrodni. Oznajmił, że jego żona pojechała do hotelu Vanguard, żeby wziąć udział w aukcji na cele dobroczynne, odbywającej się w ogrodzie znajdującym się na ostatnim, czterdziestym drugim piętrze wieżowca.

Irene opuściła gazetę. Jeśli to głupie babsko jechało na czterdzieste drugie piętro, to po cholerę nacisnęło guzik czterdziestego? Kurwa! Oparła głowę o fotel i zamknęła oczy. Mało, że była żoną gliny, to jeszcze gliny walczącego z mafią! Ale z tego zrobi się afery! Podniosła z kolan gazetę i znów zaczęła czytać artykuł, bo było w nim coś dziwnego, choć nie wiedziała, co. Nagle ją olśniło. Nie było ani słowa o Filargim! Porwano ważnego bankiera i wciąż nikt o tym nie wiedział, aczkolwiek minęły już trzy dni!

Miała ochotę natychmiast po wylądowaniu w Los Angeles wsiąść w samolot do Hongkongu.

Kiedy Charley zjawił się w pralni, czekała na niego wiadomość, żeby zadzwonił do Amalii Sestero.

- Amalia? Co nowego?

- Dziadek chce, żebyś wpadł na obiad.

- Świetnie! Znakomicie! - wykrzyknął choć wcale nie był pewien, czy to rzeczywiście tak świetnie. Nagle Don Corrado coś za bardzo nim się interesował, a to nie wróżyło nic dobrego. Przedtem nie widywał go całymi miesiącami.

- Dziadek lubi jadać o drugiej. Zdażysz?

- Oczywiście. Nie ma sprawy. Dziękuję. Amalio.

Irene wzięła taksówkę na lotnisku w Los Angeles i wysiadła przed Beverly Wilshire Hotel. Udała się do swojego biura i sprawdziła, czy na sekretarce automatycznej nie ma dla niej żadnych wiadomości. Nie, nikt nie dzwonił. Podeszła do okna i rozsunęła zasłony, żeby wpuścić słońce. Był piękny, słoneczny dzień: jak to możliwe, że zdecydowała się przeprowadzić do Brooklynu, tego ohydneho śmietnika, skoro miała własną piękną willę w tak słonecznym, cudownym klimacie? Kiedyś, gdy wreszcie dowie się, czym do cholery jest miłość, powie temu, który wynalazł to uczucie, by wsadził je sobie głęboko w tyłek. Nigdy jeszcze nie znajdowała się w podobnych opałach. Największy gangster w całych Stanach żądał od niej forsy. Policja nowojorska dałaby sobie wszystko uciąć, byleby tylko ją dorwać. Jeśli ją złapią, łatwo się nie wykręci; nawet najlepszemu adwokatowi Prizzich nie uda się uchronić jej od pierdła. I to wszystko przez tę zakichaną miłość! Porzuciła swój popłatny i bezproblemowy interes, uroczy dom w najidealniejszym klimacie na świecie, a wszystko przez te banialuki zwane miłością! Żałowała, że nie ma już Marnego. Był nic nie wart, zwykły gnojek, ale przez siedemnaście lat czuła się z nim bezpieczna. Jakoś sobie radzili, a teraz musi odrzucić łatwą robotę za okrągłą stówę, w dodatku jeszcze wybulić z własnej kieszeni pięćset czterdzieści dolców, po prostu zrobić z tej forsy prezent jednemu z najbogatszych ludzi w całych Stanach. Dlaczego?! Bo powiedział, że ma mu dać i już. A jeśli nie, każe ją załatwić. Policja chce ją załatwić i gangsterzy chcą ją załatwić. Jezu, sześćset czterdzieści badyli!

Wyjęła z szafy teczkę. Mięka, wspaniała w dotyku, nic dziwnego, że kosztowała ją blisko tysiąc dolarów. Opuściła biuro i udała się do banku na Wilshire Boulevard.

W skarbcu banku zaprowadzono ją do jednego z zamykanych boksów i przyniesiono pudła z jej sejfów. Miała przed sobą zarobki całego życia. Litry jej krwi i zimnego potu. Ledwo to mogła znieść. Widziała przed oczyma brudne kalesony facetów, którym dawała się pieprzyć za forszę w Chicago, zanim poznała Marxiego. Przypomniła sobie ich krostowate uda, szorstkie włosy na plecach, ich oddechy, i zrobiło się jej niedobrze. Przypomniła sobie, jak przez pierwsze czternaście lat życia w każdą zimową noc dygotała z chłodu, wsłuchując się w chrapanie ojca, podobne do zgrzytu łańcucha o tryby jakiejś ogromnej maszyny, i w skomlenie matki, która beczała, piła i beczała dalej. A teraz ona miała oddać pięćset czterdzieści dolców temu staruchowi! Ponad pół miliona! Człowiek normalnie płacący podatki musiałby pracować przez prawie dwadzieścia lat i zarabiać rocznie co najmniej sto dwadzieścia tysięcy, żeby odłożyć taką kupę forsy.

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła gorzkim płaczem. O kurwa, po co spotkała Charleya? Gdyby wszystko potoczyło się tak jak planowali, byłaby teraz z Marxiem w Singapurze lub gdzieś na Południowej Wyspie w Nowej Zelandii, gdzie żyją tylko owce, a owce nie interesują mafii. Albo byłiby jeszcze w Szwajcarii, gdzie zrobiono by im operacje plastyczne twarzy i rąk, zmieniono odciski palców. Kupiliby nowe paszporty i mogli jechać dokądkolwiek. Miałaby całą forszę i byłaby bezpieczna.

Ale bez Charleya. A nawet za pięćset czterdzieści dolców nie chciała się z nim rozstać.

Po wyjściu z pralni Charley pojechał do Brentwood. Dyżur pełnił Hydraulik. Siedział beczynnie, przeglądając jakieś pismo z gołymi dupami, choć w willi było brudno jak w chlewie.

- Jesteście gorsi od zwierząt! - oburzył się Charley, widząc w kuchni stosy nie pozmywanych naczyń i zwały śmieci, a w salonie każdy mebel zastawiony szklankami z niedopitym, kwaśniejącym piwem i talerzami z resztkami kanapek. - Trzeba was zdzielić po łbach, żebyście zaczęli dbać o czystość, czy co? Zachowujecie się jak smarkacze, zapominacie o podstawowych zasadach higieny!

- Charley, co cię ugryzło?

- Dość tego! Gdzie jest odkurzacz? Gdzie wiadro?

- Skąd mam wiedzieć?

Charley złapał Melviniego za przód koszuli, uniósł z kanapy i pchnął tak, że Melvini przeleciał przez oparcie na podłogę.

- Zaraz tu posprzątasz, rozumiesz, kurwa mać? Gdzie jest Dom? Zawołaj go! - Kopnął Melviniego. - I tylko nie próbuj mi grozić, że mnie wepchniesz do kibla, bo sam wepchnę was obu, jeśli w ciągu godziny nie zaprowadzicie tu porządku!

Na schodach pojawił się Dom.

- Kurwa, co się tak awanturujecie? Wyspać się przez was nie mogę!

- Chodź, chodź! - zawołał Melvini. - Potrzebny nam jesteś do zabawy w puszczenie mydlanych baniek!

- Złaż mi tu zaraz, flejtuchu! - ryknął Charley. Dom zbiegł pospiesznie ze schodów.

- Dobra. Ty... - Charley pchnął Hydraulika -...najpierw sprzątniesz cały ten bajzel, a potem znajdziesz odkurzacz i weźmiesz się za dywany i zasłony. A ty, śmieciarzu, pójdziesz do kuchni i zmyjesz naczynia, a potem wyszorujesz posadzkę. Zrozumieliście? No to jazda!

Zabrali się do roboty, a Charley tymczasem zszedł do piwnicy, gdzie trzymali Filargiego. Otworzył obie kłódki i wszedł do środka. Filargi zajęty był pisaniem listu.

- Jak leci? - spytał Charley.

- Strażnicy traktują mnie przyzwoicie, najedzenie też nie narzekam - odparł więzień.

- Wygląda pan nieźle.

- I czuję się nieźle, jedynie wciąż nie mogę zapomnieć kobiety, która wysiadła z windy, ale może z czasem mi się uda. I śni mi się, że ta sama straszna baba, która ją zastrzeliła, przychodzi mnie zabić. Prześladowuje mnie jej twarz - maska. Nic w niej nawet nie drgnęło, gdy strzeliła tamtej prosto między oczy.

- Ta zabita to kompletna idiotka - stwierdził Charley. - Pomyliła piętra.
- Co się ze mną stanie?
- Nic złego, panie Filargi. W najbliższy poniedziałek bank otrzyma nasz list z żądaniem okupu. Jak pan wie, bank jest ubezpieczony na taką ewentualność. Jak tylko wypłacą nam pieniądze, puścimy pana wolno. Koniec sprawy.

- Kiedy?

- Za dwa, trzy tygodnie.

- Naprawdę mnie puścicie?

Charley skinął z powagą głową, równocześnie myśląc o losie, jaki Don Corrado zgotował dla tego biednego skurwysyna.

- A to, że mogę was wszystkich rozpoznać, i tę straszną babę również?

- Panie Filargi, niech pan posłucha. Był pan świadkiem, jak załatwiliśmy pańskiego goryla i tamtą kobietę. Ale puścimy pana wolno. Niech pan jednak wybije sobie z głowy te bzdury, że poleci pan na policję i poda nasze rysopisy. Bo wtedy nędznie pan skończy. Gdziekolwiek pan będzie, sprzątniemy pana. Więc dużego wyboru pan nie ma.

Przywieźć panu coś z Nowego Jorku?

- Tak, zrobiłem listę książek, które chciałbym przeczytać. I jeśli to możliwe, chętnie miałbym tu telewizor.

- Oczywiście. Nie widzę przeszkód.

Charley zająrzył do papy, żeby powiedzieć mu, iż Don Corrado wzywa go do siebie, ale papa poszedł na spotkanie z dwoma trenerami koszykówki. Charley wsiadł więc do furgonetki i pojechał do The Corner. W środku nie było nikogo poza panią Latucci, która na jego widok rozpląnęła się w uśmiechach.

- Kawa na koszt firmy! - zawołała. - Wiesz, ile płacono za Lady Carrot? Dwanaście do jednego! A ja postawiłam na nią dziesiątkę. Matko Najświętsza, to było cudowne! Masz jakiś typ na dzisiaj, Charley?

- Nie, nędza. Nie ma żadnego wyścigu, który warto by obstawiać.

- A które drużyny baseballowe dojdą do finału?

- Na to jeszcze za wcześnie. Będę wiedział za dwa tygodnie. Wtedy pani powiem. Wszedł Phil Vittimizzare, kupił drożdżówkę i podszedł do elektrycznego bilardu.

- Cześć, Charley. Co się dzieje z Hydraulikiem? Nagle gdzieś znikł.

- Pojęcia nie mam - odparł Charley.

- W niedzielę nie było go na mszy - powiedział Vittmizzare zgorzonym tonem. - Ksiądz Doniger pytał mnie o niego.

- Prędzej czy później znów się pokaże. Pewnie się gdzieś zapodział, jak to z nim bywa.

Wyszedł z jadłodajni i pojechał do najbliższego kina. Miał dwie godziny do zabicia, a akurat wyświetlano niezły film wojenny. Usiadł na balkonie. Po mniej więcej dwudziestu minutach jakiś kutas specjalnie zmienił miejsce, usiadł obok niego i położył mu rękę na udzie. Charley chwycił ją, przekręcił, przycisnął do kolana i złamał, po czym się zaraz przesiadł. Co za kurewski, zdegenerowany świat, pomyślał, że człowiek nie może nawet pójść do kina w samym centrum Brooklynu, bo zaraz napastują go zboczeńcy!

Po filmie pojechał furgonetką do Brooklyn Heights, zaparkował ją w niedozwolonym miejscu o kilka kroków od rezydencji Sesterów i zadzwonił do drzwi.

Don Corrado cieszył się opinią największego żarłoka w całej historii fratellanza na wschodnim wybrzeżu. Na śniadanie wypijał tylko kieliszek oliwy, to samo na kolację. Jadł jeden posiłek dziennie, ale ilość jedzenia, którą potrafił wepchnąć w swoje cherlawe ciało - w żołądek wielkości lalczynej czapeczki i kiszki nie dłuższe od skakanki - była tak imponująca, że każdy, kto widział go wsuwającego obiad, odnosił wrażenie, że ogląda popis wielkiego iluzjonisty. Nigdy nie zapraszał na obiad więcej niż jednego gościa, a i to nie częściej niż raz w miesiącu, bo nie mógł ścierpieć dzielenia się z nikim potrawami ze swojego stołu.

Przywitał Charleya zdawkowo, zaabsorbowany czym innym - myślą o obiedzie. I zaraz zaprowadził go do koryta. Zaczęli od kieliszka Mamertino, półsłodkiego, złocistego sycylijskiego wina o dużej mocy i wspaniałym bukacie.

- Charley, powiedz mi, jak to się stało, że kropnęliście żonę gliny?

- Padrino! To było coś nieprawdopodobnego! Baba nacisnęła zły guzik. Drzwi windy otworzyły się akurat w chwili, kiedy moja współpracowniczka strzeliła do goryla. Baba wyszła z windy, widziała nas dokładnie. Trzeba ją było kropnąć.

- Tak, domyślałem się, że pewnie nie mieliście wyboru. Ale Ed mówi, że robi się z tego burza. Cała policja szaleje.

- Jak to? Dlaczego?

Charley, nie słuchasz! Załatwiliście żonę gliny, w dodatku szefa komórki antymafijnej, więc gdy wreszcie zorientują się, że porwano Filargiego, powiedzą, że to robota mafii, i jeden Pan Bóg raczy wiedzieć, jak mocno zaczną nas naciskać. Wjechała zupa Le Virtu - z talarkami wieprzowej kielbasy, pulpecikami, zieleniną, jarzynami i makaronem. Chociaż Charley od dzieciństwa słyszał opowieści o obżarstwie Don Corrada, potraktował tę zupę, zupę olbrzyma, herosa, za główne danie, i wziął sobie dokładkę. Don wychleptał cztery pełne michy, zupełnie jakby wlewał wodę do betoniarki. Następnie napełnił kieliszki wytrawnym czerwonym winem Corvo di Casteldaccia o delikatnym smaku, a Amalia wniosła ricci di Donna, makaron w kształcie spiralek, z Abruzzi, polany wspaniałym sosem z pieczonych krabów, pomidorów, czosnku i rozdrobnionych grzanek. Nad stołem rozniósł się mocny, aromatyczny zapach. Kiedy Amalia napełniła talerz Don Corrada i podeszła obsłużyć Charleya, ten spojrzał na nią prosząco - spuściła wzrok i skinęła nieznacznie głową, po czym nałożyła mu na talerz tylko jedną łyżkę makaronu i tyle samo sosu. Don Corrado nawet tego nie zauważył. Opróżnił do czysta swój talerz, wziął sporą dokładkę, zjadł, i dopiero wówczas się odezwał:

- Amalio, kochanie, makaron smakuje mi dziś wyjątkowo. Możliwe, że idzie wczesna zima. Czy mogłabyś podać nam jeszcze jeden rodzaj?

- Przygotowałam trochę panzerotti, tatuśku.

- Już nie pamiętam, co to takiego. Przypomnij mi, dobrze?

- Zawsze je lubiłeś, tatuśku. Smażone cappiddi d'Angilu, a pośrodku cannaruozzoli z serem mozzarella, szynką, jajkami, pomidorami i sardelą.

- Tak, i jak pięknie pachnie! - wykrzyknął staruszek i klasnął w dłonie. - Pochodzi z Bari, miasta, które wydało papieża Urbana VI!

Nagle wspaniałe zapachy i cudowne dania wnoszone przez Amalie, a także łapczywy zachwyty staruszka nad każdym kęsem, przełamały coś w Charleyu. Poczuł się bezpieczny. Przestał się lękać wygłodniałego starca, który dotychczas był dla niego równie przerażający, jak według podań czosnek dla wilkołaka. To co tu widział i słyszał kojarzyło mu się z kuchnią matki, tym najbezpieczniejszym zakątkiem na ziemi. Przed sobą miał przysmaki dzieciństwa, potrawy, które zawsze uwielbiał. Złapał drugi oddech wielkiego głośno, gargantuicznego ghyttone, zupełnie jakby sam Duch Święty przycupnął mu nagle na ramieniu, z własną serwetką zawiązaną pod brodą. Spojrzał skwapliwie na Amalie, nałożył sobie kopiastrą porcję panzerotti, i puścił w ruch widelec. Don Corrado skinął mu radośnie głową, sam pałaszując wszystko z wielkim zapałem.

Charley wyobraził sobie siebie w podeszłym wieku, w wieku Don Corrada, podobnie jak on rozkoszującego się dobrą kuchnią, dopóki wreszcie pewnego dnia kiszki nie odmówią mu posłuszeństwa; każdy Włoch słuchałby opowieści o nim z największą zawiścią. Jedzenie bowiem było tym samym co pieniądze i władza. Pakowało się je w siebie i pilnowało, żeby żaden śmiałek nie mógł go odebrać. Wystarczył mu ten jeden obiad z Don Corradem, żeby to sobie uświadomić.

I nagle zdał sobie sprawę, jakby pod wpływem olśnienia, że ponieważ trudni się tym czym się trudni, może nie dożyć wieku Don Corrada. Ba, istnieje statystyczne prawdopodobieństwo, że nie dożyje nawet do końca roku.

Jedząc rozmyślał o własnej śmiertelności. Postanowił, że najwyższy czas zerwać z niebezpieczną robotą, że gdy zakończy się sprawa Filargiego i Don Corrado - w znakomitym humorze, bo zarobi siedemdziesiąt milionów, odkupując bank za jedną dziesiątą ceny - wręczy mu łaskawie jego część okupu, poprosi go, żeby mu pozwolił kierować wszystkimi operacjami bukmacherskimi rodziny, w Vegas, Miami, Atlantic City, w Los Angeles i w Nowym Jorku; będzie uczciwie oddawał Prizzim zyski w wysokości pięćdziesięciu milionów rocznie, sam zarabiał pięć milionów, a taką harówkę jak dotychczas pozostawi innym.

Irene będzie z niego dumna, kiedy przejmie tak ogromny interes. Pewnie, że z początku będzie musiał narozbijać nieco głów, bo nie wszyscy zechcą mu się podporządkować bez oporu. Każda rodzina prowadziła własną działalność bukmacherską - bez czego nikt w Ameryce nie miałby żadnej radości ze sportu - i w przypadku rodziny Prizzich tą działalnością kierować będzie właśnie on, Charley Partanna, z pomocą żony mającej naprawdę świetną głowę do liczb. Jedzenie, które go nieco przytłumiło, teraz rozbudziło go na nowo. Na stół wjechała właśnie kolejna potrawa.

Po panzerotti zjedli tuńczyka z wody, następnie zaś Amalia wniosła pitta ripiena: przekładaniec z warstw sera ricotta, smażonej wieprzowiny, sera caciocavallo, kielbasy i gotowanych na twardo jaj. Charley bez słowa ominął kolejkę.

- A teraz - oznajmił Don Corrado, oddychając swobodnie i nalewając im do kieliszków wina Eoro - czas na główne danie; osobiście się interesowałem, mój drogi, co

dzisiaj będzie, zanim postanowiłem zaprosić cię na obiad. Prawdziwy przysmak z naszego kochanego Agrigento, coniglio in agro e dolce, przyrządzony dokładnie tak, jak przyrządzali królika w słodko-kwaśnym sosie najwięksi gabelotti, Spinowie, rodzina mojej ukochanej małżonki: w sosie z kawałkami oberżyny, selera, z oliwkami, kaparami, migdałami, miodem i cytryną - w całych Włoszech nie znajdziesz drugiego takiego agro e dolce! Będziesz wniebowzięty.

Na koniec podano różne ciastka, placuszki i inne słodczyce, takie jak 'Nipitiddatai 'Nfasciatelle, ale także 'Scursunera - lody o smaku jaśminowym.

- Czas przejść do interesów - rzekł Don Corrado. - Gdyby nie to, moglibyśmy zjeść normalny, porządny deser. Ale gdybyś chciał skosztować przepyszne cassata Amalii, oba rodzaje...

- Nie, dziękuję, Padrino. Te ciasteczka to dla mnie aż nadto obfity deser.

- W takim razie, Amalio, sam skosztuję twój tort cassata: zimny, lecz nie zamrożony, z ricotta, kandyzowanymi owocami i czekoladą, tak jak go zawsze robisz... I do tego, oczywiście, obaj napijemy się Malvasii.

Po obiedzie mężczyźni rozsiedli się w wygodnych fotelach w salonie Don Corrada, spoglądając przez okno na wieżowce dolnego Manhattanu, wyglądające jak nabrzmiałe żyły na szyi miasta. Palili wielkie meksykańskie cygara maduro i popijali kawę.

- Wiesz Charley - przerwał milczenie Don Corrado - zawsze z całej naszej rodziny ty byłeś moim ulubieńcem.

- Byłeś moim wprowadzającym, Padrino, kiedy składałem przysięgę. Staralem się postępować tak, byś nigdy nie żałował, że uczyniłeś mi ten zaszczyt - odpowiedział Charley, wysilając się, żeby jego sycylijski brzmiał w miarę płynnie.

- Dobrze pamiętam ten dzień. Przysięgłeś pełne posłuszeństwo i dotrzymałeś słowa.

- Wszystko zawdzięczam tobie. Padrino.

- Charley, wierz mi, że my też zawdzięczamy tobie wiele naszych sukcesów. Jesteś naszym najlepszym pracownikiem, lepszym nawet od Vincenta i własnego ojca. Zawsze wywiązywałeś się wzorowo z każdego zadania i odyskiwałeś dla nas co było nasze.

- Staralem się odplacić za zaufanie, jakim mnie darzysz, Padrino.

- Darzę cię większym, niż myślisz. I mój syn Eduardo również.

Słowa te zabrzmiały Charleyowi dziwnie, jeśli nie wręcz fałszywie. Dlaczego nie Vincent? Przecież Charley był zastępcą Vincenta, więc Don Corrado powinien powiedzieć, że to on darzy Charleya zaufaniem. Ed Prizzi zawsze się trzymał od niego z daleka. Tylko na zebraniach odzywali się do siebie, a i to rzadko; jedyny kontakt jaki Charley właściwie miał z Edem, to za pośrednictwem sztabu adwokatów do spraw kryminalnych.

- Słuchaj. - Don Corrado schylił się nieco i oparł poufale dłoń na kolanie Charleya. - Vincent jest schorowany. Ma bardzo wysokie ciśnienie - niebezpiecznie wysokie, jak powiedział mi jego lekarz. Bóle spowodowane podagrą nie pozwalają mu się skupić na pracy. Ale najgorzej jest z jego nerkami. Mówię ci to w zaufaniu, pamiętaj, ale jego nerki są zupełnie do niczego.

- No tak, ale przy obecnym stanie medycyny... - Charley wzruszył ramionami.
- Postanowiliśmy przenieść Vincenta do Vegas. Naszym trzem hotelom przyda się doradca z doświadczeniem i autorytetem Vincenta. Musimy też zwiększyć i wzmocnić nasze udziały w totalizatorze sportowym, powoli, bez przyciągania uwagi departamentu sprawiedliwości. Kasyna to nic w porównaniu z bukmacherką..
- Wiem - powiedział kwaśno Charley. Jezu, dlaczego wszystkie dobre pomysły przychodziły mu do głowy po czasie?
- Pewnie zastanawiasz się, Charley, dlaczego ci mówię to wszystko? - spytał z uśmiechem Don Corrado.
- Tak.
- Bo ty obejmiesz stanowisko Vincenta.
Charley zamrugął oczami.
- Tak jest. - Don wrzucił sobie do ust granatowoczarne winogrono. - Będziesz sam wszystkim kierował. Będziesz Szefem.
- Ja?
- Ty, ja i twój ojciec usiądziemy i ustalimy wspólnie, ile punktów będzie ci przypadać. Mniej, dopóki nie dobiegną końca operacje rozpoczęte przez Vincenta, ale i tak będziesz dostawał czterdzieści dolarów tygodniowo i dowodził największą organizacją w całej fratellanza - dwa tysiące sto żołnierzy pod twoją wyłączną komendą! Co ty na to, Charley?
- Charley pozwolił sobie przez moment pomarzyć, jakby to było, gdyby rzeczywiście miał tyle pieniędzy i taką władzę, ale wiedział, że to mrzonki. Vincent był najstarszym synem Don Corrada, a tu chodziło o dobro Prizzich. Prizzi mogą wspólnie podjąć tę nieprawdopodobną decyzję, że Vincent ze względu na swoje kiepskie nerki wycofa się z interesów i pojedzie odpoczywać w Vegas. Ale gdyby zdarzył się ten cud i Prizzi naprawdę by uznali, że to najlepsze rozwiązanie, wówczas nikt inny tylko właśnie Vincent wezwałby go do siebie i o tym powiadomił. A potem powiedziałby, ile punktów będzie musiał mu odpalić, jeśli chce tę robotę. Aż do jego śmierci Charley musiałby dzielić się z nim punktami, kiedy zaś na niego przyszłaby kolej wycofać się z interesów, zawarłby podobny układ ze swoim następcą.
- Padrino, odjęło mi mowę - rzekł. - To zaszczyt i przywilej, o jakim nawet mi się nie śniło. Jak mogę wyrazić ci swoją wdzięczność? Jak ci podziękować?
- Oczka Don Corrada napełniły się łzami. Wyjął nieskazitelnie białą chustkę i zaczął nią ocierać zapadłe policzki.
- Ten dzień znaczy dla mnie więcej niż dla ciebie, Charley - powiedział drżącym ze wzruszenia głosem. - To że mogę być świadkiem, jak syn mojego najstarszego i najserdeczniejszego przyjaciela przejmuje obowiązki mojego własnego syna, napełnia mnie radością i szczęściem.
- Kiedy mam je przejąć, Padrino?
- Przecucia miał jak najgorsze. Wszystkie myśli kłębiły mu się wokół szwindlu w Vegas. Nie wierzył, aby Don Corrado mógł kiedykolwiek wybaczyć zdradę lub kradzież, nawet gdyby w grę wchodziła mniejsza suma od zagarniętej z kasyna.
- Na razie musimy to trzymać w tajemnicy. Nie mów o tym nawet ojcu.

Don Corrado chciał go wykończyć! To było jedyne wyjaśnienie. Nagła pewność przeszła jego mózg niby błyskawica. Szefowi podlegały operacje wartości trzystu sześćdziesięciu milionów dolarów. Don Corrado nie podejmował żadnej decyzji, nawet najdrobniejszej, a już na pewno nie w sprawie tak ważnej dla przyszłości rodziny, bez omówień i przeanalizowania wszystkich szczegółów ze swoim consigliere, czyli właśnie z Anielem Partanną. A tu zakazał Charleyowi wspominać o tym ojcu!

Rozumiem, Padrino.

- Kiedy skończymy ze sprawą Filargiego, Vincent może się pakować. To już nie potrwa długo. Mniej więcej za trzy tygodnie odbierzemy okup i wtedy wypuścisz Filargiego. Polecisz na policję i zaraz sam znajdzie się za kratkami. Jak tylko zostanie wniesiony przeciwko niemu akt oskarżenia, Vincent wyniesie się z pralni, a ty zajmiesz jego miejsce.

Rozdział 29

Do Angela Partanny zadzwonił porucznik Hanly, stały łącznik między główną komendą nowojorskiej policji i rodziną. Powiedział, że chce się z nim zobaczyć.

- Oczywiście, Davey - odparł Angelo. - W każdej chwili.

Umówili się na następny dzień w swoim stałym miejscu - irlandzkiej restauracji Chez Hans w pobliżu Prospekt Park. Kiedy Angelo zjawił się w towarzystwie Charleya, Hanly już na niego czekał, a wraz z nim kapitan Kiely z biura komisarza policji. Kiely był wyższy szarżą, ale to Hanly kierował spotkaniem.

Przywitali się niezwykle uprzejmie. Przed Partannami natychmiast pojawiły się koktajle. Wszyscy zamówili wołowinę z kapustą, jedyne danie, które u Hansa cieszyło się wzięciem. Rozmowę podtrzymywali Hanly i Kiely. Mówili głównie o sporcie i polityce.

Kiedy po posiłku Angelo poczęstował współbiedniaków meksykańskimi cygarami, Hanly przeszedł do istoty sprawy.

- Nie wiem, czy śledzicie prasę - powiedział - ale tę wiadomość trudno było przeoczyć. Chodzi mi o morderstwo żony kapitana Calhane'a.

- Czytałem o tym - rzekł Angelo. - Wszystkie gazety o tym pisały. Potworna rzecz. Wystaliśmy na pogrzeb wieniec. Cóż więcej mogę powiedzieć?

- Ta śmierć bardzo nami wstrząsnęła, Angelo. Wierz mi. Na takie rzeczy patrzymy podobnie jak wy. Wszyscy - i szarża, i prości policjanci - czujemy się tak, jakby zamordowano nam kogoś z rodziny. Musimy coś zrobić, Angelo, musimy wyjaśnić tę sprawę do końca.

- Rozumiem, Davey. Jeśli w jakikolwiek sposób możemy pomóc, na przykład dać znać pozostałym rodzinom, żeby też włączyły się w poszukiwania, na pewno to uczynimy.

- Sami zwracamy się do wszystkich rodzin o tego rodzaju pomoc. Ale cieszę się, że rozumiesz, jak bardzo boli nas ta sprawa. To jednak nie koniec. Umówiłem się z tobą, żeby zakomunikować ci oraz Prizzim to samo, co mówimy każdej rodzinie w mieście. Dopóki nie złapiemy mordercy Vicky Calhane, wszystkie układy między nami zostają zawieszane.

- Jak mamy to rozumieć, Davey?

- Musimy was nacisnąć, Angelo. Na przykład za tydzień zamknięta będzie połowa totalizatorów w Brooklynie, a bukmacherzy pójną siedzieć, bo kaucje będą wyjątkowo wysokie.

- Złamiemy handel narkotykami - włączył się Kiely. - Tym razem jeśli zgarniemy przerzut, nic do was nie wróci. Weźmiemy się za wszystkie wasze interesy.

Oczy załśniły mu mściwie.

- Skończą się dla was dobre czasy! - dorzucił, pozwalając sobie na niezawodowy uśmiech.

W głosie Kiely'ego wciąż pobrzmiwał północnoirlandzki akcent. Hanly był rudy, z dołkiem w brodzie niby ślad po kuli. Obaj mieli w oczach spokój, jaki dają lata wygodnego życia.

- Davey - powiedział cicho Angelo - zacząłem załatwiać sprawy z twoimi poprzednikami w komendzie jeszcze jako młody chłopak w latach dwudziestych. Na przestrzeni lat współpracowałem z biurem komisarza, z komendami, z różnymi posterunkami. Mieliśmy zawsze jedną zasadę: przede wszystkim spokój. I dlatego zawsze mogliśmy się dogadać.

- Wiem. Ale sytuację zmieniają okoliczności. Co ja na to poradzę?

- Jeśli bierzecie od nas pieniądze, powinniście zostawić nas w spokoju. W imieniu każdego z naszych zawieramy z wami umowę, że nie będziecie się go czepiać; my płacimy mu za pracę, wy na nią zezwalacie. Zawszeście tego przestrzegali.

- Spójrz na to od naszej strony, Angelo. Tu chodzi o nasz honor; właśnie ty powinienesz nas zrozumieć.

Angelo westchnął.

- W porządku. Ile mamy czasu? Dasz nam trzy dni?

- Zrozum, Angelo. Nic wam nie mogę dać. Żądają od nas Wyników, i to natychmiast. Jeszcze dziś bierzemy się za pokątny hazard, jutro za kurwy, w niedzielę za bukmacherów, i tak dalej.

- Nikomu się to nie spodoba, Davey. Jeśli zlikwidujecie hazard, narkotyki, lichwiarstwo, prostytucję, wywołacie większy kryzys niż strajk drużyn baseballowych.

- Pozbawienie wpływowych osobistości kokainy to tak, jak odebranie robotnikom hamburgerów - dodał Charley. - Najpierw wpadną w panikę, a potem postarają się, żeby was ukroć.

- Zgoda, Charley - rzekł Hanly. - Ale ile czasu nam trzeba?

Charley wzruszył ramionami.

- Jeśli wszyscy wasi ludzie szukają mordercy i wszystkie rodziny się do was przyłączą, tydzień powinien wystarczyć.

- Właśnie, też tak uważam - stwierdził Hanly. - Tydzień.

- Ale jeśli zajmie wam dłużej niż tydzień, Davey, wy prędzej odczujecie skutki. Bo dla was też urwie się forsa. A skoro brało się przez osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat, to tylko ludzkie, że trudno się będzie bez niej obejść.

Kiely pochylił się nad stołem.

- Pewnie, że trudno. - Jego głos brzmiał zimno, twardo. - Ale dostaniemy w swoje ręce tego chuja, który rozwalił Vicky Calhane.

Wracając furgonetką Charleya przez Prospekt Park do pralni, żuli końce cygar i zastanawiali się nad przebiegiem spotkania.

- Jak długo wytrzymają bez łapówek? - spytał Charley.

- Wolę sobie nie przypominać ile tygodni żyli z gołych pensji i jak nam zależli za skórę, kiedy rozwalono Arnolda Rothsteina i gliny musiały znaleźć jego archiwum, bo inaczej rząd dopiero dałby im popalić! Ta sprawa wygląda jeszcze gorzej. Gliny też mają coś jak omerta. Różnią się od nas tylko tym, że wszyscy ubierają się jednakowo. Kiedy ta idiotka pomyliła piętra i dostała kulę w łeb, każdy z nich odczuł to tak, jakby rozwalono jego żonę. Tu chodzi o ich honor, Charley. A gdy w grę wchodzi czyjś honor, trzeba postępować z nim ostrożnie jak ze śmierdzącym jajkiem.

- Martwi mnie, że to przez nas. Ich nacisk może okazać się groźny.

- Nie zapominaj, że my też mamy swój honor, Charley. Chrońmy swoje kobiety. Jeśli zajdzie konieczność, możesz sprzątnąć Hydraulika i Doma, bo oprócz nas dwóch nikt nie wie, kto kropnął tę idiotkę.

- Hydraulik i Dom myślą, że to ja. Ale Filargi wie. I chyba się nie mylę sądząc, że nikt nie pozwoli go sprzątnąć, skoro w grę wchodzi siedemdziesiąt melonów.

- Posłuchaj mnie, tu chodzi o honor Corrada Prizziego. Irene absolutnie nic nie grozi.

Rozdział 30

Nazajutrz po rozmowie z Don Corradem Charley wciąż czuł, że strach wywraca mu wnętrzności. Don Corrado już go skreślił, ale potrzebował do czasu wypuszczenia Filargiego. Charley dziękował Bogu, że jest żołnierzem, a nie złodziejaszkiem. Jeśli Prizzi chcą go zlikwidować, to sami nie wiedzą w co się pakują, bo na dwa dni przed uwolnieniem Filargiego może przecież - z pomocą Irene rozwalić ich wszystkich: Don Corrada, Vincenta, Eda.

Była za dwadzieścia czwarta. Irene przylatywała o szóstej dwadzieścia. Postanowił od razu ruszyć na lotnisko i tam na nią zaczekać. Jadąc Belt Parkway poważnie się zastanawiał, czy nie wrócić do domu po puste kupony biletów lotniczych, a potem pojechać z Irene na lotnisko Kennedy'ego, wsiąść w pierwszy samolot do Zurychu, pokasować konta i zbiec z gotówką do Nowej Zelandii; zdawał sobie jednak sprawę, że przed Prizzimi po prostu nie ma ucieczki. Przeszło mu przez myśl, że mógłby oddać się w ręce władz i zacząć sypać, ale nie miał zaufania do rządowego programu ochrony świadków. Byłoby po nim jak tylko by się zgłosił, gdyż Ed Prizzi wielce się zasłużył przy zbiorce pieniędzy na kampanię wyborczą obecnego prezydenta.

Jechał wolno, żeby skrócić czas. Zatrzymał wóz na parkingu lotniska La Guardia i podszedł do kiosku z gazetami. Kupił popołudniówkę i wszedł do kawiarni.

PREZES BANKU OFIARĄ KIDNAPINGU WYRAŹNY ZWIĄZEK Z MORDERSTWEM V. CALHANE

- przeczytał na pierwszej stronie. Gdy drugiego dnia rano zadzwoniono do hotelu z banku z prośbą o sprawdzenie, czy Finley nie zasnął, pokojówka oświadczyła, że od dwóch dni nie nocował w swoim apartamencie. Do tego czasu policja, po ustaleniu personaliów zabitego strażnika, dotarła do jego biura w Long Island City i ze znalezionych tam dokumentów dowiedziała się, że ostatnio pilnował Finleya. To było w środę. Gliny nie puściły pary z ust, ale Gomsky dopilnował, żeby do piątku prasa została poinformowana o wszystkim. Żona kapitana policji, prezes banku - to wystarczyło, żeby cała historia przez kilka dni utrzymywała się na pierwszych stronach gazet, a Charley wiedział, że dopóki nieco nie przycichnie, po to, by później tym głośniejsze wybuchnąć, list z żądaniem okupu nie zostanie wysłany.

Upłynie co najmniej pięć dni zanim bank otrzyma list. Sprawa okupu będzie się ślimaczyć, bo zajmować się nią będą nie ludzie, lecz urzędy - bank i towarzystwo ubezpieczeniowe. Miną trzy tygodnie, zanim uzgodnią z glinami, jak przekazać forszę. W liście do towarzystwa ubezpieczeniowego powie się, że ma zostać złożona w Central Park, i wyznaczonego dnia za każdym drzewem będzie się tam czaić po dwóch gliniarzy, tymczasem zaś w drugim liście, wysłanym do Gomsky'ego, znajdą się dokładne instrukcje, do których banków w Lagos, Hongkongu, Arubie, Panamie i Sao Paulo ma dokonać przelewów. Według obliczeń Charleya, nie wcześniej niż za miesiąc otrzyma polecenie zwolnienia Filargiego.

Do dziesiątę po szóstej sączył wolno piwo i czytał wiadomości sportowe, po czym wyszedł z kawiarni i sprawdził, przy którym stanowisku zatrzyma się samolot Irene.

Samolot przyleciał przed czasem. Irene, jak tylko dostrzegła Charleya, zaczęła machać i wołać. Rzucili się sobie w objęcia i przytulili mocno.

- Źle wyglądasz, Charley. Co się stało?

- Nie tu. Powiem ci w drodze.

Wziął od niej teczkę, choć nie bardzo chciała mu ją oddać.

- Co masz w środku? - spytał. - Klejnoty rodzinne? Uśmiechnęła się blado.

Ruszyli poobijaną furgonetką w stronę wjazdu na autostradę.

- Co się stało, Charley?

- Mam ci powiedzieć?

- Jasne!

- Don Corrado zaprosił mnie wczoraj do siebie na obiad. Amalia rzeczywiście znakomicie gotuje. Po obiedzie zaczęła mi opowiadać, jakie to Vincent ma kłopoty ze zdrowiem i że chcą go przenieść do Vegas, żeby tam pokierował trzema hotelami Prizzich, a mnie mianować szefem i przyznać mi jego punkty.

- Charley! To wspaniale!

- Tak sądzisz?

- Czemu nie?

- Chcą mnie sprzątnąć.

- Dlaczego?

- Właściwie to nie wiem. Ale ma to chyba związek z tymi brakującymi trzysta sześćdziesięcioma dolarami. I z Louistem Palem. Może chodzi o coś jeszcze, ale jestem przekonany, że Don Corrado dokładnie się orientuje w całej sprawie.

- Tak. Bałam się ci powiedzieć, ale wie wszystko.

- Jak to?

- Sam mi powiedział. Tego dnia, kiedy jedliśmy na mieście kolację, w dzień przed moim wyjazdem. Okłamałam cię wtedy, że tylko chciał mnie poznać.

- Rany, Irene, to dlatego chce mnie załatwić. Więc jednak wie o wszystkim. Postanowił, że rąbną cię, a ponieważ jesteś moją żoną, muszą rąbnąć i mnie.

- Och, Charley! - Irene rozplakała się.

- Kocham cię, rybko. Rozumiesz? Dla mnie miłość to rzecz święta, nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić. Jesteś moja.

- Boże, Charley, jak ja cię kocham!

- Słuchaj, mamy czas. Don sam powiedział, że nic nie zrobi, dopóki gliny nie dostaną Filargiego. Dopiero jak się skończy ta sprawa, Prizzi mogą coś próbować. Mamy trzy tygodnie, może miesiąc, żeby się przygotować. Możemy załatwić ich wcześniej niż oni nas.

Irene wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze.

- Charley, wiesz w jaki sposób przyjmuję zlecenia od klientów?

- Nie.

- Dzwonią pod pewien numer w Kansas City, lub drugi w Południowej Karolinie, a specjalny przekaznik łączy ich z moją sekretarką automatyczną w Los Angeles.

- Nie wiedziałem, że coś takiego jest możliwe!

- Jest. No więc... przed kilkoma dniami otrzymałam następującą wiadomość: pełna stawka, spotkanie w Nowym Jorku, w Paley Park przy Pięćdziesiątej Trzeciej.

- Przy Pięćdziesiątej Trzeciej? Tam jest jakiś park?

- Tak. Wiesz kto dzwonił?

- Kto?

- Vincent Prizzi.

- Coooo?!

- Właśnie.

- Po jakie lichy? Jeśli Vincent chce, żeby kogoś sprzątnąć, to zwraca się do mnie!

- Nie tym razem. Musiałbyś popełnić samobójstwo. Zlecił mi sprzątnięcie ciebie.

- Mnie? Vincent?!

- Tak jest.

- Nie rozumiem. Vincent zlecił ci, żebyś mnie wykończyła? Chciał wynająć moją żonę, żeby mnie trzepnąć?

- Charley, na miłość boską, przecież on nie wie, że ja jestem twoją żoną! Znał numer do Kansas City i tyle! Dawał mi siedemdziesiąt pięć, ale powiedziałam, że to będzie trudna robota, więc w końcu zgodził się na stówę.

- To idiotyczne. Hydraulik kropnąłby mnie za frajer, każdy inny żołnierz również.

- Kochany, nie obrażaj się, ale jemu zależało na fachowcu. Nie wiem dlaczego.

- Aleja wiem. Chce ukryć przed rodziną, że postanowił się mnie pozbyć. Don chce mnie sprzątnąć, ale gdy ustalą termin, na pewno nie będzie bulił stu dolców. Po to ma żołnierzy, żeby rozwalali ludzi za frajer. Z tego wynikają dwie rzeczy - po pierwsze, skoro Vincent wynajął specjalistę, żeby mnie usunąć, to najwyraźniej oszalał: musiał sobie ubzdurać, że go skrzywdziłem, obraziłem, czy cholera wie co, a po drugie, płaci ci z własnej kieszeni; forsy ma dość, oczywiście, ale podejrzewam, iż bardziej go boli to, że musi się rozstać ze stówką, niż by mnie bolała rozwałka.

- Jedno jest jasne: twoja rodzina nie bardzo nas lubi. Co robimy? Wiesz, co mi powiedział Louis Palo? Że odnalazłbyś nas nawet gdybym wyjechała z nim do Rio czy dokądkolwiek. Ale czy Prizzi mają jeszcze kogoś takiego jak ty? Kto nigdy nie popuści?

- Nie potrzebują. Wystarczy, że nie popuści Don Corrado. Są Sycylijczykami. Don Corrado wezwie pięciu facetów i każe im przysiąc, że w razie jego śmierci będą o nas pamiętać. Prizzi mają ludzi na całym świecie! Wchodzimy, cholera, do knajpy w Ugandzie, a jakiś czarnuch daje znać włoskiej ambasadzie, stamtąd wieść dociera do Palermo, stamtąd do Corrada w Nowym Jorku, i wkrótce wraca wiadomość, że nasze kciuki są warte tyle a tyle. I zaraz dwa tysiące czarnuchów ugania się za nami po całej Afryce, a jeśli zażąda nie kciuków, lecz naszych głów, to też mu je wyślą najbliższym statkiem. Gdybyśmy się zdecydowali zwiewać, trzeba by było załatwić sobie operacje plastyczne, nowe odciski palców, nowe dokumenty. Ale mimo zmienionego wyglądu i tak musielibyśmy się stale mieć na baczności.

- Więc co zrobimy?

Skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał wóz przy krawężniku.

- Posłużymy się Filargim, żeby się z tego jakoś wykaraskać. Dopóki mamy Filargiego. Don Corrado nie pozwoli nas tknąć.

- Myślisz, że możemy coś wynegocjować?

- Jestem Prizzim potrzebny. Nie wiem jak bardzo, ale ponieważ tu chodzi o wielką forszę, powinno im nie mniej niż nam zależeć na tym, żeby się dogadać.

- Nie wiesz jeszcze o jednym, Charley. Nie spytałeś, ile ten stary pierdoła chce ode mnie za to, że go wykiwałam.

- Co?

- Dał mi do wyboru: albo płacę pięćset czterdzieści dolców z własnych oszczędności, albo każe mnie kropnąć. Mam tę forszę przy sobie, w tej teczce. Kiedy ją pakowałam w banku, o mało się nie rozryczałam. Boże, ile ja się namęczyłam, żeby ją zdobyć! Ile to trwało, zanim wreszcie udało mi się namówić Marxię i Louisa! A potem musiałam ich przekonywać i wyklócać się z nimi, żeby zrobili wszystko po mojemu, bo nie chcieli się słuchać baby!

- Ale dlaczego pięćset czterdzieści?

- Zażądał zwrotu swoich trzystu sześćdziesięciu dolców i jeszcze nałożył na mnie grzywnę wysokości połowy sumy. Moja krwawica, ponad pół miliona wyrzucone w błoto, wszystko przez bandę zwyrodniałych Sycylijczyków od siedmiu stuleci babrzących się w zbrodni, którzy za jednego dolara gotowi są człowieka okłamać, okraść i zaszlachtować na śmierć! Chłopska, prymitywna mentalność: nie cierpię czegoś takiego!

- Słuchaj, Irene, Prizzi mogą nas pocałować w dupę!
- Charley! - Była autentycznie wstrząśnięta, słysząc z jego ust te słowa.
- Ja mam ciebie, ty masz mnie. Prizzi nie mogą zawsze wygrywać.
- Ale co zrobimy?
- Na razie musimy zrobić jedno - rzekł Charley. - Pogadać z moim ojcem.

Rozdział 31

Angelo Partanna zawsze panował nad sobą, jego twarz niezmiennie zdradzała spokój, lecz tym razem miało miejsce odstępstwo od reguły: w miarę jak słuchał, widać było, że ogarnia go coraz większy gniew, że lont staje się coraz krótszy i zaraz nastąpi wybuch. Kiedy Charley skończył opowiadać, jak to Don Corrado chce go sprzątnąć, a Vincent już nawet na własną rękę zlecił tę robotę, Angelo gwałtownie zerwał się z miejsca, wyszedł na balkon, zamknął za sobą drzwi i przez blisko dziesięć minut stał przy balustradzie patrząc na drugą stronę zatoki. Kiedy wrócił do środka, był już dawnym sobą.

- Nie ma się co gorączkować - rzekł. - Chodzi o normalne interesy, jedynie ta sprawa z Vincentem wydaje mi się dziwna.
- Co mu odbiło? - spytał Charley.
- Córka uprzykrza mu życie, odkąd wprowadziła się z powrotem do domu. Podagra coraz bardziej mu doskwiera, ciśnienie skacze do góry, no i za wszystko wini ciebie, że się z nią nie ożeniłeś dziesięć lat temu.
- Z kim? zdziwiła się Irene.
- Z Maerose - powiedział Charley.
- Z Maerose?
- Tak rozumiemy my, Sycylijczycy. Nie ma na to rady - rzekł Angelo do Charleya. - Ale najzabawniejsze jest to, że Vincent chciał zlecić załatwienie ciebie twojej żonie. Ale jaja!
- Co zrobimy? - zapytała Irene.
- Sama jesteś sobie winna, Irene. Nie masz wyjścia - powiedział Angelo. - Sprzątnięcie Louisa Pala to już poważna sprawa, bo był uznanym członkiem naszej rodziny, więc jeśli ktoś miał prawo go załatwić, to tylko my. A co do zgarnięcia Prizzim trzystu sześćdziesięciu dolarów... - Angelo podniósł do góry dłonie - ...tego nikt nie może puścić płazem.
- Papo, rozmawialiśmy już o tym z Irene i mówiłem jej to samo, ale co w takim razie mamy robić?
- Przede wszystkim musi zwrócić Prizzim forszę. I jeśli żądają grzywny wysokości pięćdziesięciu procent, musi zapłacić ją również. Ód tego trzeba zacząć.
- Dobra, zrozumiałam powiedziała Irene. - Ale co dalej?
- Najpierw zwrot pieniędzy. Tego nie da się uniknąć, bo Don Corrado nie będzie wam ufał, dopóki nie dostanie z powrotem swojego szmalu. Nie zechce w ogóle gadać. W ciągu najbliższych kilku dni będziecie prowadzić bardzo niebezpieczną grę; tylko wówczas możecie liczyć na sukces, jeśli oddacie Don Corradowi forszę, żeby wiedział, że

może z wami poważnie pertraktować, i dopiero wtedy przejście do prawdziwej rozgrywki, która pozwoli wam uratować życie.

- Co masz na myśli? - spytał Charley.

- Musicie odebrać Don Corradowi to, na czym zależy mu najbardziej: kurę, która ma znieść złote jajo, czyli Filargiego. Jest niezbędny, jeśli Prizzi chcą odzyskać swój bank za jedną dziesiątą ceny i zarobić na tym sześćdziesiąt, siedemdziesiąt milionów. Musicie znów porwać Filargiego, tym razem Prizzim. Jasne?

Charley skinął głową.

- Też o tym myślałem - rzekł.

Angelo spojrzał na Irene. Skinęła smutno głową i wyszła na korytarz. Wyjęła z szafy ściennej teczkę, przyniosła do pokoju i postawiła obok Angela.

- Równo pięćset czterdzieści - powiedziała. - Oddaj mu na razie, ale zanim puścimy Filargiego, chciałabym mieć tę forszę z powrotem.

- Cała ta historia z Filargim przedstawia się następująco - zaczął Angelo, siadając na najbliższym krześle. - Blisko rok temu Don Corrado i Ed Prizzi spotkali się z Filargim i przedłożyli mu pomysł Eda, jak można okantować bank na lewych transakcjach walutowych. Zaproponowali, że będą dzielić się z nim po połowie zyskiem, ale odmówił. Zwymyślał ich od złodziei i zagroził, że jeśli jeszcze raz z czymś takim się do niego zwrócą, postara się, żeby trafili za kratki. Co więcej, spisze całą rozmowę na wypadek, gdyby chcieli go sprzątnąć, i jeśli tylko coś mu się stanie, dokument ten trafi do prokuratury. W tej sytuacji każdy normalny człowiek dałby sobie spokój, zajął jakimś nowym kantem, ale Corrado znalazł sobie w banku innego gościa, właśnie Gomsky'ego, i namówił go na te lewe transakcje walutowe za połowę tego, co proponował Filargiemu, więc znacznie taniej. Najbardziej jednak ucieszyło Corrada to, że nie tylko zemści się na Filargim, ale zupełnie podważy jego wiarygodność jako świadka przeciwko Prizzim. Wszystko jedno, co sądzić o Corradzie, w tego rodzaju zagraniach rzeczywiście nikt nie może się z nim równać.

- Jezu! Wycofuję się! - zawołała Irene.

- Co zrobimy z Filargim? - spytał Charley.

- Najpierw musicie go przejąć. Ilu ludzi go pilnuje?

- Dwóch, ale obaj to moi chłopcy. Zrobią co im każę.

- Czy ty myślisz, że Corrado ufa komukolwiek? - spytał spokojnie Angelo. - Z księżycą się urwał? W naszym fachu bardziej się liczy podejrzliwość niż rozum. Vincent powiedział każdemu z nich, że jest osobiście odpowiedzialny za Filargiego. Dostają premię za to, żeby pilnować się wzajemnie.

- Hm. To szkoda - rzekł Charley. - Trzeba będzie ich sprzątnąć.

- Co mamy robić, kiedy już gdzieś ulokujemy Filargiego? - spytała Irene.

- Przystąpicie do negocjacji. Napiszecie do Corrada, że macie Filargiego i chcecie się jakoś dogadać, ale tylko przez pośrednika, do którego obie strony mają zaufanie. Corrado spyta mnie, kogo proponuję, a ja mu powiem, że najlepszy będę ja, bo nikomu innemu nie zechcecie ufać.

- Ale w takim razie musimy ufać tobie! zawołała Irene.

- Tak jest. Angelo uśmiechnął się do niej szeroko. Masz rację. Ale lepsze to, niż uciekać przez całe życie, aby w końcu i tak zostać sprzątniętym, nie sądzisz?

Spojrzała na niego twardo, po czym też uśmiechnęła się szeroko.

- Fakt.

- Filargi ma dla Prizzich wartość sześćdziesięciu, siedemdziesięciu milionów, a ponadto jest im konieczny do zdobycia pełnej kontroli nad osiemnastym co do wielkości bankiem w Ameryce. Muszą go mieć, jeśli wszystko ma się im powieść, musi dostać wyrok tu i we Włoszech, żeby mogli odkupić amerykańskie oraz włoskie akcje banku za jedną dziesiątą ceny. Cóż znaczący wy dwoje w porównaniu z siedemdziesięcioma milionami? Nic!

- Pewnie przyznała Irene - ale za przeproszeniem tu obecnych, większość Sycylińczyków to banda durni, którzy myślą nie głową, lecz jajami. To najwięksi idioci, na jakich kiedykolwiek udało mi się wzbogacić, więc co jeśli tak się uniosą honorem, że odrzucą naszą ofertę?

- Nie mogą - powiedział spokojnie Angelo, podnosząc i opuszczając obie dłonie. - Jeśli ją odrzucą, Filargi złoży obciążające ich zeznania, a wy, korzystając z rządowego programu ochrony świadków, również. Don, Ed, Vincent i wszyscy pozostali wylądują w pierdłu z wyrokami za współudział w oszustwach, morderstwach, w... po prostu we wszystkim! Nie tylko nigdy nie wyjdą na wolność, ale w dodatku będzie to koniec rodziny Prizzich. - Podeszedł do okna i wyjrzał na zatokę. - Może powinienem się postarać, żeby gliny jeszcze bardziej dały wszystkim w kość. Wówczas Prizzi będą mieli tyle spraw na głowie, że nie starczy im czasu na zastanawianie się, jak was wykołować i kropnąć.

- Jak to zrobisz? - spytał Charley.

- Może to wcale nie było takie złe, że Irene rozwaliła tę babę, która pomyliła piętra!

Rozdział 32

Angelo skorygował siatkę zakładów koszykarskich na najbliższy tydzień, ustalił sposób przekazywania poufnych informacji o rozgrywkach tenisowych zawodowców, a następnie zatelefonował do Daveya Hanly'ego z komendy głównej. Przedstawił się jako Chester Feinstein; Hanly powiedział, że zaraz do niego oddzwoni. Dotarcie do automatu na Broome Street, który już trzydzieści lat temu powinien mieć założony podsłuch, lecz nie miał do tej pory, zajęło Hanly'emu dwadzieścia minut.

- Angelo? Czego chciałeś?

- Świetnie, że dzwonisz. Słuchaj, podjadę po ciebie o dwunastej, dobrze? Czekaj w zwykłym miejscu.

- W porządku - rzekł Hanly i odwiesił słuchawkę.

Jechali wolno dookoła Prospect Park szesnastoletnim fordem Angela.

- Mam coś w sprawie zabójstwa tej Calhane oznajmił Angelo. Nic konkretnego, ale powiem ci jedno: jeśli naciśnięcie jeszcze mocniej, naprawdę dacie wszystkim do wiwatu, jest szansa, że ktoś wyda wam mordercę.

- Chryste, Angelo, to nie będzie łatwe. Wiesz jak nam brakuje forsy? To że zamknęliśmy wam połowę interesów kosztuje nas setki tysięcy dolarów tygodniowo!

- Tyle ci chciałem powiedzieć, Davey. Niektórym ludziom porządnie zależyście za skórę; mają tego po uszy i gotowi są pogadać z kim trzeba. Prizzim chodzi o jedno żebyście jak najszybciej dostali w ręce mordercę i żeby wszystko wróciło do normy.

- Porozumiem się z naszymi. Musiałeś dostać jakiś cynk, a na ogół miewasz dobrych informatorów. Wytrzymamy i o suchym chlebie, jeśli pomoże nam to złapać chuja, który rąbnął tę pocziwą kobietę.

- Przyspieszyłoby to sprawy dla nas wszystkich, Davey.

Cztery dni później zapełniły się po brzegi areszty we wszystkich komendach i nawet w niewielkim posterunku na Staten Island. Nasiliły się naloty policyjne na punkty totalizatora i salony gier. prostytutki wypłoszono z ulic i powyganiano z burdeli chronionych łapówkami od trzydziestu lat. Policja wydała jeszcze sroższą wojnę wszelkim operacjom nowojorskich rodzin, niż Devey prostytutce w latach trzydziestych.

Tak ostro wzięła się za bukmacherów, zarówno tych działających w zamelinowanych punktach, jak i tych prowadzących interesy wyłącznie przez telefon, że dosłownie nikt nie był w stanie się doliczyć, ile wynoszą straty. Wojna dała się we znaki siedemnastu najpopularniejszym sportom, które uczyniły milionerami znanych dżokejów, tenisistów, sprawiły, że opłacało się budować dziesiątki tysięcy stadionów, lodowisk hokejowych, terenów do gry w golfa, utrzymywały całą armię rozjazgotanych komentatorów sportowych i zapewniały miliardowe dochody sieciom telewizyjnym z reklam nadawanych podczas transmisji z najróżniejszych zawodów i meczów. Wyścigi konne, mistrzostwa peloty, rozgrywki baseballowe, piłkarskie, zawody saneczkarzy, regaty, mecze koszykówki sprinty, skoki, podania, rzuty, strzały - wspaniałe rumaki, niezmordowani bokserzy oraz naszpikowane środkami dopingującymi charty były powodem, że wydawano miliardy dolarów na aparaty telewizyjne i wypijano miliardy litrów piwa. W ciągu jednego tygodnia obywatele wydawali więcej na zakłady niż kosztowała którakolwiek z wojen. Kiedy więc nowojorska policja zamknęła wszystkich bukmacherów, media utraciły odbiorców, producenci aparatów telewizyjnych oraz radiowych (i nawet klimatyzatorów) stracili klientów, a właściciele drużyn i tysiące zawodników uprawiających sto skomercjalizowanych sportów - kibiców, bo jeśli meczów nie można obstawiać, przestają ludzi interesować. Najbardziej jednak cierpieli na tym ci, do których kieszeni trafiała lwia część zysków z zakładów sportowych - nowojorska policja oraz rodziny mafijne i ich wspólnicy.

Rozdział 33

Policjantom wstrzymano wszelkie przepustki. Bogatych gangsterów aresztowano na dwadzieścia cztery godziny, gdy tylko pojawili się na mieście, a kiedy adwokaci wyciągali ich na wolność, natychmiast aresztowano ich znów. Najbardziej uwzięto się na Prizzich, bo policja szybko wykryła, że bank, którego Filargi był prezesem, wcześniej należał do nich - Hanly ostrzegł nawet potajemnie Angela, że wszystkie telefony rodziny znajdują się na podsłuchu. Zerwano więc wszelką łączność telefoniczną z willą w Brentwood. Jeśli kontakt był absolutnie konieczny, wówczas Vincent lub Angelo dzwoniли z aparatów publicznych.

Vincenta policja aresztowała trzykrotnie, a jego trzech capi i ze dwustu żołnierzy czuli się jak w drzwiach obrotowych, tyle razy bowiem zgarniano ich i puszczano z powrotem.

- O co chodzi? - zezłościł się wreszcie Vincent na sierżanta nazwiskiem Keifetz z komendy brooklyńskiej. Trafiam tu już trzeci raz w ciągu dwóch dni pod tym samym zarzutem!

- Powiedz mi, Vincent, kto wykończył panią Calhane? - spytał Keifetz.

- Co to za jedna?

- Kobieta zastrzelona podczas porwania Finleya.

- Skąd mam wiedzieć! Wszyscy mnie pytają, a ja przecież nic nie wiem!

- Vincent, powiem ci coś w zaufaniu. Odkryliśmy, że bank Finleya należał przedtem do was. Więc na pewno macie z tym coś wspólnego. Wasi ludzie porwali Finleya i przy okazji zamordowali panią Calhane.

- Zastanów się, Keifetz. Na cholerę mi jakiś kidnaping? Czy ja oszalałem? Mam solidny interes. Takie filmowe numery to nie dla mnie.

Policja zamykała ludzi do pierdła nie tylko w Brooklynie. Także na Manhattanie i w Bronksie. Gdy tylko robili nalot na jakiś salon gier lub aresztowali żołnierzy i pracowników, wszystkim powtarzali, że Robert Finley kupił swój bank od Prizzich.

Po ośmiu dniach nękania przez policję rodzina Bocca zwołała naradę pięciu nowojorskich rodzin w wynajętej sali konferencyjnej na drugim piętrze jednego z banków na Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Szefowie rodzin zjawili się w towarzystwie swoich consiglieri. Naradę otworzył Quarico Bocca, któremu - oprócz innych interesów podlegało sześćdziesiąt osiem procent prostytucji w całych Stanach.

- Gliny nie żartują - oświadczył. Z dnia na dzień tracimy coraz więcej forsy, a oni ani myślą popuścić, dopóki im nie damy człowieka, który sprzątnął żonę tego gliny. Wiem tylko jedno: gliny powtarzają wszystkim moim ludziom, że facet, którego porwano wówczas, kiedy ją rąbnięto, miał z Prizzimi jakieś grube interesy, o czym wiedzą też wszyscy tu zebrani. Nie mamy co przeciągać narady bez powodu. Proponuję głosowanie: niech ci, którzy uważają, że Vincent Prizzi i jego consiglieri powinni opuścić salę, uzgodnić między sobą, co zrobią w tej sprawie, po czym wrócić i powiadomić nas o tym, podniosą rękę. Kto jest za?

Bocca usiadł.

- Wolnego! Komu potrzebne głosowanie? - Vincent Prizzi zerwał się z miejsca. - Angelo i ja wychodzimy, ale nie po to, żeby się naradzić. Wracamy do domu! Nikt mi tu nie będzie rozkazywał! Jestem Vincent Prizzi, zapamiętajcie to sobie! Kiedy wyście nosili gacie z dziurami na tyłku i napadali na stacje benzynowe, myśmy byli największą rodziną w całych Stanach; nawet teraz, kiedy niektórzy z was nauczyli się bawić w alfonsów i okradać pijaczków, wciąż jesteśmy w stanie was kupić i sprzedać. Przez to, że glinom odbiła szajba, tracimy więcej niż wy wszyscy do kupy wzięci. Nam też się to nie podoba. Ale nikt nam nie będzie dyktował, jak mamy prowadzić swoje interesy. Nie mówię, że mamy z tą sprawą coś wspólnego, ale sami zdecydujemy co robić. I jak będzie trzeba, zaczniemy działać. Jeśli komuś się to nie podoba, wiecie, gdzie nas szukać. Żaden gnojek nie będzie się nam wtrącał! Chce ktoś wojny, damy mu wojnę! A jeśli nie, to radzę siedzieć cicho. Nikt nie będzie mówił Prizzim co mają robić, a już na pewno nie taki

nieopierzony alfonsiak jak ty, Signore Fatalone! - zakończył, mierząc gniewnym wzrokiem Boccę.

Ruszył wolno w stronę drzwi, a Angelo za nim. W sali panowała cisza; ośmiu mężczyzn siedzących dookoła stołu wpatrywało się w swoje cygara.

Vincent i jego doradca wracali do Brooklynu małym dodge'em Angela.

- Myślałby kto, że ci durnie potrafia to sobie wykoncypować - powiedział Vincent, gdy jechali przez Midtown Tunnel. - Kto ma więcej forsy, my czy gliny? My! Główny dochód glin to nasze łapówki. Więc co z tego, że przez tydzień czy dwa powyżywają się na nas? Dłużej nie podolają. Jeśli przez osiemdziesiąt pięć lat dawali się smarować, teraz nagle nie zaczną żyć z gołych pensji! Pewnie, że ponosimy straty, ale gliny znacznie większe. Muszą jakoś próbować się na nas odegrać za tę głupią babę, która pomyliła piętra. Nie mają wyjścia, to sprawa honoru. Ale dobrze wiedzą, że muszą wrócić do dawnych układów. Dopóki będą nam załazić za skórę, nie dostaną ani centa, a bez forsy żyć ciężko. Więc jasne, że prędzej czy później zapomną o całej sprawie. Angelo, ten Bocca chyba oszalał. Chce się zasłużyć glinom, którzy siedzą w jego kieszeni, czy co? Po to nas obraża, żeby gliny przekonały się, jak bardzo im sprzyja? Zauważyłeś, że tylko on jeden tak na nas naskoczył? Nikt go nie poparł. Co o tym myślisz. Angelo?

- Bocca tyle czasu spędził w pierdlu, że chyba mu to w końcu padło na mózg. Są ludzie, którym wciąż przytrafiają się nieszczęścia i jedynie tym można to wytłumaczyć, że podświadomie ich szukają i sprowadzają na siebie. Z Boccą i jego odsiadkami jest podobnie. Jego własni ludzie zaczynają to dostrzegać i bynajmniej nie są zachwyceni.

- Po co ktoś mógłby chcieć trafiać za kratki? Hej, uważaj! Ale ci jebaniec zajechał drogę! Baba. Baby to najgorsi kierowcy! Wracając do Bocci, co by mu się miało w pierdlu tak strasznie podobać?

- Nie ma szczęścia do kobiet. Traktuje je zresztą gorzej od zwierząt; przy gościach rzuca w nie krzesłami, zmusza je, żeby spały na podłodze. Tłucze naczynia. Żadna baba nie zniesie takiego traktowania. Więc obrzydzają mu życie jak mogą. Żona, kochanki. Nie ma z nimi spokoju. Wreszcie któraś wsadzi mu do wozu bombę. Tak przynajmniej myślą jego ludzie.

- Może powinniśmy je wyręczyć.

- Wierz mi, Vincent, Bocca gorzej się męczy żyjąc.

- To wie tylko on. Poleciłem mu, żeby sam dobrał sobie ludzi. Dlaczego pytasz?

- Jak to dlaczego? Przecież o to była ta cała narada!

- Vincent, w tej sprawie musimy działać bardzo ostrożnie. Kidnapping to zbrodnia federalna, za którą idzie się na krzesło lak samo jak za morderstwo z premedytacją. Dochodzenie prowadzi FBI. Jeśli zaczniemy się bawić w przypochlebianie się glinom i wydamy im współnika Charleya, sami zostaniemy oskarżeni o współudział i z drobnego nieporozumienia z nowojorską policją zrobi się afera z władzami federalnymi.

- Aha.

- Charley wie, bo był na górze. Może wie jeszcze Hydraulik, jeśli współnik Charleya wyszedł razem z nim, i może Dom. Jeśli coś pójdzie nie tak, wystarczy ich kropnąć, i wówczas nikt nam nie udowodni żadnego związku z tą sprawą. Jeśli natomiast wydamy

glinom współnika Charleya, wyduszą z niego, kto jeszcze był w to zamieszany. Charley nie piśnie słówka, ale tamci dwaj nie wiem. Mogliby nas wszystkich wplątać. Więc radzę ci z całego serca: nawet nie myśl o tym, by pomóc glinom odszukać tego, kto kropnął żonę ich kapitana.

- Rozumiem, o co ci chodzi.

Przejechali w milczeniu przez Queens i znaleźli się w Brooklynie.

- Ciekawe, co postanowi ojciec - rzekł Vincent. - Wiesz, jak istotny jest dla niego honor. Dlatego potrafi zrozumieć, co czują gliny. Jednemu z nich kropnięto żonę. Wzięli to sobie do serca, siedli na nas, i teraz trudno im się wycofać, nic nie osiągnąwszy. Więc najlepiej byłoby im dać kogo chcą. Ed może to z nimi omówić, wyjaśnić, że ci, którzy wiedzą, kto kropnął tę babę, nie mogą wydać im mordercy, bo nie chcą być zamieszani w sprawę porwania Filargiego i mieć do czynienia z policją federalną. Ale są gotowi dostarczyć im zwłoki mordercy w dowolnym czasie i w dowolnym miejscu, z podpisanym przyznaniem się do winy w zębach. Filargi, kiedy go puścimy, rozpozna zwłoki. Telewizja i gazety zrobią resztę. Ułożą wspaniałą historię o tym, jak wybuchła strzelanina i gliny w obronie własnej zabiły tego gnojka, który zamordował żonę kapitana policji. Najpierw podpisał zeznanie, a potem nagle rzucił się do ucieczki; wywiązała się strzelanina i musieli go kropnąć. Dostaną odznaczenia, medale. Będą mieli zabójcę i wtedy wszystko wróci do normy, nasze układy zaczną funkcjonować po staremu.

- Niezły pomysł. Całkiem zgrabnie to obmyśliłeś! pochwalił Angelo.

- Pogadam z ojcem i w razie czego ściągniemy Charleya, żeby nam powiedział, kto był z nim na piętrze.

Wieczorem Angelo zadzwonił do Charleya do Brentwood.

- Charley, słuchaj. Najpóźniej jutro w południe musisz go zabrać. Przyjedź jeszcze dziś, po drodze wpadnij po Irene i przywieź ją również. Musimy przygotować plan działania.

Odwiesił słuchawkę.

Rozdział 34

Na bankiet ku czci Vincenta Prizziego mający się odbyć w połowie września w Palermo Gardens, już pod koniec lipca rozesłano ozdobne zaproszenia - osiemset dwadzieścia sześć sztuk wzbudzając ogromne podniecenie i ciekawość wśród członków rodziny. Vincentowi budynek Palermo Gardens wydawał się wspaniały: wciąż widział go takim, jaki był przed pięćdziesięciu laty, kiedy po raz pierwszy gościł tam na balu. Właśnie owego wieczoru, pięćdziesiąt lat temu, stracił cnotę. Nadal uważał, że zawdzięcza to ojcu, który pełnił wówczas funkcję mistrza ceremonii. Seks nie był dla Vincenta specjalnie istotny. Po tym pierwszym razie przekonał się, że może się spokojnie obywać bez kobiet, ale tamten wieczór dobrze zapadł mu w pamięć - czterdziestoletnia szatniarka dała mu się wyruchać na stosie okryć gości, pewnie dlatego, że bardzo jej zależało na przedłużeniu koncesji.

Vincent wiedział, że jeśli staruszka jeszcze żyje, ma już dziewięćdziesiąt lat, ale wspominał ją jako wesołą kobietkę i niezłą dupę. W jego umyśle stary gmach Palermo Gardens zachował swoją świetność.

W rzeczywistości była to ponad osiemdziesięcioletnia rudera, bez żadnych zabezpieczeń na wypadek pożaru, której nie zburzono tylko dlatego, że Corrado Prizzi nie chciał się na to zgodzić z przyczyn sentymentalnych: tu bowiem spraszał ludzi z sąsiedztwa, tu opłacał ich swoją niewidzialną pajęczyną, tej budowli zawdzięczał powstanie banku Prizzich, potem loterii i całej reszty. To właśnie spotkania towarzyskie w Palermo Gardens, potańcówki i występy organizowane przez niego dla okolicznych mieszkańców, na których poznało się niejedno późniejsze małżeństwo, uczyniły z niego przywódcę, i to takiego, jakim być pragnął: lubianego i akceptowanego przez wszystkich. Wypłynął dzięki Palermo Gardens ludzie go poznali, nabrali do niego zaufania, a to umożliwiło mu założenie rodziny Prizzich. Większość z nich nadal, tak jak on i Vincent, nie dostrzegała upadku Palermo Gardens. Bankiet na cześć Vincenta miał być sukcesem na wielu poziomach, ale największym był na poziomie pamięci. Władze miejskie w ciągu ostatnich dwudziestu lat czterokrotnie skazywały budynek na rozbiórkę, lecz za każdym razem Don Corrado polecał Edowi doprowadzić do cofnięcia decyzji.

Angelo Partanna wkroczył na salę w towarzystwie Maerose i żon dwóch spośród trzech capiregime rodziny. Don Corrado miał zjawić się później. Wszyscy się dziwili, że nie ma Charleya i jego żony, ale Charley musiał zostać w Brentwood i pilnować Filargiego. Trzej capiregime: Sal Prizzi, Rocco Sestero i Tarquin Garrone, straż honorowa Vincenta w dniu bankietu, przywieźli go czarnym lincolnem zarejestrowanym jako własność firmy Carolina Peach Congress z Great Neck na Long Island. Prowadził Zingo Poppaloush. Wszyscy mieli na sobie czarne fraki, białe koszule i czarne muszki - żadnych pedalskich kolorów. Kiedy Vincent wysiadał z limuzyny, tłumek złożony z czterdziestu mieszkańców sąsiedztwa zaczął wznosić okrzyki na jego cześć niewielka spontaniczna demonstracja sympatii zorganizowana przez ludzi Rocca Sestera.

Zostań w wozie polecił Rocco Poppaloushowi. Szef chce, żebyś czekał tu, kiedy wyjdzie.

Dwaj mężczyźni ruszyli przodem, torując Vincentowi drogę, trzeci popychał go z tyłu; w końcu zdolali się przebić przez tłum i znaleźć w udekorowanej wstęgami, bibułą oraz lampionami sali bankietowej. Gdy szli między rzędami otoczonych gośćmi stołów, mężczyźni wznosili okrzyki na cześć Vincenta i gwizdali przeraźliwie na palcach, a kobiety pchały się do przodu, żeby go dotknąć. Vincent ścisnął wyciągane do niego ręce i parł naprzód przez podniecony tłum, zupełnie jakby był mistrzem świata wagi ciężkiej wracającym z ringu po zwycięskiej walce. Wreszcie, dzięki autorytetowi, jaki mieli wśród tłumu, trzem capiregime udało się doprowadzić solenizanta do podium, na którym siedziały ich żony oraz Maerose w towarzystwie Angela Partanny.

Brygada siedemnastu kucharzy wynajętych z balońskich i weneckich restauracji od rana pracowała w kuchni Palermo Gardens szykując sycylijskie przysmaki. Prizzi oczywiście najbardziej gustowali w potrawach przyrządzanych przez ich żony i matki, lecz gdy musieli jeść poza domem i mogli sami wybierać kucharzy, starali się zatrudniać

najlepszych, żeby przypadkiem nie powtórzyło się zdarzenie, jakie miało miejsce dziewiętnaście lat temu, kiedy Charley Partanna pobił całą kucharską ekipę za to, że tak sparała ulubione danie jego matki, facaccia di Fiori di Sambuco. Na obecny bankiet stawiało się siedemset trzydziestu pięciu żarłoków obojga płci. O dwieście trzy osoby więcej, niż dopuszczały przepisy przeciwpożarowe 1927 roku.

Goście stanowili elitę rodziny Prizzich: capiregime, najdzielniejsi żołnierze, najlepsi księgowi, inkasenci, handlarze narkotyków, a także łącznicy z policji, przywódcy związków zawodowych, grube ryby z przemysłu pornograficznego, gwiazdy filmowe, wydawcy, ważni świadkowie, najwięksi lichwiarze, pośrednicy między rodziną a władzami, przyjaciele z komendy głównej oraz inne ważne fisze, wszyscy ze swoimi żonami. Chociaż Ed Prizzi sam nie mógł przybyć na bankiet, kazał zarezerwować dla swoich gości dwa stoły z przodu sali; siedziała przy nich sześć kongresmanów, pięciu sędziów i doradca prawny gubernatora stanu. Pozostali goście siedzieli po obu stronach stołów zsuniętych razem w dwa długie rzędy. Na śnieżnobiałych obrusach stały wazon-y kwiatów, butelki wina, leżały podarki dla przybyłych, czekały wypożyczone nakrycia i sztuce. Wszyscy na sali podekscytowani byli tym, że za moment ukaże im się na podium, w blasku reflektorów, legendarny Don Corrado. Cezar i krezus dwudziestego wieku. Wrzawa była wprost nie do zniesienia. Starzy przyjaciele witali się wrzeszcząc do siebie przez stół, lub zrywali się z miejsca i pędzili z krzykiem, żeby paść sobie w ramiona, uśmiechnięci od ucha do ucha i bezgranicznie szczęśliwi.

Osoby na jaskrawo oświetlonym podium siedziały pod sepiowymi fotografiami - o rozmiarach dwa i pół na dwa i pół metra - mężów, których Corrado Prizzi podziwiał najbardziej na świecie: Artura Toscaniniego, papieża Piusa XII. Enrica Carusa i Richarda Nixona. Uważał ich za swoich patronów. Przynajmniej jeden z nich chronił go od lat.

Gdy goście usiedli i wszystkie miejsca po obu stronach wolnego krzesła przy stole na podium też zostały zajęte - Ogórek Cetrioli i Mango Passato tylnym wejściem wprowadzili do budynku Don Corrada. Kiedy stanął na podium, rozległa się burza oklasków. Może witano by go równie owacyjnie, gdyby zjawił się sam, lecz starzec wolał się zabezpieczyć: towarzyszył mu człowiek przedstawiony mu zaledwie przed dwudziestoma sekundami, którego ani on, ani nikt z rodziny nie znał dotąd osobiście, lecz którego Vincent sam Don Corrado wyżej cenił Enrica Carusa - uważał za największego w dziejach śpiewaka belcanto. Ed załatwił z Pentagonem, że włoski maestro Giuliano Rizzo, którego menażer zażądał za ten krótki występ dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, został przywieziony wojskowym odrzutowcem z Nowego Orleanu, gdzie wcześniej uczestniczył w koncercie na cele dobroczynne.

Małeńki Don Corrado zdołał objąć na powitanie zaledwie jedną ósmą ogromnego tenora. Następnie pozwolił gorylom zaprowadzić się na miejsce. Tłum szalał.

Wielki śpiewak, ogarnięty wzruszeniem, stał przez moment w milczeniu naprzeciw rozentuzjasmowanej widowni, po czym przy akompaniamencie ukrytego za kurtyną fortepianu, zaczął śpiewać przejmującą arię Verdiego z Les Vepres Siciliennes, opisującą rzeź bezbronnych Francuzów dokonaną przez sycylijskich patriotów.

Ludzie łkali słuchając. Niektórzy zamilkli z wrażenia może po raz pierwszy w życiu. Kiedy przebrzmiał ostatni wspaniały ton arii, wszyscy poderwali się z miejsc, klaszcząc jak opętani, wrzeszcząc histerycznie i szlochając jak bobry.

Rizzo ucałował czubki palców i rozpostarł szeroko dłonie, jakby błogosławił zebranych, poczym opuścił budynek. Brawa, gwizdy i krzyki nie ustawały. Vincent poderwał się z krzesła i podniósł ręce: przez dziesięć minut bezskutecznie próbował uciszyć zebranych. Wreszcie wstał uśmiechnięty Don Corrado. Nie musiał uczynić żadnego gestu. Wystarczyło, że wstał i uśmiechnął się, aby ludzie uzmysłowili sobie, iż znów nie pożalował pieniędzy i wysiłku, żeby sprawić im radość. Nieznośna wrzawa opadła; chwilę później słychać już było tylko połowę głosów: ich krzyk przeszedł w szmer; wszyscy usiedli.

- Zebraliśmy się, żeby uczcić mojego syna - zaczął z prostotą Don Corrado. - Opuści nas... - cała sala jęknęła żałościwie... - i zamieszka w willi za dziewięćset dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, z własnym polem golfowym, w Las Vegas w Nevadzie. Życzę mu z całego serca we własnym i waszym imieniu, by jechał z Bogiem i by Bóg miał go w swej opiece i jako dowód naszego uznania przekazuję mu ten oto prezent pożegnalny, na który wszyscy złożyliśmy się tak hojnie: komplet srebrnych kijów golfowych oraz pięćset sztuk jego ulubionych meksykańskich cygar.

Don Corrado uśmiechnął się. Goście zaczęli klaskać. Willie Lessato i Sam Falcone wtaszczyli na podium torbę ze słoniowej skóry, z której sterczało więcej kijów, niż widziano na jakimkolwiek polu golfowym od czasu wynalezienia gry przed ponad dwustu laty. Za nimi postępował Phil Vittimizzare dźwigając dwadzieścia pudeł z cygarami.

Goście, najpierw zaskoczeni występem Giuliana Rizza, teraz zaś wstrząśnięci niesłychaną wiadomością o przeniesieniu Szefa, dopiero na widok prezentów zerwali się na równe nogi i podnieśli wrzawę dorównującą niemal tej, jaką nagrodzili popis tenora. Kilkaset osób, ogarniętych niepohamowanym wzruszeniem, rzuciło się w stronę podium, by pogratulować Vincentowi i uściskać mu dłoń. Na ten widok goryle Don Carrada, łagodnie acz błyskawicznie, wyprowadzili starca z budynku.

Trzej capiregime wzięli się do rzeczy. Otoczyli półkolem Vincenta i zaczęli uspokajać tłum.

- Wracajcie na miejsca! - ryczał Rocco Sestero.

- Gdzie wy jesteście, w zoo? - krzyczał Tarquin Garrone. - Cofnąć się! Na miejsca, do cholery! - darł się Sal Prizzi. Goście powoli wracali do stołów. Kiedy ostatni zajęli swoje miejsca, Vincent wstał, żeby do nich przemówić. Nagle jakaś kobieta na końcu sali wrzasnęła:

- Pali się!

W tej samej sekundzie ściana za nią stanęła w płomieniach. Również na całej długości ściany wschodniej na różnych wysokościach od wejścia aż po podium, pojawiły się języki ognia.

- Uciekajmy! - ryknął Vincent.

Złapał córkę za rękę i ciągnąc ją za sobą, rzucił się w stronę tylnych drzwi. Za nim, popychając żonę, ruszył Rocco Sestero. Angelo Partanna zważym krokiem podążał w tym samym kierunku. Pochód zamykał Sal Prizzi z żoną i Tarquin Garrone. Falanga,

nabierając szybkości, wpadła na dwóch kelnerów, odtrąciła ich i wydostała się na zewnątrz. Gdy biegli już ulicą, oddalając się od płonącego budynku. Garrone zatrzymał się nagle, przyłożył do ust zwinięte w trąbkę dłonie i krzyknął do uciekających przed nim:

- Moja siostra została w środku! Wracam po nią!

Nikt więcej nie widział go żywego.

- Sal, wywieź stąd kobiety - zarządził Vincent. - Ja wezmę Rocca i Angela.

Chodźcie, mój wóz czeka od frontu.

Gdy dobiegli do czarnego lincolna, Vincent i Angelo wsunęli się szybko na tylne siedzenie. Rocco zajął miejsce obok kierowcy.

- Dobra, ruszaj! - wrzasnął do Poppalousha. Ten jednak oni drgnął. Siedział nieruchomo, nie patrząc nawet w stronę płonącego budynku. Rocco zerknął na jego twarz.

- Cholera, szefie, ktoś go rąbnął! Co?!

- Trup. Dostał w samo oko.

- Więc ktoś specjalnie podłożył ogień! - zawołał Vincent.

Dziesiątki przerażonych, ogłupiałych ludzi wysypywało się przez spowite kłębamii czarnego dymu główne drzwi Palermo Gardens.

- I specjalnie kropnęli Zinga, żebyśmy wiedzieli, że to nie przypadek! Prawda.

Angelo?

- Tak, Vincent, masz rację. Rocco, na miłość boską, wyrzuć Zinga i ruszamy stąd czym prędzej!

Angelo nachylił się przez oparcie i otworzył drzwi. Rocco wypchnął trupa i sam wsunął się za kierownicę. Początkowo jechał wolno, bo drogę zagrażał mu tłum otumanionych gości, lecz wkrótce minął ich i dodał gazu.

- Jedź do domu mojego ojca, a potem dzwoń do Eda: niech każe przysłać karetki i porozumie się z prasą, żeby przypadkiem dziennikarze nie zrobili z tego gangsterskich porachunków. Boże, wciąż nie mogę uwierzyć, że ktoś specjalnie podłożył ogień! Ale kto. Angelo, kto?

- Spokojnie. Vincent, spokojnie, pamiętaj o swoim nadciśnieniu. Pogadamy jak dojedziemy na miejsce.

- Słuchaj Rocco - znów odezwał się Vincent - najpierw podzwoń po ludziach i ściągnij żołnierzy do domu mojego ojca. Ci, którzy załatwili Poppalousha i podpaliłi budynek, mogą szykować na niego zamach.

- Obstawimy cały dom - obiecał Rocco.

- I słuchaj, posadź sześciu ludzi przy telefonach i niech dzwonią do wszystkich, dopóki nie dowiedzą się, czyja to robota, a wtedy wywieziemy ojca z miasta i weźmiemy się za tych gnojów.

Vincent i Angelo wspięli się wolno po kamiennych schodach do frontowych drzwi - rezydencji Sesterów. Vincent oddychał ciężko, a jego twarz wyglądała jak szara maska. Wydobył z kieszeni spory klucz i otworzył drzwi. Ze środka wyskoczył mężczyzna ze strzelbą, o spiłowanej lufie, trzymając ją tak, jakby chciał nią staranować wchodzących.

- Spokojnie, Freddo, spokojnie. To tylko szef i ja - oznajmił Angelo.

- Przepraszam szefie! - zawołał mężczyzna. - Nie wiedziałem, kto wchodzi.

- W porządku - powiedział Vincent, mijając go szybko.

Wraz z Angelem wbiegł na pierwsze piętro po długich krętych schodach i zdyszany oparł się o ścianę. Angelo zastukał do drzwi Don Corrada.

- Corrado, to ja - zawołał. - Jest ze mną Vincent.

Usłyszeli głos starca. Prosił żeby weszli. Angelo otworzył drzwi i puścił przodem Vincenta. Don Corrado stawiał skomplikowanego pasjansa, używając trzech talii kart. Spojrzał na przybyłych.

- Co się stało? spytał.

Vincent opadł na fotel.

- Źle wyglądasz - stwierdził Don Corrado. - Nieważne, co się stało. Angelo mi opowie. A ty idź do sypialni na końcu korytarza, rozbierz się i włącz do łóżka. Wyśpij się porządnie przez noc. Rano porozmawiamy.

Angelo pomógł Vincentowi wstać.

- Rzeczywiście kiepsko się czuję, tato.

Kiedy Vincent doczłapał do drzwi i zamknął je za sobą, Don Corrado spojrział na Angela.

- Ktoś podpalił Palermo Gardens oznajmił consigliere. - Chwilę wcześniej kropnięto Zinga Poppalousha. Czekał na zewnątrz w wozie Vincenta.

- Kto to zrobił?

- Bocca.

- A dlaczego?

Angelo opowiedział o tym, co się wydarzyło podczas narady w wynajętej sali konferencyjnej.

- Vincent, w obecności przedstawicieli wszystkich rodzin, potraktował Boccę jak ostatniego gówniarza. Bocca musiał jakoś ratować swój honor. Pozostałe rodziny wezmą jego stronę.

- Ile jest ofiar?

- Jeszcze nie wiadomo. Ludzie Eda będą w kontakcie ze strażakami i z policja.

Dowiemy się, kiedy ugaszą ogień. Pewnie jutro.

- A według ciebie?

- W środku była masa ludzi. Wszyscy rzucili się do drzwi frontowych: nam udało się wyjść tyłem. Mogło zginąć sto, nawet dwieście osób.

- Zemsta w stylu alfonsa - stwierdził beznamiętnie Don Corrado.

Jego głos nie zdradzał żadnych emocji, lecz Angelo widział wyraźnie, jak bardzo Don Corrada boli ten policzek, i czekał w napięciu, żeby usłyszeć co starzec zdecyduje.

- Vincent obraził go przy świadkach, więc Bocca poczekał na dzień, kiedy cała nasza rodzina zgromadzi się pod jednym dachem i kazał podłożyć ogień. Nic sobie nie robił z tego, że w środku były kobiety. Nasze żony, córki. Jak w tej sytuacji pozostałe rodziny mogą mu udzielić poparcia? Na sali znajdowali się ważni politycy, pięciu sędziów. Sam widziałem ze trzy kaleki pośród obecnych. Nie wierzę, że ten postępek przysporzy mu zwolenników.

- Corrado, nie będziemy mogli go oskarżyć o podpalenie budynku. Nie udowodnimy, że to on wydał rozkaz. Strażacy może nawet nie znajdą żadnych śladów, że ktoś umyślnie podłożył ogień.

- Więc sądzisz, że rodziny poprą Boccę, powiedzą, że słusznie kazał zabić tego młodego Greka, Poppalousha, bo Vincent obraził go przy świadkach? Wierzysz w to?

- Według zasady, że krzywdzie musi się stać zadość, poprą go, jeśli oskarżymy go o zabicie Poppalousha.

- A jeśli oskarżymy go o podpalenie Palermo Gardens?

- Wówczas nie. Ale będą starali się zachować bezstronność. Pamiętaj, że nie wszyscy są naszymi przyjaciółmi. Bocca też ma przyjaciół. Komisja zażąda od nas dowodów.

- A więc zaczekamy kilka miesięcy. Po powrocie Charleya zrobiłem mu pewna propozycję i jestem pewien, że ją przyjmie - chcę, by dopilnował, żeby wszyscy z otoczenia tego łobuza zaczęli ginąć: albo w nieszczęśliwych wypadkach, albo z przyczyn naturalnych. Kiedy Bocca zostanie sam, otoczony nowymi ludźmi część z nich to będą nasi zaufani, umiejętnie mu podstawieni doprowadzimy do tego, żeby równocześnie w ośmiu czy dziesięciu stanach policja wzięła się za jego interesy, i dopilnujemy, żeby wyroki wydane przez życzliwych nam sędziów złożyły się na pięćdziesiąt lat odsiadki. Nie będziemy potrzebowali poparcia pozostałych rodzin, bo nikt nam nie udowodni, że to nasza sprawa, tak samo jak my nie możemy udowodnić, że to Bocca kazał podłożyć ogień.

W płomieniach w Palermo Gardens zginęło osiemdziesiąt dziewięć osób: dwieście siedemnaście odniosło ciężkie poparzenia; cztery straciły wzrok. Kongresmani i sędziowie cudem wyszli z pożaru bez szwanku. Ludzie Eda Prizziego radzili ocalałym, żeby wystąpili o odszkodowanie do właścicieli budynku; okazało się jednak, że w 1934 roku jako anonimowy dar stał się własnością zgromadzenia pod wezwaniem błogosławionej Decimy Manovale zrzeszającego ascetów, którzy złożyli ślub ubóstwa.

Rozdział 35

Pożar Palermo Gardens ściągnął więcej policjantów niż strażaków: przybył sam komisarz Mitgang, komendanci posterunków, kapitanowie, sierżanci, pracownicy drogówki, detektywi po cywilnemu. Komisarz Mitgang oraz Vincent Mulqueen, kierownik ekipy dochodzeniowej. Joe Maguire, szef zespołu detektywów, i nadinspektor John Kullers stali z dala od reszty policjantów, strażaków i tłumu złożonego z kilku tysięcy gapiów z fascynacją przypatrujących się zgliszczom.

- Jak waszym zdaniem do tego doszło? - spytał Mitgang.

- Trudno powiedzieć, panie komisarzu - odparł Maguire gdyby nie fakt, że cała ich śmietanka znajdowała się w środku, podejrzewałbym, że Prizzi sami podpalili budynek, by otrzymać ubezpieczenie: byłoby to jak najbardziej w ich stylu. Skoro ta wersja odpada, uważam, że pożar wiąże się ze sprawą Calhane.

- Jak?

- Ktoś, może jedna z rodzin, może wszystkie, usiłuje wyrzeć nacisk na Prizzich, żeby wydali nam mordercę. Nie ma żadnych wątpliwości, że to Prizzi porwali Finleya, a ci którzy porwali Finleya, zabili Vicky Calhane.

- Zasrańcy! - mruknął nadinspektor Kullers.

- Co dalej? - spytał Mitgang.

- Corrado Prizzi nie jest głupi - odpowiedział Maguire. - Jego doradca. Angelo Partanna, też nie. Zaliczyłbym ich nawet do dziesiątki największych krętaczy wszechczasów.

- Muszą znaleźć taki sposób wydania nam mordercy Calhane, żeby nic nie wskazywało na to, iż sami porwali Finleya.

- Tak? Jak to zrobią?

- Niech pan mi wierzy, coś wymyślą. Po tym, co się tu wydarzyło. Corrado zdaje sobie sprawę, że pozostałe rodziny wypowiedziały mu wojnę. Dobrze wie, że ten pożar to zaledwie początek będą naciskać na niego, dopóki nie przekaże nam łobuza, który zastrzelił Calhane.

- Więc mamy czekać?

- Musimy, panie komisarzu. Co powie pan prasie?

- Nie będzie z nią żadnych trudności. Dziennikarze rzucą się na tę historię jak wygłodniałe wilki. Już widzę nagłówki typu: "Krwawy koniec gangsterskiej orgii: osiemdziesiąt trupów". Czy ile ich tam będzie. Albo "Bal mafii zamienia się w przedsmak piekła".

- Znakomicie - pochwalił Mitgang. - Widzę, że panuje pan nad sytuacją.

Budynek Palermo Gardens płonął do dziewiątej dwadzieścia nazajutrz rano. Jeszcze w nocy Angelo zadzwonił od Corrada Prizziego do komendy głównej policji i poprosił porucznika Hanly'ego. Dyżurny odparł, że porucznika nie ma.

- Więc niech go pan znajdzie i powie mu, żeby zadzwonił do Angela.

- Co? O pierwszej w nocy?

- Mieszka gdzieś w Brooklynie, nie? Wszystkie gliny mieszkają w Brooklynie. Niech pan skontaktuje się z nim i da mu znać, żeby do mnie zadzwonił.

- A kim pan jest, u licha?

- Już on będzie wiedział.

Dwie godziny później Hanly zadzwonił do Angela, który zdążył tymczasem wrócić do domu. Było kilka minut po trzeciej. Umówili się w domu Charleya na plaży.

Kiedy Hanly przybył na miejsce, czekała na niego kawa i ciepłe bułeczki z cukinią.

- Cholera, gdybyś wiedział o jak późnych porach przyjdzie ci pracować, pewnie zostałbyś na Sycylii! - zawołał Hanly.

- Ech, w moim wieku sen już nie jest potrzebny! Usiedli. Hanly poczęstował się bułeczką.

- Pyszne! Co to takiego?

- Bułeczki Charleya. Z cukinią. Piecze je, a potem zamraża. Później wystarczy podgrzać.

- Charley umie piec bułki?!

- Pewnie, umie wiele rzeczy. To zdolny chłopak. Słuchaj. Davey, wiemy, kto podłożył ocień.

- Kto?

- Bocca.

- Tak? Dlaczego?

- Quarico Bocca oszalał. Ubzdurał sobie, że Vincent go obraził.

- O ile wiem, Vincent rzeczywiście go obraził. W banku Yariyaki. Przed dwoma dniami.

- No, no, ale z ciebie detektyw! Fakt. Vincent obraził Boccę, więc ten kazał podpalić budynek, w którym znajdowała się cała rodzina Prizzich. Wcześniej był tam nawet Don Corrado.

- Jednak nie wszyscy byście zginęli.

- Racja. Kilku żołnierzy nie zostało zaproszonych.

- Charleya też nic było, prawda?

Angelo nie odpowiedział.

- Gdzie był w tym czasie?

- Pojechał do Miami odebrać pewien transport. Nie chcieliśmy tego odkładać.

- Kiedy mogę się z nim zobaczyć?

- Jak tylko wróci.

- Nie oprę się. Zjem jeszcze jedna bułkę.

- Mam dla ciebie niespodziankę, Davey. Spakowałem ci kilka sztuk do torby, żebyś zabrał z sobą.

- Myślałem, że na razie skończyły się łapówki.

- Tak. Ale to nie obejmuje bułek.

Hanly posmarował pół bułki masłem.

- Chyba przyznasz, że to dość dziwne, aby jedna rodzina skarżyła się policji na drugą - rzekł.

Angelo wzruszył ramionami.

- Zwykle trzymaliście się zasady, że jeśli ktoś wam coś zrobi, musicie to pomścić sami, bo chodzi o wasz honor.

- Corrado Prizzi najlepiej wie, kiedy chodzi o jego honor. Rozmawialiśmy o tym i doszliśmy do wniosku, że w obecnej sytuacji, gdy i tak policja ma z nami na pieńku, nie jest to odpowiednia pora na wszczynanie wojny z Bocca.

- Może. Ale może też Prizzi nie chce wojny, bo wie, że wszystkie rodziny opowiedziałyby się przeciwko niemu?

- Davey, czemu tak sądzisz?

- Posłuchaj. Angelo. Co się będziemy oszukiwać? Na zebraniu w banku Yariyaki wszyscy wsiedli na Vincenta i na ciebie, że mają po uszy płacenia za wasze błędy i że macie nam wydać mordercę Calhane. Wtedy Vincent udał obrażonego i wymaszerowaliście z sali. Angelo, myślisz, że tylko rodziny się wściekają? My jesteśmy jeszcze bardziej wkurwieni niż ktokolwiek! Musimy przejechać oszczędności, żeby utrzymać taki poziom życia, do jakiego przywykliśmy przez lata. Doskonale się przecież orientujemy, że prawa, które pozbawiają ludzi przyjemności, a więc hazardu, narkotyków

i bab, są po pierwsze bzdurne, a po drugie nie do wyegzekwowania. Gdy chodzi o poważne przestępstwa, jak zbrojne napady, morderstwa i podpalenia, łapówki nie zwalniają was od odpowiedzialności. Kiedy robicie coś takiego, wypruwamy sobie żyły, żeby was przyskrzytnić. Ale hazard to tylko wykroczenie. Nierząd również. A i tak nie możemy aresztować najbardziej winnych, czyli samych klientów, głównych sprawców tych wykroczeń, bo jeśli spragniony rozrywki obywatel chce sobie pograć na forszę albo pójść na kurwy, to nawet jak go przyłapiemy na gorącym uczynku, jego postępowanie nie jest karalne. A dopóki klienci gotowi są płacić, nie zlikwidujemy ani hazardu, ani prostytucji. Więc zamiast przeszkadzać, pozwalamy im mieć to, czego pragną, i dorabiamy się razem z wami. Ale teraz musieliśmy zacisnąć pasa i cierpimy nie mniej od was, Angelo. Więc dajcie nam tego, kto kropnął Vicky Calhane, a obiecuję ci, że nie tylko wrócimy natychmiast do starych układów, ale w dodatku przymkniemy oczy, gdy zaczniecie się rozprawiać z Bocca i jego ludźmi.

- Mówisz bardzo przekonująco, Davey - stwierdził Angelo. - Ale na razie nie mam ci nic więcej do przekazania.

Rozdział 36

Dyżurował Hydraulik; Dom spał na piętrze. Charley wyszedł z kuchni, gdzie znajdował się telefon, i rzekł do Hydraulika:

- Rozmawiałem z ojcem. Muszę jechać do miasta na naradę. Wrócę o ósmej rano.
- Przywieź mi parę pism z gołymi babkami.
- Wstydzę się je kupować - oświadczył Charley.
- Co?!
- Sprzedawca gotów pomyśleć, że podniecają mnie tak, jakby w nich były prawdziwe babki, a nie zdjęcia. Na co komu te pisma? Tylko zboczeniec może mieć radochę z oglądania takich świństw!
- Więc pewnie jestem zboczeńcem - stwierdził Melvini. - Lubię je oglądać.
- Ugotowałem gulasz wołowy, cały gar. Musisz tylko dorzucić parę puszek groszku z marchewką i ugotować makaron.
- Jaki?
- Farfalline. Najlepiej idzie z gulaszem.
- Naszykuj jeszcze kawę zanim pojedziesz, dobrze? Mam już po uszy narzekań Filargiego na kawę robioną przez Doma!
- Dobrze. Zobaczymy się rano.

Po zaparzeniu kawy, Charley wyszedł z willi i wsiadł do furgonetki. Właśnie minęła pierwsza w nocy; o tej porze na drogach było pusto. Dojedzie na plażę o wpół do trzeciej; zdąży się trochę przespać i o szóstej wyruszy z Irene w drogę powrotną. Wcześniej musi uzgodnić z ojcem, jak będą się kontaktować. Nad tym, czego zażądają od Prizzich za zwrócenie im Filargiego, zastanowią się z Irene wracając do Brentwood. Musi pamiętać, żeby zabrać gumową piłkę nie chciał uderzyć Doma i Hydraulika czymś twardym, bo mógłby wyrządzić im krzywdę, a to przecież dobrzy żołnierze i równi goście. Naradzi się

z Irene, gdzie najlepiej trzymać Filargiego, gdy będą negocjować z Prizzimi. Potem pogada z tym biednym skurwysynem i zrobi mu nadzieję, że cała sprawa skończy się dla niego znacznie pomyślniej, gdy wykradną go Prizzim, to nie będzie im sprawiał kłopotów. Posmutniał na myśl, że będzie musiał na zawsze rozstać się z Brooklynem, z papą, zapomnieć o planach prowadzenia totalizatora i o wszystkim, co było mu bliskie, ale co z tego! W porównaniu z Irene to betka! Miał Irene. Wspólnie ułożą sobie życie tam, dokąd pojedą po dogadaniu się z Prizzimi i gdy ci już odbiorą okup, a oni sami wypuszczą na wolność Filargiego, żeby policja mogła go aresztować, prokurator zaś wytoczyć mu sprawę. Los Filargiego gównem go obchodził. Zresztą to stary gość. Miał już sześćdziesiąt trzy lata, a w dodatku kiepską wątrobę, bo lubił żłopać śmietanę.

Teraz wszystko zależało od papy. Jeżeli on i Irene chcieli wyjść cało z tej historii, powinni dobrze obmyśleć dalszy plan działania, ale najważniejsza rola należała do papy: musiał przekonać Prizzich, żeby zaakceptowali proponowane warunki. Jezu, jak Charley nie cierpiał załatwiania czegokolwiek z ludźmi tak chytrymi jak Prizzi! Całe szczęście, że papa był bardziej cwany od nich, nawet od Don Corrada. Miał prawdziwie sycylijski, siedmiowarstwowy umysł: jeśli ktoś mówił "A", papa wiedział, że ma to rozumieć jako "Z", ale równocześnie potrafił się natychmiast zorientować, że prawdziwy sens wypowiedzi, ukryty pod kilkoma fałszywymi, jest "M". Wszedł do mieszkania, starając się poruszać najciszej jak potrafił, lecz Irene i tak się obudziła.

- Charley?
- Śpij, śpij. O szóstej ruszamy.
- Dokąd?
- Dzwonił papa i...
- Zapal światło. Nic nie słyszę.

Wcisnął kontakt. Irene siedziała na łóżku - znad prześcieradła, którym była przykryta do pasa, jej wspaniałe piersi zerkwały na niego niczym para ślepek.

- Jezu, Irene, ale masz piękne cycki!
- Już mi to mówiłeś. Powiedz lepiej, co zdecydował papa. Charley usiadł na łóżku i zdecydowanymi ruchami zaczął zdejmować ubranie.

- Kazał mi się spieszyć. Najpóźniej do południa mamy wywieźć Filargiego z Brentwood.

- Coś się stało?
- Nie wchodził w szczegóły. Porozumiem się z nim znów, kiedy ukryjemy Filargiego.
- Gdzie chcesz go ukryć?
- Rano czeka nas długa jazda, a teraz jest już strasznie późno. Wymyślimy coś po drodze, a teraz korzystajmy z tego, że jesteśmy w łóżku!

Ściągnął z niej prześcieradło, cmoknął z zachwytem, i rzucił się na nią.

Za pięć szóstą wyszli z mieszkania. Przez całą drogę do Brentwood zastanawiali się, co zrobić z Filargim. Irene miała większą ochotę rozmawiać o tym, czego zażądają od Prizzich i dokąd pojedą po szczęśliwym zakończeniu całej sprawy, lecz Charley upominał ją, że na wszystko przyjdzie pora: najpierw muszą porwać Filargiego i gdzieś go ukryć.

- To skomplikowana sprawa - rzekł. Nie możemy wywieźć go do twojej willi w Los Angeles, bo potrzebujemy być na miejscu, żeby regularnie kontaktować się z papą. A poza tym musimy trzymać Filargiego z dala od ludzi, bo już chyba wszyscy znają jego twarz z gazet.

- Wiem. To znaczy wiem, co z nim zrobić.

- Co?

- Na razie wpakujesz go do furgonetki, a ja tymczasem wrócę do miasta i wynajmę samochód oraz przyczepę kempingową. Może lepiej nie przyczepę, tylko taki dom na kółkach, mieszkalny autobus. Będziemy ciągle w ruchu. Pojedziemy na koniec Long Island, a gdy papa zechce się z nami spotkać, wrócimy bliżej miasta i zatrzymamy się na jakimś kempingu.

- Myślałem raczej o łodzi.

- O łodzi?

- Tak. Moglibyśmy wynająć kuter i pływać po Great South Bay, a papa mógłby się z nami kontaktować przez radiotelefon.

- Świetny pomysł, jeśli znasz się na kutrach.

- Myślałem, że sterowanie to żadna sztuka.

- Dla kogoś, kto potrafi. Pływałeś kiedy kutrem? Zwiedzałem jeden w porcie.

- Na wodzie jest znacznie gorzej, cały pokład się chwieje, aż robi ci się niedobrze.

- W takim razie wolę dom na kółkach. Słuchaj, może nam się tak spodoba, że nawet po wypuszczeniu Filargiego będziemy się w ten sposób ukrywać przed Prizzimi. Pojedziemy sobie do Kanady, na Alaskę, a za rok czy dwa, kiedy się wszystko uspokoi, może będziemy mogli wrócić do Stanów.

- Bombowy pomysł!

- Tylko gdzie wynajmiemy taki pojazd?

- Znajdę biuro wynajmu w książce telefonicznej. Jak się człowiek dobrze postara, to znajdzie w niej nawet numer wypożyczalni kondomów!

Gdy od willi w Brentwood dzieliły ich już tylko dwie mile, Charley zjechał na pobocze i zatrzymał furgonetkę. Na Long Island tym palcu lądu skierowanym w morze zaczynał się piękny, letni poranek.

Teraz dyżur pełni Hydraulik, a Dom śpi powiedział Charley. Z Domem poradzimy sobie łatwo, ale Hydraulik to stary wyga.

- Więc ty wejdź drzwiami kuchennymi, a ja wejdę od frontu i zajdę go od tyłu.

- Zgoda.

- Kiedy Prizzi ich znajda,?

- Papa dzwoni w południe i o szóstej. Jak nikt nie odbierze telefonu, zaraz przyśle tu paru ludzi. Wszystko w porządku? Jesteś gotowa?

- Pewnie. Przecież mam tylko dopilnować, żeby Hydraulik przypadkiem cię nie kropnął!

Charley wjechał na podjazd samotnie stojącego domu. Wysiadł z furgonetki i obszedł budynek, żeby wejść przez kuchenne drzwi. Kiedy znikł jej z oczu, Irene również

wysiadła i skierowała się w stronę ganku z przodu domu. W chwili gdy Charley wchodził do kuchni, Irene zdążyła już przejść przez ganek i nacisnęła klamkę frontowych drzwi.

Charley mijał lodówkę, gdy nagle usłyszał za sobą głos Hydraulika;

- Hej, Charley!

Okręcił się na pięcie, stając plecami do drzwi frontowych. Przed nim zwrócony do nich i do niego twarzą - znajdował się Hydraulik; wyłonił się z jadalni, którą miał teraz po swojej lewej ręce. W prawej trzymał policyjny rewolwer, kaliber trzydzieści osiem, wycelowany w brzuch Charleya.

- Co się wygłupiasz? Schowaj gnata! - warknął na niego Charley.

- Chciałeś porwać bankiera, no nie, Charley? O kurwa, ale byś wyciął numer Prizzim!

- Co ty wygadujesz?

- Każdy z nas, Charley, miał przydzielone zadanie. Do mnie należało pilnowanie telefonu. Nagrywam wszystkie rozmowy; nagrałem też twoją wczorajszą rozmowę z Angelem.

- To się sfrajerowałem!

- Charley, nie znam bystrzejszego gościa niż Angelo. Jeśli chce, żebyś porwał bankiera, w grę musi wchodzić naprawdę wielka forsa. Jeśli uważacie, że opłaca wam się ryzyko, to mnie pewnie również.

- Więc?

Jeśli się dogadamy, gotów jestem się do was przyłączyć. Ile płacą ci Prizzi? Piętnaście dolców. - Od nas dostaniesz pięćdziesiąt.

- Kiedy?

- Jak tylko dojdziemy z Prizzimi do porozumienia.

- A ile spodziewacie się od nich dostać?

- Słuchaj, kiedy Prizzi obiecali ci piętnaście, nie pytałeś o nic więcej. Teraz ja ci obiecuję pięćdziesiąt, ale reszta niech cię nie interesuje.

“Hydraulik uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację, Charley. Co teraz?

- Najpierw schowaj spluwę.

Hydraulik wsunął rewolwer za pasek spodni. W tym samym momencie przez otwarte drzwi jadalni wkroczyła do kuchni Irene z bronią gotową do strzału.

- To najlepszy interes, Melvini, jaki zrobiłeś w życiu - Powiedziała, uśmiechając się czarująco.

Hydraulik parsknął śmiechem. Rechotał tak głośno, że aż brzęczały talerze.

Już myślałem, że podszedłem Charleya i byłem dumny z siebie jak diabli, a tymczasem to wy podeszliście mnie! wydusił wreszcie.

- Tak to już jest, Al, w tym naszym fachu! - zawołał Charley, również uśmiechając się szeroko. - Bawimy się w podchody jak banda szczeniaków!

Charley i Hydraulik przywiązali Doma do łóżka, dbając o to, żeby było mu wygodnie.

- Przecież mogę zagłodzić się na śmierć! - krzyknął nagle Dom. Znikniecie z bankierem, a ja umrę z głodu!

- Nie wygłupiaj się, nic ci się nie stanie! - zgromił go Charley. Przecież w południe zadzwonią z Nowego Jorku, a jak nikt nie odbierze, od razu kogoś przyślą!
- Słuchajcie, jeśli macie mnie tu zostawić, związanego jak mumię, to chociaż dajcie mi zjeść solidne śniadanie.
- Niech ci będzie - zgodził się Charley. - Zrób mu coś, Al.
- O nie! - oburzył się Dom. - On nie umie gotować. Ty mi zrób śniadanie, Charley. Zjadłbym podsmażany makaron z odrobiną pasty pomidorowej i odrobiną czosnku, a do tego jajecznicę z małymi papryczkami. Co ty na to. Charley?
- Gówno! - mruknął Charley i dzielił go przez łeb gumową pałką.
- Podczas gdy Charley i Hydraulik wiazali Doma na piętrze, Irene wertowała książkę telefoniczną. Znalazła numer, którego szukała, zadzwoniła i umówiła się, że odbierze wóz mieszkalny z punktu w Bayshore. Kiedy dwaj mężczyźni wrócili na dół, powiedziała Charleyowi, że załatwiła wynajęcie wozu.
- Będziemy mieli nie przyczepę kempingową, a prawdziwy dom na kółkach, tak jak chcieliśmy - oznajmiła. - Pojadę go odebrać, ale któryś z was musi jechać ze mną, żeby przyprzewieźć z powrotem furgonetkę.
- A widzicie? - ucieszył się Melvini. - W trójkę zawsze łatwiej.
- Jedźcie razem - zdecydował Charley. - Jak długo wam to zajmie?
- Może godzinę, może trochę dłużej.
- Jest ósma dwadzieścia. Liczmy dwie godziny. Bądźcie z powrotem o wpół do jedenastej. Ja tymczasem pogadam z Filargim. Ruszymy, jak tylko wrócicie.
- Nie będziemy czekać do dwunastej, żeby odebrać telefon?
- Ojciec chciał, żeby wtedy już nas tu nie było.

Kiedy Irene i Hydraulik odjechali. Charley podszedł do lodówki, wyjął co trzeba i zrobił sobie śniadanie: podsmażany makaron z odrobiną pasty pomidorowej i odrobiną czosnku, a do tego jajecznica z małymi papryczkami. O dziewiątej dwadzieścia, najedzony, sprzątnął kuchnię i zszedł po schodach do piwnicy. Otworzył kłódkę.

- Jak leci? - spytał Filargiego, wchodząc do środka. Prezes banku miał na sobie elegancki granatowy garnitur, białą koszulę i granatowy krawat w drobny, srebrny wzorek. Poprzednim razem Charley przywiózł mu trzy nowe koszule i trzy zmiany bielizny, a także na życzenie porwanego - puszkę pasty do butów i szczotkę.
- Nie narzekam.
- Smakuje panu jedzenie? - spytał Charley. Sam przyrządzał wszystkie posiłki.
- Jest znakomite. Naprawdę świetne. - Ma pan dość książek?
- Hm...
- Kupię więcej. Ale proszę powiedzieć mi jedno: czy wie pan, kto kazał pana porwać?
- Bankier szybko i zdecydowanie skinął głową.
- Prizzi - powiedział. - I dobrze wiem dlaczego. Jeśli wyjdę stąd żywy, w co niespecjalnie wierzę, nie spocznę, dopóki nie doprowadzę do tego, że trafią za kratki.
- Nieduży z pana gość, ale bojowy. A teraz niech pan posłucha. Zabieramy pana stąd. Od tej chwili Prizzi już nie kierują tą akcją.

- Dlaczego?

- To sprawa między mną i nimi. Ale dla pana ta zmiana jest raczej korzystna.

Przynajmniej nikt nie może nam kazać pana kropnąć. I może się nawet tak zdarzyć... - Charley miał na myśli sytuację, w której Prizzi nie zgodziliby się na jego Warunki -...że wyjdzie pan z tego całkiem obronną ręką, bo Prizzi zamierzali odebrać panu bank, a mnie bank jest na nic.

- Niewiele mam do stracenia. Co mam robić?

- Po prostu nie utrudniać nam pracy. To wszystko. Nie chcę dodatkowych kłopotów.

Ma pan ochotę na śniadanie?

- Tak. Tak, jestem głodny.

- To chodźmy. Dla odmiany może pan zjeść dziś w kuchni.

Rozdział 37

Dwaj cieszący się powszechnym poważaniem ludzie, Vincent i Angelo Partanna, siedzieli w gabinecie Eda Prizziego, pomieszczeniu o sześciu oknach i blisko stu metrach kwadratowych powierzchni, mieszczącym się na sześćdziesiątym szóstym piętrze wieżowca wzniesionego za pieniądze Prizzich i stanowiącego ich własność.

Naprzeciw nich, po drugiej stronie masywnego, antycznego biurka, siedział Ed Prizzi, trzymając w dłoni list od Charleya Partanny, w którym ten groził, że zniszczy majstersztyk i pomnik Corrada Prizziego, interes wart dla rodziny siedemdziesiąt milionów dolarów.

Vincent patrzył przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. W drodze z Brooklynu nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa, gdyż jego podwładny, Charley Partanna, nie tylko okazał się zdrajcą, ale co gorsza opluł jego męskość, adresując list do Eda, choć ten nie miał przecież nic wspólnego z tą częścią rodzinnych interesów, których dotyczył list.

Vincent kipiał z wściekłości, natomiast Angelo Partanna podchodził do rzeczy ostrożnie i chłodno. Podczas obecnego spotkania zamierzał wykorzystać nagłą przewagę Eda nad starszym bratem, żeby zapewnić bezpieczeństwo swojemu synowi i uzyskać zgodę na pełnienie roli pośrednika między obiema stronami, co było jedyną gwarancją powodzenia całej akcji.

- "Drogi Eduardo!" - przeczytał na głos Ed. - Pewnie jesteś oburzony, że porwaliśmy Filargiego, ale kiedy wyjaśnię, co mnie do tego skłoniło. Ty i Twój ojciec zrozumiecie, że nie miałem wyboru. Vincent zlecił, żeby mnie sprzątnięto".

- Pieprzy! - ryknął Vincent. - Oszalał! Gdybym kazał go sprzątnąć, już by dawno nie żył!

- Vincent, jeśli chcesz poznać treść listu, to się zamknij! - zgromił go Ed. - W grę wchodzi sześćdziesiąt, siedemdziesiąt milionów. Siedz cicho i słuchaj.

Zaczął czytać dalej od miejsca, w którym przerwał.

- "Vincent oczywiście wszystkiemu zaprzeczy, ale tak się składa, że do sprzątnięcia mnie wynajął moją żonę i wręczył jej pięćdziesiąt dolarów zaliczki. Żona siedzi teraz obok mnie i zaśmiewa się w kułak. Osobiście jestem przekonany, że Don Corrado znalazł

Vincenta na progu swojego domu, bo jest on pięćdziesiąt razy za głupi, żeby być Prizzim.”

Ed uniósł wzrok znad listu i uśmiechnął się do brata.

- Nie wiedziałem, że z Charleya taki żartowniś! Ale posłuchaj dalej: “Pierwsze, czego chcę, zanim zwrócę wam Filargiego, to żebyście dostarczyli mi Vincenta w oznaczonym przeze mnie miejscu i czasie. Druga sprawa: Don Corrado powiedział mojej żonie, że puści w niepamięć sprawę Louisa i Pala i brakujących trzystu sześćdziesięciu dolarów, jeśli zwróci mu tę sumę powiększoną o pięćdziesiąt procent. Ponieważ wiem, jak Prizzi zwykli postępować w podobnych przypadkach spodziewam się, że planowano ją sprzątnąć po oddaniu przez nią pieniędzy. Dlatego właśnie, zanim puścimy Filargiego, żądamy siedemset dwudziestu dolarów, które moja żona musiała zwrócić w dwóch ratach, stu osiemdziesięciu, których dodatkowo zażądał od niej Don Corrado, oraz pięćdziesięciu, które wypłaciłby jej Vincent, gdyby mnie załatwiła. To jest dopiero początek.”

Vincent był koloru bukietu maków. Ze złości i strachu ciśnienie skoczyło mu do góry. Oddech miał płytki, urywany. Nagle zaczął się krztusić - Angelo wstał i poklepał go delikatnie po plecach, mrużąc coś uspokajająco.

- Tylko bez wygłupów! burknął Ed, krzywiąc się z dezaprobatą. Jak chcesz, mieć zawał, to poczekaj aż skończę, dobrze? Opanuj się, do cholery!

- Musimy kropnąć Charleya! - zawołał Vincent. Wtem przypomniał sobie Angela; spojrzał na niego i rzekł:

- Przykro mi, Angelo, ale musimy załatwić Charleya i tyle!

- Vincent, posłuchaj Eda - powiedział cicho Angelo. - Chodzi o siedemdziesiąt milionów.

- “Moje zasadnicze żądania są następujące: po pierwsze zwrot kosztów w wysokości dwóch tysięcy trzystu czternastu dolarów, gdyż tyle wyniosą moje wydatki w ciągu najbliższych trzech tygodni, zanim zakończymy sprawę. Oprócz tego musicie mi wypłacić pięćdziesiąt dolarów dla mojego pomocnika, a także sumę należną mojej żonie za jej udział w porwaniu Filargiego.”

Ed spojrzał zdumiony na Angela.

- Żona Charleya brała udział w porwaniu? - spytał. Angelo skinął głową.

- Tak. Potrzebna była baba, żeby uspić czujność goryla. Vincent posłał doradcy mordercze spojrzenie. Tego mu Angelo nie zdradził.

Ed wrócił do czytania listu.

“Następnie chcę otrzymać całą kwotę z polisy ubezpieczeniowej Filargiego, czyli dwa i pół miliona dolarów. A więc milion sto dla mojej żony, pięćdziesiąt dla pomocnika, dwa tysiące trzysta czternaście jako zwrot kosztów, oraz dwa i pół miliona za Filargiego. W sumie trzy miliony sześćset pięćdziesiąt dwa tysiące trzysta czternaście dolarów i Vincenta. Tylko do jednej osoby mam zaufanie jako do pośrednika: do mojego ojca. Zastanówcie się i zdecydujcie. Jeśli akceptujecie moje warunki, każcie wywiesić sztandar Nowojorskiego Klubu Sportowego na trzydziestym drugim piętrze siedziby klubu w czwartek, dziesięć po dwunastej. Macie dwa dni czasu. Kiedy zobaczę sztandar, wyślę wam instrukcje, w jaki sposób macie mi przekazać pieniądze. Charley.”

Przez chwilę słychać było tylko sapanie Vincenta.

- Spójrzmy na to od tej strony: trzy miliony sześćset to zaledwie pięć procent od siedemdziesięciu milionów - obliczył szybko Ed. - Ale przecież dwa i pół miliona płacimy nie my, lecz towarzystwo ubezpieczeniowe. Tak więc nasz rzeczywisty koszt odzyskania banku kształtuje się poniżej półtora procent! Jak można odrzucić tak opłacalny interes?

- Jak to jak?! - zawył Vincent. - Przecież ten skurwysyn chce nie tylko forszę, ale również mnie!

- Uspokój się, Vincent! - zachnął się Ed. - Charley tylko tak napisał, żeby pokazać, że nie żartuje. Ten punkt możemy wynegocjować, prawda Angelo? Mam rację?

Angelo objął ramieniem Vincenta.

- Na miłość boską, Vincent, znasz Charleya. Musiał to napisać. To sprawa honoru. I dobrze. Napisał. A teraz pomachamy mu przed nosem trzema milionami sześćset i powiemy: albo forsa, albo nic. Weźmie forszę i koniec.

- O kurwa, Vincent, chyba nie myślisz, że zrobimy z ciebie prezent Charleyowi? - spytał Ed, i nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Angela: - Nie twierdę, że damy mu tyle, ile żąda. Możemy się potargować, nie? Zaproponujemy mu trochę mniej i zobaczymy, co on na to.

- Ed, słabo znasz Charleya! Nie pójdzie na żadne targi. Jeśli chcecie Filargiego, musicie mu zapłacić całość - odparł Angelo.

O Vincencie już nie wspomniał.

- Jedźmy więc do taty i załatwimy sprawę od ręki - postanowił Ed.

Oddał list Charleya Angelowi, a ten złożył go i schował do kieszeni marynarki.

Zjeżdżając na dół windą milczeli tak samo jak pozostali pasażerowie. Ed uszczyptał stojącą tuż przed nim ładną młodą cizję; odwróciła się i uśmiechnęła kokieteryjnie. Tak się napalił, że pobiegłby za nią, kiedy wysiadła, gdyby Angelo nie złapał go za rękaw i nie powstrzymał.

Wyszli głównymi drzwiami na Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę i już mieli przejść na drugą stronę, gdy Ed nagle przystanął. Poczekajcie, kupię gazetę, chcę zobaczyć notowania giełdowe oświadczył i zawrócił w kierunku budynku.

Granatowy oldsmobile, zaparkowany kilkanaście metrów dalej, ruszył wolno z miejsca i podjechał do trzech mężczyzn, znajdujących się w różnej odległości od krawężnika: Vincent stał najbliżej, Angelo trzy kroki za nim, odwrócony w stronę Eda, który właśnie wchodził do budynku, gdy Cheech Scaramanzia z rodziny Bocca otworzył ogień przez otwarte okno wozu. Vincent zwałił się na chodnik. Granatowy wóz przyspieszył i włączył się w sznur aut jadących ulicą. Ed wybiegł z budynku.

Rozdział 38

Vincent nie żył, kiedy odwieziono go do Szpitala Roosevelta. Angelo Partanna i Ed Prizzi wmieszali się w tłum gapiów, którzy patrzyli, jak sanitariusze wsuwają nosze z Vincentem do karetki. Angelo poradził Edowi, żeby wracał do siebie do biura, sam zaś złapał taksówkę i ruszył za karetką do szpitala. W ciągu dziesięciu minut zdołał przekupić dwie pielęgniarki i trzech salowych, żeby pozwolono mu czekać na tym samym piętrze,

co sala operacyjna. Kiedy dowiedział się, iż Vincent nie żyje, zadzwonił do Eda powiadomić go, że jedzie do Corrada.

- Kto to zrobił? szepnął Ed do słuchawki.

- Bocca.

- Co z Vincentem?

- Nie żyje.

- Straszne! - jęknął Ed i dwie ogromne łzy spłynęły mu po policzkach. - Dla taty będzie to okropny cios.

- Jest silny - rzekł Angelo.

- No, przynajmniej nie będziemy musieli oddać Vincenta Charleyowi.

- Tak. Ale fakt jest, że z Vincentem ostatnio działo się coś dziwnego. Zmienił się.

Niegdyś był energicznym człowiekiem, już jako szczeniak był z niego prawdziwy tygrys, ale potem coś w nim pękło, zmienił się nie do poznania.

- To przez córkę - oświadczył Ed. - Zatrzymała mu życie. Dobra, jedź do taty i powiedz mu, co się stało.

Za pięć szóstą Angelo wysiadł z taksówki przed rezydencją Sesterów. Gdy tylko doszedł do schodów, drzwi się otworzyły. Przywitała go Amalia z twarzą poszarzałą ze smutku. Angelo objął ją i poklepał po ramieniu, mrużąc coś cicho.

- Tatusz z miejsca wyczuł, że stało się coś strasznego, skoro nie przyjechaliście od razu.

Angelo wspinał się wolno po schodach na piętro i zastukał do dwuskrzydłowych drzwi pokoju mieszczącego się po zachodniej stronie budynku. Głos ze środka polecił mu wejść.. Wszedł, zamknął za sobą drzwi i zbliżył się do Don Corrada.

- Kto zginął? - spytał starzec.

- Vincent.

- Kto go zabił?

- Człowiek Bocci.

- Gdzie?

- Przed biurem Eda.

- Widziałeś?

- Tak.

- Jak to się stało, że ty ocalałeś?

Stałem kilka kroków za Vincentem, a Ed kupował gazetę. Zresztą zabójcy wyraźnie chodziło tylko o Vincenta.

Drobny starzec spojrział przez okno w kierunku Manhattanu, na oszklone wieżowce połyskujące w ostatnim blasku zachodzącego słońca niczym tłum mokrych ludzi w łaźni.

Vincent był wspaniałym człowiekiem rzekł. Nieśmiałość nie pozwalała mu okazywać uczuć, ale bardzo wszystko przeżywał. Kochał swoją rodzinę. Na pierwszym miejscu zawsze stawiał honor.

Nigdy go nie zapomnimy.

- Tacy jak on nie rodzą się na kamieniu! Ale potem... sam nie wiem... jakby się nagle zestarzał. Kiedy mu powiedziałem, że czas, by się wycofał, nawet nie zaprotestował.

Przed kilkoma dniami zaprosiłem na obiad Charleya i zaproponowałem mu objęcie stanowiska szefa. Jestem pewien, że świetnie da sobie radę.

Angela przeszył ból promieniujący od żołądka aż po lewe ramię, tak silny, że jęknął tylko i opadł na fotel.

- Angelo, Angelo, przeżyłeś dziś straszne chwile. Nie jesteś już młodzieniaszkiem. Musisz odpocząć.

Angelo wyjął z prawej kieszeni marynarki małą buteleczkę, powoli zdjął nakrętkę, wysypał na dłoń dwie pastylki i wrzucił sobie do ust. Don Corrado podał mu kieliszek wina, żeby je popił.

- Już mi minęło - rzekł Angelo.

- Możemy rozmawiać, czy wolisz odpocząć?

- Możemy rozmawiać. Nalej mi jeszcze wina, a będę gotów śpiewać.

Don Corrado ostrożnie napełnił mu kieliszek, po czym znów usiadł na wprost swojego consigliere. - Co napisał Charley?

- Charley żąda bardzo wiele odparł Angelo, wyjmując z kieszeni list. Rozpostarł kartkę na kolanie, włożył okulary w drucianej oprawie i odczytał list na głos.

- Wiesz co? Teraz rozumiem, dlaczego Charley pomyślał, że chcę go załatwić, gdy zaproponowałem mu objęcie posady Vincenta stwierdził Don Corrado.

- Cóż, tak właśnie myślimy my, Sycylijczycy.

- Maerose chciała, żeby Vincent cierpiał. Wcześniej wiele sama nacierpiała się przez niego. Czasami mi się zdaje, że może tak było im pisane, aby jedno cierpiało przez drugie. Vincent chciał zlikwidować Charleya, bo wmówił sobie, że Charley skrzywdził Maerose i właśnie dlatego stała się opryskliwa dla niego, Vincenta, podczas gdy on pragnął całą duszą, by kochała go tak, jak córka powinna kochać ojca. Kiedy dowiedział się, że Charley poślubił kobietę, która wraz z Louisem Palem obrobiła nas w Vegas, po prostu coś w nim pękło. A ponieważ pech go już wówczas nie odstępował, właściwie trudno się dziwić, że wynajął akurat żonę Charleya, by sprzątnęła twojego syna.

- Masz rację, Corrado. Też zauważyłem, że Vincent się zmienił. Stracił ochotę do życia. Wypalił się.

- No, trudno mi mieć do Charleya pretensje. Gdybym wiedział... Był przekonany, że zaproponowałem mu awans tylko po to, żeby uśpić jego czujność, a tymczasem poleciłem Vincentowi, żeby kazał go rozwalić. Gdy więc powiedziałem jego żonie, żeby zwróciła nam resztę pieniędzy i zapłaciła karę, bo jest żoną Charleya, a my żon nie zabijamy, uznał, że chcę odzyskać forszę, a potem i tak każe ją kropnąć. Charley jest mężczyzną. Musi walczyć. Wziął się do dzieła z takim samym zapałem i energią jak wtedy, gdy w wieku lat trzynastu załatwił w Bronksie Małego Phila Terrona. Wije musimy wyjaśnić to nieporozumienie. Ed chce odzyskać bank i zarobić siedemdziesiąt milionów dolarów, bardzo słusznie, ale dla mnie równie istotne jest odzyskanie zaufania Charleya. Kto będzie pośrednikiem?

- Ja.

- Dobrze. Kiedy się z nim zobaczysz, powiedz mu, że musi się spotkać ze mną, żeby dobić targu. Niech przyjedzie tutaj. Chętnie zaprosiłbym go na obiad, bo Charley lubi dobrze jeść, ale obawiam się, że byłby za bardzo spięty, aby mieć z tego

przyjemność. Umów nas lepiej około piątej w jakiś słoneczny dzień. Jeśli będzie padać, przełożymy spotkanie. Niech zjawi się tutaj. Powiedz mu, że jeśli chce. Amalia pojedzie z tobą tam, gdzie poleci ci ją zabrać - my nie będziemy wiedzieli dokąd i zaczeka z jego żoną, dopóki on stąd nie wyjdzie, więc gdybym próbował go wykiwać, ryzykowałbym życie mojej ukochanej córki. Musimy wyjaśnić sobie z Charleyem to całe nieporozumienie.

Rozdział 39

Do budowy wozu mieszkalnego, który wynajęła Irene, wykorzystano podwozie macka z 1961 roku; albo przechowywano je przez te wszystkie lata w naftalinie, albo niegdyś produkowano znacznie solidniejsze ciężarówki niż obecnie. Wnętrze było tak zaprojektowane, że w wozie znajdowały się dwa pomieszczenia sypialne, jadalnia połączona z salonikiem, kuchnia, toaleta i prysznic. Z przodu, w sfoferce, oprócz fotela kierowcy mieściła się szeroka, wygodna prycza. Co pięć godzin Charley zmieniał na dwie godziny Hydraulika za kierownicą. Kiedy nie prowadził, Hydraulik spał na pryczy, nad którą w ciągu dwóch dni zdążył porozwieszać pełno zdjęć nagich dziewczyn powycinanych z różnych pism. Hydraulik był jedynym w tym gronie miłośnikiem prasy, lecz nie dzienników. Pozostali też ich nie kupowali, gdyż uważali, że jeśli chodzi o sprawy dotyczące porwania, sami najlepiej wiedzą, co się dzieje; inne zaś ich nie interesowały. Radia ani telewizora nie mieli.

Trochę zresztą orientowali się w tym, co słyhać na świecie, bo Irene zwykle patrzyła na nagłówki gazet, gdy robiła zakupy w miejscowościach, przez które przejeżdżali. Nie robiła ich często, gdyż zdaniem Charleya było to ryzykowne.

- Działem warzywnym zawsze kieruje jakiś Włoch - powiedział. - Jeszcze cię rozpozna i powie swojemu bratu czy kuzynowi, który pracuje dla Prizzich. Nie zapominaj, że Don Corrado ma bardzo długie ręce.

Irene kupiła gazetę, gdy wpadł jej w oko nagłówek o pożarze Palermo Gardens. Charley i Hydraulik prawie się popłakali, czytając listę osób, które zginęły w płomieniach. Wszystkich znali od dziecka.

- Co za okropna katastrofa! - rozpacział Melvini. - Boże święty! Mary Gingarola! O małośmy się nie pobrali!

Cisnął gazetę w kąt i odwrócił się plecami. Charley również był tak przygnębiony, że przestudiował listę nazwisk, ale nie miał ochoty czytać całego artykułu. Dlatego też nie dowiedział się, że istniało podejrzenie, iż budynek został podpalony. Wkrótce ruszyli na koniec Long Island, więc wiadomość o śmierci Vincenta w ogóle ich ominęła.

Irene i Charley robili zakupy, gotowali i dbali o czystość. Filargi siedział pod kluczem w przedniej sypialni. Charley zamocował na jej oknie solidną okiennicę, którą zamykał, gdy się zatrzymywali, ale w czasie jazdy - czyli przez większość czasu pozostawała otwarta.

Mieli stałą trasę między Riverhead a Montauk: jechali południowym brzegiem do Montauk Point, na samym końcu. Long Island, po czym wracali przez Sag Harbor, brali prom z Shelter Island do Greenport, i jechali wzdłuż brzegu północnego. Starali się

omijać główne szosy. Nocowali na polach kempingowych, gdzie mogli podłączyć się do wody i elektryczności. Czwartego dnia - a drugiego od doręczenia listu Charleya Prizzim Irene wsiadła w ranny pociąg w Riverhead, wysiadła na Penn Station i pojechała taksówką na Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę: sztandar Nowojorskiego Klubu Sportowego powiewał na trzydziestym drugim piętrze. Ujrawszy to, wysłała przez posłańca drugi list do Eda Prizziego.

Treść listu była prosta: Angelo Partanna miał o oznaczonej godzinie wsiąść do czwartego wagonu pociągu jadącego na Long Island, wsiąść na Jamaica Station i czekać na peronie, aż ktoś do niego podejdzie. Charley wiedział, że nie ma mowy, aby Prizzi kazali policji otoczyć stację; ponieważ w grę wchodziło siedemdziesiąt milionów dolarów, miał całkowitą pewność, że nie będą próbować tego rodzaju numerów, ale na wszelki wypadek wybrał Jamaica Station, albowiem tam o podanej przez niego porze na peronie zawsze panował tłok, gdyż przesiadali się pasażerowie trzech pociągów, które przyjeżdżały równocześnie; w tłoku zaś łatwiej będzie mu zgubić ogon, gdyby ktokolwiek śledził papę.

Przeprowadził ojca przez dwa pociągi, trzy perony, i skierował w dół po schodach podziemnego przejścia prowadzącego na ulicę, zwykle zamykanego na noc. Teraz sam zamknął je na kłódkę, żeby uniemożliwić ewentualny pościg, po czym wsiedli do czekającej przy krawężniku furgonetki i oddalili się bez przeszkód, bo też od początku nikt nie zamierzał im przeszkadzać.

- Co słysząc, papo?

- Mam dla ciebie parę niespodzianek, Charley. Powiedzieć ci teraz, czy jak dojedziemy?

- Teraz.

- Ludzie Bocci kropnęli Vincenta.

Co? CO?!

- Rozwalili go na ulicy.

- A dlaczego? Za co?

- Pretekstu dostarczył im sam Vincent, obrażając Boccę na zebraniu szefów rodzin w sprawie tego zabójstwa żony kapitana policji, więc mówi się, że Bocca działał w obronie swojego honoru. Ale prawdziwa przyczyna jest furia glin, które szaleją, by dostać w swoje ręce zabójcę tej kobiety. Właśnie dlatego zwołano zebranie.

- Nie rozumiem, papo.

- Słuchaj: Bocca kazał kropnąć Vincenta, aby pokazać nam, że dopóki nie wydamy policji zabójcy, będą rozwalać po kolei nas wszystkich, bo gliny tak ich naciskają, że nie mają wyboru; ponieważ prostytucje jest najłatwiej ukrócić, gliny właśnie Boccom najmocniej przykręcają śrubę.

- Banda kutasów! - zezłościł się Charley. Jechali wolno, kierując się na południe. - Czy nie rozumieją, że wydanie zabójcy oznacza przyznanie się do winy, czy po prostu gównem ich to obchodzi? - spytał po chwili.

- Charley, każda z rodzin wie, co oznacza wydanie zabójcy. Gdybyśmy dali glinom Irene, mogłaby im opowiedzieć wszystko o porwaniu Filargiego. A gdyby zaparła się i nic

nie mówiła, bo gliny nie mają przeciwko niej żadnych dowodów, to przecież Filargi rozpozna ją, kiedy tylko go puścimy, a musimy puścić, gdyż inaczej Prizzi nie zarobią siedemdziesięciu milionów.

- I tego właśnie chce Bocca? Żeby Prizzi wydali zabójcę, a polem bez względu na to, co się zdarzy, dostali w dupę?

- Jeśli wydamy Irene, gliny będą wiedziały, że to Bocca tak im się przysłużył i przestaną go cisnąć. A kiedy Irene zacznie sypać i wmiesza Prizzich w porwanie Filargiego i oba zabójstwa, wtedy Bocca spróbuje przejąć część naszych interesów. Nie twierdzę, że już teraz to planuje, ale dokładnie tak potoczą się sprawy, jeśli Irene zacznie sypać.

- Więc skoro mógł przewidzieć, że i tak czekają nas kłopoty, po cholere kazał rozwalić Vincenta? Angelo wzruszył ramionami.

- Bocca też ma swój honor, Charley. Pogrzeb Vincenta odbędzie się jutro w Santa Grazzia.

- Żałuję, że nie będę obecny odparł Charley: pogrzeby, chrzty i śluby były bardzo ważne dla wszystkich członków rodziny Prizzich.

- Chcesz wiedzieć, jak Prizzi zareagowali na twój list, czy mam poczekać, aż spotkamy się z Irene?

- Powiedz od razu.

- Dostaniesz tyle, ile żądasz. Don Corrado osobiście zaakceptował twoje warunki.

- Serio? Żadnych targów? Dadzą mi forszę i koniec?

- No, niezupełnie. Posłuchaj, Charley. Pojechałem do Don Corrada gdy tylko pokazali mi w szpitalu akt zgonu Vincenta. Kiedy mu powiedziałem o tragedii, jaka go spotkała, rozgadał się. Najpierw mówił o Vincencie, jak to miał przenieść go do Vegas, a potem o tym, że zaproponował ci stanowisko szefa. Wcale cię wtedy nie podpuszczał, rozumiesz?

Charleya zamurowało. Zjechał na pobocze i zatrzymał wóz.

- Nie zamierzał mnie sprzątnąć? Poważnie chciał, żebym objął stanowisko Vincenta?

- Tak.

- Cholera! Nie wiem, co powiedzieć.

- Kiedy przeczytałem mu twój list, bardzo się przejął. Ze dwa razy powtarzał, że pragnie wyjaśnić to nieporozumienie. Nie udawał. Naprawdę chce się z tobą pogodzić.

- Papo...

- Wiesz, co o tym myślę, Charley? To oczywiste, że Corradowi zależy na tych siedemdziesięciu milionach. Ale Vincent nie żyje. Corrado i ja jesteśmy już obaj starzy. Potrzebuje cię. Któż inny umiałby pokierować interesami rodziny? Nikt. Pozostali to sami smarkacze. Dlatego właśnie zaakceptował wszystkie twoje warunki. Nie przysłał mnie, żebym prowadził z tobą negocjacje, tylko przekazał ci tę wiadomość. Chce się z tobą spotkać i wyjaśnić całą sprawę. To dla ciebie wielka szansa.

Charley siedział nieruchomo, wpatrując się w szyld z napisem PRALNIA CHEMICZNA. Myślał o tym, jakby to było, gdyby został szefem rodziny Prizzich. Jego dotychczasowe życie predysponowało go do objęcia tego stanowiska. Rozpoczął trening

w wieku trzynastu lat; teraz miał otrzymać nagrodę. Czuł swoją przyszłą władzę tak namacalnie, jakby była kawałkiem mocnego, grubego płótna, który trzyma w palcach. Czuł jej smak, jakby była wspaniałym daniem ugotowanym specjalnie dla niego przez matkę, cudem przybyłą z zaświatów. Pomyślał o pieniądzach. Vincent zarabiał rocznie z osiem milionów dolarów i nie płacił od tego ani centa podatków: cała forsa szła przez szwajcarski bank, a potem inwestowana była w najintraćniejszych przedsięwzięciach wynajdywanych przez Eda dla Prizzich. Pomyślał o szacunku, którym wszyscy będą go darzyć.

- Fakt. Ale i wielkie ryzyko - powiedział.

- Nie, Charley, zupełnie nic ci nie grozi.

- Możesz mi to zagwarantować, papo?

- Zawsze mogłem ręczyć za ciebie, za siebie. Chociaż znam Corrada od pięćdziesięciu lat, normalnie wolałbym nie dawać za niego gwarancji, ale teraz, gdy Vincent zginął, Corradowi naprawdę na tobie zależy, Charley. Potrzebny mu jesteś, żeby pilnować interesów rodziny, jak również dlatego, że bez ciebie nici z odzyskania banku, a ta akcja miała być jego pomnikiem. Dlatego, biorąc to wszystko pod uwagę, mogę ci zaręczyć, że nic nie ryzykujesz spotykając się z nim u Sesterów.

- Kiedy?

- Nazajutrz po wypłaceniu okupu za Filargiego przez towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Ale tę forszę dostanie Don Corrado, nie ja. Nie zamierzam puścić Filargiego dopóki nie otrzymam szmalu!

- Posłuchaj, Charley: najlepiej, żebyście się spotkali nazajutrz po wpłynięciu okupu, który ma być przelewany do różnych zagranicznych banków; do tego czasu zdążymy się zorientować, czy wpłynęła już cała suma, i czy masz puścić Filargiego. Za jednym zamachem wszystko się wyjaśni: dostaniemy okup, ty spotkasz się z Corradem i ubijesz z nim interes, potem uwolnisz Filargiego, gliny go złapią, a Corrado zacznie się szykować do odkupienia swojego banku za jedną dziesiątą ceny.

Rozdział 40

Okup za Filargiego wpłynął do banków w Lagos, Hongkongu, Arubie, Panamie i Sao Paulo dokładnie w tym czasie, gdy na Staten Island, na cmentarzu Santa Grazia di Traghetto, pośród pereł nekroarchitektury, strzelistych marmurowych grobowców oraz posągów upamiętniających zmarłych członków rodzin Prizzi. Sestero i Garrone, miał miejsce pochówek Vincenta.

Pogrzeb odbył się z pompą, Vincent był jednym z ostatnich ze starej gwardii mafiosi urodzonych za oceanem w Agrigento, toteż uroczystość żałobna zgromadziła całą śmietankę świata przestępczego Stanów Zjednoczonych; przybył także przedstawiciel rodziny Spina, sycylijskich opiekunów i teściów Don Corrada. Prasa oceniła koszt złożonych wieńców na sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Główne sieci telewizyjne przysłały swoje ekipy. Prokurator generalny, sekretarz do spraw gospodarki, dyrektor federalnej komisji telekomunikacyjnej, sześciu gubernatorów i jedenastu senatorów zadzwoniło do Don Corrada lub Eda Prizziego, by złożyć im kondolencje. Wszyscy

obecni na mszy ubrani byli na czarno; ciemne, nie ogolone policzki Sycylińczyków również stanowiły wyraz żałoby. Gdy ze środka wynoszono trumnę i lokowano na czarnym karawanie, którym miała odbyć podróż przez Verrazano Narrows Bridge na miejsce wiecznego spoczynku, przed kościołem grała orkiestra dęta, też odziana w czerni.

Don Corrado, pogrążony w modlitwie, stał nad grobem syna w otoczeniu ośmiu osowiałych goryli, gdy biskup intonował słowa zbiorowego pożegnania. Maerose Prizzi próbowała rzucić się do grobu za trumną, a sześćdziesięciu czterech ministrantów w bieli, z przyczepionymi skrzydłami aniołków, śpiewało uproszczoną wersję Requiem Verdiego opracowaną przez Scotta Millera, którą nagrywała na żywo ekipa z wytwórni płyt należącej do Prizzich, żeby potem rozstać obecnym na pamiątkę.

Angelo Partanna przecisnął się przez tłum do Don Corrada i objął jego kruche ramiona pocieszycielskim gestem. Przez słodkie powietrze pięknego, słonecznego dnia do uszu starca dobiegł szept:

- Pieniądze są już w Zurychu.

Don Corrado wytarł nos.

Po pogrzebie wrócił do rezydencji Sesterów, gdzie nazajutrz miał odwiedzić go Charley.

- Może pojechalibyśmy do Montauk i wybrali się na ryby? - zaproponował Hydraulik.

- Czemu nie? zgodził się Charley.

Hydraulik wysiadł tylnymi drzwiami, żeby przejść do szoferki. Kilka minut później byli już w drodze.

- Jesteś pewien, że Don Corrado nie spróbuje cię wykiwać? - spytała Irene.

- Absolutnie! Wygraliśmy. Nie musimy uciekać, nie potrzebujemy operacji plastycznych i nowych dokumentów. Mało że dostaniemy forszę, to jeszcze wkrótce będziemy kierować wszystkimi interesami rodziny. Czy kiedykolwiek spodziewałaś się, że będziesz żoną szefa największej rodziny w całych Stanach? Wszystko układa się nam fantastycznie!

- Bo ty jesteś fantastyczny. Gdyby nie ty, byłoby już po nas.

- Nie wiem, jakim cudem to się stało, ale w pełni uwierzę w nasz sukces dopiero gdy Corrado Prizzi potwierdzi wszystko osobiście!

- Słuchaj, znajdźmy jakąś budkę telefoniczną, to jutro wieczorem przyjadę do niej, a ty zadzwonisz natychmiast po spotkaniu i powiesz mi, jak ci poszło.

- Dobra! Aha, musimy uzgodnić, gdzie się spotkamy, bo nasz następny krok to uwolnienie tego biednego sukinsyna. Odwrócił się i spojrzał współczująco w stronę drzwi, za którymi zamknięty był Filargi. Wiesz co? Ponieważ będzie nam potrzebna furgonetka, którą zostawiliśmy w garażu, postarajcie się dojechać jutro do Brentwood między szóstą a siódmą. Tam do ciebie zadzwonię.

- Świetny pomysł.

Nazajutrz o drugiej po południu Charley wsiał w Smithtown w pociąg jadący do Nowego Jorku.

Don Corrado płakał opowiadając Charleyowi o Vincencie. Mówił o swoich pierwszych latach w Nowym Jorku, kiedy mieszkał z rodziną na Mulberry Street na Manhattanie, a Vincent był jeszcze małym chłopcem.

Już wtedy był bardzo poważnym dzieckiem. Mieliśmy z nim sporo kłopotów, bo nie chciał chodzić do szkoły, tylko rwał się, żeby pomagać mi w interesach. Spinowie, moi teściowie z Agrigento, załatwili mi kredyty, więc założyłem firmę handlową i zacząłem importować oliwę i sery. Otworzyłem filię w Brooklynie. Kiedy postanowiłem przenieść tam cały interes. Vincent miał już dwanaście lat. Musiałem pracować go codziennie, żeby chodził do szkoły, ale i tak rzucił ją kilka miesięcy później, gdyż byłem zbyt zajęty, by go ciągle pilnować. W tym czasie założyłem bank malutki, zajmujący tylko jedno pomieszczenie żeby Włosi z Brooklynu mieli gdzie lokować swoje oszczędności, a wkrótce potem wpadłem na pomysł, że skoro mam bank, mogę również zorganizować dla moich rodaków loterię. Cieszyła się ogromnym powodzeniem, potrzebowałem więc kogoś, kto by nią kierował, żebym sam mógł zająć się innymi przedsięwzięciami. Napisałem do Agrigento do Pietra Spiny, głośnego przyjaciela przyjaciół, i w dwudziestym szóstym roku przysłał mi twojego ojca. Angelo miał wówczas zaledwie siedemnaście lat, ale przyjechał w dobrym momencie, w samym środku prohibicji; dorobiliśmy się na niej obaj. W moim sercu Angelo zajmuje specjalne miejsce.

Przez prawie sześćdziesiąt lat pracujemy ramie przy ramieniu. Jest moim najwierniejszym i najstarszym przyjacielem; teraz koło się zamyka, i tak jak niegdyś twój ojciec, tak teraz ty będziesz kontynuował moje dzieło. Los pozbawił mnie syna; ty mi go zastąpisz. Świadom, że nie złamiesz nigdy ślubu posłuszeństwa i milczenia, mianuję cię szefem najważniejszych operacji naszej rodziny. Czy zgadzasz się, synu mojego przyjaciela, synu Prizzich?

- Uczyliście mi wielki zaszczyt, Padrino.

- Przypieczętujemy nasz układ - powiedział starzec, wyciągając szpilkę z kłapy marynarki.

Nakłuł sobie palec wskazujący; gdy zebrała się na nim kropla krwi, podsunął go Charleyowi, który ją zlizął.

- Jestem w tobie - oświadczył Don Corrado.

Wziął dłoń Charleya, też nakłuł mu palec i oblizwał z krwi.

- Stanowimy teraz jeden umysł, jedno ciało. Moi wrogowie są twoimi wrogami. Moja wola jest twoją wolą.

Charleyowi zrobiło się słabo, gdy pomyślał o władzy, jaka na niego spłynęła.

- Będę ci wiernie służył, Padrino - obiecał głosem ochrypłym z przejęcia.

- A teraz do rzeczy! - zawołał energicznie Don Corrado, wycierając nos. - Hydraulika trzeba usunąć. Zdradził rodzinę, przechodząc na twoją stronę. Poza tym za dużo wie o tobie i twoim ojcu. Mógłby się wygadać przy kieliszku, jak to dał ci się przekupić. Bo jak rozumiem, przeszedł na twoją stronę wyłącznie dla pieniędzy, prawda?

- Tak.

- Nie chodziło mu, tak jak tobie, o ratowanie żony. Ani też nie kierował się miłością do ciebie, swojego sottocapo. Zdradził rodzinę dla pieniędzy. Gdyby pozostał mi wierny, przyłączyłby się do ciebie i twojej żony tylko po to, żeby was wykończyć. Ale on wolał

mnie znieważać. Niech więc pomaga wam do zakończenia sprawy Filargiego. Niech myśli, że mu wybaczyłem. Za tydzień czy dwa każesz go rozwalić.

Charley był zły na siebie. Zmarnował pierwszą okazję, żeby pokazać, iż umie troszczyć się o swoich ludzi. Miał nauczkę na przyszłość.

- Ale to drobiazg. Najważniejszy jest mój pomnik, Charley. Słuchaj, powiem ci, gdzie masz wypuścić Filargiego, żeby zapoczątkować proces, który krok po kroku doprowadzi do jego aresztowania, skazania i hańby, a mnie pozwoli odzyskać bank za jedna dziesiątą ceny. - Starzec, wciąż perorując z zapalem, podsunął Charleyowi pudełko meksykańskich cygar. - Towarzystwo ubezpieczeniowe zapłaciło okup; pieniądze wpłynęły na konto w Zurychu. Kiedy tylko zechcesz, przelejemy całą tę sumę, dwa i pół miliona dolarów, na twoje konto.

Charley był tak wzruszony, że zdołał tylko westchnąć.

- Jutro o dziesiątej rano przywieź Filargiego do Nowego Jorku i wypuść na rogu Madison i Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Bądź dla niego uprzejmy, to ważne. Pójdzie do swojego hotelu dwie przecznice dalej. Angelo uprzedzi agentów FBI; będą już czekać w hallu. Zabiorą go na przesłuchanie, a następnie oskarżą o malwersację funduszy bankowych. Gliny, już i tak naciskane przez towarzystwo ubezpieczeniowe, otrzymają od nas poufne wskazówki, gdzie szukać dowodów na to, że Filargi zaaranżował również własne porwanie, by wyłudzić okup, i w jaki sposób kazał go sobie przekazać. Zostanie także oskarżony o współudział w zabójstwie swojego goryla i tej kobiety, żony kapitana policji. Idąc śladem okupu, prowadzącym przez Lagos, Arubę, Hongkong i Sao Paulo, gliny dotrą do tajnego konta otwartego na nazwisko Filargi w banku w Lichtensteinie. Ponieważ przeciwko Filargiemu będzie się toczył proces, bank - na wniosek naszego departamentu sprawiedliwości - ujawni stan jego konta; do tego czasu będzie oczywiście puste, bo pieniądze zostaną przekazane dalej, a jedyne, co się potwierdzi, to że konto faktycznie należało do Filargiego. Gomsky tak spreparował księgi, by jasno z nich wynikało, że prezes banku dokonywał malwersacji. Filargi trafi do pierdła na dwadzieścia pięć lat, a bank okryje się niesławą, więc Włosi chętnie przystaną na cenę proponowaną przez naszych agentów. Może wreszcie ten gnojek zrozumie, że popełnił największy błąd w swoim życiu, kiedy odrzucił moją propozycję!

Don Corrado wstał. Audiencja była skończona. Wolnym krokiem odprowadził Charleya do drzwi.

- Dziś wieczorem nastraszą go porządnie, Charley. Jest przecież neapolitańczykiem. Nawet jeśli mu się zdaje, że o wielu sprawach zapomniał, w głębi serca wciąż o nich pamięta. Powiedz, że nasze ramię sięga wszędzie, i jeśli zechce się z kimkolwiek podzielić swoimi podejrzeniami na temat tego, co mu się przytrafiło, bez względu na to, gdzie będzie - w więzieniu, za najwyższym murem, otoczony kordonem policji - zabijemy go. Nastraszą go najlepiej, jak umiesz. Nie jest panem Robertem Finleyem, wielkim bankierem, lecz Rosariem Filargim, neapolitańczykiem; zrozumie.

Opuszczając Brooklyn Heights Charley nie posiadał się ze szczęścia. Tydzień temu sądził, że już za kilka dni on i Irene będą musieli uciekać ze Stanów, uciekać przez resztę życia, pozbawieni domu, tożsamości, przyjaciół. A teraz był szefem największej rodziny w kraju. Za to, że odważył się postawić Prizzim, otrzyma od nich dwa i pół

miliona dolarów. Wprawdzie Don Corrado nie wspominał nic o sumie należnej Irene i może nie zamierzał jej zapłacić, ale co z tego! Na pocieszenie sam da jej połowę okupu, a zresztą mniejsza o forszę; Irene będzie przecież szalała z radości, że został szefem!

Zreorganizuje wszystkie podległe mu operacje Prizzich. Trzej capiregime od dawna pracują na pół gwizdka. Poprosi Eda Prizziego, żeby zbudował mu nowoczesną pralnię, wielki gmach mieszczący funkcjonalne hale wyposażone w najwyższej jakości sprzęty; funkcjonalny i czysty, żeby pracowało się w nim przyjemnie, a nie tak jak w tej pełnej karaluchów ruderze, do której wchodził z głębokim obrzydzeniem. Najlepiej, jeśli założą firmę pralniczą obsługującą wszystkie hotele w mieście; wówczas ich siedziba będzie przynosić zyski, a konkurencję doprowadzą do plałty.

Miał zastrzeżenia do lichwiarskiej działalności rodziny. Vincent rozbudował ją piętnaście lat temu i sądził, że już większych dochodów nie uda mu się wycisnąć, lecz zdaniem Charleya po wprowadzeniu odpowiednich zmian można by osiągnąć zyski wyższe aż o trzydzieści procent. Wpływy z totalizatora sportowego były tak niebosiężne, że nikomu nawet nie przyszło do głowy się zastanowić, ile tracą na niesumienności dłużników. Vincenta do tego stopnia oszałamiała wielkość codziennego utargu, iż nie myślał o tym, że mógłby spowodować jego ośmioprocentowy wzrost, gdyby do zbierania należności zatrudnił jeszcze kilku żołnierzy, obiecał im prowizję i polecił im sprawić porządne manto paru najbardziej opornym dłużnikom; wieść by się szybko rozniosła i nikt nie próbowałby więcej naciągać bukmacherów.

Za tydzień lub dwa Charley planował spotkać się z Don Corradem i ustalić, jak mają pomścić Vincenta, co zrobić, żeby wymogom honoru stało się zadość. Co z tego, że reszta rodzin zaaprobowała pomysł Bocci; gnój musi ponieść konsekwencje. Komisja może pocałować się w dupę!

Wiedział, jak sobie poradzi z Boccą. Jego rodzina największe zyski czerpała z nierządu. Kontrolowała całą prostytutkę w Nowym Jorku i dostarczała dziwki do Vegas, Miami i innych dużych miast, a także do Federacji Karaibskiej i na Wyspy Bahama. Charley namówi Eda, żeby powołano nowe komisje stanowe do walki z nierządem i uchwalono znacznie sroższe prawa: ludzie Bocci będą musieli stawać na głowie, by unikać nalotów policji i nie trafić do mamra, ich zyski zaś będą kurczyły się z dnia na dzień, aż wreszcie spłoszeni klienci zupełnie się od nich odsuną. Rodzina Bocci nie miała żadnych wpływów politycznych. Posiadali je za to Prizzi, i to na różnych szczeblach; tak więc w końcu ludzie Bocci przyjdą do Charleya, pokłonią się mu w pas i zaczną błagać, by Prizzi wstawili się za nimi do władz. Wówczas przedstawi im swoje warunki: powie, że jeśli oddadzą mu Quarica Boccę, postara się coś załatwić. Ale nie kiwnie palcem - nie pomoże im ani reorganizacja, ani zmiana szefa - dopóki Vincent Prizzi nie zostanie pomszczony.

Kolejna sprawa to ceny prochów, śniegu i trawy: powinny być stale regulowane pod kątem inflacji, tak samo jak ceny wszystkich towarów na rynku.

Następnie przyszło mu do głowy, że musi się przeprowadzić. Mieszkanie na plaży leżało zbyt daleko, a poza tym trudno je było należycie zabezpieczyć. Maerose pewnie wróci na Manhattan, więc poprosi Don Corrada, żeby dał mu dom Vincenta - każe go wyparzyć od piwnicy po dach. Nagle poczuł, że ma erekcję: wywołała ją myśl o Maerose.

Zatrzymał wóz przed apteką i wszedł do środka, żeby skorzystać z telefonu. Wykręcił numer Maerose.

- Mae? Mówi Charley.

- Charley?

- Chciałem ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro z powodu śmierci twojego ojca.

- No... dziękuję, Charley.

- Nie mogłem być na pogrzebie, bo miałem do załatwienia pewną ważną sprawę.

- Tak, wiem.

- Dobrze się czujesz, Mae?

- Kiedy z tobą rozmawiam, to dobrze.

- Co zamierzasz robić?

- Wracam na Manhattan.

- Kiedy?

- Lada chwila. Eh, niech to cholera, Charley. Przegrałam na wszystkich frontach: z ojcem, z tobą, nawet ze sobą.

- Często o tobie myślę, Mae.

- Myślenie to mało, Charley. Za mało! Cholera, dlaczego życie może się komuś tak nie układać, jak mnie? Odkąd na klatce piersiowej wyrosły mi guzki, pragnęłam tylko ciebie, Charley.

- Daj spokój, Mae. Co się stało, się nie odstanie. Nie warto wracać do dawnych spraw.

- Wiesz co, Charley? Czasami jesteś głupi jak but! - Rzuciła z trzaskiem słuchawkę na widełki.

Najdziwniejsze myśli kłębiły mu się w głowie. Awans na szefa rodziny, nieoczekiwany finał porwania Prizzim Filargiego, znajomość z Maerose, to wszystko wiązało się jakoś z sobą i potwierdzało starą prawdę: nic nie jest do końca pewne, sprawy mogą nagle przybrać najbardziej niespodziewany obrót. Czy przed kilkoma dniami mógł liczyć, że zostanie szefem? Czy przed laty mógł przewidzieć, że Maerose upije się, wyjdzie z przyjęcia z innym facetem, i odmieni wszystko w jego życiu, w swoim życiu, a także w życiu Vincenta? Co się z nią teraz stanie? Czuł dojmujący ból. Nie będzie jej miał i nic na to poradzi. Teraz jego życie wypełniała Irene, która wkroczyła w nie tak bardzo niedawno: dowodziło to wyraźnie, że przeszłość i terażniejszość wcale nie muszą stanowić kontynuacji; mogą być nawet nie do pogodzenia.

Ruszył w kierunku Brentwood. W połowie drogi przypomniał sobie, że obiecał wcześniej zadzwonić, więc zatrzymał się na stacji benzynowej i skorzystał z automatu. Irene po pierwszym dzwonku podniosła słuchawkę.

- Charley? - spytała z nadzieją.

- Wszystko gra! Opowiem ci, jak tylko przyjadę. Nie uwierzysz!

- Och, Charley! - zawołała. - Tak cię pragnę! Przyjedź jak najprędzej!

Po powrocie do Brentwood Charley wręczył Hydraulikowi fałszywą kartę kredytową wystawioną na Roberta Finleya, którą spreparowali ludzie Eda, i polecił mu odstawić wóz mieszkalny do Bayshore.

- Wszystko jest już załatwione - powiedział. - Prizzi zgodzili się spełnić moje żądania, więc jutro zawiozę Filargiego do Nowego Jorku i go puszczę.
- To miły gość - rzekł Hydraulik. - I sporo wart!
- Kiedy odstawisz pojazd, wracaj pociągiem do Brooklynu. Spotkamy się w przyszłym tygodniu i dam ci twoją dołę.
- Świetnie! Ale będzie mi brakować twojej kuchni. Słuchaj, czy zamiast jechać pociągiem, mogę posłużyć się tą kartą i wynająć samochód?
- Jasne. Filargi po oddaniu wozu mieszkalnego pewnie właśnie tak by zrobił. Tylko wiesz co? Jak dojedziesz do Nowego Jorku, zostaw samochód gdzieś między Pięćdziesiątą Dziewiątą i Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicą w okolicach Piątej Alei. Albo Parkowej. Jezu, to przepiękny pomysł!

Kiedy Hydraulik odjechał, Charley i Irene wskoczyli do obszernego łóża w sypialni na piętrze i przez następne czterdzieści minut kochali się jak para królików. Potem wzięli wspólnie prysznic i Charley zaczął przyrządzać kolację, równocześnie opowiadając Irene przebieg spotkania z Don Corradem.

- Ustaliliśmy ostatecznie dwie sprawy: otrzymam dwa i pół miliona za Filargiego, i - lepiej usiądź, bo się przewrócisz z wrażenia - zostałem formalnie mianowany szefem rodziny Prizzich. Jestem szefem! Będziemy mieli trzy miliony rocznie i tyle różnych dodatków, że każdy dzień będzie przypominał Gwiazdkę! Podlega mi dwa tysiące stu żołnierzy. Wszyscy będą traktować mnie z szacunkiem. Automatycznie staję się członkiem Komisji. Każdy skok, każdy kant, musi być ze mną uzgodniony. A ty jesteś żoną nowego szefa Prizzich! Co ty na to?

- Wspaniale, Charley. Gratuluję.

Poczuł się zawiedziony. Oczekiwał większego entuzjazmu, zdawał sobie jednak sprawę, że Irene jest wolnym strzelcem, a do tego Polką, więc nie orientuje się, jak wysoko w hierarchii stoi szef rodziny. W porównaniu z pozycją szefa, stanowisko jego zastępcy, które Charley piastował od jedenastu lat, było niczym. Musiał osobiście nadzorować trzech capiregime, a także osobiście wykonywać co trudniejsze rozważki. Ale teraz koniec z tym. Od tej chwili nie wolno mu nic robić, nie wolno uczestniczyć w żadnej akcji. Musi zawiesić wszystkie kontakty towarzyskie ze swoimi podwładnymi i unikać jakichkolwiek jawnych powiązań z operacjami, którymi będzie kierował. Szef ma obowiązek być czysty. Cholera. Hydraulik nadawałby się idealnie na jego zastępcę, a tak pójdzie do ziemi!

- Co z moją forszą za udział w porwaniu Filargiego? - spytała Irene.

- No, skoro mnie dają forszę, to oczywiście, że ty też dostaniesz swoją dołę.

- Pytałeś Don Corrada o moje pięćset czterdzieści dolców i o te trzysta sześćdziesiąt, które również ma mi zwrócić? Mówiliście o tym? To przecież kupa szmalu!

- Irene, na miłość boską, Don Corrado ma teraz ważniejsze rzeczy na głowie: śmierć syna i sprawę Filargiego, która jest dla niego tak istotna, że nazywa ją swoim pomnikiem. W tej chwili nawet nie pamięta o takich drobiazgach, jak komu ile jest winien! Pamiętał, ile jest winien tobie. Obiecał, że ci zwróci.

- Dobrze, do jasnej cholery! Jutro rano wypuszczamy Filargiego, a zaraz potem mam odwiedzić Don Corrada. Chcesz, żeby zagwarantował na piśmie, że ci wszystko odda?

- Nie. Po prostu powiedz mu, że ma mi dać forszę i koniec. Należy mi się!

Charley zszedł do piwnicy, żeby porozmawiać z Filargim.

- Jutro rano pana puszcze - oznajmił.

- Już po wszystkim? - spytał grubasek.

- Tak. O dziesiątej rano wysadzę patia na rogu Sześćdziesiątej Pierwszej i Madison.

- Aż nie mogę w to uwierzyć! Codziennie budziłem się przekonany, że zaraz wejdzie ta straszna kobieta i mnie zastrzeli.

- Pochodzi pan z Neapolu, prawda?

- Tak.

- Z ubogiej rodziny?

- Tak.

- Wie pan, co to Camorra?

Filargi skinął głową.

- My jesteśmy gorsi. To była mała organizacja. Nasza jest wielka. W tym kraju zniszczyliśmy ich zupełnie. Bo w tym kraju docieramy wszędzie. - Pochylił się nad Filargim, zbliżając swoją twarz do jego. - Nawet gdybyś zamieszkał w stalowej kajucie na okręcie pancernym na środku oceanu, to i tak byśmy cię dosięgli, rozumiesz? Kiedy cię jutro uwolnię, policja zacznie cię przesłuchiwać. Jeśli piśniesz choć słowo o tym, kogo podejrzewasz o porwanie, choć jedno słowo, zginiesz! Gdzie by cię ukryli, jeśli zaczniesz gadać, rozstaniesz się z życiem!

Rozdział 41

Charley nastawił budzik na wpół do szóstej, żeby mieli czas porządnie sprzątnąć willę i zjeść obfite śniadanie: o ósmej musieli ruszyć w drogę do Nowego Jorku, by punktualnie o dziesiątej puścić Filargiego.

- Na miłość boską, Charley, po cholere chcesz tu sprzątać? - zezłościła się Irene, wyrwana ze snu dzwonieniem budzika.

- Słuchaj, przecież będziemy tu przyjeżdżać. Jeszcze tego lata możemy tu wpaść na parę tygodni.

- Dziękuję! Tak mi się dłużyło te parę dni, jakbym siedziała tu od miesięcy.

- Te dwa wieprze pozwoliły, żeby cały dom zarósł brudem! Kazałem im dbać o czystość, ale czy tacy w ogóle potrafią?

Kiedy odkurzyli wszystkie pokoje, zmienili pościel, wyszorowali posadzkę w łazience i w kuchni, Charley usmażył Filargiemu omlet z trzech jaj, z szynką, zrobił tosty, zaparzył kawę, i zaniósł do piwnicy.

- Dziś rano odwozę pana do Nowego Jorku - oświadczył. - Koniec udreki!

- Dzięki Ci, Boże! - wykrzyknął Filargi. Wprost nie mogę w to uwierzyć!

- Ruszamy za czterdzieści minut. Kiedy pan zje, proszę trochę tu posprzątać, dobrze? Będę panu szczerze zobowiązany.

Zanim Charley wrócił na górę, Irene zdążyła pozmywać naczynia.

- Jak chcesz go wieźć?

- Założę mu opaskę na oczy i zatkam woskiem uszy, a potem położymy go w furgonetce na materacu. Gdy dojedziemy do Long Island City, zdejmę mu opaskę i pozwolę się z przodu. Ty zostaniesz w Long Island City, zadzwonisz do papy i powiesz mu, że za kwadrans uwalniam Filargiego; niech da znać FBI, żeby przysłano agentów do hotelu. Następnie wsiądziesz w metro i wrócisz na plażę. Ja powinienem się zjawić parę minut po dwunastej.

- Dobrze.

- Żał mi tego biedaka. Szkoda, że odrzucił ofertę Don Corrada.

- Trudno. Stało się.

- Gdyby opowiedział wszystko policji, mógłby nam nabruździć, ale strach powinien go powstrzymać. Ponieważ ciebie boi się najbardziej, postaraj się go jeszcze przerazić, dobrze? Kiedy zejdziemy na dół, patrz na niego tak, żeby na wspomnienie twojego wzroku robił w gacie i trzymał mordę na kłódkę przez następne dwadzieścia pięć lat!

Filargi aż podskoczył, gdy Charley otworzył drzwi do piwnicy i wpuścił przodem Irene, szczerzącą wściekle zęby niczym aktor grający w filmie telewizyjnym szkolnego mordercę.

Charley posadził Filargiego na jedynym krześle, znajdującym się w piwnicy, wsadził mu do uszu woskowe korki, na oczy położył watę, po czym, z pomocą Irene, kilkakrotnie opasał mu głowę bandażem. Następnie związał mu z tyłu ręce, podniósł go jak worek, przerzucił sobie przez ramię i zaniósł przez kuchnię do furgonetki, gdzie położył go na przygotowanym materacu. W tym czasie Irene pozamykała dom. Wsiedli oboje do szoferki i ruszyli w kierunku miasta.

Przez kilkanaście minut jechali w milczeniu. Irene odezwała się pierwsza:

- Charley, co zamierzasz zrobić w sprawie forsy, którą Prizzi są mi winni?

- Nie martw się, wspomnę im o tym. Powiem, że muszą zapłacić.

- A jeśli odmówią?

- Jezu, pojęcia nie mam.

- Słuchaj, wciąż mamy Filargiego. Muszą go odzyskać, jeśli chcą zarobić siedemdziesiąt milionów, jak mówił Angelo, a nawet może i sto, bo bank może być wart aż tyle. Pamiętaj, że w grę wchodzi bank, Charley, osiemnasty co do wielkości w Stanach! Moglibyśmy żądać gwiazdki z nieba i też by nam nie odmówili, byleby tylko dostać Filargiego. Wciąż go mamy, Charley. Prizzi są mi winni moje pięćset czterdzieści dolców, a do tego sto pięćdziesiąt za udział w porwaniu, trzysta sześćdziesiąt, które oddałam ci w Kalifornii, i jeszcze te pięćdziesiąt, które Vincent miał mi zapłacić za kropnięcie ciebie. W sumie milion sto tysięcy! Są mi winni milion sto tysięcy dolarów, Charley; długo musiałabym, ciulać, żeby tyle zarobić! Tobie zgodzili się zapłacić dwa i pół miliona, ale czy kiedykolwiek powąchasz tę forsę? Czy rzeczywiście wpłacą ci ją na szwajcarskie konto? Na razie te dwa i pół miliona, które dostali od towarzystwa ubezpieczeniowego, trzymają na własnym! Nie myślisz, że głupio robimy, puszczając

Filargiego? Niby mianowali cię szefem, ale skoro Vincent odwalił kitę, musieli kogoś mianować, żeby doglądał interesów, a ty byłeś jedynym, który się nadawał!

- Irene, uspokój się, do cholery! Jako szef będę przecież zarabiał trzy miliony rocznie!

- I co z tego? Tyle płaciliby każdemu, to po prostu pensja! Nie robią ci żadnej łaski. Nie mieli nikogo innego, byli w kropce; powinni całować cię po rękach, że się zgodziłeś! Sprawa Filargiego nie ma z tym nic wspólnego. Należy ci się dwa i pół miliona, a mnie milion sto, czyli razem trzy miliony sześćset. Tyle są nam winni i koniec! Dostali list, zgodzili się na warunki, obiecali, że wszystko zapłacą. Więc gdzie jest nasza forsa, Charley? Dlaczego wieziemy Filargiego do Nowego Jorku? Co nam z tego, że gliny go aresztują i Prizzi odzyskają swój bank za jedną dziesiątą ceny?

- Irene, przecież nikt nie twierdzi, że nam nie zapłacą! - zdenerwował się Charley. - Wręcz przeciwnie. Don Corrado osobiście przyrzekł, że dostaniemy szmal! Sam słyszałem! To ja z nim gadałem, nie ty!

- Obiecanki cacanki, a głupiemu radość! Tylko skończony kretyn zwalnia zakładnika dlatego, że największy sycylijski łgarz obiecuje mu złote góry!

- Irene, przez całe życie pragnąłem zostać szefem rodziny. Rodzina Prizzich jest największą w całym kraju, rządzi Stanami w równym stopniu co senat, General Motors, Alexander Haig. Myślisz, że mógłbym zrezygnować z tego wszystkiego dla nędznych trzech melonów? Przecież w ciągu dziesięciu lat odłożę trzydzieści! Pomyśl, za dwadzieścia lat będziemy mieli na koncie w Zurychu sześćdziesiąt milionów! Może rzeczywiście masz rację i Prizzi nic nam nie zapłacą, ale trudno, z czasem będziemy mieli piętnaście razy tyle. Zresztą na pewno będą wdzięczni, że puszczaemy Filargiego, i nie wątpię, że jakoś nam to wynagrodzą. Na miłość boską, Irene, postaraj się mnie zrozumieć!

- Jestem przekonana, że nie zapłacą nam tych trzech milionów. Prędzej zjedliby własne dzieci!

- Mylisz się co do jedzenia dzieci, ale co do forsy, to chyba masz rację.

- Słuchaj. Machnijmy ręką na te dwa i pół miliona. Niech się nimi udławiają. Gotowa jestem zrezygnować z tego, co miał mi zapłacić Vincent. A nawet z forsy za udział w porwaniu, niech znają mój gest. Tak samo z doli Marnego, którą dałam ci w Kalifornii. Ale jednego im nie daruję. Chcę odzyskać moje pięćset czterdzieści dolców. Tę forszę koniecznie muszą mi zwrócić.

Przez kilkanaście minut jechali w milczeniu, po czym Irene znów się odezwała:

- Ciężko mi o tym mówić, Charley, bo kocham cię najbardziej na świecie. Ale Prizzi są mi winni pięćset czterdzieści dolców, a to nie przelewki. Więc zrobię tak: pomogę ci rozwiązać Filargiego, po czym zadzwonię do papy i powiem mu, że ma kwadrans na uprzedzenie glin. Następnie wrócę na plażę i zaczekam do piątej; jeśli do tego czasu nie otrzymam mojej forsy, wynoszę się. Wracam do Los Angeles i więcej się nie widzimy.

Oczy napełniły się jej łzami. Charley wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę.

- Dobrze, Irene, rozumiem. Jak tylko wysadzę Filargiego, wpadnę do papy, porozmawiam z nim, a potem udamy się obaj do Don Corrada i powiemy mu, żeby ci

zapłacił. Masz rację, obstając przy swoim. Ale nie mów, że mnie porzucisz. Nie potrafiłbym bez ciebie żyć! Wierz mi, wszystko się ułoży!

W Long Island City zatrzymali się przy pustym placu budowlanym, po czym w milczeniu rozwiązali Filargiego, zdjęli mu z oczu opaskę i polecili przesiąść się do szoferki. Gdy furgonetka ruszyła w stronę mostu, Irene weszła do budki telefonicznej stojącej na rogu i zadzwoniła do pralni w St. Gabbione Hotel. Odebrał ojciec Charleya.

- Papa? Masz kwadrans.

Odwiesiła słuchawkę i zaczęła iść w kierunku stacji metra, znajdującej się osiem przecznic dalej.

W pralni Angelo wyjął z kieszeni czarny notes, znalazł właściwy numer i go szybko wystukał.

- Davey? Robert Finley, ten bankier, za piętnaście minut zjawi się w swoim hotelu. - Odłożył słuchawkę.

Hanly dał znać nadinspektorowi, który polecił mu zawiadomić komisarza Mitganga, "The New York Times", "The Daily News" oraz FBI.

- Niech FBI go aresztuje, ale musimy dopilnować, aby wiadano, że to dzięki nam został ujęty.

W tym czasie furgonetka przejechała przez most Queensboro.

- Jeszcze kilka minut i wysadzę pana w pobliżu hotelu. Pamiętaj pan co mówiłem? - zapytał Charley siedzącego obok Filargiego.

- Tak.

- Gliny nie zapewnią panu bezpieczeństwa. Jeśli na pokazanych przez nich zdjęciach rozpozna pan kogoś z nas, zabijemy pana. Rozumiemy się?

- Tak, tak.

- Koniec przeprawy. Żyje pan. Oddycha. Patrzy na ludzi. A żyć warto! Więc proszę pamiętać: przez cały czas miał pan zawiązane oczy. Jasne?

- Tak.

- Nic pan nie wie, bo nikogo pan nie widział, nikogo nawet nie słyszał. Avete capito?

- Tak jest!

Jadąc Sześćdziesiątą Pierwszą, milczeli obaj. Charley zatrzymał się przy rogu Madison.

- Wsiadaj pan - rzekł. - I powodzenia!

Filargi wyskoczył na chodnik i spojrział na Charleya przez otwarte okno.

- Już zapomniałem, żeśmy się kiedykolwiek widzieli! - oznajmił po włosku.

Rozdział 42

Filargi wszedł do hotelu przez drzwi obrotowe i od razu skierował się do recepcji. Dyżur pełnił jeden z zastępców kierownika.

- Pan Finley - zawołał głośno na widok przybysza. - Więc żyje pan! Jakże się cieszę, że jest pan cały i zdrow!

- Muszę odpocząć, a potem załatwić parę telefonów. Ale nie mam ochoty wracać do tamtego apartamentu. Chciałbym wynająć inny.

- Oczywiście, panie Finley, oczywiście.

Nagle Filargi zorientował się, że stoi pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy podeszli cicho do kontuaru.

- Pan Finley? - spytał ten z prawej.

Bankier odwrócił się do niego. Był to krępy, solidnie zbudowany jegomość w kapeluszu na głowie.

- McCree, starszy agent FBI - przedstawił się pokazując legitymację. - Pozwoli pan z nami.

Irene siedziała na tarasie mieszkania Charleya i spoglądała na zatokę. W jej oczach malowała się rozpacz. W uszach dźwięczały jej słowa Marxiego, który na przestrzeni lat wielokrotnie ostrzegał ją przed Sycylijczykami.

- Żydzi trudniący się tym procederem, kochana, to już wredna banda, ale Żydzi, Irlandczycy i czarni mają przynajmniej odrobinę serca. Sycylijczycy to maszyny! Nawet nie wydają tych swoich pieniędzy. Wśród zwykłych żołnierzy jest ze trzy tysiące milionerów. Zwyczajne oprychy, bandziory od najbrudniejszej roboty, a są milionerami. Tyle że nie mogą ruszyć ani centa, bo to wszystko trefna forsa, a kiedy umierają, wiesz ile zostawiają rodzinie? Pięć tysięcy. I koniec. Reszta wraca do szefów, tak jak pieniądze księży wracają do kościoła. A szefowie już i tak mają dziesięć czy sto razy tyle szmalu, więc co z nim robią? Kupują więcej władzy, bo to jedno ich bierze, i dlatego ustawicznie potrzebują forsy. Korumpują wciąż nowych ludzi, aż wreszcie skorumpują wszystkich, i w końcu każdy będzie pracował dla Sycylijczyków. Nie wiąż się z nimi, Irene. Pozostań wolnym strzelcem. W swojej pogoni za władzą muszą korzystać z twoich usług, ale gdybyś się do nich przyłączyła, przestałabyś być niezależna, a tym samym być im potrzebna.

Zauroczona Charleyem, zapomniała o przestroгах Marxiego. Sama podcięła pod sobą gałąź. Do cholery z miłością! Co ją napadło, żeby porzucić najwspanialszy klimat na ziemi i stałe dochody w wysokości pół miliona rocznie dla tej brooklyńskiej nory i ustawicznego prania zasłon? Makaron smakował jej gorzej od obierków, a jednak bez słowa protestu żarła go na obiad i kolację, wszystko z miłości. Z miłości? Marxie nie kazał jej bulić za miłość. Był mendą, ale czuła się przy nim bezpieczna i umiał ją zabawić; siedzieliby sobie teraz na hiszpańskiej plaży, bogatsi o siedemset dwadzieścia dolców, mieliby nowe twarze, nowe dokumenty, i żyliby sobie jak ludzie, bez żadnego pieprzenia o miłości, która kosztowała ją ponad milion gotówki, największą sumę, o jaką udało jej się odbić od nędzy dzieciństwa. Mogłaby mieć to wszystko i wypoczywać sobie w najlepsze po drugiej stronie kuli ziemskiej od tych sycylijskich zasrańców i od Charleya Partanny, który obrobił ją zupełnie tak samo, jak szczeniacy obrabiają stacje benzynowe. Do bajdurzenia o miłości był pierwszy, ale kosztował ją więcej, niż wszyscy ludzie jakich kiedykolwiek znała wzięci razem do kupy.

Corrado Prizzi i Angelo Partanna punktualnie o ósmej zasiedli do śniadania. Corrado, jak zwykle, wypił tylko kieliszek oliwy, natomiast Angelo zabrał się do pałaszowania stracciatella alla Natale Rusconi. Rusconi, sławny trzynastowieczny kucharz” mediolański, był bożyszczem Partannów. Corrado zaskoczył przyjaciela, przystępując do omawiania interesów przed końcem posiłku.

- Filargi jeszcze przed dwunastą wyląduje w pierdlu, i od tej chwili wszystko będzie się rozwijać zgodnie z planem, aż odzyskam bank - oznajmił. - Zarobimy na tym ładny kawał szmalu. Ale musimy dać glinom to, czego chcą, żeby wreszcie się od nas odczepili.

- Nie za bardzo wtem, Corrado, jak to sobie wyobrażasz - powiedział Angelo. - Gliny chcą zabójcę żony swojego kapitana. Przypuśćmy, że damy im Irene: jeśli tylko zaczną śpiewać, wpakuje do pierdla nas wszystkich. Byłby to koniec rodziny Prizzich!

- Brałem to pod uwagę, Angelo. I zdaje mi się, że znalazłem rozwiązanie. Zawiadom gliny, że doszły cię wieści, iż ktoś planuje dać im mordercę żony kapitana; może w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, może wcześniej. Potem zadzwoń do Charleya i powiedz mu, że chcemy się z nim spotkać.

- Co wymyśliłeś?

- Zaraz ci opowiem, Angelo, co musimy zrobić, żeby wszystko zakończyło się dla nas pomyślnie.

O wpół do jedenastej Angelo zadzwonił do porucznika Hanly'ego.

- Jak wam idzie z Finleyem? - zapytał.

- Nie chce gadać. Twierdzi, że przez cały czas miał opaskę na oczach i uszy zatkaane woskiem. Upiera się, że nie wie, gdzie go trzymano, jak długo, 1 kurczowo trzyma się tej wersji.

- No, mam dla was dobrą wiadomość. Dziś rano ktoś dał mi cynk, że w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin, może bardzo niedługo, dostaniecie mordercę Calhane.

- To pewna wiadomość?

- Nie wiem. Mogę ci tylko zaręczyć, że osoba, do której dotarła ta wieść, i która mi ją przekazała, nie rzuca słów na wiatr.

- Jak to rozegramy?

- Postaram się, żeby mój informator skontaktował mnie bezpośrednio ze swoim, a gdy z pierwszej ręki dowiem się, gdzie możecie znaleźć mordercę, dam ci znać bez względu na porę. Finley potwierdzi wam jego tożsamość.

- Przecież upiera się, że cały czas miał na oczach opaskę!

- Nie miał opaski, kiedy go porywano z hotelowego apartamentu. Morderca pewnie wpadł do środka, zastrzelił goryla i wyprowadził Finleya na korytarz, akurat kiedy pani Calhane wysiadała z windy. Finley musiał widzieć mordercę.

- Będę warował przy telefonie!

- Davey? Mam dla ciebie drobny upominek.

- Jaki upominek?

- Young Turks wygrają z Buccaneers o dokładnie jedenaście punktów. Postaw całą pensję!

- Gdzie? Przecież zamknęliśmy wszystkie totalizatory w Nowym Jorku!

- Dam ci numer w Jersey.

Charley odczekał, aż Filargi przejdzie na drugą stronę ulicy i skieruje się w stronę swojego hotelu, po czym skręcił w Madison i włączył się w sznur pojazdów jadących na północ. Chwilę później skręcił w Sześćdziesiątą Drugą, żeby dotrzeć do East River Drive, a nią do mostu Brooklyn. Zamierzał zajrzeć do papy w pralni St. Gabbione Hotel. Irene miała słusność. Nie potrafiła ogarnąć całości, czepiała się drobiazgów, ale racje leżały po jej stronie. Prizzi rzeczywiście obiecali im zapłacić za Filargiego. Muszą się z tego wywiązać. Niemal za darmo dostaną cały bank, więc skoro zgodzili się ponieść w związku z tym pewne niewielkie koszty, nie wolno im się teraz wycofać.

Wy tłumaczy to papie, który przecież od początku popierał ich żądania. Potem zadzwonią do Don Corrada, pojedą do niego i wyjaśnią całą sprawę. Był dumny z Irene, Trzeba mieć sporo odwagi, żeby tak obstawać przy swoim. Miał wspaniałą żonę! Wiedział o tym od dawna. Papa również. Czas, żeby Don Corrado też się o tym przekonał.

Papa wyglądał przez okno, gdy Charley wszedł do jego gabinetu. Na dźwięk otwierających się drzwi, starszy pan obrócił się w fotelu i zawołał do syna:

- Czołem, Charley! Gotów jesteś rozpocząć rządy?

- O rany! Prawie zapomniałem.

- Kogo mianujesz zastępcą?

- Jesteś consigliere. Kogo mi radzisz?

- Wybierz sam, Charley. Mogę ci jedynie powiedzieć, czy twoja decyzja jest słusna, ale sam musisz ją podjąć.

- Awansuję Sala Prizziego.

- Bardzo mądrze!

- Papo, muszę z tobą pogadać.

- Co się stało?

- Chodzi o Irene. Chce dostać chociaż część forsy, którą Don Corrado zgodził się zapłacić, kiedy dostał mój list. -

- Irene domaga się forsy?

- Tak. Zdaje sobie sprawę, że nie ma szansy; abyśmy otrzymali te dwa i pół miliona okupu za Filargiego, choć Don i to nam obiecał; gotowa jest machnąć ręką na forszę, którą był jej winien Vincent, na swoją działkę za udział w porwaniu, a nawet, jeśli tak musi być, na szmal, który dała mi w Kalifornii. Ale żąda zwrotu swoich pięciuset czterdziestu dolców. Koniecznie chce je mieć jeszcze dziś, przed piątą.

- Pięćset czterdzieści dolców?

- Tak. Tyle ile ci dała, żebyś oddał Prizzim.

- Przecież ponad połowa, trzysta sześćdziesiąt dolców, należała do nich!

- Tak. Ale zwrot tej forsy był jednym z naszych warunków, które Don zaakceptował.

- Charley, czyś ty oszalał?

- Jak to?

- Corrado uczynił cię szefem! Czy mógł zachować się hojniej? Będiesz miał z tego dziesięć, piętnaście razy więcej, niż żądaliście za Filargiego. A Irene jest twoją żoną.

- Wiem o tym, papo. Ale Irene się uparła. Uważa, że i tak zostałem szefem, a poza tym nie do końca się orientuje, jaka to świetna fucha. I nie da sobie wytłumaczyć, bo dotąd wszyscy ją kantowali; Prizzi również.

- Nie ma mowy, żebyśmy jej zapłacili, Charley.

- Papo, spróbuj spojrzeć na to od jej strony. Domaga się forsy, bo tego nauczyło ją życie. Kiwano ją od samego początku, dopóki wreszcie nie przeskoczyła tych, którzy nią rządzą. Traktowana jak kawał śmiecia, wiedziała, że jest nie gorsza od nich. Udało jej się wyrwać z Chicago, gdzie syndykat tak wspaniale ustawił ją w życiu: zmusił, by kupczyła własnym tyłkiem, a potem zabierał połowę zarobków. Dla niej cuch, brud i sperma, a dla szefów czyste pieniądze. Uciekła. Ślęczała po bibliotekach ucząc się księgowości, a gdy wróciła do Chicago, kazano jej temperować ołówki głównego buchaltera. Dostawała tyle, co kot napłakał, ale nauczyła się gadać, ubierać, znała się na liczbach, a do tego była ładna i umiała trzymać język za zębami, więc w końcu zrobiono z niej kurierkę, obsługującą trzy rodziny. Latała tam i z powrotem, latała i latała, a przez ten czas studiowała księgi podatkowe. I znów okazała się dobra, ale czy ktoś umiał to docenić? Spróbował jej pomóc? Nie, dalej ją kantowano. Wzięła się więc za to, do czego najbardziej brakowało fachowców: za rozwałki. Resztę znasz. Wciąż płacono jej mniej, niż była warta. Śmiechu warte sumki w porównaniu z tym, co miał z tego syndykat. Teraz sytuacja powtarza się po raz kolejny. Nie zawiodła Prizzich, - spisała się na medal. To jej zasługa, nie moja, że porwanie Filargiego poszło tak sprawnie. Nic nie mogło jej zaskoczyć, podejmowała błyskawiczne decyzje, za każdym razem słuszne. Na porwaniu Filargiego Prizzi zarobią siedemdziesiąt melonów. Irene oddała im całą forsy z kantu w Vegas; mimo że towarzystwo ubezpieczeniowe wcześniej zwróciło im wszystko, ale Don Corrado i tak dosolił jej grzywnę. Za co, papo? Przecież podwoiła mu forsy! Do chuja z takim załatwianiem spraw! W kółko nawijamy o honorze, więc dobra, jeśli to nie czcze gadki, zapłacimy Irene tyle, ile jesteśmy jej winni!

- To niemożliwe, Charley.

- Papo, szanuję twoje zdanie, ale chcę w takim razie porozmawiać z Don Corradem! Angelo podniósł słuchawkę i wystukał numer rezydencji Sesterów.

- Amalia? Mówi Angelo. Słuchaj, Charley i ja musimy się jeszcze dziś zobaczyć z twoim tatą.

- Wcześniej jest zajęty, więc najlepiej będzie, jeśli wpadniecie na obiad.

Tego dnia obiad, do którego Don Corrado zasiadł dopiero o wpół do trzeciej, gdyż wcześniej uciął sobie długą drzemkę, o czym Amalia poinformowała telefonicznie niecierpliwących się Partannów, trwał do za kwadrans piąta. Charley dosłownie odchodził od zmysłów, myśląc o ultimatum Irene, że porzuci go, jeśli do piątej nie otrzyma pieniędzy, lecz Don Corrado nie chciał o niczym słyszeć, dopóki nie skończą posiłku. Wreszcie wstał od stołu; starsi panowie zapadli się w ogromnych fotelach, a Charley przycupnął naprzeciw nich na krzesło.

- Powiedz, z czym przychodzisz, a potem ja wyłuszcę ci sprawę, którą mam do ciebie - rzekł Don Corrado.

- Padrino - zaczął Charley - zwolniliśmy Filargiego, tak jak zostało postanowione. Ale umawialiśmy się, że ty ze swej strony zapłacisz mojej żonie za udział w porwaniu oraz zwrócisz jej pięćset czterdzieści dolarów przekazane ci przez papę. Przyszedłem prosić cię w jej imieniu, abyś wypłacił sumę, którą jesteś winien.

Don Corrado i Angelo popatrzyli na niego smutno.

- Rezygnujemy z reszty pieniędzy, które się nam należą, choć to przecież niebagatelna suma, ale te pięćset czterdzieści dolarów Irene musi dostać z powrotem. Obiecałeś, Padrino; nie możesz się wycofać.

- Mam bardzo ważny powód, Charley, żeby nie płacić Irene - powiedział łagodnie Don Corrado. - Wielka Rada postanowiła wczoraj wieczorem, że musimy oddać policji zabójcę żony tego gliny.

Charley ze zgrozą skierował wzrok na Don Corrada, potem na swego ojca.

- Oddać Irene glinom? - spytał zduszonym głosem. Słowa niczym żyłетки raniły mu krtań.

- Posłuchaj, Charley - rzekł Don Corrado, posyłając mu współczujące spojrzenie swoich bazyliżkowych oczu - wczoraj wieczorem Wielka Rada, działając w imieniu wszystkich rodzin w tym kraju zgodnie z uprawnieniami, które każdy z nas respektuje od pięćdziesięciu lat, poinformowała mnie, że mamy tydzień czasu, aby oddać policji zabójcę kobiety zastrzelonej w hotelu; jeśli tego nie uczynię, pozostałe rodziny wypowiedzą mi wojnę. Wielka Rada przysłała Bawosiego i Lingarę, żeby powiadomili mnie o decyzji. Czy wiesz, co oznaczałaby wojna? Byłby to koniec naszej rodziny. Stracilibyśmy ludzi i wszystko, co mamy. A przecież rodzina to sens i cel naszego życia, bez niej bylibyśmy niczym!

- Więc co chcecie, żebym zrobił? - spytał Charley.

- Trzeba usunąć Irene, Charley. Ty jeden możesz to zrobić - wyjaśnił papa.

- Jak to?! Mam kropnąć Irene?

- Pewnie myślisz, że prawnicy Eda zdołają wytargować dla niej niski wyrok, więc powinniśmy po prostu oddać ją policji - oświadczył Don Corrado. - Ale jeszcze nie widziałem, żeby gliny były tak wściekłe. A ponieważ w grę wchodzi kidnaping, śledztwo prowadzi FBI. Jeśli Irene dostanie się żywa w ich ręce, zmuszą ją do gadania, a wtedy wszyscy trafimy za kratki. Może nawet na krzesło elektryczne. Zacznie sypać, bo nie będzie miała wyboru. Obciąży mnie, ciebie. Angela, Eda. Oczyści Filargiego i nigdy nie odzyskamy banku. Nie ma innego wyjścia, Charley. Los rodziny Prizzich spoczywa w twoich rękach.

- Czy kropnięcie Irene usatysfakcjonuje gliny?

- Tak. Filargi zidentyfikuje ciało, zezna, że to ona zabiła żonę kapitana. Nie przewiduję żadnych trudności. Policja będzie zadowolona i wszystko wróci do normy.

- Ależ Padrino, przecież Irene jest moją żoną! - zawołał Charley łamiącym się głosem.

- A rodzina jest twoim życiem - oznajmił papa. - Powiedz nam, co postanawiasz.

- Co wybierasz? Kobieta, którą znasz zaledwie dwa miesiące, czy rodzinę, która jest twoim życiem? - spytał Don Corrado.

Charley miał uczucie, że tonie. Jeśli uczyni to, czego od niego żądają, znów będzie samotny jak palec. Przecież ma tylko Irene! Czy może sprzątnąć jedyną osobę, którą kocha? To, co czuje do papy, do swojej pracy, do rodziny, zostało w niego wmówione i wmuszone na przestrzeni lat, bo codziennie go uczono i przekonywano, jakie uczucia powinien żywić. Ponieważ urodził się Sycylijczykiem, nie sprzeciwiał się. Lecz Irene była mu niezbędna, dawała mu miłość, na której opierało się całe jego życie. Tylko ona liczyła się naprawdę.

Może dożyje późnego wieku. Papie i Don Corradowi jakoś się udało. Co będzie miał na starość, jeśli ich usłucha? Kupę forsy w szwajcarskim banku. A do tego domy, ludzi, samochody i władzę, z której będzie mógł do woli korzystać. Będzie darzony szacunkiem; głębokim szacunkiem. Gdzie nie pójdzie, będą go pilnować szybcy strzelcy, tacy jak Hydraulik i Ogórek Cetrioli, ale w środku skurczy się od ciągłego gadania o sportach, zakładach, stawkach. Jego serce obumrze i zeschnie się na wiór, bo przez każdą minutę każdego dnia swojego życia, aż do chwili śmierci, będzie pamiętał, co zrobił kobiecie, która stanowiła sens jego istnienia. Zabijając Irene, zabije nie tylko jej ciało, ale również nieśmiertelne dusze ich obojga. Skaże sam siebie na spędzenie reszty życia zakutym w blok lodu. Czy mogło być coś gorszego? Jeśli kropnie Irene, pozostanie sam. Nikt mu jej nie zastąpi. Przez całe życie, tak jak wszyscy, nie przestawał szukać, w nadziei, że wreszcie znajdzie wymarzoną partnerkę, pasującą do niego ciałem, umysłem i duchem; i gdy ją wreszcie znalazł w osobie Irene, poznał to od razu: byli idealnie ze sobą zgrani, czuli się przy sobie bezpieczni.

W porównaniu z tym, co znaczyła dla niego rodzina Prizzich? Czym było jego życie poza krótkimi chwilami, które spędzał z Irene? Miał przed oczami jej cudną, spokojną twarz, widział jak uśmiecha się, jak go chwali i obiecuje się o niego troszczyć, i wtem pojął, że bez względu na to, co dla niego znaczy, on, Charley, został ukształtowany przez swoje pochodzenie, przez ojca oraz Don Corrada, dzięki nim stał się tym, kim jest; choć jedna Irene rozumiała w pełni jego pracę, też stanowiącą treść jego życia, i choć była mu równocześnie matką, kochanką i partnerką, będzie znacznie bardziej samotny, jeśli odwróci się plecami od rodziny, niż jeśli zrobi to, czego żądają od niego dwaj starcy. Odkąd na Sycylii pojawili się ludzie, największą wartość reprezentowała właśnie rodzina. Stanowiła jego pokarm. Była z nim od zawsze. Duchy setek tysięcy rodaków i krewnych obserwowały go z niepokojem, czekając, co postanowi. Nie, nie może zabić Irene. Nie mają prawa tego żądać. Jak mógłby podstępem pozbawić ją życia, okantować tak samo jak jej stary, jak syndykat? Jest ostatnim człowiekiem, który zgodziłby się wyrzucić jej krzywdę. Ostatnim! Miałby ją zniszczyć, złamać, nie pozostawić żadnej szansy na nowy początek? Pozbawić wszystkiego? I w ostatnich sekundach dojrzeć w jej oczach wyrzut, bo przecież ufała mu i wiedziała, że ją kocha? Chciał się utopić.

- Zrobię, jak mówicie - oznajmił.

- Tu chodzi tylko o interesy, Charley - rzekł Angelo. - O interesy, to wszystko.

- Hm... Żeby uspić jej czujność, potrzebny mi będzie szmal, którego się domaga.

- Wiec weź go - polecił Don Corrado. - Jest wciąż w tej samej torbie. Pod moim łóżkiem. Wyciągnij ją, Charley.

Charley przeszedł przez pokój, ukląkł przy łóżku i pochylił się nisko. Wyciągnął spod niego teczkę i przyniósł Don Corradowi.

- Otwórz, synu polecił starzec.

Charley otworzył zapięcia i podniósł wieko. W środku leżały paczki tysiąc dolarowych banknotów.

- Równo pięćset czterdzieści - oznajmił Don Corrado. - Skoro tak jej na tym zależy, weź to z sobą.

- Gdzie ją załatwisz? - spytał papa.

- Poleciała do Kalifornii. - Ponieważ nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć na starców, patrzył na banknoty. - Powiedziała, że jeśli do piątej nie zjawię się z pieniędzmi, wraca do Kalifornii.

- Dobrze - stwierdził Corrado Prizzi takim tonem, jakby już było po sprawie. - Kiedy usuniesz tę drzazgę z mojej stopy, zostaw Irene na lotnisku w bagażniku wynajętego wozu, i daj znać Angelowi. Angelo zawiadomi gliny w Nowym Jorku, ci zaś dadzą znać glinom w Los Angeles. Wykonają zdjęcia, a potem pokażą je Filargiemu w areszcie; zidentyfikuje Irene jako osobę, która na jego oczach zastrzeliła żonę kapitana. Wreszcie skończy się to całe zamieszanie i znów będziemy mogli normalnie prowadzić interesy.

Rozdział 44

Schodząc na dół schodami w rezydencji Sesterów, pozostawiwszy na górze obu krwiożerczych starców, Charley czuł się tak, jakby jego umysł i ciało zostały zamrożone w nowoczesnej chłodni. Przez całe życie obcował z obydwojma, wypełniał ich rozkazy, pomagał im realizować podstępne, okrutne plany, traktując to po prostu jako swoją zawodową powinność, lecz jakby się do tego nie przymierzał, w żaden sposób nie potrafił wpasować ich najnowszego, bolesnego żądania w jakikolwiek znajomy schemat. Chcieli, żeby kropnął własną żonę, zupełnie jakby takie coś było we fratellan:u normalką. Był szefem rodziny Prizzich, a pierwsza robota, jaką mu zlecono, to rozwalenie żony. Wychowano go w wierze, że bez względu na to, jak brutalnie rozprawiają się z przeciwnikami, kobietom nigdy nie dzieje się krzywda. Stawiali to sobie za punkt honoru. Bez względu na to, co robiło się dla pieniędzy, nigdy nie zabijało się kobiet - a już przenigdy własnych kobiet!

Z jednej strony rozumiał, dlaczego domagają się śmierci Irene, z drugiej nie pojmował, jak mogli mu wydać taki rozkaz; potem pomyślał o siedemdziesięciu milionach dolarów i o tym, że Don Corrado nie uczynił nic, aby pomścić śmierć syna zabitego przez bandę alfonsów, bo gdyby rozpętał wojnę, mógłby zaprzepaścić szansę odzyskania banku. Ta myśl pomogła mu nieco ochłonać w drodze do furgonetki. Don Corrado musiał zapomnieć o honorze, gdy ludzie Bocci wykończyli Vincenta; Angelo w milczeniu zniósł mękę syna, choć wiedział, jaki ból sprawia mu rozkaz. Wszyscy przywódcy musieli się poświęcać, żeby ludziom, którymi kierowali, działało się coraz lepiej. On też był teraz przywódcą. Bez względu na to, co myślał o rozkazie, rodzina stanowiła treść jego życia.

Miłość do Irene, choć ogromna, była czymś zupełnie innym, mniejszym i jakby bledszym od uczucia, jakim darzył rodzinę. To przecież rodzina nadawała sens całemu jego istnieniu. Mianowano go szefem. Musiał więc postąpić tak, aby jego czyn był wzorem dla przyszłych pokoleń. Powoli zaczynał rozumieć, że słuszne jest poświęcenie najbardziej nawet kochanej kobiety po to, by rodzina mogła trwać bez przeszkód, by honor, stanowiący rację jej bytu, pozostał niezbrukany.

Nagle zdał sobie jasno sprawę, że Irene zwyczajnie przesoliła; nie było innego wyjścia, musiała zginąć. Właściwie nie mógł mieć jej za złe, że obrobiła Prizzich na siedemset dwadzieścia dolców: była przecież Polką, więc skąd miała wiedzieć, jakie obowiązują reguły? Ale popełniła błąd, gdy oddała połowę łupu i zaczęła udawać niewiniątko, żeby zatrzymać resztę. Czego oczekiwała? Czyżby łudziła się, że Prizzi nie kiwną palcem, pozwolą sobie buchnąć taki kawał forsy?

A może - zmusił się, żeby skierować myśli tym torem - przez cały czas tylko udawała, że szaleje na jego punkcie, by jej wtedy od razu nie rąbnął? To, że wyszła za niego, rzuciła mu się na szyję, całowała, prała zasłony, szorowała posadzki, było po prostu grą. A on dał się nabrać. Uwierzył, że kocha go na zabój; ale gdyby tak było naprawdę, czy przyjęłaby od Vincenta pięćdziesiąt dolców zaliczki, żeby go rozwalić?

Sknociła porwanie Filargiego i teraz musi za to beknąć. Zaczął sobie przypominać zdarzenia, które się wówczas rozegrały. Irene cisnęła gorylowi kukłę niemowlaka akurat w chwili, gdy otwierały się drzwi windy. Goryl sięgnął po spluwę zamiast łapać kukłę. Irene powinna była chwycić tę babę, która wyszła z windy, posłużyć się nią jako tarczą, i zmusić goryla, żeby rzucił broń. Albo dać jemu, Charleyowi, szansę zejść go od tyłu i zdzielić w łeb. No, może nie było na to czasu. Najpierw strzeliła do goryla, więc pewnie widziała, że nie zdąży zrobić nic innego. Miała nerwy ze stali. Nie działała pochopnie. Ale dlaczego rąbnęła tę głupią cipę, która pomyliła piętra? Przecież baba nie miała spluwy! Stała tylko i gapiała się, zaskoczona i oniemiała, a Irene ją kropnęła, przez co całej rodzinie narobiła tyle kłopotów..

Ale co za kobieta! Czysta, a poza tym jaka gospodyni! Czasami odnosił wrażenie, że nie cierpi sycylijskiej kuchni, a jednak potrafiła tak znakomicie gotować różne sycylijskie dania, jakby terminowała u samych Spinów w Agrigento. Naprawdę była wyjątkową kobietą. Nigdy nie narzekała: nie znosiła Brooklynu, nie znosiła Sycylijczyków, nie znosiła nowojorskiego klimatu, ale nie skarżyła się ani razu.

Tylko się nie rozczulaj, zbeształ sam siebie. Już dawno temu nauczył się nie myśleć o rozwałkach inaczej jak w kategoriach czysto zawodowych. On i Gusto Bustarella dorastali razem. Tego samego dnia złożyli przysięgę. Podobały się im te same dziewczyny. Pewnego roku ojciec Gusta spędził z pięćdziesiąt godzin ucząc ich, jak posługiwać się nożem. Gusto, dowcipny facet, z którym człowiek nigdy się nie nudził, był - nie licząc papy - najbliższym przyjacielem Charleya, a jednak, gdy Vincent polecił mu go sprzątnąć, nie wahał się ani chwili. Zrobił co trzeba. Specjalnie, przez sentyment dla dawnych czasów, posłużył się nożem. Po co zaprzętać sobie głowę myśleniem o sprawach, które tylko utrudniają wykonanie roboty? Przecież i tak, prędzej czy później, każdy musi umrzeć.

Miał sprzątnąć Irene. Wchodząc do rezydencji Sesterów, wciąż kochał ją bardzo, ale teraz ich miłość wydawała mu się czymś, co wydarzyło się dawno temu, w obcym kraju, jakimś innym ludziom. Papa miał rację. Jego życiem była rodzina.

Wracając na plażę zastanawiał się, jak najlepiej wykonać zadanie. Nie będzie proste, ale nie ma co robić z igły widły; poradzi sobie. Jeśli Irene wyruszyła punktualnie o piątej, a zwlekaniu nie leżało w jej charakterze, i jeśli po drodze nie ugrzęzła w korku, w ciągu czterdziestu minut powinna dojechać na lotnisko. A więc wsiądzie w samolot o szóstej i o dziewiątej trzydziści czasu nowojorskiego wyląduje w Los Angeles. Do domu dotrze godzinę później; w Kalifornii będzie wówczas wpół do ósmej. Postanowił, że zadzwoni do niej o jedenastej, swojego czasu.

O piątej trzydziści dojechał na plażę i wziął prysznic.

Następnie wyciągnął z szafy stojącą na dole skrzynkę i wyjął z niej długi, dobrze wyważony nóż - ten sam, który zabrał Marnemu Hellerowi. Znalazł lekką, skórzaną pochwę, wsunął do niej nóż i przytwierdził sobie do wewnętrznej strony lewej łydki. Włożył spodnie od pizamy i przejrzał się w lustrze zamocowanym na drzwiach szafy: nogawki były tak luźne, że nic nie było widać.

Użyje więc noża. Na piersi, pod marynarką, będzie miał kaburę z pistoletem, którą - zanim zaczną się kochać - zdejmie i powiesi ostentacyjnie na krześle daleko od łóżka, tak, aby Irene to widziała, a potem, gdy się położą, wyciągnie nóż. Pragnął zabić Irene szybko i bezboleśnie. Zęby nawet nie zdążyła się zorientować, co się dzieje.

Zrobił sobie hamburgera, nalał kieliszek amerykańskiego chianti, usiadł przed telewizorem i włączył magnetowid. Jedząc, oglądał w kółko kasetę z Irene. Kiedy trwające dwie minuty i czterdzieści dziewięć sekund nagranie dobiegało końca, przewijał taśmę, naciskając odpowiedni guzik na leniwcu, i puszczał od początku.

Nagranie, składające się z kilku ujęć, trwało krótko, podobnie jak jego związek z Irene, ale wystarczyło, żeby zrozumiał, dlaczego ani Paulie, ani papa, ani nawet ten kamerzysta, nie zachwycali się tak strasznie jej urodą. Owszem, była przystojną babką, ale na pewno nie żadną dwunastką na dziesięciopunktowej skali, jak mu się wówczas wydawało. Góra siódmką.

Kiedy tak raz po raz oglądał zarejestrowaną na taśmie scenę ich spotkania, najbardziej wnerwiła go własna ślepota: dlaczego wmówił sobie, iż oboje oszaleli na swoim punkcie, że Irene od początku czuła to samo, co on? Sądził, że pokochała go od pierwszego wejrzenia - gdy tylko Mae przedstawiła ich sobie. Teraz jednak widział wyraźnie, że to nie Irene, lecz Mae wpatruje się w niego jak w obraz, wodzi za nim zakochanym wzrokiem. Irene patrzyła na niego tak jak pasażer na tonącym statku na łódź ratunkową. Z jej oczu biła potrzeba, ale wynikająca z zupełnie innych przesłanek, niż mniemał.

Nie czuł złości, że go wykorzystała; czuł smutek. Nigdy jej nie zapomni. Ale papa miał rację. Papa zwykle miał rację. Rodzina zawsze była częścią jego życia; Irene niespełna trzy miesiące. Wybór był prosty. Irene okradła rodzinę, a teraz jej zagrażała; musiała zginąć. Była jednak wyjątkową kobietą. Bystra, odważna, nikomu nie pozwalała sobie w kaszę dmuchać, nawet Don Corradowi. Wiele by dał, żeby cofnąć czas do chwil uchwyconych na taśmie.

Kiedy skończył jeść, sprzątnął w kuchni, a potem przejechał odkurzaczem po wykładzinie i kanapie, żeby usunąć okruchy. Tylko tego brakowało, żeby karaluchy rozplenily mu się w mieszkaniu.

Następnie ubrał się, telefonicznie zarezerwował miejsce do Los Angeles, po czym wypisał właściwy numer lotu na kradzionym bilecie. Pięć po jedenastej wystukał numer Irene. Podniosła słuchawkę po drugim dzwonku.

- Halo?

- Tu Charley. Cholera, nie żartowałaś!

- W takich sprawach nigdy nie żartuję, Charley.

- Don Corrado nie miał czasu widzieć się z nami wcześniej, więc zaprosił nas na obiad, który zaczął się sporo po drugiej. Przy jedzeniu nie chciał gadać o interesach; dopiero za kwadrans piąta mogłem wyłuszczyć mu całą sprawę.

- I co? - spytała w napięciu. Wiedziała, że żaden Sycylijczyk nie rozstanie się z pięciuset czterdziestoma doliczonymi tylko dlatego, że ktoś go o to prosi. Ponieważ nie dostała ani centa z tego, co byli jej winni, zwrot szmalu, który sama im rąbnęła, w ogóle nie wchodził w rachubę, chyba że zamierzali ją kropnąć. Zjedną dłonią zaciśniętą na oparciu krzesła, a w drugiej ściskając kurczowo słuchawkę, czekała na odpowiedź Charleya.

Jeśli oznajmi jej, że Prizzi nie zgodzili się oddać pieniędzy, jest bezpieczna. Jeśli natomiast powie, iż ma dla niej forszę, oznacza to, że postanowili ją sprzątnąć.

- Mam forszę! - zawołał. - W tej samej teczce. Don Corrado nawet jej nie wypakował.

Irene poczuła się tak, jakby patrzyła na swój związek z Charleyem przez celownik kamery, która oddala się raptownie najpierw o dziesiątki, a potem o setki i tysiące mil, hen w kosmos, aż z ich miłości zostaje tylko niewyraźne wspomnienie. Spojrzała po raz ostatni i wymazała wszystko na zawsze, poczynając od dnia, w którym wyznała Charleyowi, że go kocha. Zastrzegła się, że jeśli jej oświadczenie wypadło blade, to dlatego, że jeszcze nikomu tego nie mówiła. Nie kłamała. Czekala z utęsknieniem na chwilę, kiedy wypowie te słowa, i Charley był pierwszym mężczyzną, który usłyszał je z jej ust. Przypomniała sobie, jak mu to wówczas uzasadniła: "Nikogo jeszcze nie kochałam. Zawsze musiałam sama troszczyć się o siebie, a tego nie można pogodzić z miłością. Kocham cię, Charley."

Zmieniła te wspomnienia jak kartkę z nabazgraną wiadomością sprzed kilku miesięcy. Musi ratować własną skórę. Prizzi przyślą kogoś, żeby ją kropnął; tym kimś będzie Charley.

- Poważnie? - zdziwiła się. - No, no, kto by przypuszczał!

- Też byłem zaskoczony.

- Cieszę się, że odzyskałeś forszę. Pilnuj jej dobrze! Będziemy mieli za co poszaleć, kiedy za trzy dni wrócę do Nowego Jorku; przez ten czas chcę zlikwidować biuro i sprzedać dom.

Postanowiła uciec do Londynu. Chirurgia plastyczna stoi w Anglii na wysokim poziomie, język jest ten sam, z uzyskaniem nowych dokumentów też nie powinna mieć trudności. Dziewięć godzin różnicy czasu. Jeśli jutro rano wsiądzie w samolot lecący nad

biegunem bezpośrednio do Londynu, wieczorem będzie na miejscu. Musi jednak zaczekać do otwarcia banku, żeby opróżnić swoje sejfy.

- Mam lepszy pomysł - rzekł Charley. - Należy mi się urlop, zanim przejmę pralnię, więc przylecę do Los Angeles i zabawimy się trochę. Zarezerwowałem już miejsce w rannym samolocie.

Przeniknął ją chłód, jakby nagle została na wieki uwięziona w bryle lodu, niczym przedpotopowy mastodont. Po cholere w ogóle zwracała sobie głowę miłością? Po jedenastu latach wreszcie udało się jej wspaniale urządzić: miała świetny fach, który przynosił krociowe zyski, wolne od podatków, a do tego znakomitą przykrywkę - biuro konsultacji podatkowych. Miała willę, o jakiej jej matka nawet nie śmiała marzyć. Mieszkała w Kalifornii, w cudownym klimacie, jeździła ekskluzywnym wozem, nosiła najdroższe ciuchy, lokowała oszczędności w bankowych sejfach, a jednak od początku musiała w niej tkwić jakaś chęć samozniszczenia, zaprzepaszczenia wszystkiego, czego się dorobiła, spokoju, bo czy inaczej z własnej, nieprzymuszonej woli dałaby się złapać na ten lep, jakim była miłość Charleya?

Kimże on był? Prymitywnym, sycylijskim zbirem, który dusił ofiary kawałkiem sznura albo im przestrzeliwał kolana. Ucieleśnieniem tego wszystkiego, przed czym przestrzegał ją Marxie, gdy jej opowiadał o Sycylijczykach.

Jeśli Charley przyleci do Kalifornii, będzie to ostatnia podróż w jego życiu.

Jeśli zjawi się w Kalifornii, zanim uda jej się zbiec do Londynu, będzie musiała go kropnąć. Po raz pierwszy poczuła wstręt: nie do Charleya, lecz do forsy Prizzich, która ją skusiła, i przez którą poznała Charleya. Kochała go, ale to było dawno temu. Zapomniała już, że go kiedykolwiek spotkała i coś do niego czuła, wymazała z pamięci wszystkie te bzdury, które sobie mówili.

- Oj, Charley, mnie nie oszukasz! - zawołała wesóło. Wiem jak ci pilno, żeby objąć rządy w pralni. Po co masz tracić czas i przyjeżdżać do Kalifornii? Za trzy dni wrócę do Brooklynu!

- Słuchaj, cholera wie, kiedy znów będę miał wolne! Nastawiłem się, że przylecę. Już prawie jestem w drodze, za późno, żebym teraz zmienił plany! - oznajmił siląc się na beztroski ton, choć pot strugami spływał mu po twarzy. Poznał, że Irene próbuje go przechytryć. Domyślał się, że wróciła do Los Angeles tylko po to, żeby zabrać z banku pieniądze.

- W porządku. Jak chcesz. Jaki masz numer lotu? Odbiorę cię z lotniska.

Kiedy odłożyła słuchawkę, podeszła do szafy ściennej, w której mieściła się wmurowana skrytka. Otworzyła zamek szyfrowy i wydobyła ze środka niewielki pistolet - kaliber 22 - świetna broń, kiedy można podejść blisko celu. Zdjęła z lufy tłumik, sprawdziła, czy pistolet się nie zacina, nabiła go, po czym zamknęła skrytkę. Zniosła pistolet do garderoby i schowała do otwartego pudła z kosmetykami, stojącego na toaletce przy drzwiach sypialni. Cholera, szkoda, że z Charleya jest takie potężne chłopisko! Trudno, jakoś zaciągnie go do garażu i wrzuci do bagażnika wynajętego wozu, którym przyjechała z lotniska. Zostawi go w tym wozie na parkingu, tak jak on Marxiego; niech gnije. Nie czuła smutku. Czekala ją robota jak każda inna, tyle że na własne zlecenie; obiecała sobie za nią pełną stawkę.

Rozdział 45

Charley umocował kaburę z rewolwerem po lewej stronie klatki piersiowej, sprawdził, czy nóż dobrze siedzi w pochwie przyczepionej do łydki, po czym wziął teczkę Irene oraz swoją torbę i wyszedł z mieszkania. Gdy zamykał drzwi, zabrzączał telefon. Cofnął się i podniósł słuchawkę. Dzwoniła Maerose Prizzi.

- Cześć, Charley!
 - Cześć, Mae. Byłem już prawie za drzwiami.
 - Dokąd się wybierasz?
 - Lecę do Kalifornii.
 - Przed chwilą usłyszałam o twoim awansie. Zawsze wiedziałam, że nosisz w tornistrze buławę!
 - Jaką buławę?
 - Angelo wspominał, że chcesz się przeprowadzić do domu mojego ojca.
 - No tak. Stąd mam za daleko do pralni.
 - Słuchaj, to graciarnia, osobiście wolałabym już mieszkać w chacie kalabryjskiego górnika! Ale jeśli się zgodzisz, urządzę ci całe wnętrze w prezencie ślubnym. Co ty na to?
 - Wspaniale, Mae! Dziękuję!
 - Myślisz, że Irene się zgodzi?
 - Na pewno.
 - Mam dostęp do wszystkiego. Zdobę ci najładniejsze meble, najlepsze tapety. Oczywiście uzgodnię swój projekt z Irene, wypytam ją, co jej odpowiada. Zobaczysz, Charley, będzie zachwycona!
 - Słuchaj, Mae, to świetny pomysł, ale muszę już pędzić.
 - Zadzwoń, kiedy wrócisz, dobrze?
- Charley wsiadł do furgonetki i pojechał na lotnisko. Niepotrzebnie się tak spieszył: na miejscu był dwanaście minut przed odlotem.

Kiedy wyszedł z rękawa i znalazł się w budynku, Irene już na niego czekała. Ale z niej urodziwa babka, pomyślał. Nie żałował tego, co miał zrobić. Tak pięknej kobiecie nie powinno się pozwolić zestarzeć. Teraz była w kwiecie wieku, w szczytowej formie. Do licha, to najlepszy moment!, Nie odezwali się słowem, tylko padli sobie w objęcia. Kiedy się zaczęli całować, Irene o mało się nie rozmyśliła. Po raz pierwszy w życiu zrobiło się jej żal, że nie jest zwyczajną, prostą dziewczyną, a Charley aptekarzem z sąsiedztwa. Trudno. Jako gangster i tak miał niewielkie szansę, żeby umrzeć w łóżku. Po prostu nadeszła jego pora.

Skrywany smutek ciążył im jakby był górą, którą Bóg kazał im obnieść trzykrotnie dookoła świata. Tak jest ze wszystkimi, pomyślał Charley, codziennie robią to, co ja muszę uczynić dziś wieczór: zabijają miłość. Najpierw wpuszczają ją, dają się jej rozpalić, porwać, wydaje im się, że cały świat jest zbyt mały, by pomieścić ich szczęście, a potem wywlekają ją na śnieg i mordują, nim zdoła ich zmienić.

- Jadłeś w samolocie, Charley?

- Słuchaj, jesteśmy tylko kilka mil od tej nadmorskiej knajpy. Naszej knajpy. Chętnie pojechałbym tam coś przekąsić, jeśli tylko dam radę oderwać od ciebie oczy!

- No, no, widzę, że stęskniłeś się za mną przez te dwadzieścia cztery godziny!

- Kocham cię, najdroższa! - zawołał i poczuł, że język mu kołowacieje. Podejrzewał, że Irene domyśla się, iż przybył ją sprzątnąć, ale sądzi, że to przez te pięćset czterdzieści dolców. Wydaje jej się logiczne, że jako nowy szef chce doprowadzić do końca wszystkie stare sprawy. Pewnie od dawna nie czytała gazet i nie wie, jaka afera wybuchła w związku ze śmiercią tej babki, która pomyliła piętra. Nie orientuje się, że kropnięcie jej to jedyny sposób wybawienia Prizzich z tarapatów.

Wyszli z budynku i wsiedli do wynajętego wozu, prawdziwego krążownika szos z obszernym bagażnikiem. Irene zajęła miejsce za kierownicą.

- Wiesz co, Charley? Jedźmy do mnie. Chcę się z tobą kochać!

- Nie martw się, zdążymy. Najpierw wpadnijmy do knajpy. Często śni mi się, że odwiedzam ją z tobą. Może to nasza ostatnia okazja, żeby się do niej wybrać, posłuchać szumu morza i napić się rumu z sokiem ananasowym.

- Przecież nie zniknie, Charley.

- Tak. Ale my będziemy daleko. Jestem szefem, czeka mnie mnóstwo pracy.

Jadąc szosą nad brzegiem Pacyfiku, Irene pomyślała nagle, że gdyby oboje byli zwyczajnymi ludźmi i Charley chciał ją zabić dlatego, iż znalazł sobie inną cizję, a gdyby w dodatku byli postaciami z telewizyjnego filmu, skrzyłaby gwałtownie: wóz przebiłby barierkę, spadł ze skały i - z nimi w środku - pograżył się w falach.

Charleyowi przyszło do głowy, że mógłby przecież załatwić Irene już teraz. Namówiłby ją, żeby skrzyła w bok, bo chce się z nią pogzić w wozie, i wtedy pchnął nożem. Ale był to tylko luźny pomysł, który podsunęła mu zawodowa rutyna; odrzucił go natychmiast. Pragnął po raz ostatni odwiedzić tę nadmorską knajpę, w której wszystko się między nimi zaczęło. A potem, jak niegdyś, wrócić z Irene do jej willi.

Irene zjechała z szosy i zatrzymała wóz na parkingu przed restauracją.

- Naprawdę jesteś taki głodny, Charley? - zapytała. - Nie wolisz poćwiczyć trochę ze mną w łóżku przed olimpiadą?

- Mam ochotę pozwedzać stare kąty. Wiesz, o czym myślę?

- No?

- Przywiozłem całą torbę szmalu. Moglibyśmy pojechać na lotnisko w San Diego, złapać samolot do Dallas, tam przesiąść się i polecieć dokąd tylko byśmy chcieli. Jaki kraj kusiłby cię najbardziej?

- Widziałam kiedyś folder reklamowy ze zdjęciami Nowej Zelandii. Wyspa Południowa to wymarzony zakątek: spokój, piękne krajobrazy.

- No to, do cholery, ruszajmy! Bierzmy forsę i w drogę! Schyliła się, podniosła jego rękę i pocałowała.

- Co by to dało, Charley? Przecież wiesz, że by nas dopadli. Chodzi przecież o honor Prizzich, nie? Jesteś ich szefem. Cieszymy się z tego, co mamy. Do Nowej Zelandii możemy się wybrać w przyszłym roku.

Cmoknął ją delikatnie w policzek.

- Wypijmy po szklaneczce tego cudownego nektaru, a potem możemy zaraz jechać do ciebie i wskoczyć do łóżka.

Irene zgasiła silnik i otworzyła drzwi.

Usiedli przy tym samym stoliku, co kiedyś, i zamówili jugo de pina con Bacardi u tego samego kelnera. W obojgu odżyły wspomnienia ich pierwszej randki. Na pewien czas każde z nich zapomniało o swoich morderczych planach. Charley trzymał Irene za rękę i patrzył jej głęboko w oczy. Chociaż wyglądał jak tysiąc innych facetów, zakochanych i bardzo z tego powodu szczęśliwych, bez przerwy powtarzał sobie, że jest fachowcem i musi zachowywać się tak, aby Irene niczego nie podejrzewała, lecz równocześnie gorzko żałował, iż nie może zwierzyć się jej ze wszystkiego; a nuż oznajmiłaby mu, że rozumie i nie ma do niego pretensji? Kto wie, może wówczas rzeczywiście machnęliby ręką na Prizzich, spakowali do walizki nieco ciuchów, wzięli forszę i prysnęli ze Stanów?

- Hej, powinniśmy zamknąć samochód! - zawołał nagle. - Cała twoja forsa jest w bagażniku!

- Nie spodziewałam się, że stary Prizzi zgodzi się z nią rozstać.

- Jest ci wdzięczny za pomoc w uprowadzeniu Filargiego. Nie mógł się ciebie nachwalić. Zresztą pięćset czterdzieści dolców to dla niego pestka!

Irene miała dość słuchania jego bredni. To tylko pogarszało sprawę. Nie rozumiała, dlaczego mężczyźni zawsze muszą wycisnąć ostatnią kroplę z każdego romansu. Wszystko robią na opak. Jeszcze niedawno Charley był doprawdy cudownym facetem: nigdy dotąd nie spotkała człowieka, który tak by ją oszołomił, i z którym pragnęłaby spędzić resztę życia. Stanowili jakby dwie oddzielne, lecz idealnie do siebie pasujące połówki tej samej istoty, o czym często rozprawia się w poezji, ale taki związek musi się opierać na absolutnym zaufaniu bez względu na to, co się dzieje dookoła, bez względu na oczekiwania innych lub własne pokusy. Żałowała, że nie wyjaśnili sobie tego przy pierwszej rozmowie. Oboje partnerzy muszą to w pełni rozumieć i akceptować. Nie wystarczy, że rozumie tylko jedna strona. Teraz jednak było za późno, żeby nawet o tym myśleć. Tego rodzaju rozważania mogły tylko uśpić jej czujność i wprawić ją w chandrę. Wyciągnęła wolną rękę i położyła ją na dłoni Charleya.

- Czas się zbierać, najdroższy.

Kiedy wysiedli z wozu na podejździe przed willą Irene, Charley powiedział:

- Pamiętaj, że w bagażniku jest forsa.

Irene uśmiechnęła się, otwierając drzwi wejściowe.

- Weź ją z sobą. Schowamy ją do szafy, tam gdzie znaleźliśmy szmal Marxiego.

Otworzyła szafę ścienną we frontowym hallu. Gdy Charley przyniósł teczkę i postawił na ziemi, wsunęła ją nogą do środka i zatrzasnęła drzwi.

- Nie sprawdzisz, czy suma się zgadza?

- Po co? Przecież ty już liczyłeś, nie?

Objęli się i ruszyli po schodach na piętro. Irene wyczuła przez marynarkę, że Charley ma spluwę.

- Na cholerę targasz to żelastwo? - spytała.
- Przecież wiozłem ponad pół miliona, musiałem się zabezpieczyć!
- Mam nadzieję, że nie zamierzasz pakować się z tym do łóżka.
- Skądże, zaraz to ściągnę!

Sypialnia Irene, w której stało wielkie, podwójne łóżko, miała na suficie lustro sięgające od ściany do ściany. Irene obserwowała Charleya, jak zdejmuje marynarkę, odpina paski kabury i chowa ją do szafy razem z marynarką.

Potem usiedli plecami do siebie po obu stronach szerokiego łóżka, rozebrali się i włożyli nocną bieliznę. Charley wciągnął tylko spodnie od piżamy, po czym wstał, nagi do pasa, specjalnie obszedł łóżko i udał się do łazienki, żeby Irene widziała, że nie jest uzbrojony.

- Gotów! - wykrzyknął, kiedy wrócił. - Wystarczą dwadzieścia cztery godziny bez ciebie, a taka mnie nachodzi ochota, jakbym rok żył w celibacie!

- Jeszcze momencik, kochany! - zawołała Irene, uśmiechając się do niego: oczy lśniły jej fałszywym pożądaniem.

Weszła do garderoby, a Charley rzucił się na łóżko, wyciągnął na plecach i wsparty na poduszce, z nożem Marxiego w prawej ręce, zwisającej w dół łóżka, obserwował przez otwarte drzwi przyciemnionej sypialni, jak Irene czesze się w jasno oświetlonej garderobie.

Poprawiając sobie włosy, Irene podjęła decyzję. Charley, jak to Charley, liczy pewnie, że będą się kochać przez całą noc, i niczego się nie spodziewa; najlepszy moment, żeby go zaskoczyć. Odłożyła szczotkę i spojrzała w stronę sypialni. Leżał na łóżku, z zamkniętymi oczami, wprawiając się w nastrój, żeby skoczyć na nią jak tygrys, gdy tylko wślizgnie się obok niego.

Wyjęła pistolet z pudła z kosmetykami i trzymając w opuszczonej dłoni, tak aby zasłonić go ciałem, podeszła do drzwi. Zaczęła unosić dłoń do strzału. Charley poruszył się.

Zamachnął się prawą ręką i z ogromną siłą cisnął nożem przez pokój. Pistolet Irene wypalił, ale chybiła, bo wcześniej nóż roztrzaskał jej krtań, przeciął rdzeń kręgowy i przygwoździł ją do framugi drzwi. W ciągu trzech sekund przebyła drogę od przepychu życia do nędzy śmierci.

Charley ubrał się szybko i zniósł torbę do hallu. Z szafy ściennej wyjął teczkę z pieniędzmi, zszedł do wozu, i ulokował oba bagaże na przednim siedzeniu. Wrócił do środka i ciężkim krokiem wspiął się po schodach na górę. Musiał ciągnąć ze wszystkich sił, żeby wyszarpnąć nóż z gardła Irene; gdy mu się wreszcie udało, ciało osunęło się groteskowo na podłogę. Starannie wytarł nóż chustką i schował do pochwy przytwierdzonej do łydki.

Następnie schylił się, wziął pistolet Irene leżący obok jej ciała, przytknął pod obnażoną lewą pierś i nacisnął spust. Podnosząc ciepłego trupa zdał sobie sprawę, że łka.

Owinąwszy Irene w koc, zarzucił ją sobie na ramię i zniósł po schodach do samochodu. Ładując zwłoki do bagażnika pomyślał, iż dobrze się stało, że nie wziął z Irene ślubu, bo ten udzielony im przez sędziego pokoju Josepha Tierneya Mastersa w Tijuanie, nędznej granicznej mieścinie, nie liczył się wcale; w oczach kościoła katolickiego małżeństwo było jednym z sakramentów, lecz ślubu musiał udzielić ksiądz, przed obliczem Boga, a na to zabrakło im czasu. W ogóle mieli go tak niewiele...

Rozdział 46

O czwartej trzydzieści po południu Charley zadzwonił do ojca z lotniska Los Angeles.

- Chevrolet, tablice kalifornijskie, numer rejestracyjny trzy-jeden-osiem-sześć-jeden-dwa. Zapisalesz?

- Tak.

- Stoi po wschodniej stronie parkingu, mniej więcej w połowie.

- Dzielnie się spisałeś, Charley.

- No.

- O której masz samolot?

- Za dwadzieścia minut.

- Za pół godziny dam znać Corradowi. Uratowałeś nas.

O wpół do ósmej Charley był już z powrotem u siebie na plaży. Zdjął z łydki pochwę z nożem i schował do skrzyni w szafie. Rozebrał się, wziął prysznic i położył się do łóżka. Usnął natychmiast.

Obudził się nazajutrz o trzeciej po południu. Zjadł solidne śniadanie, po czym umył wszystkie okna. Robiąc porządek w szafie, znalazł dwie bluzki i sukienkę Irene. Zapakował je do dużej koperty i napisał na niej adres Armii Zbawienia, który odszukał w książce telefonicznej Brooklynu. Do za dziesięć piąta siedział na tarasie, zastanawiając się, jak pokieruje interesami rodziny. Przyszło mu do głowy, że Irene nigdy nie znalazłaby sobie miejsca wśród Prizzich, Sesterów i Garronych.

Zadzwonił do Maerose Prizzi do pracy.

- Mae? Tu Charley.

- Cześć, Charley! Wiesz co? Teresa, moja siostra, właśnie wróciła z podróży poślubnej!

- Mieli chyba dość czasu, żeby polecieć na księżyc. Słuchaj, może zjedlibyśmy dziś razem kolację?

- Kolację? Jak to?

- Co znaczy jak to? Chodźmy do jakiejś knajpy!

- Ty, ja i Irene?

- Nie. Tylko ty i ja.

- A co z Irene?

- Zerwaliśmy. Wyjechała. No to jak?

- Boże, jeszcze się pytasz? Jestem zachwycona! Powiedz tylko, gdzie mamy się spotkać!